

FORD MADDOX FORD



*Saga o džentelmenie*



*Saga o dżentelmenie*

*Bohaterem powieści jest Krzysztof Tietjens, młody Anglik o nienagannych manierach, szlachetny, uczciwy i życzliwy ludziom, mimo iż doświadcza od nich wiele zła. Ukochana żona ucieka z innym mężczyzną, najlepszy przyjaciel zdradza go, wskutek intryg i plotek zostaje zachwiana jego pozycja społeczna. Nie ma też wpływu na wychowanie syna – dziedzica nazwiska i majątku. W każdej jednak sytuacji zachowuje spokój. Czy swoją postawą przezwycięży zły los? Ciekawa intryga, wartka akcja i zaskakujące rozwiązanie konfliktów – oto zalety tej powieści, którą czyta się jednym tchem.*



FORD MADOX FORD

*Saga o dżentelmenie*

Przekład E.Kay

OFICYNA WYDAWNICZA

WARSZAWA 1997

Tytuł oryginału angielskiego: *Some do not*

Projekt graficzny serii: Renata Obniska-Wolska

Na okładce wykorzystano materiały z:

LE COSTUME EN RUSSIE XVIII<sup>e</sup> DÉBUT DU XX<sup>e</sup> SIÈCLE,

Aurora 1979

Opracowanie redakcyjne:

Bożena Juszczyk

Korekta:

Ewa Popławska

Teresa Muś

© Copyright for Polish translation by E. Kay

Warszawa 1997

Wydanie I

ISBN 83-86678-53-4

Zamówienia na książki można składać

w Dziale Handlowym Wydawnictwa:

ul. Górczewska 8, 01-180 Warszawa,

tel./fax 631-64-33, 631-77-92, 631-63-80,

tel. 632-02-21 w. 54 i 55

# CZEŚĆ PIERWSZA

## I

Dwóch młodych mężczyzn (z klasy urzędników państwowych) siedziało w wyjątkowo eleganckim przedziale kolejowym. Skórzane pasy przy oknach były dziewiczo nowe, lusterka pod półkami na bagaże jaśniały, jakby niewiele jeszcze zdążyło się w nich odbić; pękata tapicerkę o bujnych, krągłych kształtach zdobił skomplikowany drobny wzór w szkarłatno-żółte smoki, opracowany przez geometrę z Kolonii. W przedziale panował ledwo uchwytny, higieniczny zapach nadzwyczajnego lakieru, a pociąg biegł gładko niczym (później Tietjens przypomniał sobie to porównanie) brytyjskie papiery wartościowe gwarantowane przez rząd. Pociąg jechał szybko, a Tietjens był przekonany, że gdyby zachwiał się lub podskoczył na jakimkolwiek złączu, wyjąwszy zakręt przed Tonbridge lub na rozjazdach w Ashford, gdzie można się spodziewać podobnych wybryków i wybaczyć je; Macmaster napisałby skargę do przewoźnika. Być może napisałby do „Timesa”.

Obydwaj należeli do klasy, która administrowała światem, a nie tylko nowo utworzonym Imperialnym Departamentem Statystyki, na czele którego stał sir Reginald Ingleby. Jeśli w ich obecności źle zachował się policjant, jeśli bagażowy był nieuprzejmy, jeśli na ulicy świeciło się za mało lamp, jeżeli usługi komunalne albo inne państwa nie były w porządku, podejmowali kwestię nonszalanckimi głosami akcentem Balliol lub w listach do „Timesa”, zapytując z rozżaleniem i gniewem: „Czyżby brytyjskie to czy tamto znalazło się w takim stanie?”. Lub też pisywali do poważnych periodyków, z których wiele przetrwało po dziś dzień, artykuły o manierach, sztuce, dyplomacji, handlu wewnątrz imperialnym, jak również o osobistej reputacji zmarłych mężów stanu i naukowców.

To znaczy Macmaster postąpiłby właśnie tak; natomiast we własnym przypadku Tietjens nie był przekonany. Tam siedział Macmaster:

raczej drobny, wig, ze starannie przyciętą spiczastą czarną bródką, jaką nosiłby właśnie drobny mężczyzna, aby podkreślić swą kielkującą dystynkcję; miał czarne sztywne włosy, utrzymywane w ordynku za pomocą twardych metalowych szczotek, ostry nos, silne, równe zęby; noszony przez niego biały kołnierzyk był gładki jak porcelana, krawatka ściśnięta złotym pierścieniem koloru stalowoniebieskiego nakrapianego czarnym - pasująca do oczu, jak wiedział Tietjens.

Natomiast Tietjens nie umiał sobie przypomnieć, jakiego koloru nosi krawat. Wziął taksówkę z biura do domu, nałożył na siebie luźny, elegancki płaszcz i spodnie, miękką koszulę, i spakował się szybko, choć metodycznie: całe mnóstwo rzeczy do ogromnej torby z uszami, którą można było w razie potrzeby samemu wrzucić do wagonu bagażowego. Nie lubił, aby jego rzeczy dotykał ten „człowiek”, tak jak nie lubił, aby go pakowała pokojówka żony. Nie lubił nawet oddawać torby do niesienia bagażowemu. Był torysem, a ponieważ nie lubił się przebierać, siedział w pociągu obuty w duże brunatne buty do gry w golfa z szerokimi wyłogami i nabite ogromnymi ćwiekami. Siedział na brzegu fotela, pochylony w przód, pochylając wielkie ogromne dłonie na kolanach szeroko rozstawionych nóg - i myślał od niechcienia.

Natomiast Macmaster usiadł głęboko, zatapiając się w lekturze niewielkich, niezszytych, zadrukowanych stronic; sztywny, lekko marszcząc brwi. Tietjens wiedział, że był to dla niego niezapomniany moment. Macmaster robił korektę swej pierwszej książki.

Cała ta sprawa, o której wiedział Tietjens, miała wiele niuansów. Gdy, na przykład, ktoś zapytał Macmastera, czy jest pisarzem, odrzekłby z najbledszą sugestią pogardliwego wzruszenia ramionami: „Nie, droga pani!” Ale oczywiście żaden mężczyzna nie zadałby takiego pytania komuś będącemu niewątpliwie człowiekiem światowym. I kontynuowałby z uśmiechem: „Nic tak wzniosłego! Zaledwie zabawiam się od czasu do czasu. Krytyk, może. Tak! Troszkę jest we mnie z krytyka”.

Mimo to Macmaster poruszał się po salonach ozdobionych przez długie kotary, błękitną porcelaną, tapety o dużym wzorze i wielkie, skromne lustra, gdzie skrywali się długowłosi adepci Sztuki. Trzymając

się w pobliżu drogich pań, które wydawały herbatki, Macmaster potrafił podtrzymać rozmowę - choć nie bez mentorstwa. Lubił, jak się go słuchało z respektem, gdy mówił o Botticellim, Rosettim i wczesnych artystach włoskich, których nazywał prymitywnymi. Tietjens widział go przy takiej okazji. I nie miał mu tego za złe.

Albowiem, jeśli owe zgromadzenia nie skupiały socjety, to stanowiły pewien etap na długiej i niepewnej drodze do kariery w państwowym urzędzie najwyższej rangi. I choć Tietjens uważał się za całkowicie obojętnego wobec karier i urzędów, z sympatią (cokolwiek sardoniczną) spoglądał na ambicje swego przyjaciela. Dziwna to była przyjaźń, ale dziwność przyjaźni często gwarantuje jej trwałość.

Tietjens był najmłodszym synem ziemianina z Yorkshire i tym samym miał dostęp do wszystkiego, co najlepsze - na co tylko urzędy i ludzie wysokiej rangi było stać. Nie miał ambicji, ale to wszystko mu się należało, jak to w Anglii bywa. A więc mógł nie dbać o swój ubiór, o towarzystwo, o wygłaszane opinie. Miał trochę własnych pieniędzy po matce, trochę płacił mu Imperialny Urząd Statystyki; ożenił się z posażną kobietą, a ponieważ po torysowsku wystarczająco opanował sztukę złośliwości, słuchano go, gdy mówił. Miał 26 lat, w sposób przywodzący na myśl Yorkshire był jasnowłosy i niedbały, wielki i cięższy niż można by się spodziewać po jego młodym wieku. Jego szef, sir Reginald Ingleby, słuchał uważnie, gdy Tietjens zechciał wyrazić swe zdanie na temat tendencji społecznych mających odbicie w statystykach. Czasem sir Reginald oświadczał: „Jest pan całą encyklopedią szczegółowych i rzeczowych wiadomości, Tietjens”. I Tietjens uznawał, że to mu się należy, a więc przyjmował hold w milczeniu.

Natomiast Macmaster na uwagi sir Reginalda mruczał: „Ależ to świetne, sir!”. I Tietjens uznawał, że to jest całkiem w porządku.

Macmaster był etatowo nieco starszym pracownikiem i prawdopodobnie był też nieco starszy wiekiem. Bowiem lata współlokatora i jego pochodzenie skrywała w pamięci Tietjensa biała plama. Nie ulegało wątpliwości, że Macmaster pochodzi ze Szkocji. Uchodził za wychowanka kościoła. Niewątpliwie był w rzeczywistości synem sklepikarza z Cupar albo багаżowego z Edynburga. Szkotom to nie szkodzi, a ponieważ z odpowiednią rezerwą traktował swoje

pochodzenie, nikt kto się do niego przekonał tej sprawy nie dochodził, nawet w myślach.

Tietjens od zawsze akceptował Macmastera - począwszy od Clifton, przez Cambridge, przy Chancery Lane, a nawet ich wspólnym mieszkaniu w Gray's Inn. Żywił do niego głęboką przyjaźń - nawet wdzięczność. Macmaster zaś, można powiedzieć, odwzajemniał te uczucia. Z pewnością zawsze usilnie starał się służyć Tietjensowi. Pracując w Departamencie Skarbu jako prywatny sekretarz sir Reginalda Ignleby, w czasie gdy Tietjens był jeszcze w Cambridge, Macmaster zwrócił uwagę sir Reginalda na wiele talentów przyjaciela, sir Reginald zaś, który poszukiwał młodych mężczyzn do jego „owieczki”, czyli świeżo utworzonego departamentu, niemal z miejsca przyjął Tietjensa pod swą komendę. Z drugiej strony, to ojciec Tietjensa polecił Macmastera sir Thomasowi Blockowi w samym ministerstwie. Ponadto, rodzina Tietjensów (a właściwie matka Tietjensa) dofinansowała studia Macmastera w Cambridge i pomogła mu zainstalować się w stolicy. Spłacił niewielki dług, głównie tym, że przyjął do mieszkania Tietjensa, gdy z kolei ten przyjechał do miasta.

Dla młodego Szkota była to sytuacja całkiem do przyjęcia. Tietjens mógł pójść do swej jasnowłosej, pulchnej, jaśniejącej dobrocią matki, siedzącej u siebie w pokoju rannym i powiedzieć: „Słuchaj, mamo, ten facet, Macmaster! Będzie potrzebował trochę pieniędzy, żeby skończyć uniwersytet”. Jego matka odpowiedziałaby: „Tak, kochanie. Ile?”.

Młody Anglik z niższych sfer pozostałby z poczuciem wiecznego klasowego zobowiązania. Macmaster nie.

W czasie ostatnich kłopotów Tietjensa (cztery miesiące wcześniej żona Tietjensa rzuciła go i wyjechała za granicę z innym mężczyzną) Macmaster wypełnił lukę, której nie mógłby wypełnić żaden inny mężczyzna. Podstawą emocjonalnej egzystencji Krzysztofa Tietjensa było zachowywanie absolutnego milczenia, a przynajmniej na temat uczuć. Według Tietjensa, nie rozmawiało się, a prawdopodobnie nie należało myśleć o tym, co się czuło.

W rzeczywistości ucieczka żony pozostawiła go prawie całkowicie bez rozpoznawalnych uczuć, wypowiedział w tej sprawie co najwyżej dwadzieścia słów. W większości były skierowane do jego ojca,



wysokiego, mocno zbudowanego, srebrnowłosego i prostego jak trzcina, który zahaczył o salon Macmastera w mieszkaniu przy Gray's Inn i po pięciu minutach rzekł:

- Rozwiedziesz się?

- Nie! Tylko łądak poddałby kobietę torturom rozwodu - odpowiedział Krzysztof.

Pan Tietjens zwrócił na to uwagę i po pewnej przerwie zapytał:

- Zezwolisz jej, by rozwiodła się z tobą?

- Jeżeli zechce. Trzeba wziąć pod uwagę dziecko.

- Czy pieniądze, które jej przeznaczyłeś przepisziesz na dziecko? - zapytał pan Tietjens.

- Jeśli dałoby się to zrobić bez starć - odrzekł Krzysztof.

Pan Tietjens po kilku minutach dodał:

- Twoja matka miewa się bardzo dobrze. - Następnie: - Ten pług motorowy nie działał i już. - Wreszcie: - Zjem kolację w klubie.

Tietjens zapytał:

- Czy mogę przyprowadzić Macmastera, sir? Powiedziałeś, że zapiekujesz się nim.

- Owszem, przyprowadź - odpowiedział pan Tietjens. - Będzie tam stary generał Ffolliot. Poprze go. Lepiej niech go zapozna. - I odszedł.

Tietjens uważał, że jego stosunki z ojcem są prawie idealne. Byli niczym dwaj członkowie klubu, jedyne klubu; myśleli w podobny sposób, a więc nie mieli potrzeby rozmawiać. Jego ojciec przez długi czas przebywał za granicą zanim przejął majątek ziemski. Gdy przemierzał wrzosowiska, aby złożyć wizytę w przemysłowym miasteczku, którego był właścicielem, jechał zawsze powozem zaprzężonym w cztery konie. W Groby Hall nie znano zapachu dymu tytoniowego: każdego ranka ogrodnik pana Tietjensa napełniał dwanaście fajek i umieszczał je w krzakach róż rosnących wzdłuż podjazdu. Pan Tietjens wypalał je w ciągu dnia. Sam uprawiał znaczną część swojej ziemi; był posłem Holdernesse w latach 1876-1881, ale nie stanął do wyborów po redystrybucji mandatów; patronował jedenastu beneficjom; od czasu do czasu polował z ogarami, regularnie strzelał. Miał jeszcze trzech innych synów oraz dwie córki i obecnie liczył sobie 61 lat.

W rozmowie telefonicznej ze swoją siostrą Effie, w dzień po ucieczce żony, Krzysztof powiedział:

- Weźmiesz Tomaszka na czas nieokreślony? Marchant z nim pojedzie. Powiedziała, że zajmie się najmłodszą dwójką twoich, więc zaoszczędzisz na służbie, a ja zapłacę za ich wyżywienie i jeszcze trochę.

Siostra - z Yorkshire - odrzekła:

- Oczywiście, Krzysztofie.

Effie była żoną wikarego, mieszkała nie opodal Groby i miała kilkoro dzieci.

Do Macmastera Tietjens powiedział:

- Sylwia odeszła ode mnie z tym facetem, Perownem.

Macmaster odparł jedynie:

- Aha.

Tietjens ciągnął dalej:

- Wynajmuję dom i oddaję meble na skład. Tomaszek jedzie do mojej siostry Effie, a z nim Marchant.

Macmaster powiedział:

- Zapewne będziesz potrzebował swojego starego pokoju.

Zajmował bardzo obszerne piętro w jednym z budynków na Gray's Inn. Po tym jak Tietjens ożenił się i wyprowadził, używał swej samotności, tyle tylko, że jego „człowiek” przeniósł się z poddasza do sypialni Tietjensa.

- Przyjdę jutro wieczorem, jeśli mogę. W ten sposób Ferens będzie miał czas przenieść się z powrotem na poddasze - odpowiedział Tietjens.

Tego dnia przy śniadaniu, po upływie czterech miesięcy Tietjens otrzymał od żony list. Prosiła, bez żadnej skruchy, aby ją przyjął z powrotem. Miała dosyć Perowne'a i Bretanii.

Tietjens spojrzął na Macmastera. Macmaster podniósł się nieco z krzesła i spoglądał na niego powiększonymi stalowoniebieskimi oczyma, a broda mu drżała. Do czasu, gdy Tietjens się odezwał, Macmaster chwycił szyjkę kryształowej karafki z brandy, stojącej na barku z brązowego drewna.

- Sylwia prosi, bym ją przyjął z powrotem - powiedział.

- Napij się trochę tego! - odparł Macmaster.

Tietjens miał właśnie powiedzieć automatycznie „nie”. Zamiast tego powiedział:

- Tak. Może. Likierówkę.

Zauważył, że brzeg karafki dygoce i podzwania o kieliszek. Macmaster chyba drżał.

Macmaster, wciąż odwrócony tyłem, powiedział: - Weźmiesz ją?

- Sądzę, że tak. - Od przelkniętego brandy zrobiło mu się ciepło w piersiach.

- Lepiej napij się jeszcze.

- Tak. Dziękuję.

Macmaster wrócił do śniadania i swoich listów. Tietjens również. Wszedł Ferens, zabrał półmiski po bekonie i postawił na stole podgrzewaną wrzątkiem miskę z jajkami w koszulkach i rybą. Po dłuższej chwili Tietjens powiedział:

- W zasadzie tak, postanowiłem to zrobić. Ale wezmę sobie trzy dni na obmyślenie szczegółów.

Zdawałoby się, że sprawa nie wywarła na nim żadnego wrażenia. Pewne bezczelne sformułowania z listu Sylwii zaległy w jego pamięci. Wolał taki właśnie list. Brandy nie wpłynęło na jasność jego myśli, lecz prawdopodobnie zapobiegło drzeniu członków.

Macmaster powiedział:

- A może pojedziemy do Rye o 11.40. Pewnie udałoby się nam zagrać partyjkę po podwieczorku, teraz dni są dłuższe. Chciałbym odwiedzić pewnego pastora, który mieszka w okolicy. Pomógł mi przy książce.

- Czyżby twój poeta znał pastorów? Ależ oczywiście. Nazywa się Duchemin, prawda?

Macmaster zaproponował:

- Moglibyśmy tam zajść około wpół do trzeciej. Na wsi takie godziny są w porządku. Pobędziemy do czwartej. Powóz na nas poczeka. O piątej możemy zacząć rozgrywać. Jeśli spodoba się nam pole, zostaniemy na następny dzień, potem wtorek w Hythe, środa w Sandwich. Albo zostaniemy w Rye przez całe twoje trzy dni.

- Prawdopodobnie będę wolał pojeździć - odparł Tietjens. - W sprawie twoich liczb dotyczących Kolumbii Brytyjskiej. Jeśli weźmiemy

powóz od razu, mógłbym nad nimi popracować i skończyć je w godzinę i dwanaście minut. Wtedy mógłbyś odesłać brytyjską Amerykę Północną do drukarni. Jest dopiero 8.30. Macmaster odezwał się z pewną obawą:

- Ależ nie! Porozmawiam z sir Reginaldem, puści nas.

- Ależ tak. Ingleby będzie zadowolony, gdy mu powiesz, że skończyłeś. Będę mieć wszystko przygotowane dla ciebie, żebyś mógł mu dać, gdy przyjdzie o dziesiątej.

- Nadzwyczajny z ciebie człowiek, Krzysiu. Niemalże geniusz!

- Aha - odparł Tietjens. - Przeglądałem twoje papiery wczoraj, gdy wyszedłeś i mam prawie wszystkie sumy w pamięci. Rozmyślałem nad nimi przed zaśnięciem. Wydaje mi się, że pomyliłeś się w ocenie zainteresowania, jakie wzbudziło w tym roku Klondyke. Przejścia są otwarte, ale relatywnie nikt przez nie nie przechodzi. Dodam stosowną notatkę.

W powozie Tietjens dodał:

- Przykro mi, że zawracam ci głowę moimi parszywymi sprawami. Ale w jaki sposób może to wpłynąć na ciebie i biuro?

- Na biuro - rzekł Macmaster - wcale. Ogólnie wiadomo, że Sylwia jest za granicą, aby opiekować się panią Satterthwaite. Jeśli zaś chodzi o mnie, to chciałbym... - zacisnął swe małe, silne zęby - chciałbym, abyś wytarzał tę kobietę w błocie. Na Boga, tak chcę! Dlaczego miałyby cię pokieroszować na całe życie? Mało zrobiła?

Tietjens popatrzył nad dach powozu.

To coś wyjaśniało. Kilka dni wcześniej znajomy bardziej żony niż jego podszedł do Tietjensa w klubie i oznajmił, że ma nadzieję, że pani Satterthwaite (matka jego żony) czuje się lepiej. Teraz powiedział:

- Rozumiem. Pani Satterthwaite prawdopodobnie pojechała za granicę, aby zatuszować ucieczkę Sylwii. To rozsądna kobieta, choć wiedźma.

Powóz jechał prawie pustymi ulicami. Było jeszcze bardzo wcześnie jak na dzielnicę urzędową. Kopyta konia biły równo. Tietjens wolał powozy, bowiem konie stworzono dla szlachty. Nic nie wiedział o tym, jak towarzystwo oceniało jego sprawy. Zapytaniem przełamał wielką i drętą obojętność.

W czasie minionych kilku miesięcy zajmował się błędami popełnionymi w nowej edycji „Encyklopaedii Britannici”, cytując je z pamięci. Nawet napisał artykuł na ten temat do nudnego miesięcznika, tak złośliwy, że właściwie gubił puentę. Pogardzał ludźmi, którzy korzystali z opracowań encyklopedycznych, ale jego punkt widzenia był tak obcy, że napisany artykuł nie napsuł nikomu krwi, prawdopodobnie za wyjątkiem Macmastera. W rzeczywistości sprawił przyjemność sir Reginaldowi Ingleby, który cieszył się, że ma u siebie młodego mężczyznę z taką pamięcią i o takiej wszechstronnej wiedzy...

To było miłe zajęcie, zupełnie niczym długa drzemka. Teraz musiał zadać kilka pytań.

- A co z tym, że zamknąłem siedzibę pod dwudziestym dziewiątym? Już nie będę miał domu.

- Uważa się - rzekł Macmaster - że pani Satterthwaite źle się czuła przy Lowndes Street. Dlatego też się rozchorowała. Coś z kanalizacją. Mogę powiedzieć, że sir Reginald całkowicie i absolutnie się zgadza. Uważa, że młodzi żonaci urzędnicy państwowi nie powinni mieć wystawnych domów w południowo-zachodniej dzielnicy.

- Niech go szlag trafi - powiedział Tietjens. - Zresztą, chyba ma rację. Dziękuję - dodał po chwili. - Tyle chciałem wiedzieć. Rogacz jest zawsze w pewien sposób zdyskredytowany. I słusznie. Człowiek powinien potrafić zatrzymać swą żonę.

Macmaster wykrzyknął: - Nie! Krzysiu, nie!

Tietjens ciągnął dalej:

- A na pierwszorzędnej posadzce państwowej jest bardzo podobnie jak w szkole. Mogą mieć poważne obiekcje do posiadania wśród swego grona mężczyzny, któremu uciekła żona. Pamiętam, jak Clifton nie mógł znieść, że rząd zdecydował się przyjąć pierwszego Żyda i pierwszego czarnego.

- Wolalbym, byś nie mówił dalej - powiedział Macmaster.

- Był człowiek - ciągnął Tietjens - którego włości sąsiadowały z naszymi. Nazywał się Conder. Jego żona z przyzwyczajenia regularnie go zdradzała. Na trzy miesiące każdego roku zniknęła z jakimś facetem. Conder ani nie mrugnął. Ale my mieliśmy wrażenie, że Groby i okolice nie są bezpieczne. Były trudności w przedstawianiu

go (już nie mówiąc o niej) swoim gościom. I różne inne niewygody. Wszyscy wiedzieli, że młodsze dzieci nie były jego. Ktoś ożenił się z najmłodszą córką i przejął ogary. I nikt do niej nie przychodził. Ani to racjonalne, ani sprawiedliwe. Ale właśnie dlatego ludzie z towarzystwa nie ufają rogaczom, jak mi się zdaje. Nigdy nie wiedzą, kiedy zostaną zmuszeni zachowywać się nieracjonalnie i niesprawiedliwie.

- Ale ty nie dasz - powiedział z prawdziwym bólem Macmaster - Sylwii zachowywać się w taki sposób.

- Nie wiem. Jak mam temu zapobiec? Wiesz, uważam, że Conder miał zupełną rację. Taka katastrofa dzieje się z woli Boga. Dżentelmen na nią się godzi. Jeśli kobieta nie chce się rozwieść, musi się pogodzić. Wydaje mi się, że tym razem udało ci się to naprawić. Tobie razem z panią Satterthwaite. Ale nie zawsze będziesz w pobliżu. Albo ja spotkam inną kobietę.

Macmaster powiedział:

- Ach! - Po chwili dodał: - I co wtedy?

- Bóg raczy wiedzieć! Należy pomyśleć o małym... Marchant mówi, że już zaczyna zaciągać po miejscowemu.

- Gdyby nie to - powiedział Macmaster - sprawa byłaby rozwiązana.

- Ha! - powiedział Tietjens.

Gdy Tietjens płacił woźnicy, który zatrzymał się przed portalem z szarego cementu, ozdobionym ostrołukiem, sięgając w górę, powiedział:

- Widzę, że daje jej pan do mieszanki mniej lukrecji. Mówiłem, że będzie lepiej chodziła.

Woźnica o szkarłatnej, lśniącej twarzy, ubrany w błyszczący kapełusz, gruby bury płaszcz z gardenią w butonierce odparł:

- No! Pamięta pan.

W pociągu Macmaster spojrzął na swego przyjaciela spod sterty polerowanych waliz i dyplomatek (Tietjens wrzucił swój wór do wagonu bagażowego). Był to dla niego wielki dzień. Na poziomie oczu miał próbny egzemplarz swej pierwszej, niewielkiej i z wyglądu filigranowej książeczki... Mała stronica o czarnym i jeszcze pachnącym druku! Nozdrza łaskotał mu miły zapach farby drukarskiej; świeży

papier był jeszcze lekko wilgotny. W swych białych, łopatkowatych i zawsze zimnych palcach ścisnął niewielki, spłaszczony złoty ołówek, kupiony specjalnie do korekty. Nie znalazł niczego, co mógłby poprawić.

Spodziewał się pławić w rozkoszy - niemalże jedynej rozkoszy, na jaką sobie pozwolił od wielu miesięcy. Prowadzenie się niczym angielski dżentelmen przy skromnych dochodach było wyczynem nie lada. A jednak pławić się we własnych frazach, radować się swą przenikliwą figlarnością, wyczuwać rytm wyważony choć dyskretny - było to rozkoszą ponad wszystkie i na dodatek niedrogą. Już ją poznał - przy zwykłych artykułkach o filozofii i codziennym życiu osobistości, takich jak Carlyle i Mili, albo o rozwoju handlu wewnątrzkolonialnego. To była zaś książka.

Liczył na to, że umocni jego pozycję. Pracownicy urzędu byli w większości „urodzeni” i nie nader przychylni. Choć było też trochę (to trochę rozrastało się szeroko) młodych mężczyzn, którzy dostali się do urzędu dzięki swym zasługom lub ciężkiej pracy. Ci zazdrośnie obserwowali awanse, węsząc nepotyzm w podwyżkach płac i bijąc się między sobą o względy.

Na nich mógł nie zwracać uwagi. Przyjaźń z Tietjensem stawiała go po stronie „urodzonych”, jego sympatyczne usposobienie (wiedział, że jest sympatyczny i przydatny!) wobec sir Reginalda Ingleby chroniło go w dużym stopniu przed nieprzyjemnościami. Dzięki temu, że opublikował „artykuły” mógł przyjąć pewną surowość zachowania; dzięki książce będzie mógł przyjąć wręcz sędziowski ton. Wówczas stanie się t y m panem Macmasterem, tym krytykiem, autorytetem. Departamenty najwyższego szczebla zaś nie opierają się przed zatrudnieniem wyróżniających się panów, jako ozdoby towarzystwa, a ich awanse nie wywołują protestów. Macmaster niemal widział sir Reginalda Ingleby pod wrażeniem usłużności, z jaką traktowano jego cenionego podwładnego w salonach pani Leamington, pani Cressy, arystokratycznej pani de Limoux. Sir Reginald byłby pod wrażeniem, gdyż choć sam czytywał głównie rządowe publikacje, czułby się dość bezpiecznie, wyglądając drogę swemu literacko uzdolnionemu i skromnemu młodemu pomocnikowi. Macmaster, syn bardzo biednego urzędniczyny z miasteczka portowego gdzieś w

Szkocji, dość wcześnie zdecydował, jaką ma zrobić karierę. Macmaster mógł wybierać między bohaterami pana Smilesa (autora ogromnie popularnego w czasie jego chłopięcych lat) lub taką drogą prowadzącą do rozwoju intelektualnego, jaka była otwarta dla biednego Szkota. Nie miał kłopotu z wyborem. Pomocnik górnika może zostać właścicielem kopalni; twardy, utalentowany, niesypiający szkocki młodzian, cichy i wytrwały adept nauki i przydatności publicznej, z pewnością się wybiję, zapewni sobie byt i cichy podziw wszystkich wokół. To była ta różnica pomiędzy „może” a „z pewnością”, i Macmaster bez trudu dokonał wyboru. Teraz już był przekonany, że czeka go kariera. W wieku lat pięćdziesięciu powinien otrzymać tytuł szlachecki, a na długo przedtem kompetencję, własny salon, i panią, która wniesie swój cichy wkład w jego cichą sławę - będzie poruszała się po tym salonie, pomiędzy najprzedniejszymi intelektualistami współczesności, pełna wdzięku i oddania, żyjący dowód jego wyrafinowanego smaku i osiągnięć. Wszystkiego był pewien - jeśli tylko uda mu się uniknąć katastrof. Dla mężczyzny katastrofą może być alkohol, bankructwo lub kobiety.

Wiedział, że na pierwsze dwie jest odporny, choć miał tendencję do wydawania więcej niż zarabiał i wiecznie miał niewielki dług wobec Tietjensa. Na szczęście Tietjens miał środki. W trzecim przypadku Macmaster nie był taki pewien. Z konieczności odczuwał w życiu niedostatek kobiet, a gdy znalazł się w punkcie, w którym element kobiecy (z całą ostrożnością) mógłby prawowicie wejść w jego życie, musiał uważać, aby nie wybrać pochopnie, właśnie wskutek rzeczowego niedostatku. Szczegółowo wiedział, jakiego typu kobiety potrzebuje: wysoka, pełna wdzięku, ciemna, ubrana w luźne suknie, namiętna lecz roztropna, o owalnej twarzy, celowa, miła dla wszystkich wokół siebie. Niemal słyszał, jak szeleszczą jej szaty.

A jednak... Miał chwile, gdy jakaś ślepa nierozwaga ciągnęła go, prawie oniemiałego, do dziewcząt najpospolitszego, chichoczącego gatunku, o dużych piersiach i szkarłatnych policzkach. Tylko dzięki Tietjensowi wyplątywał się z wątpliwych związków.

- A żeby to - mawiał Tietjens. - Dałbyś spokój tej flądrze. Jedyne, co mógłbyś z nią zrobić to zainstalować ją w sklepiku z tytoniem, a ona wydzierałaby ci brodę. Zresztą nie stać cię na to.



A Macmaster, który rozsentymentalizowałby się nad tłuscioszkiem pod melodię „Highland Mary”, przez cały dzień przeklinał Tietjensa za wulgarność. Jednakże w danej chwili dziękował Bogu za Tietjensa. Siedział sobie, mężczyzna prawie trzydziestoletni, nie mając na karku żadnego romansu, w nienaruszonym zdrowiu i bez zmartwień powodowanych przez jakąkolwiek kobietę.

Z głębokim uczuciem spojrzął na swego błyskotliwego młodszego kolegę, który sam siebie nie uratował. Tietjens wpadł w najoczywistszą z pułapek, najokrutniejszą, bo zastawioną przez najgorszą kobietę, jaką można sobie wyobrazić.

I nagle Macmaster uzmysłowił sobie, że nie pławi się tak, jak mu się wydawało, w zmysłowej rzece własnej prozy. Rozpoczął z werwą od pierwszego eleganckiego, kwadratowego akapitu... Doprawdy, wydawca postarał się, jeśli chodzi o druk:

*Jakkolwiek byśmy go nie postrzegali: ten, w którego wyobraźni powstaje tajemnicze, zmysłowe i ściśle plastyczne piękno; ten, który manipuluje dźwięcznymi, toczonymi i szumnymi frazami bądź słowami pełnymi koloru niczym jego płótna; ten, który jest wnikliwym filozofem, objaśniając i czerpiąc swe oświecenie z arkanów wiedzy mistyka, nieledwie bardziej wielkiego niż on sam; Dante Gabriel Rossetti, który jest bohaterem tej skromnej monografii, niewątpliwie otrzymuje tytuł człowieka, który ogromnie wpłynął na zewnętrzne aspekty, na kontakty ludzkie i na wszystko, co składa się na życie na wyższym szczeblu cywilizacji, jakim żyjemy dzisiaj...*

Macmaster uświadomił sobie, że dotarł zaledwie do tego miejsca w swojej prozie, dotarł tu, nie czując wcale zadowolenia, jakiego się spodziewał, po czym przeszedł do środkowego akapitu na stronie trzeciej, po zakończeniu wstępu. Błądził oczami po linijce: *Bohater, którego przedstawiono na tych stronicach, urodził się w środkowozachodnim rejonie w metropolii w roku (...)*. Słowa te nic mu nie mówiły. Pojął, że przyczyny należy szukać w tym, że nie mógł otrząsnąć się z wydarzeń porannych. Spojrzął wtedy nad filiżanką kawy - nad jej brzegiem - i objął wzrokiem błękitnoszarą kartkę papieru, którą Tietjens trzymał w palcach, drgającą, zapisaną dużym pismem wyszłym spod szerokiej stalówki tamtej odrażającej wiedźmy. Tietjens zaś wpatrywał się - wpił się wzrokiem jak oszalały koń - na niego, w jego twarz. Szara! Bezkształtna! Nos jak błady trójką na osetce

smalcu! Taka była twarz Tietjensa...

Jeszcze czuł ten cios, fizycznie go odczuwał w dole brzucha. Pomyślał, że Tietjens traci zmysły, że już je stracił. Minęło. Tietjens przywdział swą maskę indolencji i bezczelności. Już później, w biurze, wygłosił nadzwyczaj gwałtowny (i całkiem obraźliwy) wykład do sir Reginalda dotyczący powodów, dla których ma inne zdanie od oficjalnych liczb opisujących ruchy ludności na zachodnich terytoriach. Wywarł tym ogromne wrażenie na sir Reginaldzie. Statystyk potrzebowano do przemówienia ministra spraw kolonii - a może w odpowiedzi na jakieś pytanie - i sir Reginald przyrzekł, że przedstawi opinię Tietjensa wielkiemu człowiekowi. Takie zdarzenia sprawiały młodemu przyjemność - ponieważ podnosiły wagę biura. Musieli pracować z liczbami dostarczonymi przez zarząd kolonii i jeśli udało się opracować jakąś poprawkę - zdobywali punkt.

Lecz tam siedział Tietjens, w szarych tweedach, z rozstawionymi nogami, jak bryła niezgrabny; jego woskowate, inteligentne dłonie zwieszono beładnie między nogami, oczy wlepione w kolorowaną fotografię portu w Boulogne umieszczoną przy lustrze pod półką na bagaże. Nikt nie potrafiłby powiedzieć, o czym myśli (jeśli w ogóle myśli) ten rumiany blondyn. Najprawdopodobniej o matematycznej teorii fal, a może o potknięciach w czymś artykule na temat arminianizmu. Gdyż - choć zdawało się to absurdalne - Macmaster wiedział, że nie wie prawie nic o emocjach przyjaciela. Nie wymieniali prawie żadnych zwierzeń. Tylko dwukrotnie.

W wigilię wyjazdu do Paryża na swój ślub Tietjens powiedział do niego:

- Vinny, staruszk, to w pewien sposób ucieczka tylnymi drzwiami. Wykręciła numer mnie.

A raz, nawet niedawno, wykrzyknął:

- Do diabła! Nawet nie wiem, czy ten dzieciak jest mój!

To ostatnie zwierzenie nieodwracalnie zszokowało Macmastera. Dziecko urodziło się w siódmym miesiącu, chorowite, a Tietjens nie krył swej niezgrabnej czułości, aż Macmaster, mimo całego tego koszmaru, czuł wzruszenie na widok ich dwojga. To zwierzenie bolało Macmastera straszliwie, było tak przerażające, że przyjął je niemal

jak obelgę. Takich zwierzeń mężczyzna nie czyni rówieśnikom, lecz tylko adwokatom, lekarzom albo księżom, którzy sanie całkiem mężczyznami. A przynajmniej zwierając się innemu mężczyźnie, jednocześnie apelowały o współczucie, natomiast Tietjens nic takiego nie zrobił, tylko dodał sardonicznie:

- Daje mi przywilej przyjemnej niepewności. I prawie że właśnie tak powiedziała Marchantowej (pani Marchant była niańką Tietjensa).

Nagle, jakby bezprzytomnie stracił głowę, Macmaster wypalił:

- Nie można powiedzieć, że człowiek nie był poetą!

Stwierdzenie to było mu niemal siłą wydarte, ponieważ spostrzegł, w jasnym świetle przedziału, że połowa włosów nad czołem Tietjensa i okrągławy lok nieco wyżej, srebrzyła się bielą. Zapewne trwało to już od tygodni: żyjesz obok kogoś i ledwo zauważasz, że się zmienia. Jasnym mężczyznom z Yorkshire często szron przyprósza włosy już we wczesnym wieku; czternastoletni Tietjens miał już jeden czy dwa siwe włosy, które wyraźnie było widać w słońcu, gdy zdejmował czapkę do gry w krykieta. -

Lecz umysł Macmastera, na ten straszny widok, przyjął za pewnik, że Tietjens osiwił z szoku wywołanego listem żony: w cztery godziny! Oznaczało to, że w jego duchu dzieją się straszliwe rzeczy i należy za wszelką cenę oderwać go od tej sprawy. Ten proces umysłowy Macmastera był całkiem nieświadomy. Nie wprowadziłby takiego tematu jak malarz i poeta.

- Nie przypominam sobie, abym coś powiedział - rzekł Tietjens.

W Macmasterze obudził się uparty duch Szkota. Zaczął cytować:

*A kiedy staniesz przy mnie,  
Ma dłoń dłoń twoją spotka:  
Nic więcej! Niech świat senny  
Rozdzieli nas, ma słodka;  
Bo lepiej, serca łamiąc,  
Pożegnać się na zawsze,  
Niż ulec smutnym oczom  
Twym i - oddać duszę!*

- Nie możesz powiedzieć, że to nie jest poezja! - dodał. - Wielka poezja.

- Nie mogę powiedzieć - rzekł Tietjens pogardliwie. - Nie czytam poezji, wyjąwszy Byrona. Ale to paskudny obraz...

Macmaster odezwał się niepewnie:

- Nie wiem, czy znam ten obraz. Czyżby był w Chicago?

- Nie istnieje! - odparł Tietjens. - Ale jest tam! - dodał z nagłą wściekłością. - Do cholery. Co za sens jest w tych wszystkich próbach usankcjonowania cudzołóstwa? Anglia na tym punkcie oszalała. No, to masz swoich Johnów Stuartów Millsów i George Elliotów od tego w wyższych sferach. Zostaw w spokoju meble! A przynajmniej mnie. Mówię ci, że niedobrze mi się robi, gdy pomyślę o tym tłustym, lepkim facecie, który nigdy się nie kąpał, ubrany w zaplamiony szlafrok, jak stoi obok jakiejś modeleczyki z nakręconymi żelazkiem włosami albo jakiejś pani W. Trzy Gwiazdki, spoglądając w lustro, które odbija ich cuchnące postacie i pozłacane ryby, i kryształowe żyrandole, i obmierzłe talerze zimnego boczku, i gulgoce o namiętności.

Macmaster, blady jak kreda, z nastroszoną brodą wyjąkał:

- Jak śmiesz... jak śmiesz tak mówić.

- Śmiem! Ale nie powinienem... do ciebie! Przyznaję. Ale ty również nie powinieneś o tym ze mną mówić. To obraża moją inteligencję.

- Oczywiście - powiedział sztywno Macmaster. - Nie była to odpowiednia chwila.

- Nie rozumiem, o czym mówisz - odparł Tietjens. - Nigdy nie nadejdzie odpowiednia chwila. Zgódźmy się, że robienie kariery jest paskudną sprawą - dla mnie jak i dla ciebie! Ale przyzwoici augurowie uśmiechają się za swymi maskami. Nigdy nie prawią sobie kazań.

- Przechodzisz do ezoteryki - powiedział słabo Macmaster.

- Podkreślę - ciągnął Tietjens. - Całkiem rozumiem, że względy pani Cressy i pani de Limoux są dla ciebie ważne. Mają posłuch u tego starego dona Ingleby.

- Cholera! - odezwał się Macmaster.

- Całkowicie się zgadzam - odparł tamten. - Całkowicie popieram. To gra zgodna z odwiecznymi zasadami. To tradycja, a więc jest w porządku. Usankcjonowana od czasów Precieuses ridicules.

- Masz sformułowania - powiedział Macmaster.  
- Nie mam. Właśnie dlatego że nie mam, to co powiem wpada w ucho facetom takim jak ty, którzy wiecznie poszukują ekspresji literackiej. Natomiast chcę powiedzieć jedno: popieram monogamie.

Macmaster krzyknął zdumiony:

- Ty?

Tietjens potwierdził niedbałym głosem.

- Popieram monogamie i czystość. I niemówienie na ten temat. Oczywiście, mężczyzna, który jest mężczyzną i chce mieć kobietę, to ją dostaje. I znowu, nie mówić o tym. Niewątpliwie byłoby lepiej dla niego w ostatecznym rozrachunku, gdyby nie dostał. Zupełnie tak samo, jak byłoby dla niego lepiej, gdyby nie dostał drugiej szklaniczki z whisky i wodą sodową...

- Ty to nazywasz monogamia i czystością!

- Owszem. I prawdopodobnie tak jest, a przynajmniej jest to jasne postawienie sprawy. Natomiast obrzydliwe jest całe to wasze grzebanie w fałdach spódnic i Usprawiedliwianie Poprzez Miłość. Ty popierasz płacziwą poligamię. W porządku, jeśli przekonasz swój klub, by zmienił regulamin.

- Nie trafiam za tobą - powiedział Macmaster. - Na dodatek jesteś przykry. Wydawałoby się, że uzasadniasz rozwiązość. Nie podobają mi się to.

- Prawdopodobnie rzeczywiście jestem przykry - powiedział Tietjens. - Jak to Jeremiasze. Ale na dyskusje o fałszywej moralności seksualnej powinno się poświęcić ze dwadzieścia lat. Twój Paolo i Francesca (z Dantego) poszli po przyzwoitości do piekła, i już. Dante ich nie usprawiedliwia. Ale ten twój facet skamle o wśliznięciu się do nieba.

- Nieprawda! - wykrzyknął Macmaster.

Tietjens ciągnął dalej ze spokojem:

- Weźmy powieściopisarza, który pisze książkę, aby usprawiedliwić swe uwiedzenie co dziesiątej bądź co piątej pospolitej dziewczyny w imię praw subiektów sklepowych...

- Przyznam - włączył się Macmaster - że Briggs poszedł za daleko. Nawet powiedziałem mu o tym u pani Limoux w zeszyły czwartek...

- Nie mówię o nikim konkretnym - odezwał się Tietjens. - Nie czytuję powieści. Ja tylko założyłem taki przypadek. I jest to przy-

zwoitszy przypadek niż twoje koszmary prerafaelickie! Nie, nie czytam powieści, ale śledzę tendencje. A jeśli facet decyduje się usprawiedliwić to, że uwiódł mało interesujące i widowiskowe kobiety, na podstawie wolności i praw człowieka, jest to relatywnie przyzwoite. Byłoby lepiej, gdyby po prostu i egzaltowanie chełpił się swoimi podbojami. Ale...

- Czasem za daleko się posuwasz w swoich dowcipach - powiedział Macmaster. - Ostrzegłem cię.

- Jestem poważny niczym sowa! - odpalił Tietjens. - Niższe klasy zaczynają gardłować. Czemu nie? To jedyni ludzie w tym kraju zdrowi na ciele i umyśle. Uratują kraj, jeśli kraj uda się uratować.

- I ty się nazywasz torysem!

- Niższe klasy - kontynuował przyjemnym tonem Tietjens - to znaczy ta ich część, która przebrnie przez szkoły ponadpodstawowe, pragną nieregularnych i bardzo przejściowych związków. Na wczasy jeżdżą razem z przewodnikiem do Szwajcarii i takich miejsc. Deszczowe popołudnia spędzają w swych wyłożonych kafelkami łazienkach, klepiąc się radośnie po plecach i ochlapując białą emalię...

- Mówisz, że nie czytujesz powieści - zauważył Macmaster - ale ja poznaję ten cytat.

- Ja powieści nie czytam - odrzekł Tietjens. - Ja wiem, co w nich jest. W Anglii nie powstało nic wartego czytania od czasów osiemnastego stulecia, oprócz twórczości pewnej kobiety... Ale dla twoich ochlapywaczy emalii to naturalne, że chcieliby się widzieć w otoczeniu prężnej i zróżnicowanej literatury. Czemu nie? To zdrowe i ludzkie pragnienie, a teraz, gdy papier i druk są tanie, mogą je urzeczywistnić. Mówię ci, że to zdrowe. Niezmiernie zdrowsze niż... - zawahał się.

- Niż co?

- Myślę... - powiedział Tietjens. - Myślę, jak nie być zbyt obraźliwym.

- Chcesz być obraźliwy - powiedział gorzko Macmaster - wobec ludzi, którzy prowadzą życie kontemplacyjne... rozważne.

- Otóż to - powiedział Tietjens. Zacytował:

*Tak pani mej rozkoszy stępa  
owieczki swe prowadzi;*

*Roztropna ona i ostrożna  
I myśli swych nie zdradzi...*

- A żeby cię, Krzysiu - powiedział Macmaster. - Wiesz wszystko.  
- Cóż, owszem - powiedział w zamyśleniu Tietjens. - Wydaje mi się, że miałbym ochotę ją obrazić. Nie mówię, że powinienem. Z pewnością nie zrobiłbym tego, gdyby była ładna. Albo gdyby była twą pokrewną duszą. Możesz na tym polegać.

Macmaster miał nagłą wizję wielkiej i niezgrabnej postaci Tietjensa, idącej koło jego, Macmastera, damy, gdy ją wreszcie znajdzie; idącej brzegiem nadmorskich skał wśród wysokiej trawy i maków i ogromnie uprzejmie rozprawiającej o Tassie i Cimabue. Mimo to, wyobraził sobie Macmaster, damie nie podobałby się Tietjens. Z reguły nie podobał się kobietom. Jego wygląd i jego małomówność napełniały je obawą. Lub też nienawidziły go... Albo lubiły go i to bardzo. Macmaster powiedział rozjemczo:

- Tak, wydaje mi się, że mogę na tym polegać! A jednak nie dziwię się, że...

Chciał powiedzieć „nie dziwię się, że Sylwia nazywa cię niemoralnym”. Ponieważ małżonka Tietjensa twierdziła, że jest on nie do zniesienia. Mówiła, że zanudzał ją swym milczeniem, gdy zaś się odezwał, nienawidziła go za jego niemoralne poglądy... Ale nie dokończył zdania i Tietjens kontynuował:

- Tak czy owak, gdy wybuchnie wojna to właśnie ci malutcy snobi uratują Anglię, ponieważ mają odwagę, by wiedzieć, czego chcą i by o tym mówić.

Macmaster rzekł wzniosie:

- Czasem bywasz nadzwyczaj staromodny, Krzysiu. Powinieneś wiedzieć równie dobrze jak ja, że wojna jest niemożliwością, a przynajmniej wojna z uczestnictwem tego kraju. Po prostu dlatego... - zawahał się, a potem ciągnął z nową odwagą. - My, klasa rozważnych (owszem, rozważnych) pilotujemy naród przez cieśniny.

- Wojna, mój drogi - powiedział Tietjens, podczas gdy pociąg zwalniał przed wjazdem na stację w Ashford - wojna jest nieunikniona i ten kraj znajdzie się w samym jej środku. Po prostu dlatego, że wy jesteście takimi cholernymi hipokrytami. Nie ma na świecie kraju, który by nam ufał. My zawsze, że tak powiem, popełniamy

cudzołóstwo - jak ten twój! - z imieniem niebios na ustach - znowu wziął na cel bohatera macmasterowskiej monografii.

- On nigdy! - zająknął się Macmaster. - Nigdy nie skamlał o niebie.

- Owszem - rzekł Tietjens. - Ten parszywy wiersz, który cytowałeś kończy się słowami:

*Bo lepiej, serca łamiąc,  
gdy nas ta miłość strwoży,  
Rozłączyć się i spotkać znów  
U bram przestworzy.*

I Macmaster, który z przerażeniem oczekiwał na ten cios (gdyż nigdy nie wiedział ile - dużo czy mało - danego utworu przyjaciół znalazł na pamięć) zrejterował i zajął się drobiazgowym zdejmowaniem swych waliz, walizeczek i kijków golfowych z półki, co zwykle cedował na bagażowego. Tietjens, który nigdy nie ruszał się z miejsca póki pociąg nie zatrzymał się całkiem, siedział jak kamień i powiedział:

- Tak, wojna jest nieunikniona. Po pierwsze, jesteście wy, którym nie można ufać. Bo czym jest ten tłum, który chce łaźienek i białej emalii. Miliony na całym świecie. Nie tylko tutaj. A świat nie nastarczy łaźienek i białej emalii. To tak, jak z kobietami dla was poligamiistów. W świecie nie ma tyle kobiet, aby nastarczyć waszym nienasyconym apetytom. No i na świecie nie ma tylu mężczyzn, aby każda kobieta dostała po jednym. A większość kobiet chce kilku. I stąd sprawy o rozwód. Nie sądzę, abyś powiedział, że ponieważ jesteś tak rozważny i prawomyślny, nie będzie już więcej rozwodów? Jednakże wojna jest tak samo nieunikniona jak rozwody...

Macmaster zdążył wystawić głowę przez okno i wołał tragarza.

Na peronie kilka kobiet w pięknych sobolowych pelerynach, niosących purpurowe bądź czarne kasetki z biżuterią, powiewające jedwabnymi szalami, zamotanymi przy kapturach, płynęło w kierunku pociągu do Rye, prowadzone przez sztywnych, obciążonych służących. Dwie skinęły Tietjensowi.

Macmaster uważał, że ma całkowitą rację, ubierając się schludnie, ponieważ nigdy nie było wiadomo, kogo się spotka, jadąc pociągiem.



To stawiało go w opozycji do Tietjensa, który wolał wyglądać jak wyrobnik.

Wysoki, białowłosy, białowąsy i rumiany człowiek kulał w ślad za Tietjensem, który wydobywał swą wielką torbę z wagonu bagażowego. Klepnął młodego mężczyznę w ramię i powiedział:

- Witaj! Jak się ma twoja teściowa? Lady Claude chce wiedzieć. Powiedziała, żebyś przyszedł i poskubał kostki dziś wieczorem, jeśli jedziesz do Rye.

Miał nadzwyczaj niebieskie i niewinne oczy.

- Witam, generale - odparł Tietjens. - O ile wiem, ma się znacznie lepiej. Całkiem wraca do sił. To Macmaster. Zdaje się, że pojedę po żonę za dzień lub dwa. Obie są w Lobscheid... to kurort niemiecki.

- Racja - powiedział generał. - To niedobrze, jak młody mężczyzna jest sam. Ucałuj za mnie paluszki Sylwii. Ona jest naprawdę kimś, szczęściarzu. A może czwóreczkę jutro? - dodał z cieniem obawy. - Przyjechał Paul Sandbach. Taki sam pokręcony jak ja. Nie damy rady obejść pełnej rundki.

- To tylko twoja wina, generale - powiedział Tietjens. - Powinien był pan pójść do mojego nastawiacza kości. Proszę umówić się z Macmasterem, dobrze? - wskoczył w półmrok panujący w wagonie.

Generał spojrział na Macmastera szybko i przenikliwie.

- Pan jest tym Macmasterem - oznajmił. - Z pewnością skoro jest pan z Krzysiem.

Wysoki głos wołał: - Generale! Generale!

- Muszę zamienić z panem słówko - oznajmił generał - o tych liczbach wymienionych w artykule na temat Pondolandu. Są w porządku. Ale my utracimy ten paskudny kraj, jeśli... Ale pomówimy o tym po kolacji dziś wieczorem. Przyjdzie pan do lady Claudine...

Macmaster ponownie pogratulował sobie wyglądu. Tietjens mógł przypominać kominiarza, on do tych ludzi należał, a Macmaster nie. Jeśli już, to był autorytetem, a autorytety noszą złote pierścienie przy krawatach i gatunkowe materiały. Generał lord Edward Champion miał syna, permanentnego szefa tego departamentu skarbu, który regulował podwyżki płac i awanse we wszystkich urzędach państwowych. Tietjens złapał pociąg do Rye tylko dzięki temu, że biegnąc

obok rzucił swą wielką torbę przez okno wagonu i zawisł na stopniu. Macmaster pomyślał, że gdyby on chciał tak zrobić, połowa stacji wrzeszczałaby: „Proszę odejść!”.

W tym przypadku, za Tietjensem galopował zawiadowca, żeby otworzyć mu drzwi i na odchodnym powiedzieć:

- Pięknie złapane, sir! - ponieważ w tym hrabstwie królował krykiet.

- Owszem - po cichu zauważył Macmaster, cytując: *Różne bogowie ludziom piszą przeznaczenie: Niektórzy wchodzą bramą. A niektórzy nie.*

## II

Pani Satterthwaite razem ze swą francuską pokojówką, swym księdzem oraz młodym towarzyszem wątpliwej reputacji przebywała w Lobscheid, mało znanym i odwiedzanym kurorcie wśród lasów jodłowych Taunusu. Pani Satterthwaite była ultramodna i skończenie obojętna. W rzeczywistości wpadała w gniew jedynie wtedy, gdy gość u jej stołu i pod jej nosem ośmielił się nie zjeść jej sławnych czarnych winogron ze skórą i z wszystkim. Ojciec Consett wyruszył na trzy tygodnie szaleńczej i świetnej zabawy, urlopowany na owe trzy tygodnie ze slumsów Liverpoolu. Pan Bayliss, chudy jak szkielet w obcisłej niebieskiej serży, złotowłosa i różowa, umierający prawie od gruźlicy, braku pieniędzy, miał tak kosztowne gusta, że był gotów milczeć jak kamień, wypijać trzy litry mleka dziennie i zachowywać się. Oficjalnie był tam, aby pisać listy dla pani Satterthwaite, lecz ona nigdy nie wpuściła go do swego pokoju, obawiając się infekcji. Musiał więc się zadowolić swym rosnącym podziwem dla ojca Consetta. Ten książdz o ogromnych ustach, wysokich kościach policzkowych, niesfornych czarnych włosach, szerokiej twarzy, która sprawiała wrażenie wiecznie niedomytej i machających dłoniach, które sprawiały wrażenie wiecznie brudnych, nie umiał usiedzieć spokojnie i posługiwał się dialektem rzadko spotykanym poza staromodnymi angielskimi powieściami o życiu w Irlandii. Jego nieustający śmiech był podobny do dźwięku wydawanego przez karuzelę parową. Krótko mówiąc, ten człowiek był święty i pan Bayliss o tym wiedział, choć nie wiedział skąd. Koniec końców i dzięki finansowemu wsparciu

pani Satterthwaite, pan Bayliss został jałmużnikiem ojca Consetta, przyjął regułę Św. Wincentego di Pauli i był autorem nieco podziwu godnej, acz dekoracyjnej, poezji dewocjonalnej.

Byli więc bardzo szczęśliwym gronem. Albowiem pani Satterthwaite interesowała się (było to jej jedynym zainteresowaniem) losem przystojnych, chudych i straszliwie bezecnych młodych mężczyzn. Czekala na nich albo posyłała swój samochód z kierowcą, aby na nich czekał u bram więzienia. Modernizowała ich zwykle podziwu godne szafy i dawała wystarczająco dużo pieniędzy, by bawili się dobrze. I kiedy - wbrew wszystkim zapowiedziom, a zdarzało się to najczęściej - wychodzili na ludzi, była leniwie zadowolona. Czasem wysyłała ich w ciekawe miejsca razem z księdzem, który potrzebował wypoczynku, czasem sprowadzała ich do siebie, na zachód Anglii.

A więc stanowili sympatyczne towarzystwo, bardzo szczęśliwe. W Lobscheid był jeden pusty hotel z dużymi werandami, poza tym kilka kwadratowych gospodarstw, białych z szarym szalowaniem, ze szczytami pomalowanymi w bukiety żółtych i niebieskich kwiatków albo szkarłatnych myśliwych celujących do fioletowych jeleni. Przypominały wesołe pudełka kartonowe ustawione na łąkach porastających długą trawą; potem zaczynały się jodłowe lasy i ciągnęły się poważne, brunatne, geometryczne, wzgórzami w górę i w dół. Wieśniaczki nosiły kamizelki z czarnego aksamitu, białe koszule, niezliczone halki i absurdalne półkolorowe czepki o kształcie i rozmiarze maślanych bułeczek. Chodziły czwórkami lub szóstkami, powolnym krokiem, wysuwając nogi w białych pończoszkach i czółenkach jak do tańca, a czepki kiwały się z powagą. Za nimi szli mężczyźni w niebieskich koszulach, spodniach do kolan, a w niedzielę w trój graniastych kapeluszach, i podśpiewywali.

Francuska pokojówka, którą pani Satterthwaite pozyskała od księżnej de Carbon Chateau-Herault w zamian za jej własną, na początku uważała, że to miejsce jest nieprzyjemne. Jednakże pogodziła się ze swym losem, zakochawszy się w przystojnym, wysokim blondynie, który nosił strzelbę, nóż myśliwski o złotej rękojeści długi na łokieć, lekki szarozielony mundur, ze złożonymi guzikami i plakietkami. Gdy młody Foerster usiłował ją zastrzelić - i nie bez przyczyny, jak powiedziała - była oczarowana, pani Satterthwaite zaś leniwie rozbawiona.

Grali w brydża, siedząc w dużej, cienistej jadalni hotelu: pani Satterthwaite, ojciec Consett i pan Bayliss. Dołączył też młody jasnowłosy podporucznik, wielce uniżony, który znalazł się tam w ostatniej próbie ratowania swego prawego płuca i kariery oraz brodaty miejscowy lekarz. Ojciec Consett grał bardzo szybko, sapiąc ciężko i często spoglądając na zegarek. Wykrzykiwał też:

- Pospieszcie się, no, dochodzi dwunasta. No, pospieszcie się.

Pan Bayliss był dziadkiem, a ojciec, Consett oznajmił:

- Trzy bez atu mam ugrać. Przynies mi whisky z wodą sodową, szybko, i nie utop jej tak jak poprzednim razem.

Rozgrywał partię w skrajnym przyspieszeniu, rzucił pozostałe trzy karty na stół i zakrzyknął:

- A żeby to gęś! Straciłem dwa punkty i jeszcze nie dodałem do koloru. - Połknął whisky, spojrzął na zegarek i dodał: - Co do minuty! Panie doktorze, bierz pan moje karty i skończ robra.

Miał odprawić mszę następnego dnia w zamian za miejscowego księdza... Musiał więc pościć od północy i nie wolno mu było grać w karty. Jego jedyną namiętnością był brydż, choć w ciągu roku mógł swej pasji poświęcić dwa tygodnie swego męczącego życia. Podczas urlopu wstawał o dziesiątej. O jedenastej rozlegało się: „Czwórka dla Ojca”. Od drugiej do czwartej spacerowali po lesie. O piątej rozbrzmiewało: „Czwórka dla Ojca”. O dziewiątej zaś: „Nie zagra Ojciec w brydża?”. I twarz ojca Consetta rozplómił uśmiech, gdy mówił: „Ach, jacyście dobrzy dla starego zmoklaka. Zostanie wam odplacone w niebie”.

Pozostała czwórka grała z powagą dalej. Ksiądz usadowił się za panią Satterthwaite, z brodą na nasadzie jej szyi. W chwilach najwyższego podniecenia ścisnął ją za ramiona, wykrzykiwał:

- Zagrajesz, pani, królową! - i sapnął jej po plecach.

Pani Satterthwaite grała dwójką karo, a ksiądz jęczał i rzucał się w tył. Powiedziała przez ramię:

- Chcę z tobą pomówić dziś wieczorem, ojcie. - Wzięła ostatnią lewą, zebrała 17 marek 50 od doktora i 8 od unterleutnanta.

- Ne mosze pani zaprać nam takich wielkich pieniędzy i pójść - oznajmił doktor. - A teraz oprapuje nas herr Bayliss z dziadkiem.

Przeplęnęła, cała w cieniowanych czarnych jedwabiacz, przez cienie jadalni, wrzuciła wygraną do czarnej satynowej torebki i wyszła w towarzystwie księdza. Za drzwiami, pod porożem królewskiego jelenia, w atmosferze lamp na parafinę i lakierowanej, smolnej jodły, powiedziała:

- Proszę iść do mojego saloniku. Powróciła marnotrawna. Jest tu Sylwia.

- Wydawało mi się, że ją zobaczyłem kątem oka w autobusie po obiedzie. Wróci do męża. Co za marny świat - odparł.

- Jest okrutną diabolicą! - powiedziała pani Satterthwaite.

- Znam ją od czasu, gdy miała dziewięć lat. I niewiele w niej widzę, co można by dać za przykład mojej owczarni. - A po chwili dodał jeszcze: - Lecz może wstrząs uczynił mnie niesprawiedliwym.

Powoli wchodzili na schody.

Pani Satterthwaite usadowiła się na brzegu wiklinowego fotela.

- No! - powiedziała.

Miała na sobie czarny kapelusz wielkości koła od wozu, a jej suknie zawsze sprawiały wrażenie, że są skomponowane z wielu kwadratów jedwabiu, które ktoś na nią powrzucał. Ponieważ uważała, że po dwudziestu latach makijażu jej cera, która była matowobiała, nabrała fioletowego odcienia, gdy nie nosiła makijażu (a nigdy go nie nosiła w Lobscheid), ozdabiała się kawałkami ciemnoczerwonej wstążki, po części, aby zneutralizować fiolet cery, po części, aby pokazać, że nie jest w żałobie. Była bardzo wysoka i wychudzona; jej ciemne oczy podkreślone ciemnobrązowymi kręgami były na przemian bardzo zmęczone lub całkowicie obojętne.

Ojciec Consett chodził w tę i z powrotem, z rękoma założonymi z tyłu, pochyloną głową, po niezbyt dokładnie wypolerowanej podłodze. Paliły się blade dwie świece w lichtarzach n e u a r t z e zmatowiałej imitacji cyny, była tam sofa z taniego mahoni obita czerwonym pluszem, stół przykryty tanim kilimem oraz amerykańskie żaluzjowe biurko, do którego nawrzucono mnóstwo kart papieru zrolowanych lub nie. Pani Satterthwaite nie zwracała uwagi na swe otoczenie, ale upierała się przy jednym - jakimś meblu na papierze. Lubiła też bukiety ze szklarnianych, a nie ogrodowych kwiatów. Ponieważ takich nie było w Lobscheid, obywatela się bez. Z reguły upierała się

też przy wygodnym szezlongu, z którego rzadko korzystała lub wcale. Jednakże ówczesne Imperium Niemieckie nie posiadało wygodnego krzesła, więc obywatela się też bez tego, kładąc się na łóżku, gdy czuła się naprawdę zmęczona. Ściany dużego pokoju prawie w całości zakrywały obrazy przedstawiające przedśmiertne męki zwierząt: głuszce wydające ostatnie tchnienie wraz z fontannami krwi na śniegu; umierające sarny z odrzuconymi w tył łbami, szklanymi oczyma i strumieniami krwi na szyjach; lisy zdychające w kałużach szkarłatnej krwi na zielonej trawie. Obrazy wisiały rama przy ramie, reprezentując sport, ponieważ hotel był kiedyś wielkopsząjącym domkiem myśliwskim, odświeżonym, by sprostać gustom współczesnych - lakierowana sosna, łazienki, werandy i najnowocześniejsze toalety, które zainstalowano, by sprawić radość ewentualnym gościom z Anglii.

Pani Satterthwaite siedziała na brzegu krzesła. Zawsze sprawiała wrażenie, jakby właśnie miała gdzieś iść lub jakby właśnie skądś przyszła i zamierzała się rozebrać. Powiedziała:

- Całe popołudnie czekał na nią telegram. Wiedziałam, że przyjeździe.

- Sam widziałem go na półeczce. Wątpiłem - powiedział ksiądz. - Oj rety, rety! Przecież rozmawialiśmy o tym, a teraz to się stało.

- Sama byłąm złą kobietą, ale...

- I owszem! Nie wątpię, że ma to po pani, ponieważ pani mąż był dobrym człowiekiem. Ale w moich rozważaniach wystarczy jedna zła kobieta. Nie jestem świętym Antonim... Młody człowiek twierdzi, że ją weźmie z powrotem?

- Na pewnych warunkach - odparła pani Satterthwaite. - Przyjeżdża tutaj na rozmowę.

- Wiedzą niebiosy, proszę pani, że są chwile gdy biednemu księdzu wydaje się, że reguła Kościoła dotycząca małżeństwa zdaje się twarda i gorzka, i niemalże wątpi w kościelną mądrość. Pani mu nie przeszkadza. Jednakże czasem chciałbym, aby ten młody człowiek wyciągnął jedyną korzyść z bycia protestantem i rozwiódł się z Sylią. Bo mówię pani, przykre rzeczy widuję wśród moich owieczek, tam hen... - Zrobił nieokreślony gest w kierunku nieba. - I widziałem rzeczy pełne goryczy, bowiem serce człowieka jest pełne zła. A jednak nic bardziej gorzkiego niż los tego młodzieńca.

- Jak ksiądz powiedział, mój mąż był dobrym człowiekiem. Nienawidziłam go, ale tyle samo w tym mojej winy, co jego. Więcej! I jedynym powodem, dla którego nie chciałabym, aby Krzysztof rozwiódł się z Sylwią, to hańba, jaką okryłoby się imię mojego męża. A jednocześnie, ojciec...

- Chyba wystarczająco się nasłuchałem.

- Trzeba to powiedzieć w jej obronie - ciągnęła pani Satterthwaite. - Są chwile, gdy kobieta nienawidzi mężczyzny, podobnie jak Sylwia nienawidzi swego męża... Mówię księdzu, że szłam za mężczyzną i prawie krzyczałam, pragnąc zatopić paznokcie w żyłach na jego szyi. To było fascynujące. Z Sylwią jest gorzej. Naturalna antypatia.

- Kobieto! - wybuchnął ojciec Consett. - Nie mam do ciebie cierpliwości! Jeśliby kobieta, jak chce Kościół, miała dzieci swego męża i żyła przyzwoicie, nie miałyby takich myśli. Takie kompleksy powstają wskutek nienaturalnego życia i nienaturalnych zachowań. Nie myśl pani, że jestem ignorantem, nawet jeśli jestem księdzem.

- Ale Sylwia urodziła dziecko.

Ojciec Consett obrócił się jak mężczyzna, do którego ktoś strzelił.

- Czyje? - zapytał i wyciągnął brudny palec w kierunku swej rozmówczynie. - Ono jest tego łajdaka Drake'a, od dawna to podejrzewałem.

- Prawdopodobnie było Drake'a - odparła pani Satterthwaite.

- A więc - powiedział ksiądz - w obliczu cierpień oczekujących w przyszłym życiu, jak pani mogła pozwolić, by ten przyzwoity chłopak w żarze grzechu...

- Owszem - rzekła pani Satterthwaite. - Czasem drzę, gdy o tym pomyślę. Proszę nie myśleć, że miałam coś wspólnego z jego trepanowaniem. Ale nie mogłam temu zapobiec. Sylwią jest moją córką, a pies nie zje psa.

- Czasem powinien - powiedział ksiądz z pogardą.

- Nie chce ojciec z całą powagą powiedzieć, że ja, matka, choć obojętna, mając córkę, która chyba wpadła jak to mówią dziewczki kuchenne, przez żonatego mężczyznę, że ja miałabym wkroczyć i zapobiec małżeństwu, które było darem niebios?

- Niech pani nie wprowadza świętości do spraw zepsutych dziewcząt z Piccadilly... - urwał. - Na litość nieba, niech pani nie szuka u

mnie odpowiedzi na pytanie, co pani powinna była zrobić, a czego nie. Wie pani, że kochałem pani męża jak brata i kochałem was, panią i Sylwię od małości. I dziękuję Bogu, że nie jestem pani duchowym doradcą, a tylko przyjacielem w Bogu. Bo gdybym miał odpowiedzieć na pani pytanie, mógłbym dać pani tylko jedną odpowiedź. Gdzie jest ta kobieta? - zapytał po krótkiej przerwie.

Pani Satterthwaite zawołała:

- Sylwio! Sylwio! Chodź tutaj!

W półmroku otworzyły się drzwi i zajaśniało światło płynące zza wysokiej postaci, która opierała dłoń na klamce. Bardzo niski głos powiedział:

- Nie rozumiem, mamo, dlaczego mieszkasz w pokojach przypominających mesę dla sierżantów. - I do pokoju weszła chwiejnym krokiem Sylwia Tietjens. - Właściwie nie ma to znaczenia. Nudzę się.

Ojciec Consett jęknął:

- Na litość niebios, ona przypomina obraz Matki Boskiej pędzla Fra Angelice

Bardzo wysoka, szczupła, o powolnych ruchach, Sylwia Tietjens zaczesywała swe rudawe, bardzo jasne włosy wielkimi pasmami na uszy. Na jej owalnej twarzy o regularnych rysach malował się wyraz dziewiczego braku zainteresowania, jaki nosiły modne paryskie kurtzany dziesięć lat wcześniej. Sylwia Tietjens uważała, że mając przywilej bywania wszędzie, posiadania wszystkich mężczyzn u swych stóp, nie miała potrzeby zmieniać wyrazu swej twarzy ani ożywienia go w większym stopniu, na podobieństwo pospolitszych piękności początku dwudziestego wieku. Z wolna odeszła od drzwi i sennie zasiadła na sofie pod ścianą.

- Oto proszę, ojczy - powiedziała. - Nie będę wymagać, by ojciec uściskał mi dłoń. Prawdopodobnie nic by to nie dało.

- Ponieważ jestem księdzem - odrzekł - nie mógłbym ci odmówić. Ale wolalbym nie.

- To - odrzekła ponownie Sylwia - wydaje się nudnym miejscem.

- Jutro tego nie powiesz - zauważył ksiądz. - Jest dwóch młodych mężczyzn... i pewnego rodzaju policjant, którego można by wykraść z siodeł pokojówki twojej matki!

- To - stwierdziła Sylwia - miało być gorzkie. Ale nie boli. Skończyłam z mężczyznami. - Nagle dodała: - Mamo, czy ty któregoś dnia,



gdy byłaś jeszcze młoda, nie powiedziałaś, że skończyłaś z mężczyznami? Twardo! I poważnie?

- Tak - odparła pani Satterthwaite.

- I czy skończyłaś?

- Tak.

- A ja? Jak ci się wydaje?

- Wydaje mi się, że skończyłaś - odparła pani Satterthwaite.

- O rety! - rzekła Sylwia.

- Chętnie zobaczyłbym telegram od twojego męża. Inaczej patrzy się na pisane słowo - powiedział ksiądz.

Sylwia wstała bez wysiłku.

- Czemu nie - powiedziała. - Nie sprawi księdzu przyjemności. - Ruszyła w kierunku drzwi.

- Gdyby miał mi sprawić przyjemność, nie pokazałabyś go mnie.

- Nie pokazałabym.

Jej sylwetka, jakby przywiedła, zatrzymała się na tle drzwi. Obejrzała się przez ramię.

- Zarówno ksiądz, jak i mama siedzicie tam i snujecie intrygi, jak uczynić życie znośnym dla Bawoła. Nazywam męża Bawołem. Jest odrażający: podobny do nabrzmiałego zwierza. Cóż... nie uda wam się.

Rozświetlone drzwi opustoszały. Ojciec Consett westchnął.

- Mówiłem pani, że to złowrogie miejsce - powiedział. - Zasyte w puszczy. Nie przychodziłyby jej do głowy takie myśli w innym miejscu.

- Wolałabym, aby ksiądz tak nie mówił - powiedziała pani Satterthwaite. - Sylwia miałaby złe myśli w każdym miejscu.

- Czasem - odezwał się ksiądz - nocą wydaje mi się, że słyszę jak w okiennice drapią pazury złych stworzeń. Tu w ostatniej kolejności doszedł europejski chrystianizm. A może nigdy to się nie stało i one są tu nadal.

- Łatwo o takich rzeczach mówić za dnia. Wtedy to miejsce wydaje się romantyczne. Ale dochodzi pierwsza w nocy, a i tak już jest źle.

- Owszem - odparł. - Diabeł pracuje.

Sylwia wpłynęła z powrotem do pokoju, trzymając kilkustronicowy telegram. Ojciec Consett przysunął go w pobliże jednej ze świec, ponieważ był krótkowidzem.

- Wszyscy mężczyźni są odrażający - oznajmiła Sylwia. - Nie uważasz, mamo?

- Nie - odrzekła pani Satterthwaite. - Tak powiedziałyby tylko kobieta bez serca.

- Pani Vanderdecken - ciągnęła Sylwia - mówi, że wszyscy są odrażający, a kobieta ma obrzydliwe zadanie żyć przy nich.

- Widywałaś się z tą paskudną kreaturą? - zapytała pani Satterthwaite. - Jest rosyjską agentką. Gorzej!

- Była w Gosingeaux przez cały czas, jak myśmy tam byli - odparła Sylwia. - Nie musisz jęczeć. Nie wyda nas. Jest wzorem honoru.

- Nie dlatego jęknęłam, jeśli już - zauważyła pani Satterthwaite.

- Pani Vanderdecken! Boże uchwaj! - wykrzyknął ksiądz znad telegramu.

Twarz Sylwii, siedzącej na sofie, wyraziła senne rozbawienie pełne niedowierzania.

- A co ojciec o niej wie? - zapytała.

- Wiem tyle, co ty - odrzekł. - I to wystarczy.

- Ojciec Consett - powiedziała Sylwia do matki - odnawiał swe kręgi towarzyskie.

- Człowiek nie musi żyć wśród mętów społeczeństwa, aby nie usłyszeć nic o mętach towarzystwa.

Sylwia wstała. Powiedziała:

- Proszę nie siec językiem po moich najlepszych przyjaciółach, jeśli chce ksiądz, bym zatrzymała się i wysłuchała kazania. Ale gdyby nie pani Vanderdecken, nie byłoby mnie tu, z powrotem w owczarni!

Ojciec Consett wykrzyknął:

- Nie mów tego, dziecko, wołałbym, na litość niebios, żebyś nadal otwarcie żyła w grzechu!

Sylwia znowu usiadła, a ręce opadły jej na podolek.

- Jak chcesz - powiedziała i ksiądz wrócił do lektury czwartej strony telegramu.

- A co to znaczy? - zapytał. Cofnął się do pierwszej strony. - To tutaj: „Przyjąć wznowienie kieratu”? - przeczytał bez tchu.

- Sylwia - odezwała się pani Satterthwaite. - Idź zapal kuchenkę spirytusową. Zrobimy herbaty. Przyda się nam.

- Wydawałoby się, że jestem miejscowym posłańcem - powiedziała Sylwia, wstając. - Dlaczego nie kazałaś zostać pokojówce?... W taki sposób mówiliśmy o naszym... związku - wyjaśniła księdzu.

- A więc istniało między tobą a nim porozumienie, jeśli mieliście własne nazwy dla niektórych rzeczy. To chciałem wiedzieć. Słowa rozumiałem.

- Całkiem gorzkie własne nazwy, jak ksiądz powiedział. Bardziej w kierunku przekleństw niż całusów.

- Wobec czego ty się nimi posługiwałaś - odezwała się pani Satterthwaite. - Krzysztof nigdy nie powiedział ci złego słowa.

Na twarzy Sylwii wykwitł grymas podobny do uśmiechu, gdy zwróciła się znowu do księdza.

- Tragedia mamy polega na tym, że mój mąż jest jednym z jej najlepszych chłopców. Uwielbia go. A on jej nie cierpi.

Przeszła za ścianę sąsiedniego pokoju i słyszeli jak podzwania naczyniami do herbaty, podczas gdy ksiądz czytał dalej przy świeczce. Jego ogromny cień zaczynał się od środka i padał na sosnowy sufit, w dół po ścianie i po podłodze, gdzie złączał się z jego rozstawionymi nogami w niezgrabnych buciskach.

- Źle - wymamrotał. Wydał z siebie jeszcze jakiś nieartykułowany dźwięk. - Gorzej niż się spodziewałem... umemumemume... „przyjąć wznowienie kieratu, ale na sztywnych warunkach”. A to co? „soecjalnie”... powinno tu być „p”. „Specjalnie wobec dziecka ograniczyć wydatki domowe nasza pozycja absurdalna przenieść udziały wyłącznie na dziecko zamiast domu apartament minimum gości przygotowany odejść z urzędu zamieszkać Yorkshire ale sądzę tobie nie będzie odpowiadać dziecko zostaje u siostry Effie wizyty oboje depeszuj jeśli ten szkic wstępnie do przyjęcia wtedy sporządzą propozycję generalną poniedziałek rozważysz z matką osobiście wyjadę wtorek będę Lobscheid czwartek wyjazd Wiesbaden dwa tygodnie zadanie towarzyskie dyskusja czwartek ograniczona wyłącznie przecinek podkreślenie przecinek do sprawy”.

- To znaczy - wtrąciła pani Satterthwaite - że nie zamierza robić jej wymówek. „Podkreślenie” odnosi się do „wyłącznie”...

- Jak pani uważa - zapytał ksiądz - dlaczego wydał ogromną sumę pieniędzy na ten telegram? Czy doszedł do wniosku, że tak się obawiacie?

Powoli, trzymając w wyciągniętych do przodu, długich rękach tacę z herbatą, ponad którą widać było jej cudownie wzruszającą skupioną twarz o wyrazie nieopisanej tajemniczości, weszła przez drzwi Sylwia.

- Och, dziecko - wykrzyknął ksiądz. - Czy była to święta Marta, czy Maria, co przyczyniła ów gorzki wybór, żadna z nich nigdy nie wyglądała bardziej cnotliwie niż ty. Dlaczego nie urodziłaś się, by służyć pomocą i wsparciem dobremu człowiekowi?

Z okolic tacy dobiegał cichy stukot i trzy kostki cukru spadły na podłogę. Pani Tietjens syknęła ze złością.

- Wiedziałam, że ta przekłeta rzecz zsunie się z filiżanek - powiedziała. Upuściła tacę z wysokości około cala na zasłany kilimem stół. - Założyłam się ze sobą o szczęście - i zwróciła się do księdza. - Powiem księdzu, dlaczego wysłał depezę. To dlatego, że gra angielskiego dżentelmena, czego zawsze nienawidziłam. Nadyma się z całą powagą jak minister spraw zagranicznych, a w najlepszym przypadku jest tylko najmłodszym synem. Dlatego go nie znoszę.

- Nie dlatego wysłał telegram - powiedziała pani Satterthwaite.

Jej córka zrobiła gest rozbawionej, leniwej tolerancji.

- Oczywiście, że nie. Wysłał go z uprzejmości, tej wielkopańskiej, należącej do dobrego tonu uprzejmości, która doprowadza mnie do szału. Powiedziałyby, że „sądzi, iż będzie dla mnie dogodniej mieć czas do namysłu”. Zupełnie jakby się było obiektem historycznym.

I po części dlatego, że jest duszą prawdy niczym sztywna holenderska lalka. Nie napisałby listu ponieważ nie mógłby go nie zacząć od „Droga Sylwio” i zakończyć „z poważaniem” albo „z wyrazami oddania”, albo „przyjaźni”... On jest tego gatunku drobiazgowym imbecylem. Mówię wam, że jest takim formalistą, że nie umie żyć bez wszystkich istniejących konwencji, a tak prawdomówny, że połowy z nich nie potrafi użyć...

- A więc - odezwał się ojciec Consett. - Skoro znasz go tak dobrze Sylwio Satterthwaite, dlaczego nie umiesz lepiej z nim żyć? Mawiają: *Tout savoir c'est tout pardonner*.

- Nieprawda - odparła Sylwia. - Wiedzieć wszystko o danej osobie oznacza nudę... nudę... nudę!

- A w jaki sposób chcesz odpowiedzieć na tę depezę - zapytał. - A może już odpowiedziałaś?

- Poczekam do poniedziałkowego wieczoru, żeby podenerwować go jak tylko mogę, bo nie będzie wiedział, czy wyruszyć we wtorek. Gdaczę jak kokosz nad swym pakowaniem i dokładnym rozkładem godzin. W poniedziałek zadesperuję: „Dobra” i nic poza tym.

- A dlaczego miałabyś zadesperować do niego wulgarnym słowem, którego nigdy nie używasz, jako że jedynie twoje słownictwo nie jest wulgarnie?

Sylwia powiedziała:

- Dziękuję!

Podwinęła pod siebie nogi na sofie i wsparła głowę o ścianę tak, że gotycki łuk jej podbródka wskazywał ku powale. Podziwiała własną szyję, bardzo długą i białą.

- Wiem! - wykrzyknął ojciec Consett. - Jesteś piękną kobietą. Niektórzy mężczyźni powiedzieliby, że to szczęściarz mieszka z tobą. Nie zapominam o tym fakcie w toku mojego myślenia. Wyobrażałby sobie, że różnego rodzaju delicje kryją się w cieniu twych pięknych włosów. A wcale by tak nie było.

Sylwia zwróciła wzrok z sufitu i przez chwilę patrzyła swymi brązowymi oczyma na księdza, rozważając.

- To nasze wielkie i przykre upośledzenie - powiedział.

- Nie wiem, czemu wybrałam właśnie to słowo - powiedziała Sylwia. - Jest to tylko jeden wyraz, a więc kosztowałby tylko pięćdziesiąt fenigów. Naprawdę, nawet nie łudziłabym się, że potrząsnę jego nadętą samowystarczalnością.

- My, księża, jesteśmy w wielki i przykry sposób upośledzeni - powtórzył ojciec Consett. - Jakkolwiek ksiądz będzie znał świat, a musi, żeby z nim walczyć...

Pani Satterthwaite powiedziała:

- Niech się ojciec napije herbaty, akurat jest. Wierzę, że Sylwia jest jedyną osobą w Niemczech, która potrafi zaparzyć herbatę.

- Zawsze ma na zapleczu koloratkę i jedwabny kołnierzyk i nikt w niego nie wierzy - ciągnął ojciec Consett - a jednak on wie dziesięciu... tysiąckrotnie więcej o naturze ludzkiej niż ty kiedykolwiek.

- Nie wiem - powiedziała rozjemczo Sylwia - jak ksiądz mógłby w swoich slumsach poznać cokolwiek, co objawiłoby mu naturę Eunice Vanderdecken, albo Elżbiety B, lub też Queenie James, czy kogoś z

mojej paczki. - Wstała, aby nalać śmietanki do herbaty ojca Consetta.  
- Przyznam, że w danej chwili nie wziął mnie ksiądz na dywanik.

- Cieszę się, że jeszcze na tyle pamiętasz szkołę, że posługujesz się takim terminem.

Sylwia posunęła z powrotem ku sofie i ponownie nań opadła.

- Proszę - powiedziała. - Naprawdę nie potrafi ksiądz wyzwolić się od tonu kazania. Zawsze w tle jest poparcie dla czystego dziewczątka.

- Wcale nie - powiedział ksiądz. - Nie należę do tych, co wołają o księżyc.

- Nie chce ksiądz, abym była czystym dziewczątkiem? - zapytała Sylwia z leniwym niedowierzaniem.

- Nie! - odparł. - Ale chciałbym, żebyś panna od czasu do czasu przypomniła sobie, że taką byłaś.

- Nie wierzę, żebym kiedykolwiek była - rzekła Sylwia. - Gdyby zakonnice wiedziały, wyrzucono by mnie ze Świętego Dzieciątka.

- Wcale nie - powiedział ojciec Consett. - Przestań się chwalić. Zakonnice są aż nadto rozsądne... Zresztą, nie chciałbym, abyś była czystym dziewczątkiem, ani nie chciałbym, byś zachowywała się jak protestancka diakonisa z trwogi przed piekłem. Chciałbym cię widzieć fizycznie zdrową, ze sobą szczerą, młodą, zamężną diablicą. To one są prześladowczyniami i ocaleniem świata.

- Czy ksiądz podziwia mamę? - zapytała nagle pani Tietjens. - A widzi ksiądz, że nie da się uciec od ocalenia.

- Chodzi mi o to, że napełniają brzuchy swych mężów chlebem i masłem - odparł ksiądz. - Oczywiście, że podziwiam twoją matkę.

Pani Satterthwaite poruszyła nieco dłonią.

- W każdym razie zmówił się z nią ksiądz przeciwko mnie - powiedziała Sylwia. - A więc, czy zgodziłby się ksiądz, abym wzięła ją za wzór i robiła dobre uczynki, żeby uciec przed piekielnym ogniem? Ona nosi włosienicę w czasie Wielkiego Postu.

Pani Satterthwaite z drgnięciem przebudziła się ze swej drzemki na brzegu krzesła. Ufała, że inteligentny ksiądz będzie mógł pokazać bezczelnej Sylwii, gdzie raki zimują i wydawało się jej, że słowne ciosy księdza byłyby na tyle bolesne, żeby Sylwia przynajmniej zastanowiła się nad swoim zachowaniem.

- Do licha, Sylwio, nie - wykrzyknęła. - Być może nie jestem nikim szczególnym, ale znam się na sporcie. Boję się ognia piekielnych, straszliwie, przyznaję. Ale nie targuję się z Wszechmogącym. Mam nadzieję, że da mi przejść. Nadal starałabym się wyciągnąć mężczyzn z błota (chyba o to właśnie chodzi tobie i ojcu), nawet gdybym miała taką pewność, że pójdę do piekła jak do łóżka dzisiejszej nocy. Ot co!

- I spójrz! Imię Ben Adhema poprowadziło resztę! - cicho i złośliwie zauważyła Sylwia. - Tak czy owak, założę się, że nie starałabyś się odzyskiwać panów, gdybyś nie mogła znaleźć młodych i przystojnych przedstawicieli gatunku interesująco zjadliwego...

- Nie - powiedziała pani Satterthwaite. - Po co miałabym to robić, jeśliby mnie nie interesowali?

Sylwia popatrzyła na ojca Consetta.

- Jeśli chce ksiądz jeszcze mnie ćwiczyć, to proszę się pospieszyć. Jest późno, a ja byłam w podróży trzydzieści sześć godzin.

- Chcę - powiedział ksiądz. - Jest dobra maksyma o tym, że gdy się wystarczająco długo trzepie muchy, to niektóre przylepią się do ściany. Ja tylko usiłuję odwołać się do twego zdrowego rozsądku. Czy nie widzisz, gdzie zdążasz?

- Gdzie? Do piekła? - zapytała obojętnie Sylwia.

- Nie. Mówię o doczesnym życiu. Twój spowiednik powinien porozmawiać z tobą o następnym. Ale ja ci nie powiem, gdzie ty zdążasz. Zmieniłem zdanie. Powiem twojej matce, gdy sobie pójdziesz.

- Niech mi ksiądz powie.

- Nie powiem - odrzekł ojciec Consett. - Idź do wrózek na wystawie w Earl's Court, one powiedzą ci o blondynce, której się powinnaś lękać.

- Mówią, że niektóre są całkiem niezłe - powiedziała Sylwia. - Di Wilson opowiadała mi, że jedna powiedziała, że będzie mieć dziecko... Chyba nie o to ojcu chodzi? Zaklinam się, że nigdy...

- Pewnie i tak - powiedział ksiądz. - Ale pomówmy o mężczyznach.

- Niczego mi ksiądz nie powie, czego już nie wiem.

- Pewnie i tak - odparł ksiądz. - Ale przejrzyjmy to, co wiesz. Gdyby była taka możliwość, uciekałabyś z innym mężczyzną co tydzień, bez zbędnych pytań? Albo, jak często miałabyś na to ochotę?

Sylwia powiedziała:

- Chwileczkę, ojciec - i skierowała się do pani Satterthwaite. - Chyba będą musiała się sama położyć spać.

- Owszem - powiedziała pani Satterthwaite. - Nie będę trzymała żadnej pokojówki na nogach po dziesiątej w nocy w kurorcie. Co miałyby robić w takim miejscu jak to? Poza nasłuchiwaniami, czy gdzieś nie ruszył się jeden z miejscowych strachów?

- Zawsze uważna i dobra! - przycięła pani Tietjens. - I chyba dobrze, bo zapewne zbilabym tę twoją Marię po rękach szczotką do włosów, gdyby tylko zbliżyła się do mnie. Mówił ksiądz o mężczyznach... - a potem z nagłym ożywieniem do matki: - Zmieniłam zdanie co do telegramu. Jutro rano natychmiast zadeszuję: „Zgadzam się całkowicie, ale weź ze sobą Halo Centralę”.

Znowu zwróciła się do księdza.

- Nazywam swoją pokojówkę Halo Centrala, ponieważ ma blaszany głos, jak rozmowa przez telefon. Jak mi odpowiada „tak, psze pani” mówię „halo centrala”, bo można by przysiąc, że odezwała się telefonistka... Ale mówił mi ksiądz o mężczyznach.

- Przypomniałem ci! - powiedział ksiądz. - Ale nie muszę kontynuować. Zrozumiałaś, o co mi chodzi. Dlatego udajesz, że nie słuchasz.

- Zapewniam księdza, że nie - odrzekła pani Tietjens. - Po prostu, gdy coś mi przychodzi do głowy, muszę to powiedzieć... Mówił ksiądz, że gdyby się wyjeżdżało z innym mężczyzną co sobota...

- Już skróciłaś okres - powiedział ksiądz. - Każdemu mężczyźnie przydzieliłem cały tydzień.

- Ale oczywiście trzeba by było mieć dom - powiedziała Sylwia - i adres. Powinno się wypełniać swe tygodniowe zobowiązania. Rzeczywiście, sprowadza się to do tego, że trzeba gdzieś trzymać męża i pokojówkę. Halo Centrala przez cały ten czas otrzymywała podstawową płacę. Ale nie sądzę, by to się jej podobało... Uznajmy, że gdybym miała innego mężczyznę co tydzień, to znudziłby mi się taki układ. O to księdzu chodzi, tak?

- Przekonałaś się - powiedział ksiądz - że wreszcie wszystko sprowadzi się do tego, że jedyną boską chwilą będzie ta, kiedy przy kasie czekasz, aż twój młody towarzysz weźmie bilety... a potem



stopniowo nie byłoby już nic boskiego... i ziewając, zapragnęłabys wrócić do męża...

- Zaraz, zaraz - powiedziała pani Tietjens. - Łamie ksiądz tajemnicę konfesjonału. Akurat właśnie to mówiła Tottie Charles. Próbowała tak żyć trzy miesiące, podczas gdy Freddie Charles był na Maderze. Dokładnie tak mówiła, aż po ziewanie i kasę biletową. A także „boskie”. Tylko Tottie Charles używa tego co drugie słowo. Większość z nas woli „świetnie”. Rozsądniejsze.

- Oczywiście, że nie zdradziłem tajemnicy konfesjonału - odparł łagodnie ojciec Consett.

- Oczywiście, że nie - powiedziała z uczuciem Sylwia. - Przyzwolity z księdza gość i skończony mimik, a zna nas wszystkich ksiądz na wylot.

- Nie aż tak - odparł. - Prawdopodobnie wielu rzeczy w was nie dostrzegam.

Sylwia powiedziała:

- Dziękuję. - Nagle zapytała: - Niech ksiądz posłucha. Czy dlatego, że ksiądz widział nas wtedy, te przyszłe matki Anglii, ksiądz wie, u panny Lampeter, poszedł ksiądz do slumsów? Z obrzydzenia i rozpacz?

- Och, nie róbmy z tego melodramatu - odrzekł ksiądz. - Powiedzmy, że potrzebowałem odmiany. Nie widziałem, abym robił coś dobrego.

- Ksiądz był dla nas tak dobry, na ile nas było stać - powiedziała Sylwia. - Przecież panna Lampeter była wiecznie odurzona światem, a francuskie nauczycielki zepsute piekielnie.

- Już wcześniej to mówiłaś - powiedziała pani Satterthwaite. - A jednak miała to być najlepsza szkoła dla panien w Anglii. Wiem, że odpowiednio kosztowała!

- No cóż, powiedzmy, że to my byliśmy paskudne - dokończyła Sylwia, zwracając się do księdza. - Byliśmy paskudną bandą, nieprawdaż?

- Nie wiem. Nie sądzę, abyście byli... że jesteście gorsze od swych matek i babć czy rzymskich patrycjuszek, albo wyznawczyń Astoret. Chyba musimy mieć klasę rządzącą, a klasy rządzące podlegają szczególnym pokusom.

- Któż to Astoret? - zapytała Sylwia. - Astarte? Ojczy, w ślad za twoim doświadczeniem, czy powiedziałbyś, że robotnice fabryczne w Liverpoolu, czy jakimś innym slumsie są lepszymi kobietami niż my, którymi się opiekowałeś?

- Astarte Syriaca - powiedział ksiądz - to demon o wielkiej mocy. Niektórzy twierdzą, że jeszcze nie zginęła. Sam nie wiem.

- Ja już z nią skończyłam - powiedziała Sylwia.

Ksiądz pokiwał głową.

- Czy miałaś styczność z panią Profumo? - zapytał. - I z tym odrażającym człowiekiem... jak mu tam?

- Czyżby to księdza szokowało? - zapytała. - Przyznam, że było to trochę przesadne... Ale już skończyłam. Wolę zaufać pani Vanderdecken. No i oczywiście Freudowi.

Ksiądz pokiwał głową i powiedział:

- Oczywiście! Oczywiście...

Ale pani Satterthwaite wykrzyknęła w przypływie energii:

- Sylwio Tietjens, nie obchodzi mnie, co robisz i co czytasz, ale jeżeli kiedykolwiek powiesz jeszcze słowo do tej kobiety, nie odzywaj się do mnie!

Sylwia przeciągnęła się na sofie. Otworzyła szeroko swe piwne oczy i pozwoliła, by powoli skryły je powieki.

- Już raz mówiłam, że nie lubię jak wyzywa się moich przyjaciół. Eunice Vanderdecken jest kobietą, którą osądzono gorzko i źle. A jest prawdziwym przyjacielem.

- Jest rosyjskim szpiegiem - powiedziała pani Satterthwaite.

- Rosyjską prababką! - odparła Sylwia. - A nawet, co z tego? W moim przypadku może sobie być... Słuchajcie oboje. Powiedziałam sobie, gdy wchodziłam: „Nie wątpię, że obojgu napsułam krwi”. Wiem, że was obchodzę bardziej, niż na to zasługuję. I powiedziałam, że wysłucham na dywaniku, co mi będziecie chcieli powiedzieć, nawet gdyby to miało trwać do świtu. I wysłucham. Ale wolałabym, abyście zostawili moich przyjaciół w spokoju.

Oboje starsi siedzieli w milczeniu. Od okiennic dobiegł w ciemności pokoju niski, chrobotliwy szelest.

- Słyszysz pani? - powiedział ksiądz do pani Satterthwaite.

- To gałęzie - odrzekła.

- W promieniu dziesięciu jardów nie ma żadnego drzewa! Niech pani spróbuje to wyjaśnić nietoperzami.

- Już raz mówiłam, żeby ksiądz przestał - zadygotała pani Satterthwaite.

- Nie wiem, o czym mówicie. Zdaje się, że to przesady. Mama nimi całkiem przesiąkła - powiedziała Sylwia.

- Nie mówię, że to diabły chcą się tu dostać - rzekł ojciec Consett. - Ale dobrze pamiętać, że diabły zawsze chcą się dostać. A są szczególne miejsca. Miedzy innymi wymienia się leśną głuszę. - Nagle obrócił się i wskazał na mroczną ścianę. - Któż, jeśli nie opętany dzikus mógłby uznać to za ozdobę? - I wskazał w kierunku namazanego, naturalnych rozmiarów dzieła przedstawiającego śmierć dzika, któremu z poderżniętego gardła tryskały fontanny krwi. Inne zwierzęce agonie tonęły w półmroku.

- To sport? - wyszczał. - To diabelstwo.

- Chyba ksiądz ma rację - powiedziała Sylwia.

Pani Satterthwaite żegnała się w wielkim pośpiechu. Milczenie trwało.

- Jeśli więc skończyliście swe wypowiedzi, to ja powiem, co mam do powiedzenia. Zacząwszy... - Sylwia urwała i siedziała wyprostowana, wsłuchując się w szelesty przy okiennicach.

- Aby zacząć - powtórzyła z impetem. - Oszczędziliście mi katalogu z defektami starości, znam je. Chudnie się (przy mojej budowie), cera blaknie, zęby zaczynają wystawać. No i jeszcze nuda. Znam ją: jest się znudzonym... znudzonym... znudzonym! Nie powiecie mi niczego, czego bym już o tym nie wiedziała. Mam trzydzieści lat. Wiem, czego mogę się spodziewać. Sprawiłoby ci to przyjemność, gdybyś mi to powiedział, ojczu, tyle tylko, że obawiałeś się, że pryśnie twój sławny efekt światowca... chciałbyś mi powiedzieć, że można się zabezpieczyć przed nudą i długimi zębami poprzez miłość męża i dziecka. Przypadek domowego ogniska! Wierzę! Naprawdę, wierzę! Tylko, że nienawidzę swego męża... i nienawidzę... nienawidzę mego dziecka.

Urwała, czekając na okrzyki przerażenia lub dezaprobaty księdza. Nie usłyszała żadnych.

- Pomyślcie, jak bardzo to dziecko mnie zrujnowało. Ile bólu kosztował mnie poród i lęk przed śmiercią.

- Oczywiście - powiedział ksiądz - rodzenie dzieci jest dla kobiet strasznym przeżyciem.

- Nie mogę powiedzieć - ciągnęła pani Tietjens - aby to była bardzo przyzwoita konwersacja. Jest dziewczyna... dopiero porzuciła życie w otwartym grzechu, więc powinna o tym pomówić. Oczywiście, ty jesteś księdzem, a mama to mama, jesteśmy w rodzinnym gronie. Ale siostra Maria od Krzyża w klasztorze miała pewną maksymę: przy rodzinie należy chodzić w aksamitnych rękawiczkach. A my chyba zabraliśmy się do tego bez rękawiczek.

Ojciec Consett nadal nic nie mówił.

- Oczywiście, staracie się coś ze mnie wyciągnąć - powiedziała Sylwia. - Widzę to nawet jednym przymrużonym okiem... a więc dobrze... - Wzięła oddech. - Chcecie wiedzieć, dlaczego nienawidzę męża. Powiem wam: z powodu jego prostej i całkowitej niemoralności. Nie chodzi mi o jego zachowanie, ale o przekonania! Każda jego wypowiedź o czymkolwiek powoduje, że mam ochotę wsadzić w niego nóż, a ja nigdy nie mogę mu udowodnić, że nie ma racji, choć w najdrobniejszej sprawie. Ale mogę sprawiać mu ból. I będę... Siaduje w fotelach, które pasują mu do pleców, niezgrabny, jak głaz, nie rusza się godzinami... Ale ja wiem, co zrobić, by drgnął. O, choć tego nie pokaże. Można go nazwać wiernym... Jest taki absurdalny człowieczek... taki Macmaster... i jego matka... którą na jakiś głupi mistyczny sposób uparcie nazywa świętą... protestancką świętą... I jego stara niańka, która opiekuje się dzieckiem... i jeszcze samo dziecko... Mówię wam, wystarczy, że uniosę powiekę... o tak, że mrugnę troszkę powieką, gdy tylko o którymś się mówi... i to go straszliwie boli. Wywraca oczyma w czymś na kształt niemej rozpaczki... Oczywiście nic nie mówi. Jest angielskim szlachcicem i dżentelmenem.

- Ta niemoralność, o której mówisz w związku ze swym mężem - powiedział ojciec Consett - nigdy jej nie zauważyłem. Często się z nim widywałem, gdy mieszkalem z tobą w tygodniu poprzedzającym narodziny twojego dziecka. Wiele z nim rozmawiałem. Poza kwestią dwóch komunii (a i tu nie wiem, czyżbyśmy się tak bardzo różnili) przekonałem się, że jest pod tym względem zdrowy.

- Zdrowy - odezwała się pani Satterthwaite z nagłą emfazą. - Oczywiście, że jest zdrowy. To nawet nie to słowo. Jest najlepszym

ze wszystkich ludzi. Twój ojciec był dobrym człowiekiem... i on. I koniec.

- Ach, nie wiesz - powiedziała Sylwia. - Słuchaj... postaraj się być sprawiedliwa. Przyjmijmy, że czytam przy śniadaniu „Timesa” i mówię, nie odezwawszy się do niego cały poprzedni tydzień: „To wspa- niałe, co robią lekarze. Widziałeś najnowsze osiągnięcia?”. Natych- miast się nadyma (wie wszystko!) i udowodni... udowodni!, że należy usypiać wszystkie chorowite dzieci, bo inaczej świat się zawali. I sie- dzisz zahipnotyzowana, nie masz pojęcia, jak mu odpowiedzieć. Albo doprowadzi cię do niemej wściekłości udowadnianiem, że nie po- winno się uśmiercać morderców. Po czym ja zapytuję od niechcenia, czy powinno się usypiać dzieci, które cierpią na zatwardzenie. To dlatego, że Marchant (czyli niańka) wiecznie jęczy, że dziecko nie ma regularnych wypróżnień i do jakich strasznych chorób to prowadzi. Oczywiście, to jest dla niego przykre. Bo on absolutnie głupiej na punkcie dzieciaka, choć domyśla się, że nie jest jego... Ale o to mi chodzi, gdy mówię o niemoralności. Będzie twierdził, że należałoby zachowywać morderców i hodować po nich potomstwo, ponieważ są odważnymi facetami, niewinne małe dzieci zaś powinno się zabijać, dlatego że są chore... i prawie spowoduje, że zacznasz w to wierzyć, choć na samą myśl zbiera ci się na wymioty...

- Czy nie chciałabyś - odezwał się przekonująco ojciec Consett - zaszyć się na rekolekcjach na miesiąc albo dwa?

- Nie chciałabym - odezwała się Sylwia. - Jak bym mogła?

- W pobliżu Birkenhead jest klasztor norbertanek. Wiele kobiet tam jeździ - ciągnął ksiądz. - Świetnie tam gotują można też zabrać własne meble i pokojówkę, jeśli nie chcesz, by usługiwały ci zakonni- ce.

- To nie jest możliwe - powiedziała Sylwia. - Niech ksiądz sam zobaczy. Ludzie natychmiast zaczęliby coś podejrzewać. Krzysztof nawet nie będzie chciał o tym słyszeć...

- Nie, obawiam się, że to nie jest możliwe, ojcze - ucięła pani Sat- terthwaite. - Kryję się tu cztery miesiące, by tuszować ślady za Syl- wia. Muszę opiekować się Wateman's. W przyszłym tygodniu przy- jeżdża mój nowy zarządca.

- A jednak - nalegał ksiądz z jakimś naciskiem - nawet na mie- siąc... na dwa tygodnie... Tak wiele katoliczek to robi... Mogłabyś o tym panno pomyśleć.

- Widzę, do czego ksiądz zdąży - powiedziała Sylwia z nagłym gniewem. - Ogarnia księdza obrzydzenie na myśl, że przejdę prosto z ramion jednego mężczyzny do drugiego.

- Byłbym bardziej szczęśliwy, gdyby była jakaś przerwa - odrzekł.  
- To nazywa się złym gustem.

Sylwia zeszywniała jakby przeszedł przez nią prąd.

- Zły gust! Oskarża mnie ksiądz o złe gusta?

Ojciec Consett pochylił głowę jak ktoś, kto idzie pod wiatr.

- Owszem. To haniebne. Nienaturalne. Przynajmniej pojechałbym w podróż.

Sylwia ujęła się dłonią za swe piękne gardło.

- Wiem, o co księdzu chodzi - powiedziała. - Ksiądz chce oszczędzić Krzysztofowi upokorzenia. I... mdłości. Nie wątpię, że go zemdli. Na to liczę. W ten sposób choć trochę się zemszczę.

- Wystarczy, kobieto - powiedział ksiądz. - Nie będę więcej słuchać.

- No, to ksiądz wysłucha - odparła. - Proszę... zawsze będę miała tę przyjemną perspektywę, że osiadę u boku tamtego mężczyzny. Będę cnotliwa jak każda inna. Tak zdecydowałam i tak zrobię. I będę śmiertelnie znudzona przez całą resztę swego życia. Poza jednym. Będę mogła jego prześladować. I zrobię to. Rozumiecie, jak to zrobię? Jest wiele sposobów. Ale w najgorszym przypadku zawsze będę mogła gnębić go aż zgłupieje... psując dziecko! - Zaczęła trochę dyszeć i można było dostrzec białka jej piwnych oczu. - Wyrównam z nim rachunki. Potrafię. Wiem jak, rozumiecie? I z wami, poprzez niego, za prześladowanie mnie. Przyjechałam aż z Bretanii bez zatrzymywania się. Nie spałam. Ale potrafię...

Ojciec Consett wsunął dłoń pod poję marynarki.

- Sylwio Tietjens - powiedział - w kieszonce mam małą buteleczkę święconej wody, którą noszę właśnie na takie przypadki.

A jakbym rzucił na ciebie dwie krople i krzyknął: *Exorciso te Ashtaroth in nomine?*...

Wyprostowała się od talii i zeszywniała, podobnie jak nieruchomości wąż, unosząc szyję nad zwinięte w spiralę ciało. Jej twarz była całkiem biała, a oczy rozszerzone.

- Ksiądz nie... nie ośmieli się! - powiedziała. - Do mnie! Taką znie wagę! - Powoli zsunęła nogi na podłogę, oczyma zmierzyła odległość do

drzwi. - Nie ośmieli się ksiądz - powtórzyła. - Zadenuncjuję księdza do biskupa...

- Biskup niewiele by ci pomógł, gdyby się wzarły w twoją skórę - powiedział ksiądz. - Idź, proszę i zmów Zdrowaś Mario albo dwie. Potrzebujesz tego, panno. Nie powiesz nic więcej przede mną o psuciu małego dziecka.

- Nie powiem - odezwała się. - Nie powinienam była...

Jej czarna sylwetka stanęła w otwartych drzwiach.

Gdy drzwi się zamknęły, pani Satterthwaite powiedziała:

- Czy było konieczne grozić je tym? Oczywiście ksiądz wie najlepiej. Mnie wydaje się to zbyt mocne.

- Klin klinem - odparł ksiądz. - Jest niemądra. Bawiła się w czarne msze razem z tą panią Profumo i tym człowiekiem, którego nazwiska nie mogę sobie przypomnieć. Można się było domyślać. Podryznaną gardło młodego kozłątka i chlapią się w jego krwi... o tym myślała... Nie jest to aż tak poważne. Banda głupich, bezczynnych dziewuch. Nie znaczy dla nich więcej niż chiromancja czy przepowiadanie przyszłości, nawet zważywszy całą brzydotę tego. Zresztą, biorąc pod uwagę ich intencje, ato intencje stanowią jądro modlitwy, czarnej bądź białej... Ale takie miała myśli i dzisiejszej nocy nie zapomni.

- Oczywiście, to twoja sprawa ojcze - rzekła leniwie pani Satterthwaite. - Dostała od ciebie ostro. Nie wydaje mi się, aby kiedykolwiek tak ostro dostała. O czym ksiądz nie chciał jej powiedzieć?

- Nie powiedziałem jej tylko dlatego, że lepiej nie wkładać takich pomysłów jej do głowy... Ale przeżyje prawdziwe piekło na ziemi, gdy jej mąż zwiesi głowę i polecą jak szaleniec na oślep za inną kobietą.

Pani Satterthwaite popatrzyła w próżnię, a potem skinęła głową.

- Tak. Nie pomyślałam o tym... A jednak? Przecież jest taki zdrowy, co?

- A co go zatrzyma? Co na całym tym świecie, prócz łaski naszego błogosławionego Pana, której nie posiada i o którą nie prosi? A potem... Jest młodym mężczyzną pełnokrwistym, nie będą ze sobą żyć... jak w małżeństwie. Na ile go znam, to nie będą. A potem... Potem ona dostanie szału. Jej krzywdy odbiją się echem po całym świecie.

- Czyżby ksiądz uważał, że Sylwia zrobiłaby coś tak wulgarnego?  
- A jak postępuje każda kobieta, tracąc mężczyznę, którego od lat miała do torturowania? Im bardziej zaangażuje się w prześladowanie go, tym bardziej uzna, że nie ma prawa go stracić.

Pani Satterthwaite spojrzała ponuro w mrok. - Biedak - odezwała się. - Czy zazna gdziekolwiek spokoju? Co się stało, ojcze?

- Właśnie sobie przypomniałem, że dała mi herbaty ze śmietanką, a ja wszystko wypilem. Teraz nie mogę odprawić mszy za ojca Reinharda. Będę musiał pójść i zapukać do wikarego, który mieszka hen w lesie.

Stojąc w drzwiach ze świeczką w dłoni, powiedział:

- Wolałbym, aby pani nie wstawiała dzisiaj ani jeszcze jutro, jeśli pani wytrzyma. Proszę dostać migreny i niech Sylwia się panią opiekuje. Będzie pani musiała opowiadać, jak się panią opiekowała, gdy wróćcie do Londynu. A ja wolałbym, żeby pani nie kłamała więcej, niż to jest konieczne, przynajmniej dla mnie... Poza tym, obserwując Sylwię, może pani zobaczyć coś charakterystycznego, co sprawi, że opowieści będą się wydawać bardziej prawdziwe... Może to, w jaki sposób jej rękawy zaczęły o buteleczki z lekami i jakie to było irytujące... A może... będzie pani wiedzieć! Jeśli uda się nam oszczędzić skandalu w parafii, możemy próbować.

Zbiegł na dół.

### III

Na ciche skrzypienie drzwi, popchniętych przez Macmastera, Tietjens gwałtownie podskoczył. Siedział ubrany w bonzurkę, pochłonięty pasjansem, w pomieszczeniu na poddaszu będącym pewnego rodzaju sypialnią. Był tu pochyły dach, podkreślony belkami z czarnego dębu, które dzieliły na kwadraty patentowy beż malowanych temperą ścian. W pokoju stało również łóżko z baldachimem, szafką narożną z czarnego dębu oraz wiele mat z sitowia rozłożonych na podłodze o bardzo nieregularnych deskach. Tietjens, który nie nawidził swych wywoskowanych wykopalisk i reliktyw przeszłości, siedział pośrodku pokoju przy wątlm karciaku i żarówce elektrycznej osłoniętej białym kloszem tak jaskrawej, że w tym otoczeniu



wydawała się nierozsądna. Był to jeden z owych odrestaurowanych wiejskich domków, które w danym czasie przerabiano na modne hoteliki. Tu lubił zatrzymywać się Macmaster, wiecznie poszukując inspiracji w przeszłości. Tietjens, nie chcąc przeszkadzać gustom kulturalnym przyjaciela, zgodził się na kwatere, choć wolałby zameldować się w wygodnym nowym hotelu, mniej afektowanym i tańszym. Przyzwyczajony do postarzałego (jak to nazywał), ponurego i wielkiego dworu w Yorkshire, nie lubił przebywać wśród dość żalnej zbieraniny kawałków, przez które, jak twierdził, czuje się śmieszny, jakby usiłował zachować powagę na maskaradzie. Natomiast Macmaster z zadowoleniem i powagą muskał palcami toczenia pociemniałego mebla i oznajmiał, że jest to „autentyczny Chippendale” bądź „siedemnastowieczny dąb”. Mogło się zdawać, że z biegiem lat, dotykając w ten sposób antycznych mebli, nabierał dodatkowej powagi i wyszukanych manier. Ale Tietjens oznajmiał, że ta parszywa rzecz to podróbka, i że wystarczy rzucić na to okiem, by się poznać, a jeśli przypadkiem kwestia trafiała do rozstrzygnięcia u zawodowych antykwariuszy, w większości przypadków okazywało się, że Tietjens ma rację, a Macmaster, z małym westchnieniem, przygotowywał się do dalszej podróży po trudnej drodze koneserstwa. Na koniec, dzięki pilnym studiom, zaszedł tak daleko, że od czasu do czasu wzywano go z Somerset House na biegłego od wyceny spadków i było to zajęcie jednocześnie dystygowane, jak i wysoce intratne.

Tietjens zaklął z pasją mężczyzny, którego zaskoczono i który bardzo nie lubi, aby ktoś to zauważył.

Macmaster był ubrany w strój wieczorowy i wyglądał jeszcze bardziej miniaturowo.

- Przepraszam, staruszk. Wiem, jak bardzo nie lubisz, aby ci przeszkadzano. Ale generał jest w strasznym nastroju.

Tietjens wstał sztywno, potknął się w kierunku składanej osiemnastowiecznej umywalki z różanego drzewa, wziął z niej szklanke odstałej whisky z wodą sodową i upił wielki haust. Rozejrzał się niepewnie, spostrzegł notatnik na stylowym biurku, zapisał ołówkiem jakieś krótkie działanie i musnął przyjaciela wzrokiem.

Macmaster odezwał się znowu:

- Przykro mi, stary, chyba przeschodziłem ci w jednym z twoich potężnych obliczeń matematycznych.

- Nie przeszkodziłeś. Tylko rozmyślałem. Dobrze, że przyszedłeś. Co mówiłeś?

- Powiedziałem, że generał jest w strasznym nastroju. Dobrze, że nie poszedłeś na kolację - powtórzył Macmaster.

- Nie jest... nie jest w strasznym nastroju. Jest dziko zadowolony, że nie musi widzieć się z tymi kobietami.

- Powiedział, że policja szuka ich w całym hrabstwie i że lepiej byłoby, gdybyś wyjechał jutro pierwszym pociągiem.

- Nie pojadę. Nie mogę. Muszę tu czekać na depeszę od Sylwii.

Macmaster jęknął.

- O rety! Rety! Moglibyśmy kazać ją podesłać do Hythe - dodał z nadzieją.

- Mówię ci, że stąd nie wyjadę - powiedział Tietjens dość gwałtownie. - Mówię ci, że ustaliłem wszystko z policją i z tą świnią, tym ministrem. Uleczyłem nogę kanarka żony policjanta. Usiądź i pomyśl rozsądnie. Policja nie rusza ludzi takich jak my.

- Nie wierzę, abyś uświadamiał sobie, jakie jest podejście społeczne... - powiedział Macmaster.

- Oczywiście, że tak, przy ludziach takich jak Sandbach. Siadaj, mówię ci... napij się whisky... - Nalał sobie znowu do wysokiej szklanki i trzymając ją, upadł na czerwony fotel z wikliny o zbyt nisko zawieszonym siedzeniu, obitym kretonem. Krzesło ugięło się mocno pod jego wagą, a wieczorowa koszula podjechała mu pod brodę.

- Co się z tobą dzieje? - zapytał Macmaster. Oczy Tietjensa były przekrwione.

- Powiem ci. Czekam na depeszę Sylwii.

- Ach! Dziś wieczór już nie przyjdzie, dochodzi pierwsza.

- Może przyjdzie - powiedział Tietjens. - Mówiłem z poczmistrzem, aż w miasteczku! Prawdopodobnie nie przyjdzie, ponieważ Sylwia nie wyśle jej aż do ostatniej chwili, żeby mi dopieć. Mimo to, czekam na depeszę Sylwii i tak wyglądam.

- Ta kobieta jest najokrutniejszą bestią...

- Mógłbyś pamiętać - rzekł Tietjens - że mówisz o mojej żonie.

- Nie widzę, jak można mówić o Sylwii i nie...

- Bardzo łatwo to rozgraniczyć - odparł Tietjens. - Można odnosić się do zachowań damy, jeśli się je zna i jeśli jest się o to poproszonym.

Nie wolno komentować. W tym przypadku nawet nie znasz postępowania damy, a więc równie dobrze możesz trzymać język za zębami. - Patrzył prosto przed siebie.

Macmaster westchnął głęboko. Zadał sobie pytanie, jeśli szesnaście godzin oczekiwania doprowadziło przyjaciela do takiego stanu, co będzie dalej?

- Będę w stanie rozmawiać o Sylwii po dwóch następnych szklankach whisky - powiedział Tietjens. - Najpierw zajmijmy się twoimi pozostałymi perturbacjami. Blondynka nazywa się Wannop, Walentyna Wannop.

- To nazwisko profesora.

- Jest córką nieżyjącego profesora Wannopa - powiedział Tietjens - oraz tej powieściopisarki.

- Ale... - przerwał Macmaster.

- Utrzymywała się przez rok po śmierci profesora, pracując jako pomoc domowa - powiedział Tietjens. - Obecnie jest gospodynią swojej matki, pisarki. Mieszkają w niedrogim domku. Domyślam się, że tamto doświadczenie i to spowodowały, że zapragnęła polepszyć los swej płci.

Macmaster znowu wtrącił: - Ale...

- Uzyskałem te informacje od policjanta podczas unieruchamiania nóżki kanarka jego żony.

- Tego policjanta, którego przewróciłeś? - W jego oczach malowało się bezrozumne zaskoczenie. - A więc on znał pannę... ee... Wannop?

- Nie spodziewałbyś się wielkiej inteligencji po policji Sussex - powiedział Tietjens - ale mógłbyś się mylić. Posterunkowy Finn ma na tyle rozumu, by rozpoznać damę, która od kilku lat prowadzi doroczną herbatkę i zawody sportowe dzieci i żon policjantów. Mówi, że panna Wannop ma rekordy hrabstwa w biegu na ćwierć mili, na pół mili, w skoku wzwyż, skoku w dal i pchnięciu kulą. To wyjaśniłoby, jakim trafem przedostała się na drugą stronę kanału takim stylem... I ten dobry, prostoliniorny człowiek był wielce zadowolony, gdy powiedziałem mu, żeby zostawił dziewczynę w spokoju. Nie miał pojęcia, jak mógłby aresztować pannę Wannop. Druga dziewczyna, ta która piszczała, to obca, prawdopodobnie z Londynu.

- Ty kazałeś policjantowi...  
- Przekazałem mu wyrazy szacunku od szanownego Stefana Fenicka Waterhouse'a i stwierdziłem, że byłby zobowiązany, gdyby posterunkowy mógł przedkładać co dzień rano inspektorowi raport o niemożliwości prowadzenia sprawy tamtych dwóch pań. Dałem mu również nowiuški banknot pięćofuntowy (od ministra) oraz parę funciaków i równowartość nowych spodni od siebie. A więc jest najszczęśliwszym posterunkowym w Sussex. Bardzo przyzwoity facet, powiedział mi, jak odróżnić ślady samca wydry od śladów kotnej samicy... ale tym nie byłbyś zainteresowany. - Po chwili znowu ciągnął dalej: - Nie wyglądałbyś na takiego niewysłowionego głupka. Powiedziałem ci, że jadłem kolację z tą świnią... Nie, nie powinienem nazywać go świnią po tym, jak jadłem jego kolację. A poza tym, to bardzo przyzwoity facet...

- Nie mówiłeś mi wcale, że byłeś na kolacji z ministrem Waterhouse'em - powiedział Macmaster. - Mam nadzieję, że pamiętałeś, że między innymi jest on przewodniczącym komisji do spraw funduszu zadłużeniowego i może decydować o życiu lub śmierci departamentu lub naszym.

- Chyba nie myślałeś, że jesteś jedynym, który jada z wielkimi tego świata! Chciałem porozmawiać z tym człowiekiem... na temat tych liczb, które muszą fałszować przez tę jego przekłętą bandę. Chciałem powiedzieć mu coś do słuchu.

- Nie! - wykrztusił Macmaster z wyrazem paniki. - Poza tym, nie prosili cię o sfalszowanie obliczeń. Jedynie zwrócili się o przeprowadzenie obliczeń na podstawie załączonych cyfr.

- Zresztą - powiedział Tietjens - powiedziałem mu do słuchu. Powiedziałem mu, że przy trzech pensach nieuchronnie zrujnuje kraj, no i swoją karierę polityczną.

- Dobry Boże! - wyjąkał Macmaster. - Czyż nigdy nie będziesz pamiętał, że jesteś w rządowej służbie? On by mógł...

- Pan Waterhouse zapytał mnie, czy zgodziłbym się na przeniesienie do jego departamentu. A gdy powiedziałem „idź pan do diabła!”, chodził za mną dwie godziny po ulicach i argumentował...

Właśnie obliczałem dla niego możliwości przy podstawie 4,5 pensa, gdy mi przerwał. Przyrzekłem, że będzie miał obliczenia gotowe do czasu jego wyjazdu o 1.30 w poniedziałek.

- Nie... - powiedział Macmaster. - Na Jowisza, jesteś jedynym człowiekiem w Anglii, który mógł tego dokonać.

- Tak też powiedział pan Waterhouse - skomentował Tietjens. - Powiedział, że tak mu mówił stary Ingleby.

- Mam tylko nadzieję, że odpowiadałeś mu z grzecznością!

- Powiedziałem mu, że jest tuzin facetów, którzy mogliby to zrobić na równi ze mną i w szczególności wymienilem twoje nazwisko.

- Ale ja nie mógłbym... Oczywiście, że mógłbym zmienić kurs z 3 na 4,5 pensa. Ale tu wchodzimy w wariacje matematyki ubezpieczeniowej, są nieskończone. Nie tknąłbym ich.

- Nie chcę, żeby moje nazwisko pojawiło się przy tej niesmacznej sprawie - powiedział niedbale Tietjens. - Gdy będę mu dawał papiery w poniedziałek powiem, że to ty wykonałeś większość roboty.

Macmaster znowu jęknął.

Jego rozpacz nie tylko wynikała z altruizmu. Macmaster miał gigantyczne ambicje wobec swego błyskotliwego przyjaciela, a jego ambicja była zaledwie cząstką wielkiej potrzeby bezpieczeństwa. W Cambridge zupełnie wystarczało mu przyzwoicie przeciętne miejsce na liście adeptów matematyki. Wiedział, że to zapewnia mu bezpieczeństwo. Jeszcze większą satysfakcję czerpał z myśli, że w dalszym życiu to usprawiedliwi brak przebłysków geniuszu. Natomiast gdy dwa lata później Tietjens zajął zaledwie drugie miejsce, Macmaster był gorzko i mocno rozczarowany. Wiedział doskonale, że Tietjens po prostu się nie postarał i był gotów postawić dziesięć do jednego, że Tietjens nie postarał się z rozmysłem. Zresztą, Tietjens wcale nie musiałby się starać.

Na wymówki Macmastera, których ten mu nie szczędził, Tietjens odpowiedział, że nie był w stanie nawet myśleć o tym, że miałby iść przez całe życie z etykietką Pierwszego Matematyka Cambridge.

Lecz Macmaster dość wcześnie zdecydował, że miałyby najbezpieczniejsze życie, gdyby sam będąc autorytetem nieszczególnie się wyróżniał, ale za to znajdował się w otoczeniu ludzi z etykietkami. Chciał spacerować w dół Pall Mailu pod rękę (nie inaczej) z bardzo utytułowanym Pierwszym Matematykiem, wrócić, kierując się na wschód, pod rękę z najmłodszym Lordem Kanclerzem w historii Anglii; przejść się po Whitehall, konwersując z powieściopisarzem

światowej sławy, po drodze słuchając Lordów Komisarzy Skarbu. Po podwieczorku w klubie zaś oni wszyscy przez godzinę, tworząc niewielką grupkę, będą traktować go z całą kurtuazją mężczyzn, szanujących go za jego prawość. Wtedy byłby bezpieczny.

Nie miał też wątpliwości, że Tietjens jest najgenialniejszym człowiekiem we współczesnej Anglii, więc nie znał większego bólu niż ten, który ogarniał go na myśl, że być może Tietjens nie zrobi błyskotliwej i błyskawicznej kariery w służbie publicznej. Z wielką ochotą (owszem, nie pragnął nic więcej) pozwoliby Tietjensowi się przegonić. Nie uważał też za potępienia godny fakt, że prawdopodobnie w służbie publicznej nie miało się tak zdarzyć.

A jednak Macmaster nie tracił nadziei. Był zupełnie świadomy, że są inne techniki robienia kariery niż ta, którą sobie założył. Nie mógł sobie wyobrazić, że nawet w najbardziej uniżony sposób poprawia przełożonego, a jednak widział, że choć Tietjens traktował niemal każdego hierarchę jak gdyby urodził się idiotą, nikt nie miał mu tego za złe. Oczywiście Tietjens był Tietjensem z Groby, ale czy to wystarczy, by się tym wiecznie żywić? Czasy się zmieniły, a Macmasterowi wydawało się, że żyje w wieku demokracji.

A jednak Tietjens ciągle odrzucał każdą szansę i zachowywał się oburzająco...

Ten dzień Macmaster mógł zaliczyć wyłącznie do katastrofalnych. Wstał z krzesła i nalał sobie drinka; czuł, że jest roztrzęsiony i potrzebował go. Siedząc niedbale w kretonach Tietjens patrzył tępo przed siebie. Powiedział:

- Tu! - I nie patrząc na Macmastera wyciągnął swoją wysoką szklanicę. Macmaster wahając się zaczął nalewać do niej whisky. Ale Tietjens chciał jej znacznie więcej.

- Jest późno, a idziemy na śniadanie do Ducheminów na dziesiątą - powiedział Macmaster.

- Nie martw się, synku - powiedział Tietjens. - Będziemy tam dla twojej ładnej pani. Poczekaj jeszcze kwadrans. Chcę z tobą pomówić.

Macmaster usiadł znowu i zaczął rozważać miniony dzień. Zaczął się od katastrofy i postępował przez następne.

Z gorzką ironią przypomniał sobie słowa, które na odchodnym wypowiedział generał Campion. Zaczął je teraz trawić. Generał

odprowadził go kuśtykając do drzwi w Mountby i stojąc tam, klepiąc go w ramię, wysoki, trochę zgarbiony i bardzo przyjazny, powiedział:

- Słuchaj. Krzysztof Tietjens to wspaniały facet. Ale potrzebuje dobrej kobiety, która by się nim opiekowała. Połącz go z Sylwią możliwie jak najszybciej. Pokłócili się troszkę, co? Nic poważnego? Może Krzyś biegła za spódniczkami, co? Nie? Może troszkę. Nie? Cóż...

Macmaster stał jak słup, wstrząśnięty.

- Nie! Nie! - wydukał.

- Znamy ich oboje od tak dawna - ciągnął generał. - A szczególnie lady Claudine. I, proszę mi wierzyć, Sylwia to wspaniała dziewczyna. Szczerozłota, nadzwyczaj wierna swoim przyjaciółom. I jeszcze nieustraszona, zmierzyłaby się z rozwścieczonym diabłem! Trzeba było ją widzieć jak... Zresztą znasz ją. No więc!

Macmasterowi udało się powiedzieć, że owszem, znał Sylwię.

- A więc - kontynuował generał - zgodzisz się ze mną, że jeśli coś między nimi jest nie w porządku, to jego wina. I to nie będzie się podobać. Bardzo. Nie postawiłby więcej nogi w tym domu. Ale on mówi, że jedzie po nią i panią Satterthwaite...

- Z tego, co wiem... - zaczął Macmaster - tak...

- No więc! - powiedział generał. - W porządku... Ale Krzysztof Tietjens potrzebuje wsparcia dobrej kobiety... To wspaniały facet. Niewielu jest młodych mężczyzn, wobec których żywię więcej... Można by to nazwać szacunkiem... Ale tego mu potrzeba. Jako balastu.

Jadąc z Mountby i zjeżdżając samochodem z góry, Macmaster aż się zmęczył, powstrzymując się od przeklinania generała. Miał ochotę krzyknąć, że jest zakutym starym głupcem, osłem wtykającym nos w cudze sprawy. Ale jechał w towarzystwie dwóch sekretarzy ministra, szanownego Edwarda Fenwicka Waterhouse'a, który sam będąc zaawansowanym liberałem, zjechawszy na sobotni golf, wołał zrezygnować z kolacji w domu posła konserwatystów. W owym czasie w polityce gorzał spór na tle socjalnym pomiędzy partiami - kondycja, która dopiero ostatnimi czasy stała się charakterystyczna dla angielskiej sceny politycznej. Prohibicja nie obejmowała dwóch młodszych panów.

Macmaster był nie bez przyjemności świadom, że ci dwaj traktowali go z pewną uniżonością. Widzieli, że generał lord Campion

zwracał się do niego z poufałością. A nawet czekali w samochodzie, podczas gdy generał klepał ich współbiedniaka po ramieniu, chwycił go za łokieć i mówił zniżonym głosem do ucha...

I na tym kończyła się cała przyjemność Macmastera.

O tak, dzień zaczął się katastrofalnie od listu Sylwii, zakończył się (o ile już się skończy!) niemal jeszcze bardziej katastrofalnie eulogią generała na temat tej kobiety. Przez cały dzień Macmaster przygotowywał się psychicznie do niezmiernie nieprzyjemnej sceny z Tietjensem. Tietjens musi rozwieść się z tą kobietą, było to konieczne dla spokoju jego ducha, jego przyjaciół, rodziny, dla jego kariery, w imię zwykłej przyzwoitości!

Tymczasem Tietjens w pewien sposób zmusił go do rozgrywki. Była to bardzo niesmaczna sprawa. Przyjechali do Rye w porze obiadu, podczas którego Tietjens pochłonął lwią część butelki burgunda. W czasie obiadu Tietjens dał do przeczytania Macmasterowi list Sylwii, mówiąc że gdy będzie później chciał się go poradzić, to niech lepiej zapozna się z dokumentem.

List wydawał się niespotykane bezczelny, ponieważ nie było w nim nic. Poza suchym stwierdzeniem: „Jestem teraz gotowa do ciebie wrócić”, traktował po prostu o tym, że pani Tietjens chciała - nie mogła już się obyć - bez swej pokojówki, którą nazywała Halo Centrala. Jeśli Tietjens chciał, żeby ona, pani Tietjens, do niego wróciła, miał zagwarantować, że Halo Centrala będzie na nią czekać na progu i tak dalej. Dodała ten szczegół, że nie było nikogo (podkreślone), kogo tolerowałyby przy sobie, gdy szła spać. Macmaster pomyślał i doszedł do wniosku, że lepszego listu nie mogła napisać kobieta, która chciała, by ją przyjęto z powrotem. Gdyby się posunęła do wynurzeń bądź wyjaśnień, można by się założyć, że Tietjens uznałby, że nie potrafi żyć z kobietą zdolną do takiego lapsusa smaku. Zresztą Macmaster nigdy nie zauważył u Sylwii braków w realizowaniu swych zamiarów.

Mimo wszystko utwierdził się w swym przekonaniu, by namawiać przyjaciela na rozwód. Zamierzał rozpocząć kampanię w powozie, podczas jazdy na wizytę do wielbego Duchemin, który w latach swej młodości był osobistym uczniem pana Ruskina oraz patronem i przyjacielem malarza i poety, bohatera monografii Macmastera. Tietjens wolał nie jechać. Powiedział, że powłóczy się po mieście i



spotka z Macmasterem około wpół do piątej w klubie golfowym. Nie miał nastroju na zawieranie nowych znajomości. Macmaster, świadom presji, jaką musiał cierpieć przyjaciel, uznał to rozwiązanie za rozsądne i sam pojechał do Iden Hill.

Niewiele było kobiet, które wywarły takie wrażenie na Macmasterze jak pani Duchemin. Wiedział, że w jego nastroju wywarłaby na nim wrażenie niemal każda kobieta, lecz uznał, że nawet to nie tłumaczyło ogromnego wpływu, jaki od pierwszej chwili na niego miała. Gdy go wprowadzono, w salonie znajdowały się dwie młode dziewczyny, ale po chwili zniknęły. Zauważył je, jak przejeżdżają koło okna na rowerach. Poczul, że więcej by ich nie poznał.

Było oczywiste, że wielebny Duchemin jest jednym z tych duchownych, którzy posiadając pokaźne zasoby i wykształcone gusta, są ozdobą Kościoła anglikańskiego. Sama plebania, czyli wielki przytulnie wyglądający dwór z czerwonej cegły, stykała się z największą stodołą, jaką Macmaster kiedykolwiek widział; natomiast kościół, przykryty prymitywnym dachem z dębowych gontów, przycupnął w kątku utworzonym przez szczytowe ściany plebanii i stodoły, był najmniejszy z tej trójki i tak skromny, że gdyby nie mała dzwonniczka, można by go wziąć za oborę. Te trzy budynki stały u samego podnóża szeregu wzniesień nad bagnami Romney; przed północnym wiatrem chronił je wielki symetryczny wachlarz wiązków, a przed południowo-zachodnim wysoki żywopłot z niepospolitego cisu i takich gaj. Mówiąc krótko, był to idealny zakątek, gdzie bogaty duchowny o wyrafinowanym guście mógł pełnić swe obowiązki duszpasterskie, bowiem w promieniu mili trudno było znaleźć choć jedną wiejską chałupkę.

Macmaster zaś uważał, że jest to wzór angielskiego domu. Choć było to do niego niepodobne, bo był wrażliwy i spostrzegawczy w tym względzie, nie pamiętał prawie wcale, jak wyglądał salon pani Duchemin, prócz tego, że był całkowicie sympatyczny. Trzy wysokie okna wyglądały na doskonały trawnik, gdzie samotnie bądź w grupkach stały klasyczne drzewka różane, symetryczne i liściaste półkule zieleni, podkreślone kwiatami przypominającymi kawałki rzeźbionego różowego marmuru. Za trawnikiem ciągnął się niewysoki kamienny murek, a za nim w migotliwym słońcu rozciągały się rozległe, ciche bagna.

Drewniane części mebli stojących w tym pokoju były brunatne, stare, o miękkim połysku długoletniego polerowania pszczelim woskiem. Obrazy Macmaster natychmiast rozpoznał jako dzieła Simeona Solomona, jednego ze słabszych estetów: otoczone nimbami blade głowy dam niosących lilie, które nie bardzo przypominały te kwiaty. Tradycjonalista - ale nie najlepszej z tradycji. Macmaster zrozumiał (i później pani Duchemin potwierdziła jego przypuszczenie), że pan Duchemin trzymał cenniejsze egzemplarze w sanktuarium, pozostawiając dobrodusznie i co nieco pogardliwie egzemplarze słabsze w pomieszczeniu relatywnie publicznym.

Jednakże pan Duchemin był osobiście nieobecny i okazało się, że zaaranżowanie spotkania dwóch panów nastęrcza wiele trudności. Pan Duchemin, orzekła małżonka, bywał bardzo zajęty podczas weekendów. Z lekkim i nieco nieobecnym uśmiechem dodała słowo, „naturalnie”. Macmaster natychmiast pojął, że naturalnie duchowny bywał bardzo zajęty w weekendy. Z pewnym wahaniem pani Duchemin zaproponowała, żeby pan Macmaster ze swym przyjacielem przyszli na obiad dnia następnego, w sobotę. Ale Macmaster już umówił się z generałem Championem na czwórkę w golfa - pół rundy od dwunastej do pierwszej trzydzięci, drugie pół od trzeciej do wpół do piątej. No i ustalili z Tietjensem, że pojedą pociągiem o 18.30 do Hythe. W związku z tym ani podwieczorek, ani kolacja w następnym dniu nie wchodziły w rachubę.

Z wystarczającym, lecz nie nazbyt wyrazistym żalem pani Duchemin podniosła głos, aby powiedzieć:

- Ojej! Ależ musi pan przyjść zobaczyć się z mężem i obejrzeć obrazy. Z tak daleka pan przyjechał.

Zza ściany w drugim końcu pokoju dobiegał hałas i hurgot - szczekanie psów, zdawałoby się - przesuwanie i wynoszenie mebli bądź pak, gardłowe okrzyki. Pani Duchemin powiedziała swym głębokim głosem, przybierając ten charakterystyczny nieobecny wyraz twarzy:

- Bardzo hałasują. Chodźmy do ogrodu obejrzeć róże męża, jeśli może pan poświęcić nam jeszcze moment.

Macmaster zacytował w duchu: *Spojrzałem i ujrzałem oczy twe w cieniu twoich włosów.*

Nie mogło być wątpliwości, że oczy pani Duchemin, w kolorze ciemnoniebieskich kamyków, znajdowały się w cieniu jej włosów, granatowoniebieskich, ułożonych w regularne fale. Włosy opadały jej na kwadratowe, niskie czoło. Podobnego zjawiska Macmaster właściwie nigdy nie widział i pogratulował sobie, że oto miał następne potwierdzenie (o ile jakiegokolwiek potwierdzenie było w ogóle potrzebne!) zdolności obserwacyjnych bohatera swej monografii!

Pani Duchemin zniosła światło słoneczne! Jej ciemna cera była gładka, kości policzkowe były z lekka przyprószone karminem. Miała wyjątkowo pięknie zarysowaną szczękę i spiczasty podbródek, niczym średniowieczna figurka świętej z alabastru.

- Oczywiście jest pan Szkotem - powiedziała. - Sama pochodzę z tamtych stron.

Macmaster odparł, że pochodzi z portu w Leith. Nie wyobrażał sobie, aby mógł cokolwiek przed panią Duchemin zataić. Natomiast ona rzekła z ponowionym naciskiem:

- Ależ oczywiście musi pan zobaczyć mojego męża i obrazy. Zaraz... Pomyślmym razem... a śniadanie... ?

Macmaster powiedział, że on i jego przyjaciel byli urzędnikami państwowymi i są przyzwyczajeni do rannego wstawania. Bardzo pragnął zjeść śniadanie w tym domu.

- A więc za kwadrans dziesiąta nasz samochód będzie czekał u wylotu waszej ulicy. Podróż trwa zaledwie dziesięć minut, a więc nie będą panowie długo głodni!

Stopniowo ożywiając się, dodała, że Macmaster musi koniecznie przyprowadzić przyjaciela. Mógłby mu powiedzieć, że spotka czarującą dziewczynę. Urwała a po chwili powiedziała, że to w każdym razie, prawdopodobne. Dodała nazwisko, które Macmaster usłyszał jako „Wanstead”. Później napomknęła o jeszcze jednej dziewczynie. Miał też być pan Horsted, młodszy wikariusz pana Duchemina. Następnie powiedziała z zamyśleniem:

- Tak, może to być całe przyjęcie... dość głośnie i wesołe. Mam nadzieję, że pana przyjaciel jest rozmowny.

Macmaster powiedział coś o kłopotach.

- Ależ, żaden kłopot - odrzekła. - Poza tym, może dobrze zrobić mojemu mężowi. Pan Duchemin łatwo ulega nastrojom. Być może to

miejsce jest za bardzo odludne. - I dodała jeszcze takie zadziwiające słowa: - Mimo wszystko.

Wracając powozem Macmaster powiedział sobie, że przynajmniej nie można było nazwać pani Duchemin zwyczajną kobietą. A jednak spotkanie z nią przypominało wejście do pokoju, który opuściło się dawno temu, lecz nigdy nie przestało kochać. Było przyjemne. Prawdopodobnie częściowo z powodu jej edynburskiego pochodzenia. Macmaster pozwolił sobie na utworzenia tego słowa. W Edynburgu istniało towarzystwo (sam nigdy nie był taki uprzywilejowany, aby się w nim poruszać, lecz jego annały stanowią część literatury szkockiej!), gdzie wszystkie panie są wielkimi damami w wysokich salonach, roztropne, lecz bystre; jednocześnie posiadające poczucie humoru; oszczędne i zarazem gościnne. Może właśnie edynburskość brakowało na salonach jego przyjaciół w Londynie. Pani Cressy, wielmożna pani Limoux oraz pani Delawney były prawie doskonałe w manierach, mowie, opanowaniu. Jednakże nie były one młode, nie były edynburskie - i nie były zaskakująco eleganckie!

Pani Duchemin była tym wszystkim. Jej pewność siebie i spokój zachowa w każdym wieku; są to znamiona jej eleganckiej kobiecej duszy. Fizycznie nie mogła mieć więcej niż trzydziestkę. To nie było ważne, ponieważ nie pragnęłaby niczego, co wymagałoby fizycznej młodości. Na ten przykład nigdy nie będzie miała okazji do biegania - zawsze będzie wyłącznie poruszać się jakby płynęła. Usiłował przypomnieć sobie szczegóły jej sukni.

Na pewno była ciemnoniebieska i niewątpliwie z jedwabiu, z tego grubo tkanego pysznego gatunku, który na fałdach połyskuje srebrzyście zza maluteńkich węzełków. Głęboko ciemnoniebieska. Jednocześnie pełna artyzmu - całkiem w stylu! A mimo to pięknie cięta! Bardzo duże rękawy, oczywiście, a jednak układające się. Nosiła gigantyczny naszyjnik z żółtego lśniącego bursztynu, na tle ciemnego błękitu! I jeszcze pani Duchemin powiedziała, przy różach jej męża, że te kwiaty zawsze wydają się jej malutkimi cząstkami różowych obłoków, które opadły, aby ochłodzić ziemię... Czarująca myśl!

Nagle powiedział w duchu: „Cóż to za para dla Tietjensa!” i pomyślał jeszcze: „Czemu nie miałyby się stać Wpływem!”

Otworzył się przed nim widok na przyszłość! Wyobraził sobie Tietjensa w jakiś sposób prawnie odpowiedzialnego za panią Duchemin, całkowicie *pour le bon*, i on cicho namiętny, zaakceptowany jest „wielce ulepszony” dzięki temu związkowi. On sam zaś, za rok czy dwa przyprowadza odnalezioną wreszcie Panią Jego Rozkoszy, aby zasiadła u stóp pani Duchemin (Pani Jego Rozkoszy prócz rozważagi będzie również posiadać młodość i wpływową duszę) i chłonęła tajemniczą pewnością siebie, dar przyodziania, umiejętność noszenia bursztynu oraz nachylania się nad zwykłymi różami - oraz edynburskość!

I Macmaster, niemal podniecony, znalazłszy Tietjensa siedzącego przy podwieczorku wśród zielono barwionych obić i ilustrowanych magazynów wielkiego pawilonu golfowego zgofrowanego żelaza, niepoohamowanie wykrzyknął:

- Przyjąłem zaproszenie dla nas obu na jutrzejsze śniadanie u Ducheminów! Mam nadzieję, że nie masz mi za złe - choć Tietjens siedział przy stolicku razem z generałem Campionem i jego szwagrem, wielmożnym Pawłem Sandbachem, posłem z ramienia konserwatystów oraz małżonkiem lady Claudine.

Generał rzekł mile do Tietjensa:

- Śniadanie! Z Ducheminem! Idź, mój chłopcze! Dostaniesz najlepsze śniadanie swego życia - a do swego szwagra dodał: - a nie pseudopotrawkę jak to, co każdego rana daje nam Claudine.

- Nie dlatego, żebyśmy nie próbowali ukraść im kucharza - mruknął Sandbach. - Za każdym razem, gdy tu jesteśmy, Claudine usiłuje go zwabić.

Generał zwrócił się mile do Macmastera (zawsze mówił miłym tonem, uśmiechając się nieco i z lekka sycząc):

- Mój szwagier nie mówi poważnie, rozumie pan. Mojej siostrze nie przysłoby do głowy kraść kucharza. Szczególnie od Duchemina. Bałaby się.

Sandbach warknął:

- Każdy by się bał.

Obaj ci panowie byli bardzo kulawi - pan Sandbach od urodzenia, natomiast generał w wyniku niezbyt poważnego, lecz zaniedbanego wypadku samochodowego. Generał był próżny chyba pod jedynym względem: uważał, że jest zdolny prowadzić swój własny wóz, a

ponieważ był jednocześnie niedoświadczony i bardzo nieuważny, często miał wypadki. Pan Sandbach miał ciemną, okrągłą twarz buldoga i gwałtowny charakter. Dwukrotnie zawieszono go w obowiązkach parlamentarnych za to, że zwrócił się do ówczesnego ministra skarbu epitetem „łżący adwokat” i w danej chwili był jeszcze zawieszony.

Wtedy Macmaster poczuł się nieswojo. Był na tyle wrażliwy, że doskonale wyczuł nieprzyjemne ochłodzenie atmosfery. W okolicach oczu Tietjensa czaiła się hardość. Patrzył prosto przed siebie; i jeszcze to milczenie. Za plecami Tietjensa stało dwóch mężczyzn w jasnozielonych marynarkach, czerwonych dzierganych kamizelkach i o czerwonych twarzach. Jeden z nich był łysawym blondynem, drugi miał czarne włosy, nadzwyczajnie wypomadowane i lśniące, obaj mieli około czterdziestu pięciu lat. Patrzyli na towarzystwo przy stole Tietjensa z półotwartymi ustami. Nie dało się ukryć, że słuchali. Przed każdym stały trzy puste szklaneczki po ginie i połówka szklanicy brandy z wodą sodową, Macmaster zrozumiał, dlaczego generał wyjaśnił, że jego siostra nie usiłowała ukraść kucharza pani Duchemin. Tietjens odezwał się. Powiedział:

- Pij szybko herbatę i ruszajmy. - I zaczął wydobywać z kieszeni liczne blankiety na depeszę i układać je.

- Nie trzeba sobie parzyć ust - powiedział generał. - Nie możemy ruszyć przed wszystkimi... przed tymi panami. Jesteśmy zbyt powolni.

- Nieprawda - powiedział Sandbach.

Tietjens podał blankiety Macmasterowi.

- Lepiej rzuć na nie okiem - powiedział. - Istnieje możliwość, że nie zobaczę się z tobą dzisiaj po rozgrywce. Idziesz na kolację do Mountby. Generał cię zabierze. Lady Claude wybaczy mi. Mam robotę.

Wytrąciło to Macmastera z równowagi. Rozumiał, że Tietjens nie miałby ochoty na kolację w Mountby z państwem Sandbach oraz większym towarzystwem - bardzo eleganckim, ale wyjątkowo mało inteligentnym. Owszem, Tietjens nazwał to towarzystwo ogniskiem dżumy i partii, to znaczy Partii Konserwatywnej. Jednakże Macmaster uważał, że przykra kolacja byłaby lepsza dla jego przyjaciela niż siedzenie i rozmyślanie w samotności, pogrążenie w półmrokach tej bezładnej miejsciny. Tietjens zaś powiedział:

- Idę porozmawiać z tym wieprzem!

Dość sztywno wysunął przed siebie swój kwadratowy podbródek, patrząc w dal za dwójką popijającą brandy. Macmaster zobaczył twarz, którą znał z wielu karykatur, a która jednocześnie wydawała mu się obca. Nie mógł w danej chwili przypomnieć sobie nazwiska. Z pewnością jest to polityk, prawdopodobnie minister. Ale który? Jego myśli znalazły się w strasznym stanie. Zdążył ogarnąć wzrokiem blankiety pocztowe, które trzymał w dłoni i dowiedział się, że telegram był adresowany do Sylwii Tietjens i zaczynał się od słowa „Zgoda”. Powiedział szybko:

- Czy już to wysłałeś, czy to dopiero projekt?

- Ten facet, to wielmożny Stefan Fenwick Waterhouse - rzekł Tietjens. - Jest przewodniczącym komisji od spraw funduszu zadłużeniowego. To ta świnią, która zmusiła nas do sfałszowania urzędowej odpowiedzi.

Była to najgorsza chwila w życiu Macmastera. Nadchodziła gorzsa.

- Zamienię z nim słowo. Dlatego nie pójdę na kolację w Mountby. To obowiązek wobec kraju.

Mózg Macmastera po prostu ustał w pracy. Znalazł się w jakimś pomieszczeniu z samych okien. Na zewnątrz świeciło słońce. Były chmurki. Różowe i białe. Puchate! Jakieś statki. I dwóch mężczyzn: jeden ciemny i ociekający tłuszczem, drugi o plamiastej cerze i przereźdzonej blond włosach. Rozmawiali, ale ich słowa nie docierały do Macmastera. Ten wypomadowany brunet powiedział, że nie zamierza zabrać Gertie do Budapesztu, jeszcze czego! Puścił koszarne perskie oko. Dalej było dwóch młodych mężczyzn. Ujrzał potworną twarz... Wszystko razem do tego stopnia przypominało straszny sen, że rysy ministra skarbu rozmyły się. Rozlały się w ogromną pantomimiczną maskę: błyszczącą z gigantycznym nosem i wydłużonymi oczyma Chińczyka.

A jednak wcale nie przykra! Macmaster był wigiem z przekonania, z natury i temperamentu. Uważał, że urzędnik państwowy powinien wstrzymać się od działalności politycznej. Mimo to, nie należało się spodziewać, że uznałby, iż liberał-minister skarbu jest brzydki. Wręcz przeciwnie, mogło się zdawać, że pan Waterhouse ma wyraz twarzy szczerzy, wesoły i dobrotliwy. Słuchał ulegle jednego ze swych

sekretarzy, położywszy dłoń na ramieniu młodego mężczyzny, i sen-  
nie uśmiechał się. Niewątpliwie był przepracowany. A potem zapo-  
mniał się w śmiechu, od którego boki się trzęsły. Przytył!

Jaka szkoda! Jaka szkoda! Macmaster czytał szereg niezrozumia-  
łych słów pisanych ciężkim charakterem Tietjensa „Koniec przyjęć...  
apartament nie dom... dziecko zostaje u siostry”. Jego oczy kursowa-  
ły tam i z powrotem po wyrazach. Nie umiał ich połączyć bez kropek.  
Mężczyzna z tłustymi włosami powiedział, że Gertie to gorąca sztuka,  
ale nie nadaje się do Budapesztu z tymi wszystkimi Cyganeczkami, o  
których mi opowiadałeś! Patrzcie, utrzymywał Gertie już od pięciu  
lat! Prawie jak w stadle! Głos jego towarzysza brzmiał jakby wynikał  
z niestrawności. Tietjens, Sandbach i generał siedzieli sztywno jak  
pogrzebacze.

Jaka szkoda! Myślał Macmaster.

Powinien był siedzieć... Byłoby miłą i odpowiednią rzeczą siedzieć  
razem z tym sympatycznym ministrem. W normalnych warunkach  
on, Macmaster, siedziałby. Najlepszy golfiarz zazwyczaj otrzymywał  
zaproszenie do gry z dystygowanymi gośćmi, a chyba nie było niko-  
go na całym południu Anglii, kto umiałby mu sprostać. Zaczął mając  
cztery lata, grając miniaturowym kijem i znalezionej piłką wartą szy-  
linga na miejskim polu. Co rano chodził do szkoły dla biedoty, wracał  
na obiad; znowu do szkoły i spać. Grał na zimnym, porośniętym  
trzcina, piaszczystym polu nad szarym morzem. W butach miał peł-  
no piasku. Znalezionej piłeczka wystarczyła mu na trzy lata...

Macmaster wykrzyknął:

- Dobry Boże! - Właśnie zrozumiał z lektury telegramu, że Tiet-  
jens zamierzał pojechać do Niemiec we wtorek.

Jakby w odzewie na okrzyk Macmastery, Tietjens powiedział:

- Tak. To rzeczywiście nie do zniesienia. Jeśli pan nie powstrzy-  
ma tych wieprzy generale, to ja to zrobię.

Generał wysyczał niskim głosem przez zęby:

- Poczekaj chwilę... poczekaj chwilę... Może zrobi to ten drugi.

Człowiek z tłustymi czarnymi włosami powiedział:

- Skoro Budapeszt jest takim miejscem na dziewczynki, jak mó-  
wisz, staruszkule, te tureckie łaźnie i wszystko, to w przyszłym miesi-  
acu naprawdę pójdziemy w tango - i puścił do Tietjensa oko.



Jego towarzysz, ze spuszczoną głową, zdawał się wytwarzać we wnętrzu pomruki i spoglądał niepewnie spod plamiastego czoła na generała.

- Nie powiem - argumentował ten drugi - żebym nie kochał mojej starej. Jest w porządku. No i jest Gertie. To gorąca sztuczka, ale pierwsza klasa. Ale ja mówię, że mężczyzna chce... O! - wykrzyknął.

Generał, z rękoma w kieszeniach, bardzo wysoki, chudy, czerwony; z białymi włosami zaczesanymi w grzywkę, rażnym krokiem przeszedł do sąsiedniego stolika. Stał może w odległości dwóch jardów, ale zdawało się, że generał kroczy dłuższy czas. Stanął wprost nad tamtymi. Spoglądali w górę na niego z szeroko rozwartymi oczami jak sztubacy na balon.

- Cieszę się, że podoba się panom nasze pole golfowe - powiedział.

- O tak! O tak! Pierwsza klasa. Palce lizać! - odparł łysy.

- Jednakże - rzekł generał - dyskusowanie nad eee... okolicznościami domowymi w... w... mesie nie jest rozsądne. Panowie rozumieją, w klubie. Ktoś mógłby usłyszeć.

Pan z wypomadowanymi włosami uniósł się i wykrzyknął:

- Ooo, co...

- Zamknij się, Briggs - wymamrotał drugi.

- Jestem przewodniczącym klubu, proszę panów. Moim obowiązkiem jest doglądać, aby większość członków i gości była zadowolona. Mam nadzieję, że nie mają mi panowie za złe.

Generał wrócił na swoje miejsce. Dygotał ze zdenerwowania.

- Człowiek robi się takim samym łotrem, jak i oni - powiedział - ale co do diabła można zrobić?

Dwóch panów z miasta przeszło pośpiesznie do przebieralni; zapadła cisza. Macmaster uświadomił sobie, że (przynajmniej dla torysów) naprawdę nastąpił koniec świata. Koniec Anglii! Wrócił, czując panikę w sercu, do depechy Tietjensa... Tietjens jechał we wtorek do Niemiec. Zaoferował się odejść z urzędu... To były rzeczy nie do pomyslenia. Niewyobrażalne!

Zaczął czytać telegram od nowa. Na cienkie kartki padł cień. Wielce szanowny pan Waterhouse znalazł się między szczytem stołu a oknami. Powiedział:

- Jesteśmy bardzo zobowiązani, generale. Nie słyszeliśmy własnych słów przez tamtą obsceniczną parę i ich brudy. To przez ludzi takich jak oni mamy nasze miłe sufrażystki! Są całkiem uzasadnione... - dodał: - Halo, Sandbach! Dobrze odpoczywasz?

- Miałem nadzieję - rzekł generał - że to pan podejmie się przywołania ich do porządku.

Pan Sandbach, wysuwając swą szczękę buldoga i - wydawałoby się - nastroszywszy swe krótkie czarne włosy - zaszczekał:

- Halo, Wodnisty! Jak ci się płądruje?

Pan Waterhouse, wysoki, przygarbiony, o zmierzwionych włosach, uniósł poły fraka. Był tak zniszczony, że niemal „słoma wychodziła na łokciach”.

- Tyle mi zostawiły sufrażystki - zaśmiał się. - Czy tu u ciebie jest ten geniusz, co się nazywa Tietjens? - Patrzył na Macmastera.

- Tietjens... Macmaster... - powiedział generał. Minister dodał bardzo przyjaźnie:

- Ach, to pan? Chciałem tylko skorzystać z okazji i panu podziękować.

- Dobry Boże! - ozwał się Tietjens. - Za co?

- Pan dobrze wie! - odparł minister - nie wprowadzilibyśmy projektu ustawy do izby na tej sesji, gdyby nie pana obliczenia... - odparł podstępnie - nieprawda, Sandbach? - i do Tietjensa: - Ingleby mi powiedział.

Tietjens był błąd jak kreda i sztywny. Wyjąkał:

- Nie mogę przypisać tego sobie... Uważam...

Macmaster wykrzyknął:

- Tietjens... ty... - nie wiedział, co chce powiedzieć.

- Och, jest pan zbyt skromny - pan Waterhouse zmiażdżył Tietjensa. - My wiemy, komu mamy dziękować... - Jego oczy przesunęły się w roztargnieniu na Sandbacha. A potem twarz mu pojaśniała. - A! Słuchaj, Sandbach. Chodź tu, co?

Odszedł parę kroków, wołając na jednego ze swoich młodych panów.

- Ach, Sanderson, daj coś do picia policjantowi. Coś porządnego. Sandbach ruszył niezgrabnie z krzesła i pokuśtykał do ministra.

Tietjens wybuchnął:

- Ja zbyt skromny! Ja! Co za świnię... Niewypowiedziana świnię!

- O co chodzi, Krzysiu? - zapytał generał. - Prawdopodobnie istotnie jesteś zbyt skromny.

- Do diabła - odparł Tietjens. - To poważna sprawa. To powoduje, że chcę odejść z tego parszywego biura.

- Nie! Nie! Mylisz się! - powiedział Macmaster. - Źle to postrzegasz. - I w przypływie prawdziwej pasji zaczął wyjaśniać generałowi. Była to sprawa, która już kosztowała go niemało przykrości. Rząd zwrócił się do departamentu statystycznego o liczby ilustrujące kilka planów, które zamierzali wykorzystać przy prezentacji projektu nowej ustawy w Izbie Gmin. Przedstawić miał pan Waterhouse.

W tym momencie pan Waterhouse klepał pana Sandbacha po plecach, odrzucał z czoła włosy i śmiał się jak rozhisteryzowana uczennica. Wyglądał na zmęczonego. Pojawił się policjant z błyszczącymi guzikami, pociągający z cynowego kufła tuż za oszklonymi drzwiami. Dwóch panów z miasta przebiegało po przekątnej od przebieralni do tych samych drzwi, zapinając okrycia. Minister powiedział głośno:

- Niech będą gwineel!

Macmaster uważał, że nie jest to w porządku i bolało go, że Tietjens nazwał człowieka tak dobrodusznego i pozbawionego afekcji niewysłowioną świnią. Było to niesprawiedliwe. Kontynuował swe wyjaśnienia dla uszu generała.

- Rząd zwrócił się o obliczenie na podstawie kalkulacji nazywanej B 7. Tietjens, pracując nad obliczeniami nazywanymi na własny użytek H 19, doszedł do wniosku, że najniższą sensowną cyfrą było H 19.

- Wszystko to dla mnie greka - powiedział mile generał.

- O, niekonieczne - rzekł Macmaster, zaskakując siebie. - Właściwie cały problem tkwi w tym, że rząd zwrócił się do Krzysia... do sir Reginalda Ingleby - aby obliczył  $3 \times 3$ . On zaś powiedział, że jedyne działanie, w wyniku którego nie doprowadzi się do zrujnowania kraju, to  $9 \times 9$ ...

- W istocie rząd chciał pakować pieniądze do kieszeni ludu pracującego - powiedział generał. - Pieniądze za nic... albo raczej za głosy.

- Ależ nie w tym rzecz, sir - odezwał się Macmaster. - Krzysia poproszono jedynie, aby obliczył  $3 \times 3$ .

- No, wydaje się, że obliczył i zyskał na tym nieźle - rzekł generał.  
- No i dobrze. Zawsze wszyscy wierzyliśmy w umiejętności Krzysia. Ale ma diabelnie gwałtowne usposobienie.

- Był wyjątkowo nieuprzejmy przy tym wobec sir Reginalda - ciągnął Macmaster.

Generał powiedział:

- Rety! Oj rety! - Potrząsnął głową w kierunku Tietjensa i starannie przybrał obojętną, nieco rozczarowującą minę regularnego oficera. - Nie lubię słyszeć o nieuprzejmym zwracaniu się do przełożonych. W jakiegokolwiek służbie.

- Nie uważam - rzekł wyjątkowo łagodnie Tietjens - aby Macmaster oddał mi całą sprawiedliwość. Oczywiście, że ma rację co do swojej opinii o dyscyplinie wymaganej w służbie. Rzeczywiście powiedziałem Ingleby'emu, że wołałbym odejść, niż wykonywać tę parszywą robotę...

- Nie powinienesz być - zauważył generał. - Co by się stało w urzędach, gdyby każdy postępował jak ty?

Sandbach wrócił roześmiany i opadł boleśnie na swój niski fotel.

- Ten facet... - zaczął.

Generał z lekka uniósł dłoń.

- Minutkę! - powiedział. - Właśnie miałem powiedzieć tu Krzysowi, że jeśli zaoferuje mi się pracę... Właściwie byłby to rozkaz... powstrzymania Ochotników Ulsterskich... Wołałbym sobie poderżnąć gardło...

- Oczywiście, staruszkule - powiedział Sandbach. - To nasi bracia. Prędzej wołałbyś zobaczyć, jak ten parszywy, łgarski rząd idzie do diabła.

- Miałem powiedzieć, że zgodziłbym się - odrzekł generał. - Nie odszedłbym.

- Dobry Boże! - wykrzyknął Sandbach.

- A ja nie - uzupełnił Tietjens. Sandbach wykrzyknął:

- Generale! Po tym wszystkim, co powiedzieliśmy z Klaudyną...

Tietjens się wtrącił:

- Przepraszam, Sandbach. Właśnie odbieram reprimendę. A tak: nie zachowałem się nieuprzejmie wobec Ingleby'ego. Gdybym wyraził

się o czymś, co on sam powiedział, albo o nim, to byłoby nieuprzejme. Nie zrobiłem tego. On zaś wcale się nie obraził. Wyglądał jak papużka, ale się nie obraził. Pozwoliłem też, by długo mi perswadował. Właściwie to miał rację. Wykazał, że jeśli ja roboty nie zrobię, te wieprze dadzą ją jednemu z tych gości z konkursu i taki pisarczyk pofalszuje wszystkie programy i oczywiście wystartuje na fałszywych założeniach.

- Takie i ja mam zdanie - powiedział generał. - Jeśli ja nie wezmę się za sprawę ulsterską, to rząd da ją facetowi, który spali wszystkie gospodarstwa i zgwałci wszystkie kobiety we wszystkich trzech hrabstwach. Mają takiego w zanadru. On tylko chciałby, aby wziąć na północ Connaught Rangersów. Oczywiście wiecie, co to oznacza. A jednak - spojrzał na Tietjensa - nie powinno się być niegrzecznym wobec przełożonych.

- Mówię generałowi, że nie byłem! - wykrzyknął Tietjens. - Do diabła z twoimi miłymi, ojcowskimi starymi oczyma. Zapamiętaj to!

Generał potrząsnął głową.

- Ach, wy geniusze! Kraju, armii, czegokolwiek nie powinno się dawać wam w zarząd. To zadanie dla głupców jak ja i Sandbach oraz umiarkowanych głów jak nasz przyjaciel tutaj. - Wskazał na Macmastera i dodał, wstając: - Chodźcie. Grasz pan ze mną, Macmaster. Mówią, żeś niczego sobie. Krzyś jest do niczego. Niech się zmierzy z Sandbachem.

Poszedł z Macmasterem w kierunku przebieralni.

Sandbach, wyplątując się niezgrabnie z fotela, krzyknął:

- Ratować kraj... Do diabła! - stanął na nogi. - Ja i Champion... proszę, do czego ten kraj doszedł... Jeszcze takie świny jak tamci dwaj w naszym klubie golfowym! Żeby policjant towarzyszył ministrowi na polu, by go ochraniać przed dzikimi babami... Na Boga, chciałbym dobrać się do skóry na niektórych grzbietach, o tak. Na Boga, tak. Ten nasz Wodnisty to niezły sportsmen. Nie zdążyłem opowiedzieć o naszym zakładzie, tak gardłowaliście... Czyżby twój przyjaciel naprawdę był niezwykły w North Berwick? A ty?

- Macmaster zazwyczaj prowadzi dwoma punktami wszędzie, gdy się rozegra.

- O Panie...! Dzielny człowiek...

- Ja zaś - powiedział Macmaster - nienawidzę tej parszywej gry.
- Ja też - odparł Sandbach. - Pójdziemy sobie spacerkiem za nami.

## IV

Wyszli na zalaną światłem przestrzeń, pod wysokie niebo, gdzie cały układ pola widniał nakreślony z pryzmatyczną regularnością. Stanowili niewielką, siedmioosobową grupę - Tietjens nie chciał korzystać z usług kadiego - czekając na płaskim polu pierwszej rozgrywki. Macmaster podszedł do Tietjensa i zapytał:

- Czyżbyś naprawdę posłał tę depezę?... Tietjens odparł:
- Teraz już jest w Niemczech!

Pan Sandbach kuśtykał od jednego do drugiego, objaśniając warunki swego zakładu z panem Waterhousem. Ów założył się z jednym z grających z nim młodych panów, że dwa razy trafią piłeczką w plecy dwóch panów z miasta, rozgrywających tuż przed nimi. Ponieważ minister przyjął dość wyrównane stawki, pan Sandbach uznał, że potrafi zachować się po sportowemu.

Posunęli się spory kawałek w pierwszej rozgrywce i podchodzili w okolice dołka. Po prawej były wysokie wydmy, a z lewej droga, wzdłuż której porastały trzciny i biegł wąski rów. Dwóch panów z miasta oraz ich dwóch kadich stało nad brzegiem rowu, grzebiąc w trzcinach. Nad wydmami pojawiły się i znikły dwie dziewczyny. Policjant spacerował drogą, równoległe do pana Waterhouse'a. Generał oznajmił:

- Chyba możemy już iść.
- Wodnisty będzie w nich celował przy następnej rozgrywce. Są w rowie - rzekł Sandbach.

Generał uderzył piłkę mocno i poleciała prosto. Akurat Macmaster się zamachnął, gdy Sandbach krzyknął:

- Na Boga! Prawie się mu udało. Ale ten facet podskoczył!

Macmaster obejrzał się przez ramię i syknął z irytacją przez zęby:

- Nie wie pan, że nie krzyczy się, podczas gdy ktoś bierze zamach? A może nie grał pan nigdy w golfa?

Pospieszył za swoją piłką. Sandbach zwrócił się do Tietjensa:

- Niech to! Ten człowiek ma charakter!

- Tylko przy tej grze - odrzekł Tietjens. - Zasłużył pan na to.  
- Owszem... ale nic mu nie przeszkodziłem. Posłał piłkę dalej o całe dwadzieścia jardów niż general.

- Gdyby nie pan, byłoby sześćdziesiąt - stwierdził Tietjens.

Czekali, aż reszta grupy rozegra piłki. Sandbach powiedział: - Na Jowisza, pański przyjaciel już rozgrywa do drugiego...

Trudno było uwierzyć, taki nie duży człowieczek! - i dodał: - Niewiele w nim klasy, nieprawdaż? Tietjens spojrzął z góry.

- E, w okolicach naszej klasy - rzekł. Nie założyłby się, który trafi w tych z przodu.

Sandbach nienawidził Tietjensa za to, że jest Tietjensem z Groby, Tietjensa oburzało istnienie Sandbacha, który był synem uszlachconego burmistrza z Middlesborough, mniej więcej siedem mil odległego od Groby. Gorzały bardzo zajadłe waśnie pomiędzy clevelandzkim ziemiaństwem a plutokracją.

- Aha, zapewne pomaga panu wyplątać się z wpadek męskodamskich i podatkowych, a w zamian pan wozi go ze sobą - powiedział Sandbach. - To praktyczna kombinacja.

- Podobnie jak huty Pottle Mills i Stanton - powiedział Tietjens.

Operacje finansowe związane z połączeniem tych dwóch stalowni przyniosły ojcu Sandbacha wiele złej sławy w okolicach Cleveland.

- Słuchaj no, Tietjens... - zaczął Sandbach, ale zmienił zdanie i powiedział: - Lepiej grajmy. - I uderzył piłkę niezgrabnym ruchem, ale nie bez znajomości rzeczy.

Faktycznie zagrał dalej niż Tietjens. Posuwali się wolno, gdyż obaj grali nierówno, a Sandbach był bardzo kulawy, i zanim zeszli z rzutni na trzeci dołek stracili z oczu resztę grupy, która skryła się za chatami straży przybrzeżnej i za wydmami. Z powodu swej kulawej nogi Sandbach często podkręcał piłkę w prawo. Tym razem podkręcił ją prosto w ogródek przy jednej z chat i poszedł z kadim przeszukiwać kartoflisko za niewysokim murkiem. Tietjens leniwie podbijał swoją piłeczkę po trasie i, ciągnąc torbę z kijami za pasek, podążył dalej.

Choć Tietjens nienawidził golfa podobnie jak nienawidził każdego zajęcia wywołującego konkurencję, podczas ćwiczebnych wypadów z

Macmasterem mógł zatopić się w matematycznych obliczeniach trajektorii. Towarzyszył Macmasterowi, ponieważ sprawiało mu przyjemność, że istnieje dziedzina, w której jego przyjaciel niewątpliwie się wybijał, a nieustanna miażdżąca przewaga Tietjensa była nudna. Jednakże zastrzegł sobie, że będą zwiedzać przynajmniej trzy nieznanne pola każdego golfowego weekendu. Wówczas interesował się rozkładem pola, nabywając nadzwyczaj specjalistycznej wiedzy o golfowej architekturze; czynił też zawiłe kalkulacje dotyczące lotu piłek uderzonych skośnie ściętą główką kijka, energii wydatkowanej przez ten czy ów mięsień w zależności od jego wagi w funtach oraz teorii ruchu wirowego. Dość często opowiadał przygodnie spotkanym, przyzwoicie przeciętnym graczom, że Macmaster też jest przyzwoicie przeciętnym graczem. Potem spędzał popołudnie w klubie, studiując rodowody i formy koni wyścigowych, ponieważ w każdym klubie można było znaleźć egzemplarz przewodnika „Ruff's Guide”. Na wiosnę wyszukiwał i badał ptasie gniazda, gdyż interesowały go sprawy domowe kukulki, choć nienawidził historii naturalnej i botaniki.

Tym razem sprawdził notatki dotyczące uderzeń kijem numer pięć, wsunął notes z powrotem do kieszeni i złożył się do strzału żelaznym, wyjątkowo chropowatym kijkiem, który miał kształt siekiery. Zdjął przy tym ze skórzanego uchwytu mały palec i palec serdeczny. Dziękował niebu, że Sandbach miał zajęcie na co najmniej dziesięć minut, gdyż Sandbach nie odpuścił zgubionej piłki. Powolotku podnosił piątkę do połowy wysokości, biorąc cel.

Uświadomił sobie, że ktoś stanął nie opodal i obserwował go, dysząc ciężko z głębi niewielkich płuc. Spod daszka swej czapki dostrzegał czubki białych chłopcących butów sportowych. Nie przeszkadzało mu wcale, że ktoś na niego patrzy, gdy zagrywał, nie pragnął tu żadnej osobistej sławy. Odezwał się głos:

- Przepraszam...

Nadal patrzył na piłkę.

- Przykro mi, że przeszkodzę - ciągnął głos. - Ale...

Tietjens całkiem opuścił kijek i wyprostował plecy. Patrzyła na niego pilnie jasna młoda kobieta z marsmem na twarzy. Była ubrana w krótką spódnicę i trochę dyszała.



- Przepraszam - powiedziała. - Niech pan idzie i zobaczy, czy nie zrobią nic złego Gertie. Zgubiłam ją... - Wskazała za siebie, na wydmy. - Wydaje się, że są wśród nich bestie.

Byłaby zupełnie zwyczajną dziewczyną, gdyby nie ten mars. Miała niebieskie oczy, zapewne jasne włosy schowane pod białym płóciennym kapeluszem, kretonową bluzkę w paski i podkasaną spódnicę.

- Panie były na demonstracji - powiedział Tietjens.

- Oczywiście, że byliśmy, a pan z zasady jest temu przeciwny. Ale nie pozwoli pan, żeby poturbowali dziewczynę. Niech pan nie czeka, żeby mi to powiedzieć, wiem...

Pojawiły się hałasy. Sandbach, w odległości pięćdziesięciu jardów za murkiem ogrodowym, ujadł zupełnie jak pies i gestykułował. Jego mały kadi, zaplątany w torbę z kijkami golfowymi, gramolił się przez murek. Na szczycie wysokiej wydmy stał policjant, wymachiwał ramionami jak wiatrak i krzyczał. Obok niego, z tyłu powoli wyłaniały się głowy generała, Macmastera i ich dwóch chłopców. Jeszcze dalej pojawiały się sylwetki pana Waterhouse'a, jego dwóch towarzyszy i ich trzech chłopców. Minister machał kijkiem do zagrywki i krzyczał. Wszyscy krzyczeli.

- Prawdziwe polowanie na szczury! - powiedziała dziewczyna. - Jedenastu i jeszcze dwóch kadich! - Na jej twarzy pojawiło się zadowolenie. - Uciekłam im wszystkim. Zostały tylko te dwie bestie. Nie potrafią biegać. Ale Gertie też nie potrafi... Niech pan idzie! Nie zostawi pan Gertie na pastwę tym bestiom! Są pijani... - dodała z naciśkiem.

- Niech więc pani ucieka - odparł Tietjens. - Zajmę się Gertie - odpowiedział i podniósł torbę.

- Nie. Idę z panem - odrzekła.

- Aha, nie chce pani iść do więzienia. Zmykaj!

- Bzdura. Znosiłam gorsze rzeczy. Dziewięć miesięcy służby... No, niech pan idzie!

Tietjens zaczął biec - na podobieństwo nosorożca, który ujrzał purpurę. Pobudził go świdrujący krzyk, który dobiegł z oddali. Dziewczyna biegła obok.

- Może... pan... bieć! - wysapała. - Niech pan rwie.

W owych czasach krzyk protestu wobec przemocy fizycznej był rzadkością w Anglii. Tietjens nigdy nic podobnego nie słyszał.

Zdenerwował go ogromnie, choć widział wkoło siebie tylko otwartą przestrzeń. Policjant, o godnych uwagi guzikach, schodził po spiczastej wydmy skosem i bardzo ostrożnie. Miejski policjant w srebrzonym hełmie i całym ryszunku wygląda dość groteskowo na tle pól. Powietrze było przejrzyste i ciche. Tietjens odniósł wrażenie, że znalazł się w muzeum światła i ogląda eksponaty...

Drobna młoda kobieta, pochłonięta sobą niczym ścigany szczur, wyłoniła się zza zielonego pagórka. Ta napadnięta! - przyszło na myśl Tietjensowi. Była ubrana w czarną spódnicę unurzaną w piasku, ponieważ dopiero co stoczyła się z wydmy; jedwabną bluzkę w szare i czarne paski, z całkowicie oddartym rękawem, spod którego wyglądała koszula. Na stoku wydmy pojawiło się dwóch panów z miasta, sapiących, z triumfalnie czerwonymi policzkami, a dziane czerwone kamizelki chodziły im jak miechy. Czarnowłose, o rozbieganych oblesnie oczach, powiewał kawałkiem czarno-szarego materiału i krzyknął z dziką radością:

- Zedrzyć z tej suki wszystko!... Uch!... Puścić sukę nago! - I zeskoczył ze wznieśnienia. Wpadł z rozpędem na Tietjensa, który ryknął na cały głos:

- Ty piekielny wieprzu. Łeb ci rozwałę, jeśli się ruszysz!

- Chodź Gertie - odezwała się dziewczyna zza pleców Tietjensa. - Chodź, to tylko tam...

- Nie... mogę... Moje serce... - wysapała.

Tietjens nie spuszczał wzroku z mężczyzny. Temu szczęka opadła i wytrzeszczył oczy. Zupełnie jakby rozleciał się jego gwarantowany świat, gdzie wszyscy mężczyźni w głębi serc pragną bić kobiety. Dyśzał.

Znowu rozległ się pisk, trochę dalej niż wcześniejsze głosy, za jego plecami. Na ten dźwięk Tietjens poczuł wszechogarniające zmęczenie. Po co te paskudne kobiety chcą piszczeć? Odwrócił się na pięcie razem z torbą. Policjant, z twarzą czerwoną niczym świeżo ugotowany rak, toczył się mało entuzjastycznie w kierunku dziewcząt, które truchtały do rowu. Miał wyciągniętą rękę, także czerwoną. Znalazł się o jard od Tietjensa.

Tietjens był wycieńczony. Nie mógł ani myśleć, ani krzyczeć. Zsunął kijki z ramienia i, podobnym ruchem jak wrzucał torbę do pociągu,

posłał wszystko między nogi biegnącego policjanta. Ten, choć trudno byłoby mu przyznać jakikolwiek impet, przewrócił się na kolana i podparł dłońmi. Hełm spadł mu na oczy. W takiej pozycji zdawał się rozmyślać chwilę, po czym zdjął hełm, z wielką deliberacją obrócił się i usiadł na trawie. Miał twarz całkowicie pozbawioną emocji, podłużną, zdobną w wąs piaskowego koloru i niegłupią. Otarł sobie czoło karminową chustką w białe groszki. Tietjens podszedł do niego.

- Gapa ze mnie! - powiedział. - Mam nadzieję, że nic pan sobie nie zrobił.

Wydobył z kieszeni srebrną piersiówkę. Policjant nie odezwał się. W jego świecie także istniały obszary niepewności, więc był głęboko zadowolony, że może bezkarnie siedzieć i nic nie robić. Mruknął:

- Wstrząśnięty. Trochę. Każdy by był.

To go usprawiedliwiało i z uwagą przyjrzał się bagnetowemu zatraskowi przy zakręcie piersiówki. Tietjens otworzył ją dla niego. Dziewczęta zbliżały się zmęczonym truchtem do rowu. Ta z jasnymi włosami usiłowała w biegu przypiąć drugiej kapelusz, który zwisał ucepiony szpilkami włosów z tyłu głowy i łopotał o ramię.

Reszta pościgu zbliżała się niespiesznie półkolem. Dwóch małych kadich biegło, ale Tietjens spostrzegł, że zawahali się i zatrzymali. Po chwili doleciały go te słowa:

- Stójcie, wy, bo łby wam rozwali.

Czcigodny poseł Waterhouse zapewne miał wspaniałego nauczyciela wymowy. Buroszara dziewczyna balansowała trwożliwie na desce nad rowem, ta druga przeskoczyła rów bez ceregieli - wyskok w powietrze, lądowanie na stopach. Jak tylko tamta zeszła z kładki i pobiegła rozległymi mokradłami, ta druga ukłękła i ciągnęła deskę do siebie. Upuściła ją na trawę. Potem podniosła wzrok i zmierzyła mężczyzn i chłopców stojących szeregiem wzdłuż drogi. Krzyknęła wysokim, świdrującym głosem przypominającym młodego kogucika:

- Siedemnastu na dwie! Typowa męska stawka! Będziecie musieli pójść aż do mostu kolejowego w Camber, a my do tego czasu zdążymy dotrzeć do Folkestone. Mamy rowery!

Chciała odejść, gdy zreflektowała się i wyszukała Tietjensa, zwracając się do niego:

- Żałuję, że to powiedziałam, bo niektórzy z was nie chcieli nas złapać. Za to niektórzy chcieli. I było was siedemnastu na dwie. A może dalby pan kobietom prawo głosu? - zwróciła się do pana Waterhouse'a. - Przekona się pan, że w innym razie będzie pan miał wiele zakłóceń swego nieodzownego golfa. I co się stanie wtedy ze stanem zdrowotnym narodu?

- Gdyby panie zechciały przyjść i przedyskutować na spokojnie...  
- ozwał się pan Waterhouse.

- Bujać to nie nas - odparowała i odwróciła się.

Panowie w szeregu patrzyli jak jej postać znika na horyzoncie równiny. Ani jeden nie miał ochoty zaryzykować tego skoku - na dnie rowu było błota na dziewięć stóp. Miała całkowitą rację, że bez kładki musieli przejść kilka mil. Wypad był więc dobrze przemyślany. Pan Waterhouse oznajmił, że dziewczyna była świetna, inni uznali, że najzwyczajniej pospolita. Pan Sandbach, który dopiero co przestał „ujadać”, chciał wiedzieć, jak zamierzają złapać te kobiety, ale pan Waterhouse powiedział:

- Rzuć to, Sandy - i poszedł sobie.

Pan Sandbach odmówił dalszej gry z Tietjensem. Stwierdził, że tacy faceci jak Tietjens zrujnują Anglię. Powiedział, że szczerze myśli nad wydaniem nakazu aresztowania Tietjensa - za przeszkadzanie wymiarowi sprawiedliwości. Tietjens przypomniał, że Sandbach nie miał takich uprawnień. Wobec czego Sandbach poszedł i wszczął wściekłą kłótnię z dwójką pochodzących z miasta, którzy wycofali się na odleglejsze pozycje. Powiedział, że tacy jak oni doprowadzą Anglię do ruiny. Beczeli całkiem jak barany...

Tietjens powoli przemierzył pole golfowe, odnalazł piłkę, uderzył ostrożnie i przekonał się, że tor piłki odkształcił się o kilka stóp w prawo mniej niż się spodziewał. Spróbował podobnego uderzenia, otrzymał taki sam wynik i zanotował oba w tabelce w notesie. Spacerkiem wrócił do klubu. Był zadowolony. Stwierdził, że po raz pierwszy od czterech miesięcy czuł się zadowolony. Jego puls bił ze spokojem, słoneczne ciepło zalewało go od stóp do głów z - jak się zdaje - dobroczynnym skutkiem. U podnóży starszych i większych wydm zauważył drobne roślinki, przemieszane z czymś kwitnącym na purpurowo i pachnącym. Nieustanne skubanie owiec spowodowało,

że dla swego bezpieczeństwa skarłowaciały. Kontent włączył się nokoło wydm, w kierunku niewielkiej i zamulonej zatoki portu. Przez jakiś czas skupił uwagę na łukowatych śladach pozostawionych przez fale na błotnistym nabrzeżu, długo rozmawiał (głównie za pomocą rąk) z Finem, przewieszonym przez burtę usmolonej, poturbowanej łodzi, z kikutem masztu i wielką dziurą w miejscu, gdzie zwykle zaczepia się kotwicę. Pochodziła z Archangielska, miała wyporność kilkuset ton, została jakoś sklecona z miękkiego drewna wartego koło dziewięćdziesięciu funtów i nie poszła na dno, gdy ją zwodowano na handel drewnem. Obok niej, napięty jak struna, błyskający okuciami z mosiądzu, stał nowiutki kuter, zbudowany na miejscu dla floty Lowestoft. Tietjens ustalił cenę u człowieka, który kończył go malować i uznał, że za tyle udałoby się zrobić ze trzy łodzie do przewozu drewna jak ta z Archangielska, i że te z Archangielska zarabiałoby około dwa razy więcej na godzinę na każdej tonie...

W taki sposób funkcjonował jego umysł, gdy Tietjens był zdrowy: zbierał drobne, ściśle informacje o konkretnej dziedzinie. Gdy zebrał wystarczającą ilość, klasyfikował je, bez określonego celu, ale dlatego, że wiedza sprawiała mu przyjemność i dawała poczucie siły, że ma w zanadrzu coś, czego sąsiad nawet nie podejrzewa... Spędził długie, spokojne popołudnie, rozmyślając.

W przebieralni, wśród szafek, starych płaszczy i kamionkowych miednic umieszczonych na wyszorowanych szarkach z surowego drewna, natknął się na generała. Generał oparł się o cały szereg tych rzeczy.

- Ty to jesteś całkiem niemożliwy! - wykrzyknął.
- Gdzie jest Macmaster? - zapytał Tietjens.

Generał oznajmił, że wysłał Macmastera wozem razem z Sandbachem. Macmaster musiał się przebrać, zanim pojedzie do Mountby. - Niemożliwy!

- Ponieważ podciąłem tego policjanta? - ucieszył się.
- Podciął policjanta... Tego nie widziałem.
- Nie chciał wcale złapać tych dziewcząt - powiedział Tietjens. - Było to całkiem widoczne. Tak bardzo nie chciał.
- Nie chcę nic o tym wiedzieć - powiedział generał. - Dowiem się aż nadto od Paula Sandbacha. Daj policmajstrowi funta i skończmy z tym. Uprawnienia sędziowskie mam ja.

- A więc, cóż zrobiłem? - powiedział Tietjens. - Pomogłem dziewczętom uciec. Pan nie chciał ich złapać. Waterhouse nie chciał ich złapać. Policjant nie chciał. Nikt nie chciał, prócz wieprzy. Więc, o co chodzi?

- A niech to diabli! - powiedział generał. - Nie pamiętasz, że jesteś młodym, żonatym mężczyzną?

Z uwagi na szacunek należny wiekowi i osiągnięciom generała, Tietjens powstrzymał się od śmiechu.

- Jeżeli pan naprawdę mówi poważnie - rzekł - to zawsze i w szczegółach o tym pamiętam. Nie sądzę, aby pan sugerował, że kiedykolwiek wykazałem się brakiem szacunku wobec Sylwii.

Generał potrząsnął głową.

- Nie wiem - powiedział. - I, do diabła, martwię się. Ja... a niech to, jestem najstarszym przyjacielem twojego ojca. - Generał w rzeczywistości wyglądał na zmęczonego i zasmuconego w świetle padającym przez zapiaszczone okna z matowego szkła. - Czy ta spódniczka... była twoją znajomą? Czy byłeś z nią w porozumieniu?

- Czy nie byłoby lepiej, aby pan powiedział wprost, o co chodzi?

Stary generał zaczerwienił się z lekka.

- Nie mam ochoty - powiedział bezpośrednio. - Ty genialny człowieku... Ja bym tylko chciał, drogi chłopcze, troszeczkę ci uświadomić, że...

Tym razem Tietjens odezwał się sztywniej.

- Wołałbym, aby pan to sformułował... Przyznaję panu to prawo, jako że jest pan najstarszym przyjacielem mojego ojca.

- Więc - wybuchnął generał - kim była ta spódniczka, z którą włożyłeś się po Pall Mallu? Ostatniego dnia Zmiany Wart?... Sam jej nie widziałem... Czy to ta sama? Paul powiedział, że wyglądała jak dziewczyna kuchenna.

Tietjens jeszcze bardziej zeszywniał.

- Dla ścisłości była sekretarką bukmachera - rzekł. - Jak sądzę mam prawo chodzić, gdzie chcę i z kim chcę. I nikt nie ma prawa podawać tego w wątpliwość... Nie mam na myśli pana. Ale wszystkich innych.

- Wy geniusze... - powiedział generał z zakłopotaniem. - Wszyscy mówią, że jesteś genialny...

- Czy mógłby pan pozwolić, aby zakorzeniony w panu brak zaufania do inteligencji... Oczywiście, to naturalne, ale czy mógłby pan pozwolić sobie, aby być sprawiedliwym wobec mnie? Zapewniam pana, że nie stało się nic godnego potępienia.

- Gdybyś był głupim młodym podoficerem - przerwał generał - i powiedział mi, że pokazywałeś nowej mamusinej gosposi jak dojeść do stacji metra na Piccadilly, uwierzyłbym... a z drugiej strony, żaden młody podoficer nie zrobiłby czegoś tak przekłęcie idiotycznego! Paul powiedział, że szedłeś przy niej niczym król w całej swej krasie! W tym tłumie przy Haymarket, akurat tam!

- Jestem zobowiązany Sandbachowi za wyrazy szacunku... - rzekł Tietjens. Pomyślał chwilę i dodał: - Tę młodą kobietę... Zabierałem ją na obiad z jej biura przy końcu Haymarket... po to, aby jej wyper-swadować jednego z moich przyjaciół. Oczywiście, niech to zostanie między nami, panie generale.

Mówił to bardzo niechętnie, ponieważ nie chciał rzucić cienia na gust Macmastera, gdyż ta młoda dama w żadnej mierze nie należała do kobiet, które należy widzieć u boku prawdziwie wybrednego urzędnika państwowego. Lecz nie powiedział nic, co mogłoby wskazać na Macmastera, a miał też innych przyjaciół.

Generał zakrzuszył się.

- Na mą duszę - powiedział. - Za kogo mnie bierzesz? - Powtórzył te słowa, jak zdumiony. - Gdy mój drugi sekretarz, który jest największym osłem jakiego znam, opowiedział mi taką przekłętą brednię, zniszczyłbym go następnego dnia - i ciągnął dalej z wymówką: - Do diabła ze wszystkim, pierwszym obowiązkiem żołnierza... pierwszym obowiązkiem Anglika jest wyrobienie sobie umiejętności przyzwoitego łgania w odpowiedzi na oskarżenie. Ale kłamstwo takie jak tamto...

Urwał, bo zabrakło mu tchu i zaczął od nowa.

- Do kata! Opowiadałem takie mojej babci i mój dziadek opowiadał takie swojemu dziadkowi. A mówią, że jesteś genialny! - Zawahał się. - A może uważasz, że bierze mnie uwiad starczy? - zapytał z wyrzutem.

- Wiem, panie generale, że jest pan najbystrzejszym generałem dywizji w całej brytyjskiej armii. Pozostawię pana, aby wyciągnął pan

własne wnioski, dlaczego powiedziałem, co powiedziałem - odparł, ale nie był niezadowolony, że mu nie uwierzono.

- A więc uznaję, że mi skłamałeś, licząc na to, że poznam się na tym. To całkiem w porządku. Uznaję, że zamierzasz oficjalnie nie mieszać w to tej kobiety. Ale popatrz, Krzysiu - w jego głosie zabrzmiała głębsza powaga - jeśli ta kobieta, która stanęła między tobą a Sylwią... która, do diabła, zniszczyła wasz dom, przecież o to chodzi!... Jeśli ona nazywa się Wannop...

- Nazywa się Julia Mandelstein - odrzekł Tietjens.

- Tak! Tak! Oczywiście! Ale gdyby to była mała Wannopówna, a rzecz nie zaszła za daleko... Oddał ją... Oddał ją, bo kiedyś byłeś dobrym chłopcem! Matko ciężko by to zniosła...

- Generale, daję panu słowo...

- Nie zadaję żadnych pytań, mój chłopcze; ja teraz mówię. Opowiedziałeś mi historię, którą chcesz upowszechnić i ja ją będę powtarzał! Ale tamta mała jest... była... czysta jak łąza! Sądzę, że wiesz lepiej ode mnie. Oczywiście, jak tylko wpadną w towarzystwo dzikich kobiet, nikt nie wie, co się z nimi może stać. Mówią, że to wszystko la-dacznice... O, przepraszam, jeśli ją lubisz...

- Czy panna Wannop to ta, która chodzi na demonstrację?

- Sandbach powiedział, że nie widzi ze swego miejsca, czy to ta sama dziewczyna, co tamta na Haymarket. Ale tak mu się wydawało... Był prawie pewien.

- Skoro ożenił się z pańską siostrą - rzekł Tietjens - nie można zarzucić mu braku gustu co do kobiet.

- Powtarzam, że o nic nie pytam. Ale powtarzam też: oddał ją. Jej ojciec był wielkim przyjacielem twojego ojca, albo też twój ojciec bardzo podziwiał jej ojca. Mówią, że był najbłyskotliwszym mózgiem partii.

- Oczywiście, że wiem, kim był profesor Wannop - powiedział Tietjens. - Nic nowego nie mógłbym się o nim dowiedzieć.

- Powiedzmy - rzekł oschle generał. - A więc wiesz, że nie został złamanego szeląga, kiedy umarł i że parszywy rząd liberalów nie chciał dać renty żonie i dzieciom, ponieważ czasem pisywał dla torysowskiej gazety. I wiesz, że matka ma diabelnie ciężki kawałek chleba i dopiero co wychodzi na prostą. Jeśli w ogóle wyszła. Wiem, że



Claudine zanosi im wszystkie brzoskwinie, które uda się jej wyłudzić od męzowskiego ogrodnika.

Tietjens właśnie miał powiedzieć, że pani Wannop, matka, napisała jedyną książkę wartą przeczytania od czasów osiemnastego wieku. Ale generał ciągnął:

- Posłuchaj mnie, mój chłopcze... Jeśli nie umiesz wytrwać bez kobiet... wydawałoby mi się, że Sylwia jest wystarczająco dobra. Ale znam nas mężczyzn... Nie twierdzę, że jestem świętym. Słyszałem kiedyś, jak taka jedna powiedziała, że to właśnie one ratowały życie i figury wszystkich cnotliwych kobiet w kraju. Nie przeczyłbym, że to prawda... Ale wybierz sobie dziewczynę, którą będziesz mógł umieścić w sklepiku z tytoniem i ogranicz swe umizgi do saloniku na tyłach. A nie na Haymarket... Zresztą, niech to, nie wiem, czy stać cię na to. Twoja sprawa. Podobno się wyprzedajesz. Z tego, co Sylwia dała do zrozumienia lady Claudine...

- Nie wierzę - odezwał się Tietjens - aby Sylwia powiedziała cokolwiek do lady Claudine... Jest zbyt porządna.

- Nie powiedziałem „powiedziała”! - wykrzyknął generał. - Powiedziałem akurat „dała do zrozumienia”. Być może, nie powinienem był mówić aż tyle, ale wiesz, że kobiety mają diabelską umiejętność wydobywania informacji. A Claudine jest najgorszą ze wszystkich znanych mi kobiet...

- I oczywiście miała do pomocy Sandbacha.

- Och, ten facet jest gorszy od jakiegokolwiek kobiety - zawołał generał.

- A więc, jak wygląda oskarżenie w całości? - zapytał Tietjens.

- Niech to, kaci - palnął generał. - Nie jestem parszywym detektywem, ja tylko chcę wiarygodną opowieść dla Claudine. Może nawet nie być całkiem wiarygodna. Oczywiście kłamstwo, które udowodni, że nie zachowujesz się niezgodnie z normami... i na przykład chadzasz po Haymarket z małą Wannopówną, bo żona cię przez nią rzuciła.

- Jak ona wygląda? - pytał cierpliwie Tietjens. - Co Sylwia „dała do zrozumienia”?

- Tylko to, że ty, że twoje poglądy są niemoralne. Jasne, że mnie czasem dziwią. No i oczywiście, jeśli się ma poglądy, które są inne od poglądów reszty i jeśli się ich nie trzyma dla siebie, inni będą cię

podejrzewać o niemoralność. To właśnie naprowadziło Paula Sandbacha na twój trop!... I że jesteś rozrzutny... Do kata... Wieczne powozy i taksówki, i telegramy... Wiesz, drogi chłopcze, że od czasów, gdy twój ojciec i ja żeniliśmy się, wiele się zmieniło... Mawialiśmy, że młodszy syn przeżyje za pięćset rocznie... No i jeszcze ta dziewczyna... - w jego głosie zabrzmiało poruszenie, nieśmiałość i ból. - Prawdopodobnie nie przyszło ci to do głowy... Ale, oczywiście Sylwia ma swoje dochody... I nie widzisz, że gdy przegonisz policjanta i... Krótko mówiąc, wydajesz pieniądze na tę drugą, tego ludzie nie potrafią znieść. Muszę powiedzieć, że pani Satterthwaite jest po twojej stronie bez względu na sytuację. Bez względu! Claudine pisała do niej. Ale wiesz, jak zachowują się kobiety mające przystojnego zięcia, który jest zawsze dla nich uprzejmy. Mogę ci jednak powiedzieć, że gdyby nie twoja teściowa, Claudine usunęłaby cię ze swojej listy gości wiele miesięcy temu. Nie tylko ona...

- Dziękuję - powiedział Tietjens. - Wydaje mi się, że mi wystarczy. Proszę mi dać parę minut na zastanowienie się nad tym, co pan powiedział.

- Umyję ręce i przebiorę się - powiedział generał z wielką ulgą. Pod koniec dwóch minut Tietjens odezwał się:

- Nie. Nie widzę, abym chciał cokolwiek powiedzieć.

Generał wydał okrzyk entuzjazmu.

- Mój dobry chłopcze! Otwarte przyznanie się to prawie poprawa. I... postaraj się wykazać trochę więcej szacunku swoim przełożonym. Do diabła; mówią żeś genialny. Ale dziękuję niebu, że nie mam cię wśród podwładnych... Choć wierzę, że jesteś dobrym chłopcem. Ale ty należysz do ludzi, którzy porozstawiliby całą dywizję... Prawdziwy... jak mu tam było? Prawdziwy Dreyfus!

- Czy generał uważa, że Dreyfus był winny?

- Do kata, gorzej niż winny; taki facet, w którego nie dało się wierzyć, ale któremu nie dało się niczego udowodnić. Przekleństwo dla świata...

- A! - powiedział Tietjens.

- Owszem. Tacy ludzie poruszają społeczeństwem. Człowiek nie wie, na czym stoi. Nie może ocenić. Człowiek czuje się niepewnie... Też geniusz! Zdaje się, że dochrapał się generała brygady... - Objął

Tietjensa ramieniem i dodał: - No, no, drogi chłopcze. Chodź, napijemy się ginu. Oto prawdziwa odpowiedź na wszystkie parszywe problemy.

Dopiero po pewnym czasie Tietjens mógł pomyśleć o swych własnych problemach. Powozik, który ich odwiózł, jechał wolno, niczym na ceremonialnej procesji po wijącej się drodze przez mokradła, mając w tle absurdalnie malowniczą, czerwoną piramidę stareńskiego miasteczka. Tietjens musiał wysłuchać uwag generała, że lepiej byłoby, żeby nie przychodził do klubu golfowego aż do poniedziałku. On zajmie się tym, żeby Macmaster dobrze sobie pograł. Ten Macmaster to dobry, przyzwoity człowiek, jaka szkoda, że Tietjens nie mógł wziąć sobie trochę tej jego przyzwoitości!

Dwóch panów z miasta zaczepiło generała na polu golfowym i użyło wobec Tietjensa kilku gwałtownych inwektyw: wypraszają sobie, by ktoś im mówił, że są cholernymi wieprzami i idą na policję. Generał powiedział, że sam im oznajmił, powoli i z poczuciem winy, iż w istocie są cholernymi wieprzami i że, od poniedziałku licząc, nigdy więcej nie dostaną wejścia do klubu. Do poniedziałku, jak się zdawało, mieli prawo się tam znajdować, i klub wolał uniknąć scen. Sandbach też był rozwścieczony Tietjensem.

Tietjens powiedział, że wszystkiemu winne są czasy, kiedy zezwala się na wprowadzenie w kręgi dżentelmenów padalców towarzyskich na podobieństwo Sandbacha. Człowiek zachowywał się absolutnie odpowiednio, a potem taki oślizgły drań zaczynał z tych zachowań tworzyć jakieś odrażające konstrukcje i beczeć o nich wszędzie. Dodał, że wie, iż Sandbach jest szwagrem generała, ale nic nato nie poradzi. Taka była prawda...

Generał rzekł:

- Wiem, mój chłopcze, wiem...

Ale towarzystwo należało przyjąć takim, jakie sieje zastało. Trzeba było zapewnić przyszłość Claudine, a Sandbach był bardzo dobrym mężem, ostrożnym, trzeźwym i po odpowiedniej stronie w polityce. Może trochę urwisowaty, ale nie można domagać się ideału! Claudine zaś wykorzystywała wszystkie swe wpływy z drugiej strony - a było tego niemało, kobiety są takie cudowne! - aby uzyskać dla niego placówkę dyplomatyczną w Turcji, żeby zszedł z oczu pani Crundall!

Pani Crundall była wiodącą sufrażystką w miasteczku. Dlatego Sandbach tak nie cierpiał Tietjensa. Mówił to Tietjensowi, by ten zrozumiał.

Dotychczas Tietjens uważał nie bez dumy, że umie błyskawicznie ocenić jakąś kwestię i zaszufladkować ją w myśli. Generała prawie nie słuchał. Oskarżenia jego osoby były szkaradne, ale zwykle potrafił takich oskarżeń nie słuchać i wierzył, że swoim milczeniem spowoduje, że więcej ich nie usłyszy. A jeśli w klubach i wszędzie tam, gdzie rozmawiają mężczyźni, krążyły nieprzyjemne plotki dotyczące jego samego, wołał, że to on był ich przedmiotem, a nie jego żona. Zwykła męska próżność - oto co woli angielski dżentelmen! Gdyby tak było, że Sylwia jest bez zmyy i on też (wiedział przecież, że sam jest jak śnieg!) to broniłby się przynajmniej przed generałem. Zachował się praktycznie i nie bronił się z większą werwą. Wyobrażał sobie, że gdyby naprawdę tego chciał, generał by mu uwierzył. A jednak zachował się odpowiednio! Nie ze zwykłej próżności. Było przecież to dziecko, które mieszkało u siostry Tietjensa, Effie. Lepiej, niech chłopak ma ojca łajdaka niż matkę ładacnicę!

Generał rozwodził się nad solidnością przyplaszczonego do ziemi zamku, podobnego do kupki warcabów, widniejącego na słonecznej równinie po ich lewej stronie. Mówił, że teraz tak się nie buduje.

- Nie ma pan wcale racji, generale - odezwał się Tietjens. - Wszystkie zamki zbudowane przez Henryka VIII w 1543 roku wzdłuż tego wybrzeża są pomnikami bylejakości... *In 1543 iactat castra Delis, Sangatto, Reia, Hastingas Henricus Rex*. To znaczy, że je porozrzucił.

Generał zaśmiał się.

- Ty jesteś niepoprawny... Jeśli tylko istnieje jakiś niepodważalny fakt...

- Niechże pan pojedzie i przyjrzy się tym parszywym budowlom - powiedział Tietjens. - Zobacz pan, że są tylko obłożone kamieniem, który tu przyplływ zagnał, a wypełnienia to są jakieś rumowiska, śmiecie... Niech pan słucha! Jest wiadomym faktem, nieprawdaż, że wasze osiemnastofuntówki są lepsze niż francuskie siedemdziesiątki piątki. Tak nam mówią w Parlamencie, w kampaniach, w gazetach... i społeczeństwo wierzy... Ale czy wystawiłby pan jedno takie wasze oczko w głowie, które wystrzela (ile dokładnie?) cztery pociski na

minutę z takimi zakrzywionymi gwoździakami w ogonku, żeby nie odbijało, przeciwko ich siedemdziesiątkom piątkom na sprężone powietrze...

Generał usiadł sztywno na fotelu.

- To zupełnie co innego - powiedział. - Skąd ty, do diabła, o takich rzeczach wiesz?

- Wcale nie - odrzekł Tietjens. - To całkiem ten sam bałagan umysłowy, który postrzega dobre rozwiązania budownicze u Henryka VIII i wmanewrowuje nas w wojny z beznadziejnie przestarzałymi bateriami i amunicją, co warta jest wyrzucenia w błoto. Wyrzuciłby pan ze sztabu każdego, który zacząłby twierdzić, że wytrzymałibyśmy minutę pod ostrzałem Francuzów.

- No cóż, dziękuję Niebu, że nie jesteś w moim sztabie, bo zagadałbyś mnie w tydzień. To absolutna prawda, że społeczeństwo...

Ale Tietjens nie słuchał. Rozważał, że to naturalne, że niewyjęty facet taki jak Sandbach zdradza przejawy tej solidarności, która powinna być między mężczyznami. Naturalne też, że bezdietna kobieta, taka jak lady Claudine Sandbach, z notorycznie i otwarcie zdradzającym ją mężem, wierzyła w niewierność mężów innych kobiet!

Generał mówił:

- Od kogo usłyszałeś te historie o broni francuskiej?

Tietjens odparł:

- Od pana! Trzy tygodnie temu!

I te wszystkie inne kobiety z towarzystwa, które miały niewiernych mężów... one wszystkie robiły, co mogły, aby zniszczyć człowieka. Wymazywanie z list gości! Proszę bardzo. Bezpłodne ladacznice kojarzone z niewiernymi eunuchami... Nagle pomyślał, że wcale nie jest pewien, czy jest ojcem swojego dziecka i jęknął.

- A co ja teraz złego powiedziałem? - zapytał generał. - Czyżbyś jednak chciał utrzymywać, że bażanty jedzą nagietki?

Tietjens udowodnił swoją reputację trzeźwości, stwierdzając: - Nie! Jęknąłem na myśl o kanclerzu! To chyba wystarczająco normalne, jak dla pana, nieprawdaż?

Pomimo to przeraził się nie na żarty. Nie udało się mu zaszufładować i pozamykać na kłódkę wszystkich swych przykrych myśli. Niemal do siebie mówił...

W wykuszu okiennym hotelu (nie tego, w którym zatrzymał się Tietjens) dostrzegł pana Waterhouse'a, który oglądał widok na mokrada. Wielki człowiek zamachał na niego, więc wszedł. Pan Waterhouse był świadom, że Tietjens, którego uważał za rozsądnego człowieka, powinien odciąć wszelki pościg za dziewczętami. Sam nie mógł poczynić żadnego ruchu w tej sprawie, ale banknot pięćofuntowy i ewentualny awans w policji mogłyby trafić tu czy tam, jeśli nie nada się rozgłosu popołudniowej napaści dzikich kobiet.

Nie było to aż takie trudne: wielki człowiek zasiadł w salonie klubowym, a tuż obok, w barze, popijali razem: burmistrz, registrar miejski, lokalny komendant policji, lekarze i prawnicy. Po załatwieniu sprawy, wielki człowiek we własnej osobie zaszedł do baru, napił się i wszystkim sprawił ogromną przyjemność swym sympatycznym zachowaniem...

Sam Tietjens, podczas obiadu sam na sam z ministrem, z którym chciał pomówić na temat jego ustawy finansowej, przekonał się, że nie jest to człowiek niemący - ani głupi, ani podstępny, z wyjątkiem poczucia humoru; wyraźnie zmęczony, ale ożywiający się po paru szklaneczkach whisky, z pewnością jeszcze nie plutokrata, natomiast wielbiciel szarlotki ze śmietaną - niczym czternastolatek. Jeśli zaś chodzi o jego sławną ustawę, która wówczas trzęsła krajem u samych jego politycznych podstaw, przyjąwszy, że była fundamentalnie niedostosowana do charakteru angielskiej klasy pracującej, każdy widział, iż pan Waterhouse nie chciał być nieuczciwy. Z wdzięcznością wysłuchał kilku uwag Tietjensa w sprawie programu rejestracji... Popijając porto, przyznali sobie wzajemnie rację w dwóch fundamentalnych ideach legislacyjnych: aby każdy zatrudniony otrzymywał minimum czterysta funtów rocznie i aby każdego parszywego producenta, który chciał płacić mniej, powiesić. Jak się zdaje, poglądy te miały świadczyć o skrajnym toryzmie Tietjensa, jako że były najradykałniejsze wśród skrajnej lewicy.

I Tietjens, który nie nienawdził nikogo, mając przed sobą prostolinijnego człowieka typu szkolnego kolegi, zaczął rozmyślać nad tym, jak to ludzkość traktowana jednostkowo była niemal zawsze sympatyczna, w swej masie zaś stawała się zjawiskiem ohydny. Przyglądasz się tuzinowi mężczyzn i żaden z nich nie jest wcale odrażający

i nieciekawym, każdy potrafiłby mówić o technicznych szczegółach swych spraw; a gdy formowało się z nich rząd bądź klub, natychmiast zjawiały się naciski, niedokładności, plotki, obmawianie, łgarstwa, korupcja i podłość, razem tworząc kombinację wilka, tygrysa, łasicy i zawszonej małpy - czyli społeczność ludzką. I przypomniały mu się słowa jakiegoś Rosjanina: „Koty i małpy. Małpy i koty. Oto cała ludzkość”.

Tietjens i pan Waterhouse spędzili resztę wieczoru razem.

Podczas rozmowy Tietjensa z policjantem, minister siedział na frontowych schodkach domku i palił tanie papierosy, a gdy Tietjens udał się spać, pan Waterhouse uparł się, aby posłać przez niego miłą wiadomość dla panny Wannop, żeby przysłała go odwiedzić któregoś popołudnia w jego prywatnym biurze w Izbie Gmin i podyskutowała na temat praw kobiet do głosowania. Pan Waterhouse absolutnie nie chciał uwierzyć, że Tietjens nie umówił się na wypad z panną Wannop. Powiedział, że był zbyt sprytnie zaplanowany jak na kobietę i stwierdził, że Tietjens jest szczęśliwcem, bo dziewczyna jest świetna.

Gdy Tietjens znalazł się z powrotem w swoim pokoju pod strychem, mimo wszystko był prawdziwie rozdrażniony. Przez dłuższy czas tłukł się od ściany do ściany, a ponieważ nie mógł się wyzwolić od myśli, dobył karty do pasjansa i pogrążył się w poważnych rozmyślaniach o warunkach pożycia z Sylwią. Chciał zapobiec skandalowi, jeśli się tylko dało, chciał żyć tak, jak było go na to stać, chciał wyjąć dziecko spod wpływu matki. Wszystkie te rzeczy były konkretne, lecz trudne... a potem jego genialny umysł zajął się przeszeregowaniem programów i na lśniącym stole jego dłonie układały królowe na królowach i zatrzymywały je tam.

Dlatego też nagle wejście Macmastera wywołało u niego wielki fizyczny szok. Mało brakowało, a zwymiotowałby; zawirowało mu w głowie i pokój zaczął się kręcić. Wypił ogromną ilość whisky w obecności Macmastera, któremu oczy wyszły ze zdumienia, ale nawet wtedy nie dał rady nic powiedzieć i padł na łóżko, ledwo świadom, że jego przyjaciel usiłuje rozluźnić mu ubranie. Wiedział, że tak długo powstrzymywał się od świadomego myślenia, aż władzę przejęła podświadomość i na czas jakiś sparaliżowała zarówno ciało, jak i mózg.

## V

- Nie wydaje mi się, aby to było zupełnie w porządku, Walentyno - rzekła pani Duchemin.

Układała w szklanej misie maluteńkie kwiatki pływające w wodzie. Na śniadaniowym stole tworzyły jakby mozaikową plamę pośród srebrnych naczyń z podwójnym dnem, srebrnych mis, na których piętrzyły się piramidy brzoskwiń i wielkich srebrnych wazonów z różami, które chyliły głowy ku adamszkowej serwecie, skupisko sreber tworzące jakby fortyfikacje przed głową stołu; dwie wielkie srebrne urny, ogromny srebrny czajnik na trójnogu i para srebrnych wazonów wypełnionych wysokimi pałkami ostróżek, rozkładającymi się na kształt wachlarza. Osiemnastowieczna sala była wysoka i długa, wyłożona ciemnym drewnem. Pośrodku czterech płyt boazerii, od światła, wisiały obrazy w kolorze złagodniałego oranżu, przedstawiające mgły oraz takielunek statków we mgle o wschodzie słońca. U dołu każdej szerokiej złotej ramy widniała tabliczka z napisem „J.M.W. Turner”. Krzesła, ustawione wzdłuż stołu, zastawionego dla ośmiu osób, miały oparcia z mahoniu o delikatnym pajęczym rysunku prawdziwego Chippendale'a; na złocistym mahoniowym kredensie, zza którego wyglądały zasłony z zielonego jedwabiu, wiszące na mosiężnej poręczy, stała w pełnej krasie gigantyczna panierowana szynka, więcej brzoskwiń na podstawce, okazały pieróg z lakierowanym ciastem, następny półmisek podtrzymujący duże, blade kule grejfruta i galantyna, sześcian intarsjowany mięsem, obłany grubą warstwą galarety.

- Ach, kobiety muszą się w tych czasach nawzajem wspierać - powiedziała Walentyna Wannop. - Nie mogłam pozwolić, abyś musiała sobie radzić sama, a przecież jadam u was co sobota od niepa miętnych czasów.

- Rzeczywiście, jestem ci ogromnie wdzięczna za moralne wsparcie. Być może nie powinnam ryzykować dziś rano. Ale kazałam Parry'emu trzymać go z dala aż do 10.15.

- W każdym razie to bardzo ładnie z twojej strony - powiedziała dziewczyna. - Wydaje mi się, że warto popробować.

Pani Duchemin, kołyszając się wkoło stołu, delikatnie zmieniła ustawienie ostróżek.



- Wydaje mi się, że utworzą dobry ekran - powiedziała.  
- Och, nikt nie będzie mógł go zobaczyć - odrzekła uspokajająco dziewczyna. Dodała z nagłym przekonaniem: - Słuchaj, Edie. Przestań się martwić o stan mojego umysłu. Jeśli uważasz, że coś, co usłyszę u twego stołu, po tym jak spędziłam dziewięć miesięcy w charakterze popychadła na Ealing, gdzie w domu było trzech mężczyzn, żona inwalidka i pijana kucharka, że coś co usłyszę u twego stołu mnie popsuje, to po prostu się mylisz. Możesz uspokoić swoje sumienie i nie mówmy więcej o tym.

- Och, Walentyno! - rzekła pani Duchemin. - Jakże twoja matka mogła cię puścić?

- Nie wiedziała - odrzekła tamta. - Szalała z rozpaczy. Prawie całe dziewięć miesięcy z założonymi rękami w pensjonacie za dwadzieścia pięć szylingów tygodniowo i dzięki tym pięciu szylingom, które zarabiałam było nas na to stać. Oczywiście Gilbert musiał być w szkole. Także w czasie wakacji.

- Nie rozumiem - powiedziała pani Duchemin. - Po prostu nie rozumiem.

- Oczywiście, że nie - odparła dziewczyna. - Jesteś jak ci inni do brotliwi ludzie, którzy złożyli się, aby odkupić bibliotekę mojego ojca i podarować ją matce. Składowanie kosztowało nas pięć szylingów tygodniowo, a tam na Ealing ciągle mieli do mnie pretensję o stan moich perkalikowych sukien... Nie mówmy już o tym więcej, jeśli nie masz nic przeciwko temu - dodała po chwili. - Wzięłaś mnie do swojego domu, a więc masz prawo do referencji, jak to nazywają damy. Ale ty byłaś dla mnie bardzo dobra i nigdy o nic nie pytałaś. A jednak wyszło. Czy wiesz, że wczoraj na polu golfowym powiedziałam jednemu mężczyźnie, że służyłam przez dziewięć miesięcy? Usiłowałam wyjaśnić, dlaczego jestem sufrażystką, a ponieważ prosiłam go o przysługę, chyba uznałam, że i jemu powinnam przedłożyć referencje.

Pani Duchemin impulsywnie podeszła do dziewczyny, wykrzykując:

- Kochana jesteś!

- Zaraz - powiedziała pani Wannop. - Jeszcze nie skończyłam. Chcę powiedzieć, że nigdy nie mówię o tamtym okresie mojej kariery

ponieważ się go wstydę. Wstydę się, ponieważ uważam, że zrobiłam źle, a nie z żadnej innej przyczyny. Zrobiłam to popędliwie i byłam zbyt uparta, aby się wycofać. Prawdopodobnie byłoby lepiej, gdybym obeszła z czapką w garści dobrych ludzi po to, żeby utrzymać matkę i żeby mogła skończyć szkołę. Ale jeśli odziedziczyliśmy wannopowego pecha, to razem z nim i wannopową dumę. No i nie umiałam tego zrobić. A poza tym miałam zaledwie siedemnaście lat i dawałam wszystkim do zrozumienia, że po wyprzedazy pojedziemy na wieś. Wcale nie mam edukacji, jak wiesz, a przynajmniej tylko połowę, gdyż ojciec, będąc geniuszem, miał pomysł. Jednym z nich było zrobienie ze mnie atlety, a nie specjalisty od klasyki w Cambridge, choć mnie się wydaje, że właśnie tym mogłabym zostać. Nie wiem, dlaczego miał taki tik... Chciałabym jednak, abyś zrozumiała dwie rzeczy. O jednej już powiedziałam: cokolwiek usłyszę w tym domu ani mną nie wstrząśnie, ani nie popsuje; że będzie mówione po łacinie nie ma tu nic do rzeczy. Łacinę rozumiem prawie tak dobrze jak angielski, bo ojciec mówił po łacinie do mnie i do Gilberta jak tylko zaczęliśmy gaworzyć... Aha, jeszcze to. Jestem sufrażystką, ponieważ byłam służącą. Ale chciałabym, żebyś wiedziała, że chociaż byłam służącą i jestem sufrażystką (a ty jesteś staromodną kobietą i dziwne rzeczy opowiada się o jednym i drugim)... No więc chciałabym, żebyś wiedziała, że mimo wszystko jestem nieskalana! Czysta, wiesz... absolutnie cnotliwa.

- Och, Walentyño! - rzekła pani Duchemin. - Czy nosiłaś czepek i fartuch? Ty! W czepku i fartuchu.

- Tak! - odparła panna Wannop. - Nosilaam czepek i fartuch, i bałaam „przepeni” do pani domu, i spałaam też pod schodami. Nie chciaalam sypiać z tą bestią kucharką.

Teraz pani Duchemin podbiegła i, chwytając pannę Wannop za obie dłonie, ucałowała ją najpierw w lewy, a potem w prawy policzek.

- Och, Walentyño, jesteś bohaterką - powiedziała. - I masz zaledwie dwadzieścia dwa lata!... Czyżby to był samochód?

Ale nie był to samochód i panna Wannop powiedziała:

- O, nie! Nie jestem bohaterką. Próbowalaam wczoraj porozmawiać z tym ministrem i po prostu nie mogalam. To Gertie się na niego rzuciła. Ja natomiast tylko skakaalam z jednej nogi na drugą i się jąkaalam: p-p-p-prawo g-g-g-głosu d-d-d-dla k-kobiet! Gdybym była

przyzwocie odważna, to nie bałabym się odezwać do nieznajomego mężczyzny... Bo właściwie do tego cała sprawa się sprowadzała.

- Ależ przecież - powiedziała pani Duchemin, nadal trzymając obie dłonie dziewczyny - tym jesteś odważniej sza... Jeśli człowiek robi coś, czego się boi, to staje się prawdziwym bohaterem, prawda?

- Och, dyskutowaliśmy o tym z ojcem, gdy mieliśmy po dziesięć lat. Nie wiadomo. Należałoby zdefiniować termin „odważny”. Byłam po prostu upodlona. Mogłabym zrobić wykład całej bandzie razem. Ale odezwać się do jednego mężczyzny z zimną krwią... nie potrafiłam. Oczywiście odezwałam się do takiego grubego golfującego idioty z wylupiastymi oczyma, żeby ratował Gertie. Ale to co innego.

Pani Duchemin podniosła i opuściła ręce dziewczyny.

- Dobrze wiesz, Walentyno, że jestem kobietą staroświecką, uważam, że prawdziwe miejsce kobiety jest przy boku męża, a jednocześnie...

Panna Wannop odsunęła się.

- Nie, przestań, Edie, przestań! - powiedziała. - Jeśli tak uważasz, to jesteś anty. Nie możesz być zarazem za i przeciw. Właściwie to twoja wada... Mówię ci, że nie jestem bohaterką. Więzienie mnie przeraża. Nienawidzę awantur. Dziękuję opatrności, że mam obowiązek prowadzić dom i pisać na maszynie dla mamy, a więc nie mogę faktycznie różnych rzeczy robić... Popatrz tylko na tę żalną, mówiącą przez nos małą Gertie, co się schowała na naszym stryszku. Całą wczorajszą noc przeplakała, ale to tylko z nerwów. A w więzieniu była pięć razy, z płukaniem żołądka i ze wszystkim! I ani raz się nie cofnie! Aja? Dziewczę jak skała, której areszt nawet nie zaszkodzi?

Proszę, cała się trzęsę. Dlatego gadam bzdury jak afektowana pensjonarka. Jestem po prostu przerażona, że każdy szmer może oznaczać, że idzie po mnie policja.

Pani Duchemin pogładziła dziewczynę po jasnych włosach i założyła luźny kosmyk za ucho.

- Dlaczego nie pozwolisz mi pokazać, jak upinać włosy. W każdej chwili może pojawić się On.

- Ach, On! - powiedziała panna Wannop. - Dziękuję za taktowną zmianę tematu. Ten On, w moim przypadku i z moim szczęściem, gdy się pojawi, okaże się żonaty. Szczęście Wannopów!

Pani Duchemin odezwała się z głęboką troską:

- Nie mów tak... Dlaczego uważasz się za mniej szczęśliwą od innych ludzi? Przecież twojej matce się udało. Ma pozycję, zarabia pieniądze...

- Ależ mama nie jest Wannopem. Tylko przez małżeństwo. Prawdziwi Wannopowie... byli traceni i skazywani na banicję ze wszystkimi konsekwencjami i fałszywie oskarżani, i ginęli w wypadkach komunikacyjnych, i żenili się z łotrami albo umierali bez grosza przy duszy jak ojciec. Od zarania dziejów. No i mama ma swoją maskotę...

- A cóż to? - zapytała pani Duchemin, prawie z ożywieniem. - Jakaś relikwia...?

- Nie wiesz o maskocie mamy? Opowiada wszystkim... Nie znasz historii człowieka z szampanem? Jak to mama siedziała w swojej kawalerce kontemplując samobójstwo i przyszedł facet o nazwisku kojarzącym się z herbata; ona go zawsze nazywa maskotą i prosi, abyśmy go tak wspominali w modlitwach... To człowiek, który był z ojcem na uniwersytecie w Niemczech lata temu i bardzo się z nim przyjaźnił, i nie utrzymał kontaktu. I nie było go dziewięć miesięcy w kraju, kiedy ojciec umarł i tak dalej. Po krótkiej rozmowie z mamą stwierdził, że potrzebuje szampana. Posłał służącą z suwerenem po butelkę Veuve Cliquot. Następnie ubił szyjkę butelki o półkę nad kominkiem, bo za długo trwało czekanie na otwieracz. Stał nad mamą, gdy wypijała połowę butelki ze szklanki do mycia zębów. Później zabrał ją na obiad. O... o... och, zimno! I zrobił jej wykład... I załatwił pracę w gazecie, w której ma wykupiony udział...

- Drżysz! - powiedziała pani Duchemin.

- Wiem - odpowiedziała dziewczyna. Ciągnęła bardzo prędko: - No i oczywiście, że mama zawsze pisała ojcu artykuły. Pomysły były jego, ale nie umiał pisać, a ona ma wspaniały styl... I od tego czasu on, maskota, herbaciany, zawsze pojawiał się, gdy mama miała problemy. W gazecie zrobiła się afera i zagrożono jej wyrzuceniem za nieścisłości! Mama jest straszliwie niedokładna. Więc wypisał jej tabelę rzeczy, o której każdy autor wiodących artykułów wiedzieć powinien, na przykład że A. Ebor to Arcybiskup Yorku i że rząd mamy liberałów. I któregoś dnia przyszedł i zapytał dlaczego nie napisze powieści na podstawie tej historii, którą mu opowiadała. Pożyczył jej

pieniądze na zakup tego domku, w którym teraz mieszkamy, żeby miała ciszę i mogła pisać... Och, nie mogę dłużej!

Panna Wannop rozplakała się.

- Wszystko przez to, że myślę o tych okropnych czasach - powiedziała. - I o strasznym, strasznym wczorajszym dniu! - Ze złością wepchnęła kostki obu dłoni w oczy i z determinacją uniknęła zarówno chusteczki pani Duchemin, jak i jej objęć. - Cóż za myśląca ze mnie osoba - powiedziała niemal pogardliwie. - Masz przed sobą taką przeprawę! Czy uważasz, że nie doceniam waszego cichego domowego heroizmu, podczas gdy my maszerujemy sobie z flagami i wrzeszczymy? Ale właśnie po to, aby kobiety takie jak ty wyzwolić z wiecznych, nieustannych tortur duchowych i cielesnych my...

Pani Duchemin zasiadła na krześle przy oknie. Chusteczką zakryła twarz.

- Dlaczego kobiety w twojej sytuacji nie biorą sobie kochanków... - powiedziała gwałtownie dziewczyna. - A może, właśnie kobiety w twojej sytuacji biorą kochanków...

Pani Duchemin uniosła twarz. Mimo łez, malował się na niej wyraz dostojnej powagi.

- O, nie, Walentyno - rzekła, wykorzystując głębsze tony głosu. - Jest coś przesywającego w czystości. Nie mam wąskich poglądów. Cenzorskich! Nie potępiam. Jednakże zachować w słowach, myślach i czynach dożywotnią wierność... Nie byle jakie to osiągnięcie...

- Masz na myśli coś podobnego do wyścigu z jajkiem na łyżce - powiedziała panna Wannop.

- Nie - odrzekła tamta łagodnie. - Nie tak bym to ujęła. Czyż nie jest prawdziwym symbolem Atalanta, która biegnie szybko i nie odwraca się ku złotemu jabłku? Zawsze wydawało mi się, że taka jest faktyczna prawda, ukryta w tej pięknej, starej legendzie...

- Nie wiem - powiedziała panna Wannop. - Odkąd przeczytałam, co Ruskin na ten temat napisał w „Koronie z dzikiej oliwki”. Nie! To w „Królowej Przystworzy”. Te jego greckie brednie, tak? Mnie się zawsze to kojarzyło z bieganiem z jajkiem na łyżce. W sumie wychodzi na to samo.

- Moja droga! - rzekła pani Duchemin. - Ani złego słowa na Johna Ruskina w tym domu!

Panna Wannop wydała z siebie krzyk.

Jakiś stentorowy głos był wrzasnął:

- Tędy! Tędy!... Panie będą tutaj!

Trzech wikarych pana Duchemina (miał ich trzech, na trzech bagnistych parafiach prawie darmowych, tak że jedynie bardzo bogaty duchowny mógł je utrzymać) według powszechnych ocen było roslymi mężczyznami o posturach bokserów raczej niż księży. Dlatego też, jeśli zdarzyło się, że zmierzchem pan Duchemin (sam będący wyjątkowej postury) oraz jego trzej asystenci szli drogą to serce każdego złoczyńcy napotkanego przypadkiem we mgle przestawało bić.

Pan Horsley, numer drugi, miał na dodatek potężny głos. Wykrzyczał cztery czy pięć słów, przerywał je „ha-ha”, wrzeszczał następnie cztery czy pięć słów i znowu wtrącał „ha-ha”. Miał gigantyczne kostki w przegubach rąk, wystające spod mankietów kleryka, gigantyczne jabłko Adama, dużą, chudą przystrzyżoną bezbarwną twarz podobną do trupiej czaszki, z bardzo zapadniętymi oczyma; a gdy raz zaczął mówić, nie można było go zatrzymać, ponieważ dźwięk jego własnego głosu w uszach uniemożliwiał jakąkolwiek próbę przerwania mu.

Tego ranka, będąc domownikiem wprowadzającym do pokoju śniadaniowego panów Tietjensa i Macmastera, którzy podjechali pod schody akurat wtedy, gdy na nie wchodził, miał im coś do powiedzenia. A więc przedstawianie jako takie, nie mogło być uznane za sukces...

- Stan obłączenia, proszę pani! Chi-chi! - na przemian ryczał i chichotał. - Żyjemy jak w autentycznym stanie obłączenia... z tym wszystkim...

Wynikła z tego opowieść, że poprzedniego wieczoru po kolacji pan Sandbach oraz przeszło pół tuzina tych młodzieńców, którzy jedli w Mountby, wsiadło na motocykle i, uzbrojeni w obciążone laski, zajęło się przeczesywaniem polnych traktów w poszukiwaniu... sufrażystek! Napadali na każdą napotkaną w ciemności kobietę, zatrzymywali, grozili swymi laskami i poddawali intensywnemu odpytaniu. W okolicy wrzało.

Opowieść ta, z odpowiednimi refleksjami i powtórzeniami, zajęła dużo czasu i pozwoliła Tietjensowi oraz pannie Wannop na przyjrzenie się sobie. Panna Wannop szczerze obawiała się, że ten duży,

niezgrabny, nietypowy mężczyzna, odnalazłszy ją znów, odda ją w ręce policji, która zapewne poszukuje jej i jej przyjaciółki Gertie, panny Wilson, w owej chwili znajdującej się w łóżku, jak się jej zda- wało pod opieką pani Wannop. Na polu golfowym wydał się jej natu- ralny i na miejscu, tutaj, w tym jego luźno zwisającym ubraniu, z ogromnymi dłońmi, z białą łąką na boku dość krótko ostrzyżonej głowy i z raczej niekształtnymi rysami ułożonymi w maskę, sprawiał na niej dziwaczne wrażenie, że jednocześnie jest na miejscu i nie na miejscu. Wydawał się pasować do szynki, pieroga, galantyny i nawet do róż; ale obrazy Turnera, wyestetyzowana kotara, drapowane szaty pani Duchemin, bursztyn i róż we włosach wcale się z nim nie zgadzały. Nie zgadzały się nawet krzesła Chippendale. I złapała się na tym jak myśli, obok swych perturbacji przestępcy i mimo głosu wiel- lebnego pana Horsleya, że jego harrisowski tweed pasuje do jej spódnicy, poczuła się zadowolona, że założyła czystą bluzkę z kre- mowego jedwabiu, a nie kretonową w różowe paski.

Miała rację.

Każdy mężczyzna myśli dwutorowo, równolegle, jeden tok myśle- nia koryguje drugi; w ten sposób emocje mierzą się z rozsądkiem, intelekt z pasją, a pierwsze wrażenie oddziałuje troszkę, troszeczkę, na refleksję. A jednak pierwsze wrażenia zawsze mają fory i trzeba mocno wyteńczyć siłę spokojnej refleksji, aby je zatrzeć.

Poprzedniego wieczoru Tietjens poświęcił kilka myśli młodej ko- biecie. Generał Champion przypisał ją do niego, w charakterze *maitresse du titre*. Mówiono, że zrujnował się, zniszczył swój dom i wydał na nią pieniądze żony. Były to kłamstwa. Z drugiej strony, nie były to rzeczy całkiem niemożliwe. Od czasu do czasu, przy odpo- wiedniej kobiecie, całkiem porządni mężczyźni byli do tego zdolni. Możliwe, że i on dałby się tak złapać, kto wie? Ale że miałby się zruj- nować dla nieefektywnej młodej kobiety, która oznajmiła mu, że była na służbie; i miała na sobie bluzkę z różowego kretonu... wydawało się mu, że to przekracza granice nawet bezmyślnych plotek klubo- wych!

Tak było silne pierwsze wrażenie! Owszem, jego powierzchowny rozum mówił mu, że ta dziewczyna nie urodziła się na służącą, była córką profesora Wannopa i potrafiła skakać! Gdyż Tietjens był sil- nym zwolennikiem teorii, że to co faktycznie dzieliło klasy wyższe

od niższych, to umiejętność podnoszenia nóg z ziemi, czego ta ostatnia nie potrafiła.

...Jednak silne wrażenie pozostawało. Panna Wannop była służącą. Była z natury pokojówką. Pochodziła z dobrej rodziny, ponieważ Wannopowie po raz pierwszy pojawili się w Birdlip, w hrabstwie Gloucester, w roku 1417 - niewątpliwie wzbogaceni po bitwie pod Agincourt. Lecz nawet genialni i dobrze urodzeni mężczyźni czasem pładzą córki, które są z natury pannami do towarzystwa. W taki dziwaczny sposób działała dziedziczność... i choć Tietjens nawet zaszedł tak daleko, że przyznał, iż panna Wannop jest zapewne bohaterką poświęcającą swe młode lata talentowi matki i bez wątpienia też na rzecz brata w szkole (tak wiele udało się mu odgadnąć), nawet wtedy Tietjens nie dostrzegał w niej nic innego poza panną do towarzystwa. Bohaterki są do przyjęcia, podziwu godne, nawet święte, lecz jeśli pozwolą sobie na zmartwienie na twarzy i niechlujny ubiór... Cóż, muszą poczekać na to złoto, które przechowuje się dla nich w większej ilości w niebiesiech. Na ziemi trudno byłoby uznać, że są odpowiednie na żony dla kogoś z jego sfery. Z pewnością mężczyzna nie wydałby na taką pieniędzy swojej żony. I do tego wszystko się sprowadzało.

Lecz teraz zobaczył ją żywszą, w jedwabiu, nie różowym kretonie, z lśniącymi, upiętymi włosami zamiast białego płóciennego kapelusza, o czarującej młodej szyi, w dobrych butach podkreślających zgrabne kostki; z zaróżowionymi policzkami w miejsce wczorajszej błości ze strachu o towarzyszkę; wyraźnie traktowaną jak równa między przyzwoitymi ludźmi... niedużą, ale kształtną i zdrową o gigantycznych niebieskich oczach patrzących bez zażenowania w jego własne.

Na Jowisza! - pomyślał. To prawda! Jaką świetną byłaby kochanką!

Winił Campiona, Sandbacha i klubowych plotkarzy za formę, jaką nabrała ta myśl. Okrutne, gorzkie i arcygłupie naciski świata są mimo wszystko w jakiś sposób wybiórcze i jeśli łączy się mężczyznę z kobietą nieubłaganie wijąc wkoło nich pierścienie obmowy, oznacza to, że w takim związku jest jakaś harmonia. Istnieje jeszcze presja sugestii!



Spojrzał na panią Duchemin i uznał, że jest nieskończenie pospolita i prawdopodobnie nudna. Nie spodobał mu się styl jej błękitnej sukni o szerokich ramionach i obfitych draperiach i stwierdził, że żadna kobieta nie powinna nosić nieprzezroczystych bursztynow, bo prawdziwym przeznaczeniem takiego bursztynu były fifki do papierosów dla hołoty. Spojrzał z powrotem na pannę Wannop i ocenił, że byłaby dobrą żoną dla Macmastera. Macmaster lubił krzepkie dziewczyny, a ta dziewczyna była w wystarczającym stopniu damą.

Usłyszał jak pana Wannop krzyczy w kierunku pani Duchemin:

- Czy mam siedzieć przy głowie stołu i nalewać?

- Nie! - odparła pani Duchemin. - Poprosiłam panią Fox. Jest prawie całkiem głucha. - Pani Fox była siostrą jednego ze zmarłych wikarych i nie miała grosza. - Ty masz zabawiać pana Tietjensa.

Tietjens zauważył, że pani Duchemin ma przyjemny głos, który penetrował dźwięki wydawane przez pana Horsleya niczym świst drozda nawałnicę. Bardzo przyjemny. Zauważył, że panna Wannop skrzywiła się lekko. Pan Horsley, na podobieństwo megafonu w tłumie, obracał się naokoło i po kolei zwracał się do swych słuchaczy. W danym momencie wrzeszczał na Macmastera, za chwilę miała nadejść kolej Tietjensa na wysłuchanie opisów ataków serca starej pani Haglan w Nobeys. Jednak kolej Tietjensa nie nadeszła...

Do pokoju wkroczyła około czterdziestopięcioletnia dama o rumianej karnacji, okrągłych policzkach, sympatycznych oczach, ubrana dość dobrze w czerń kogoś nie tak świeżo owdowiałego. Poglaskała pana Horsleya po prawej ręce, której używał do deklamacji, a ponieważ dalej perorował, złapała go za dłoń i potrząsnęła ją. Wykrzyknęła, komenderującym tonem:

- Który to Macmaster, ten krytyk? - po czym w głuchej ciszy zwróciła się do Tietjensa: - Czy to pan jest tym krytykiem, Macmasterem? Nie?... A więc to musi być pan.

Zwróciła się do Macmastera i jej zainteresowanie Tietjensem wygasło. Była to najbardziej obraźliwa rzecz, jaka kiedykolwiek się mu przytrafiła, ale zachowanie damy było tak konkretne, że nawet się nie przejął. Mówiła do Macmastera:

- Och, panie Macmaster, moja nowa książka wychodzi za tydzień w czwartek. - Zaczęła prowadzić go w kierunku okna na przeciwnym końcu pokoju.

Panna Wannop powiedziała:

- Coś zrobiła z Gertie?

- Gertie! - pani Wannop wykrzyknęła w zdumieniu jak ktoś budzony ze snu. - A tak! Śpi. Będzie spać do czwartej. Powiedziałam Hannie, żeby od czasu do czasu do niej zajrzała.

Dłonie panny Wannop opadły bezwolne wzdłuż ciała.

- Och, mamó - wydusiła.

- Ach, rzeczywiście - przypomniała sobie pani Wannop. - Uzgodniłyśmy powiedzieć starej Hannie, że nie będzie nam dziś potrzebna. Tak było! Stara Hanna nam sprząta - powiedziała do Macmastery. - Zawahała się trochę, po czym kontynuowała wesoło: - Oczywiście, że będzie to dla pana z korzyścią, gdy pan posłucha o mojej nowej książce. Dla was, dziennikarzy, krótkie wyjaśnienie wyprzedzające... - Pociągnęła za sobą Macmastery który zdawał się nieśmiało beczeć...

Stało się to dlatego, że gdy panna Wannop wsiadała do powozu, który miał ją zawieźć na plebanię (sama nie potrafiła powozić koniem), powiedziała matce, że na śniadaniu będą dwaj panowie, jednego nie znała z nazwiska, a drugim miał być pan Macmaster, znany krytyk. Pani Wannop zawołała:

- Krytyk? Czego? - A cała jej senna postać była jak zelektryzowana.

- Nie wiem - odparła córka. - Sądzę, że literacki...

Kilka sekund później, gdy koń, wielkie czarne zwierzę, które nie chciało stanąć, przebył ze dwadzieścia jardów kilkoma susami, powożący powiedział:

- Pani matka czegoś za panią krzyczy.

- To nieważne - odrzekła panna Wannop.

Wierzyła, że udało się jej wszystko zorganizować. Wróci na czas i zrobi obiad. Mama od czasu do czasu zajrzy do Gertie Wilson na stryszku, Hanna, kobieta przychodząca na dzień do pomocy, dowie się, że ma wolne. Było to nadzwyczaj ważne, by Hanna nie dowiedziała się, że całkiem nieznaną młodą kobietą śpi na stryszku o jedenastej w dzień. W innym razie dowie się o tym natychmiast całe sąsiedztwo i policja od razu ją znajdzie.

Lecz pani Wannop była kobietą interesu. Jeśli doszły ją słuchy o recenzencie, który znalazł się w zasięgu jazdy powozem, zajeżdżała

do niego z prezentem w postaci jajek. Jak tylko przyszła Hanna, pani Wannop wyruszyła piechotą na plebanię. Nawet niebezpieczeństwo obławy policyjnej by jej nie powstrzymało, zresztą, całkiem zapomniała o policji.

Jej przybycie zmartwiło panią Duchemin niezmiernie, ponieważ chciała, aby wszyscy jej goście siedzieli i żeby śniadanie było w toku zanim wejdzie jej mąż. To wcale nie było łatwe. Pani Wannop, której nie proszono, nie odstępowała pana Macmastera. On powiedział jej, że nigdy nie pisuje recenzji do prasy codziennej, a tylko artykuły do poważniejszych kwartalników. Wtedy właśnie pani Wannop przyszło do głowy, że taki artykuł o jej nowej książce w jednym z kwartalników akurat by się przydał. Dlatego też była zajęta opowiadaniem panu Macmasterowi, jak ma o niej pisać i dwa razy po tym, jak pani Duchemin prawie udało się zaprowadzić pana Macmastera na jego miejsce, pani Wannop zawróciła go do zakątka przy oknie. Dopiero gdy pani Duchemin usiadła na krześle obok Macmastera, udało się jej zachować tę wielce ważną, strategiczną pozycję. A także dzięki okrzykowi:

- Panie Horsley, niechże pan zabierze panią Wannop na miejsce koło siebie i nakarmi ją! - gdy pani Wannop szykowała się na miejsce samego pana Duchemina na szczycie stołu, bowiem pani Wannop, spostrzegłszy że to miejsce koło pana Macmastera jest wolne, wysunęła krzesło Chippendale i była gotowa na nim zasiąść. To mogło oznaczać wyłącznie katastrofę, ponieważ mąż pani Duchemin zostałby wpuszczony między pozostałych gości.

Jednakże pan Horsley wypełnił swój obowiązek odprowadzenia tej damy z taką stanowczością, że pani Wannop uznała go za osobę bardzo niesympatyczną i niezgrabną. Pan Horsley miał miejsce koło pani Fox, szarej starej panny, która siedziała jakby wewnątrz fortyfikacji ze srebrnych urn i zajmowała się zrećźnie kręceniem kurków z kości słoniowej przy całej tej maszynierii. Pani Wannop usiłowała też zająć to miejsce, wyobraziwszy sobie, że gdy przesunie srebrne wazy, w których tkwiły wysokie ostróżki, uda się jej uzyskać po przekątnej widok na Macmastera i będzie mogła do niego krzyczeć. Niestety, przekonała się, że jej się nie uda, a więc z rezygnacją zajęła miejsce przeznaczone dla panny Gertie Wilson, która miała być

ósmym gościem. Tam siedziała w roztargnionym przygnębieniu raz po raz mówiąc do córki:

- Uważam, że to bardzo źle rozplanowanie. Uważam, że to przyjęcie jest bardzo źle zaplanowane.

Panu Horsleyowi prawie nie podziękowała za sołę, którą przed nią umieścił, na Tietjensa nawet nie spojrzała.

Siedząc około Macmastera, z oczami utkwionymi w niewielkie drzwi w rogu wyłożonej boazerią ściany, pani Duchemin padła ofiarą nagłego i wszechogarniającego ataku obawy. Zmusił ją, aby powiedzieć gościowi, choć wcześniej była gotowa zaryzykować i nie mówić niczego:

- Nie wiem, czy to w porządku, że proszono pana o przyjazd aż tutaj. Może być tak, że niczego pan od męża nie usłyszysz. On bywa... szczególnie w soboty... - urwała niezdecydowanie.

Istniała możliwość, że nic się nie stanie. W dwie soboty na siedem nic się rzeczywiście nie działo. Wtedy wyznaczenie zmarnuje się, a ten współczujący człowiek opuści jej życie z poczuciem, że nie musiał, i na jej wspomnieniu w jego pamięci zostanie skaza.

Lecz nagle ogarnęło ją uczucie, że gdyby tylko wiedział o jej cierpieniach, poczułby się zobowiązany zostać i pocieszyć ją. Szukała na oślep słów, którymi mogłaby zakończyć zdanie. Lecz Macmaster powiedział:

- Ależ droga pani! - i zdało się jej, że to czarujące jak się do niej zwrócił! - To można zrozumieć... z pewnością jest się szkolonym i przyzwyczajonym, aby rozumieć... że ci wielcy uczeni, ci roztargnieni *cognoscenti*...

Pani Duchemin wydała z siebie wielkie westchnienie ulgi. Macmaster posłużył się akurat odpowiednimi słowami.

- I - kontynuował Macmaster - aby chociaż spędzić krótką godzinę, lot jaskółki... „niczym jaskółka szybująca od strzelistego portalu po strzelisty portal”... Zna pani te słowa... tu, w pani doskonałym otoczeniu...

Zdawało się, że od niego ku niej płyną fale rozkoszy. Tak właśnie powinni wysławiać się mężczyźni, tak właśnie - stalowoszary krawat, obrączka przy nim wyglądająca na prawdziwe złoto, stalowoniebieskie oczy pod czarnymi brwiami - powinni wyglądać mężczyźni. Była

na poły świadoma ciepła, jakby rozkosznie zapadała się w sen, prawdziwy, w doskonałym otoczeniu. Róże na stole były śliczne, dotarł do niej ich zapach. Dobiegł ją głos:

- Muszę powiedzieć, że naprawdę robi to pani ze smakiem.

Wielki, niezgrabny i nieciekawý stwór, którego przyprowadził ze sobą ten fascynujący mężczyzna, pretendował do jej uwagi. Właśnie postawił przed nią mały niebieski talerzyk, na którym znajdowało się nieco czarnego kawioru i talarek cytryny; niewielki delikatny różowawy talerzyk z sewskiej porcelany z najróżowszą brzoskwinia z wszystkich. Wymieniła nazwy podanych jej artykułów jakiś czas temu, z niejasnym poczuciem, że na pewno otoczą jej postać czarem w oczach Kalibana.

Zapięła się w swej zbroi czaru: Tietjens patrzył wielkimi, rybimi oczyma na kawior stojący przed nią.

- A w jaki sposób to może pani podawać, na przykład? - zapytał.

- Och - odrzekła - gdyby to nie mój mąż się tym zajmował, uznałabym to za zbyt ostentacyjne. Ja sama uważałabym, że to ostentacja. - Znalazła dla niego uśmiech, promienny, lecz rozproszony. - Wyszukił Simpkinsa z New Bond Street. Dzień wcześniej posyłamy wiadomość telefonicznie i specjaliści posłańcy jadą do Billingsgate o świcie po łososie, barweny i to, na łodzi, i jeszcze po wielkie bloki lodu. Takie są piękne... potem przed siódmą samochód jedzie do Ashford Junction... Ale i tak są trudności z wydawaniem śniadań wcześniej niż o dziesiątej.

Nie miała ochoty marnować swych ostrożnie skonstruowanych zdań na rzecz tego szarego człowieka; jednak nie mogła wrócić, choć bardzo tego pragnęła, do fraz o znajomym brzmieniu, (jakby pochodzących z czytanych przez nią książek!), wypowiedzianych przez drobniejszego mężczyznę.

- Ależ nie jest to - rzekł Tietjens - ostentacyjność. To jest wielka Tradycja. Nigdy nie wolno pani zapomnieć, że pani małżonek jest wielkim Śniadaniowym Ducheminem z Magdalen.

Wydawało się jej, że jego twarz przybrała niezgłębiony wyraz, gdy tak patrzył jej głęboko w oczy. Bez wątpienia jednak chciał być miły.

- Czasem owszem chciałabym - powiedziała. - On sam nic z tego nie ma. Jest ascetą aż do granic nierozsądku. W piątek nie jada nic. Ja wtedy obawiam się... o sobotę.

- Wiem - powiedział Tietjens.

- Pan wie! - wykrzyknęła niemal ostro.

Nadal patrzył jej prosto w oczy.

- Ależ oczywiście wszystko wiadomo o Śniadaniowym Duchemini! Był jednym z tych, którzy przygotowywali drogę dla Ruskina. Mówiono, że jest najbardziej ruskinopodobny z nich wszystkich!

- Och! - krzyknęła pani Duchemin.

Fragmety najgorszych opowieści opowiedzianych przy najgorszym humorze starego preceptora jej męża przebiegły jej przez myśl. Wydało się jej, że ów mgławicowy potwór musi znać najbardziej wstydlive urywki o jej życiu intymnym. Bowiem Tietjens, obrócony bokiem, twarzą w jej twarz, zdawał się przeistaczać w potwora, jakby z zamazanymi konturami. To był samiec, groźny, niezgrabnie odrażający i uzewnętrzniony! Poczula, że mówi w duchu: „Zrobię ci krzywdę, jeśli kiedykolwiek...” Już czuła, że jej sympatie, myśli i przyszłość przeważyły ku mężczyźnie po drugiej stronie. To był samiec delikatny, dopasowany, dopełniający harmonię, nadający się do spożycia niczym słodki miąższ figowy... Było to nieuniknione, było to niezbędne dla natury jej związku z mężem, że w pani Duchemin pojawiły się te uczucia...

Tak wielce była poruszona, że wysłuchiwała niemal bez emocji, jak za jej plecami rozbrzmiał wysoki, charczący głos, którego tak się obawiała:

- *Post coitum triste!* Ha! Ha! O to chodzi? Wiecie, co to znaczy? - dodał sardonicznie ten sam człowiek.

Lecz problem z jej mężem stał się drugorzędny, prawdziwym problemem było „Co ten potworny i nienawistny człowiek powie o niej jej przyjacielowi, kiedy przez długie godziny będą razem?”.

Wciąż patrzył jej w oczy. Powiedział od niechcienia i zniżonym głosem:

- Na pani miejscu nie oglądałbym się. Vincent Macmaster całkowicie sobie poradzi z sytuacją.

Jego głos miał poufały ton starszego brata. I natychmiast pani Duchemin odgądnęła, że on już wie, że Macmaster i ona już związali się

bliżej. Zwracał się jak w pilnych przypadkach mówi mężczyzna do kochanki swego najdroższego przyjaciela. A więc był jednym z tych strasznych i budzących strach mężczyzn, którzy posiadają dar intuicji.

- Słyszała pani!

Rozradowany, okrutny głos zapytał:

- Wie pan, co to znaczy?

Na to Macmaster odrzekł wyraźnie, lecz z dobitną intonacją profesora udzielającego reprimendy:

- Oczywiście, że wiem, co to znaczy. Nie jest to żadne odkrycie!

Trafił akurat na odpowiednią nutę. Tietjens razem z panią Duchemin mogli usłyszeć dobiegającą zza murów postawionych z niebieskich palików i srebra odpowiedź pana Duchemina stłumioną jak u pouczonego uczniaka. Za niewidzialnym krzesłem stał nieduży mężczyzna o hardej twarzy, w szarych tweedach zapiętych na ostatni guzik pod szyją na podobieństwo stójki, patrząc prosto przed siebie w nieskończoność.

Tietjens zorientował się, że jest tutaj Parry, bokser wagi półciężkiej z Bermondsey! Pewnie przybył, żeby wynieść Duchemina, jeśli stanie się agresywny!

W tym czasie, kiedy Tietjens szybko powiódł oczami wokół stołu, pani Duchemin wydała z siebie krótkie westchnienie absolutnej ulgi i opadła na krzesło. Cokolwiek miał pomyśleć o niej Macmaster, już to zrobił. Znał najgorsze! Skończone, na dobre czy na złe. Za minutę spojrzy na niego.

- W porządku - powiedział Tietjens. - Macmaster będzie nierównany. Mieliśmy w Cambridge znajomego o podobnych tendencjach jak pani mąż, a Macmaster potrafił go poholować przez wszelką okazję towarzyską. Poza tym, my tu wszyscy jesteśmy dobrze urodzeni!

Zauważył zainteresowanie wielkiego Horsleya i pani Wannop tym, co mieli na talerzach. Nie był całkiem pewien panny Wannop. Zauważył, jak wyraźnie w jego kierunku spojrzały prosząco jej duże niebieskie oczy. Pomyślał, że zapewne zna sekret. Apeluje do mnie, żebym nie pokazał po sobie uczuć i nie popsuł zabawy! Jaka szkoda, że ona jest tutaj, przecież to dziewczyna! W odpowiedzi posłał jej spojrzenie, które oznaczało, że po tej stronie stołu wszystko jest w porządku.

Jednakże pani Duchemin poczuła, jak jej nastrój z lekka opada. Macmaster do tego czasu wiedział już o wszystkim, co najgorsze; Duchemin cytował mu gorączkowe wyuzdanie „Trymalchiona” Petroniusza, pofukując na ucho. Dosłyszała frazę *Froturianas, puer callide...* Duchemin, trzymając ją boleśnie z siłą maniaka za przegub ręki, tłumaczył jej to raz po raz... I nie wątpiła, że ten nienawistny mężczyzna przy niej to odgadł!

- Oczywiście, że tu wszyscy jesteśmy dobrze wychowani. Naturalnie, o to się człowiek stara... - powiedziała.

- A jednak wcale nie jest to łatwe do zorganizowania w dzisiejszych czasach - odrzekł Tietjens. - Różna hołota dostaje się do najświętszych ze świętych miejsc!

W połowie zdania pani Duchemin odwróciła się do niego tyłem. Pochłonęła twarz Macmastera wzrokiem, czując niezmierne uspokojenie.

Cztery minuty wcześniej Macmaster, jako jedyny spostrzegł, jak przez niewielkie obudowane drewnem drzwi, za którymi były drugie, obite zielonym filcem, wszedł wielebny Duchemin, a za nim mężczyzna, w którym Macmaster także natychmiast rozpoznał Parry'ego, eksboksera. Przebiegło mu przez myśl, że była to nadzwyczajna koniunkcja. Także to, że mężczyzna tak przystojny jak małżonek pani Duchemin nie był wysoko ceniony przez Kościół, który był przecież zawsze głodny męskiej urody. Pan Duchemin był wyjątkowo wysoki, lekko zgarbiony jak przystało na duchownego. Miał alabastrową twarz, siwe włosy z przedziałką pośrodku, które opadały wspaniale na jego wysokie skronie, miał szybkie, przesywające, surowe spojrzenie i krogulczy, rzeźbiony nos. Był odpowiednim mężczyzną - ozdobą niebotycznej i cudownej świątyni, właśnie tak jak pani Duchemin była odpowiednią kobietą, by uświęcić episkopalne ognisko domowe. Ze swoim wielkim majątkiem, wiedzą i tradycjami... A więc czemu, przebiegło przez myśl Macmastera podejrzenie jak ukłucie szpilki, nie jest przynajmniej dziekanem?

Pan Duchemin podszedł szybko do swojego miejsca i Parry, idący równie szybko za nim, podsunął mu krzesło. Jego pan wślizgnął się na nie wdzięcznym ukośnym ruchem. Potrzęsana głową na panią Fox, która podniosła dłoń w kierunku urny i kurka z kości słoniowej.



Przy jego talerzu stała szklanka wody i wokół niej zamknęły się jego długie, bardzo białe palce. Rzucił okiem na Macmastery, potem popatrzył na niego z błyszczącymi od śmiechu oczyma. Powiedział:

- Dzień dobry, panie doktorze - i dodał, tłumiąc cichy protest Macmastery: - Owszem! Owszem! Stetoskop pieczołowicie zapakowany do cylindra i lśniący melonik pozostawiony w przedpokoju.

Bokser, ubrany w obcisłe getry, ciasne sztruksowe bryczesy i krótką ciasną marynarkę, zapinaną na guziki aż pod brodę, całkiem jak stajenny właściciela ziemskiego, rzucił szybkie spojrzenie rozpoznawcze na Macmastery, a potem popatrzył na plecy Duchemina, podnosząc brwi. Macmaster, który znał go dobrze, ponieważ dawał lekcje boksu Tietjensowi w Cambridge niemal słyszał, że mówi: „Dziwna odmiana, proszę pana! Pan popilnuje go chwilkę!” i szybko, lekko na palcach, jak prawdziwy pugilista, posunął w kierunku kredensu. Macmaster z własnej inicjatywy rzucił ukradkowe spojrzenie na panią Duchemin. Była do niego odwrócona tyłem i pogrążona w konwersacji z Tietjensem. Serce mu zadrgało, gdy odwracając się z powrotem zobaczył, że pan Duchemin prawie stoi i rozgląda się po srebrnych fortyfikacjach. Ale znowu upadł na krzesło i spojrzawszy na Macmastery z wyrazem wyjątkowej przebiegłości na swej ascetycznej twarzy, zakrzyknął:

- A pański przyjaciel? Jeszcze jeden doktor medycyny? Wszyscy w komplecie ze słuchawkami. Oczywiście, dwóch lekarzy jest koniecznych, aby zaświadczyć o...

Urwał i z wyrazem nagłej, zniekształconej wściekłości odepchnął ramię Parry'ego, który wślizgiwał talerz pełen filetów z soli na stół pod jego nosem.

- Zabierz - zaczął jak grzmot. Lecz rzuciwszy następne chytre spojrzenie na Macmastery powiedział: - Tak! Tak! Parry! Świetnie. Tak! Sola! Kawałek cynaderki potem. Jeszcze jeden! Tak! Grejpfrut - przybrał ton starego oksfordczyka, rozłożył sobie serwetkę na kolanach i czym prędzej włożył do ust kawałek ryby.

Macmaster, intonując z cierpliwą dokładnością, powiedział, że musi otrzymać pozwolenie na przedstawienie się. Nazywał się Macmaster i korespondował z panem Ducheminem na temat swej niewielkiej monografii. Pan Duchemin popatrzył na niego pilnie ze

zbudzoną uwagą, z której stopniowo znikła podejrzliwość, a pojawiła się duma i rozradowanie.

- Ach tak, Macmaster! - powiedział. - Macmaster. Początkujący krytyk. Odrobinę hedonistyczny, co? Owszem... depeszował pan, że przyjeżdża. Dwóch przyjaciół! Nie lekarzy! Przyjaciół! - Podsunął twarz w pobliże twarzy Macmastera. - Ależ pan wygląda na zmęczonego! Zniszczony! Zniszczony!

Macmaster właśnie miał powiedzieć, że rzeczywiście dość ciężko pracował, gdy usłyszał tuż przy swej twarzy skrzeczący chichot i tamte łacińskie słowa, które usłyszała pani Duchemin - i Tietjens! Wiedział wtedy, z czym przyszło mu się zmierzyć. Raz jeszcze spojrzął na boksera, przesunął głowę w bok, aby zobaczyć na chwilę gigantycznego pana Horsleya, którego rozmiary nabrały nowych znaczeń. Potem usiadł wygodniej na krześle i zjadł cynaderkę. Obecni przedstawiciele siły fizycznej zapewne wystarczą, aby powstrzymać pana Duchemina, jeśli stanie się agresywny. Na dodatek wyszkoleni! Jednym z tych dziwnych życiowych zbiegów okoliczności był fakt, że kiedyś, w Cambridge, myślał nad tym, żeby wynająć tego samego Parry'ego, aby chodził za jego drogim przyjacielem Simem. Sim, najbliższy z sardonicznych ironistów, trzeźwy, przyzwoity i zwykle nieco pruderyjny na zewnątrz, miewał od czasu do czasu podobne lapsusy jak pan Duchemin. W towarzystwie potrafił wstać i wrzeszczeć albo usiąść i szeptać nieprzyzwoitości nie do pomyślenia. Macmaster, który bardzo Sima kochał, biegał za nim tak często, jak się tylko dało i w taki sposób nabył umiejętność postępowania z tymi objawami... Nagle poczuł pewnego rodzaju przyjemność! Pomyślał, że być może zyska nieco prestiżu w oczach pani Duchemin, jeśli cicho i skutecznie poradzi sobie z tą sytuacją. Być może to zakończy się intymniejszym poznaniem. O nic lepszego nie prosił!

Wiedział, że pani Duchemin zwróciła się w jego kierunku, wyczuwał, jak słucha i obserwuje go, zupełnie jakby czuł ciepło jej spojrzenia na swoim policzku. Jednak nie odwrócił się, nie mógł spuścić oczu z obleśnie rozradowanej twarzy jej męża. Pan Duchemin cytował Petroniusza, nachylając się do gościa. Macmaster sztywno konsumował cynaderki.

- To nie jest ta poprawiona wersja jambów. Ten Wilamovitz Möllendorf, którym się posługiwaliśmy... - powiedział.

Aby mu przerwać, pan Duchemin położył swą szczupłą dłoń grzecznie na ramieniu Macmastera. Na palcu serdecznym widniała wielka pieczęć z karneolu osadzona w złocie. Kontynuował, deklamując w ekstazie, z głową lekko pochyloną na bok, jakby słuchał niewidzialnego chóru. Macmasterowi naprawdę nie podobała się ta oksfordzka intonacja łaciny. Podniósł krótko oczy na panią Duchemin, patrzyła na niego wielkimi, cienistymi oczami pełnymi wdzięczności. Spozstrzegł też, że przelała się z nich wilgoć.

Szybko zwrócił wzrok na Duchemina. I nagle go olśniło: ona cierpiała! Prawdopodobnie cierpiała srodze. Nie przyszło mu to do głowy - po części dlatego, że sam nie znał, co to nerwy, a po części dlatego, że wyobrażał sobie, że przede wszystkim pani Duchemin będzie czuć podziw dla niego. A teraz wydało się mu to nie do zniesienia, że ona miałaby cierpieć.

Pani Duchemin przeżywała agonię. Macmaster popatrzył na nią pilnie, a potem odwrócił oczy! Wyczytała z jego spojrzenia pogardę dla siebie i gniew, że postawiono go w takiej sytuacji. Pogrążona w bólu sięgnęła dłonią i dotknęła jego ramienia.

Macmaster był świadom jej dotyku i zdawało mu się, że głowę wypełniła mu słodycz. Ale z uporem nie odwracał się. To dla niej nie ośmielił się oderwać oczu od maniakałnej twarzy. Nadchodził kryzys. Pan Duchemin dojrzał do angielskiego tłumaczenia. Położył obie dłonie na obrusie, przygotowując się do powstania, wstanie na nogi i będzie dziko wykrzykiwał obsceniczne rzeczy do gości. Nadeszła odpowiednia chwila.

Macmaster nadał swojemu głosowi ton oschły i penetrujący i powiedział:

- "Letnie miłości młodzieży" żałośnie oddaje „puer callide"! To żałośnie przestarzałe...

Duchemin, żując, zapytał:

- Co? Jak? Jak pan mówi?

- Taki jest Oksford! Używają osiemnastowiecznego opracowania. Domyślam się, że to Whiston i Ditton? Coś w tym rodzaju... - Zauważył, że Duchemin, straciwszy impet, waha się - jakby się budził w

nieznanym miejscu! - A zresztą, to sztubackie świntuszenie. Piąta klasa. Albo nawet i nie. Niech pan weźmie galantyny. Ja biorę. Pańska sola wystygła.

Pan Duchemin spojrział w dół na swój talerz.

- Tak! Tak! - wymamrotał. - Tak! Z cukrem i sosem winegret!

Bokser posunął do kredensu; podziwu godny człowiek, cichy i niezrucający się w oczy, zupełnie jak chrabąszcz.

- Miał mi pan coś powiedzieć na użytek mojej monografii - powiedział Macmaster. - Co się stało z Maggie... Maggie Simpson. Z tą Szkotką, która pozowała do „Alla Finestra del Cielo”?

Pan Duchemin popatrzył na Macmastera przytomnymi, zagubionymi i dość wycieńczonymi oczyma.

- „Alla Finestra”! - wykrzyknął. - O tak! Mam akwarelkę. Zobaczyłem ją, gdy pozowała i kupiłem na pniu.... - Ponownie popatrzył na swój talerz, drgnął na widok galantyny i zaczął jeść łapczywie. - Piękna dziewczyna! - powiedział. - Bardzo długa szyja... Oczywiście nie była... ech... porządna! Jeszcze żyje, jak mi się zdaje. Bardzo stara.

Widziałem ją dwa lata temu. Miała wiele obrazów. Relikwie, oczywiście!... Mieszkała przy ulicy Whitechapel. Naturalnie, że była z tych sfer... - mamrotał dalej, z głową sklonioną nad talerzem.

Macmaster uznał, że atak minął. Miał nieodpartą chęć odwrócenia się do pani Duchemin. Jej twarz była kamienna. Powiedział prędko:

- Niech trochę zje, napelni żołądek... To odciągnie krew od głowy...

- Och, wybaczenia! To musi być dla pana straszne! Ja sobie nigdy nie wybaczę!

- Nie! Nie! - odparł. - Po to tu jestem! Głębokie wzruszenie ożywiło całą jej białą twarz.

- Och, ty dobry człowieku! - rzekła swym niskim tonem i trwali tak, patrząc na siebie.

Nagle, zza pleców Macmastera dał się słyszeć krzyk pana Duchemina.

- Powiedziałem, że zostawił jej pieniądze, *dum casta et sola*, oczywiście. Póki pozostanie cnotliwa i samotna!

Pan Duchemin, nagle poczuwszy, że znikł nacisk owej silnej woli, która zdawała się przeważać jego własną niczym wielka moc w ciemnościach, zerwał się na nogi, dysząc w uniesieniu.

- Czysta! - wrzasnął. - Czysta, widzicie! Cały świat sugestii w tym słowie... - Potoczył wzrokiem po bogactwie szerokiego obrusa, który rozciągał się przed nim jak wielka łąka, gdzie mógł przejść w galop i wyciągnąć członki po długiej niewoli. Wykrzyczał trzy obsceniczne wyrazy i kontynuował swym głosem Ruchu Oksfordzkiego. - Lecz czystość...

- Och! - powiedziała nagle pani Wannop i spojrzała na córkę, której twarz przybierała kolor karmazynowy podczas kontynuowania obierania brzoskwini. Zwróciła się do swojego sąsiada pana Horsleya i rzekła: - O ile wiem, pan też pisze. Niewątpliwie są to rzeczy bardziej uczone niż moi czytelnicy mieliby chęć studiować...

Pan Horsley przygotowywał się, według instrukcji od pani Duchemin, aby wykrzyzczyć opis artykułu, który pisał na temat „Moselli” Ausoniusza, ale zbyt wolno zaczął i damie udało się go wyprzedzić. Ze spokojem mówiła dalej o gustach szerokiej publiczności. Tietjens nachylił się do panny Wannop i trzymając w prawej dłoni do połowy obraną figę, powiedział do niej tak głośno, jak tylko mógł:

- Mam dla pani wiadomość od pana Waterhouse'a. Powiedział, że gdyby pani...

Absolutnie głucha pani Fox, która odebrała szkolenie na piśmie, zwróciła się po przekątnej do pani Duchemin:

- Wydaje mi się, że będzie dzisiaj grzmiało. Czy zauważyła pani, jakie rzesze maluteńkich owadów...

- Kiedy mój szanowny preceptor - grzmiał pan Duchemin - odjechał powozem w dniu swojego ślubu, rzekł do oblubienicy: „Będziemy żyć jak błogosławieni anieli!”. Jakże to przesywająco piękne! I ja też, w dniu wesela...

Pani Duchemin krzyknęła nagle:

- Och... nie!

Tak jakby wszyscy przystanęli na czas nie dłuższy niż trwa zacerpnięcie oddechu. Potem dalej rozmawiali z uprzejmym ożywieniem, słuchając pilnie. Tietjensowi wydało się to najwyższym osiągnięciem i uzasadnieniem angielskich manier!

Parry, ten bokser, dwa razy złapał swego pana za ramię, krzycząc, że stygnie mu śniadanie. Teraz powiedział do Macmastera, że on i

wielebny Horsley mogliby odprowadzić pana Duchemina, ale będzie piekielna walka. Macmaster wyszeptał:

- Czekajcie! - i zwracając się do pani Duchemin, powiedział: - Mogę go powstrzymać. Mam to zrobić?

- Tak! Tak! Jakkolwiek! - odrzekła.

Zauważył samotne łzy na jej policzkach, coś czego jeszcze w życiu nie widział. Ostrożnie i z palącą wściekłością wyszeptał do włochatego ucha boksera, nachylonego ku niemu:

- Niech pan mu wsadzi kciuk w nerki. Tak mocno jak pan tylko może, żeby pan sobie palca nie złamał.

Pan Duchemin właśnie wydekłamał:

- I ja też, w dniu wesela... - Zaczął wymachiwać rękami i patrzeć od niesłuchającej twarzy do niesłuchającej twarzy.

Pani Duchemin właśnie krzyknęła.

Pan Duchemin pomyślał, że trafiła go strzała Boga. Nie wyobrażał sobie, aby był godzien nieść przesłanie. W bólu, o jakim nawet nigdy nie śnił, opadł na krzesło i siedział skulony, z ciemnością przed oczyma.

- Już nie wstanie - wyszeptał Macmaster do pełnego podziwu boksera. - Będzie miał ochotę, ale będzie się bał. - Do pani Duchemin powiedział: - Najdroższa pani! Już po wszystkim. Zapewniam panią. To naukowy sposób na odwróżliwienie nerwów.

- Wybaczienia! - odrzekła pani Duchemin, raz westchnąwszy głęboko. - Nigdy nie będzie się szanować...

Spostrzegła, że jej oczy przeszukują jego twarz tak samo jak nie-szczęśnik w celi śmierci wpija się wzrokiem w twarz kata, szukając znaku odpuszczenia. Jej serce zatrzymało się, jej oddech zamilkł... I wtedy otworzyło się niebo. Poczula, że pod obrusem na jej lewej dłoni położył chłodne palce. Ten mężczyzna zawsze wiedział dokładnie jak postąpić! Na tych palcach, chłodnych niczym nard i ambrozja, jej palce zacisnęły się.

W pełni szczęścia, w cichym pokoju jego głos mówił dalej. Najpierw okrągłymi zdaniem, lecz z jakim wyrafinowaniem! Wytłumaczył, że niektóre ekscesy wynikają po prostu ze stanów nerwowych i można je zwalczyć, o ile nie całkowicie wyleczyć poprzez lęk bądź determinację do niedopuszczenia do pojawienia się ostrego bólu fizycznego - co oczywiście też jest stanem nerwowym!

Parry, w odpowiednim momencie, powiedział na ucho swemu panu:

- Czas, aby zaczął pan przygotowywać swoje kazanie na jutro - I pan Duchemin wyszedł tak cichutko jak przyszedł, sunąc po grubym dywanie do niewielkich drzwi.

Wtedy Macmaster powiedział do niej:

- Pani pochodzi z Edynburga? A więc zna pani wybrzeże w hrabstwie Fife?

- Czy znam? - spytała.

Jej dłoń trwała w jego dłoni.

Zaczął mówić o skałach nad wydmami i o brodziecach nad brzegiem, głosem iście szkockim i używając tak wyrazistych fraz, że wróciły do niej czasy dzieciństwa i oczy zwilgotniały jej tym razem od przyjemniejszych rzeczy. Puściła jego chłodną dłoń, ścisnąwszy ją długo i delikatnie. Ale gdy ją zabrał, poczuła, jakby opuszczało ją życie.

- A więc zna pan Kingussie House, tuż pod pana miastem. Właśnie tam jeździłam na wakacje, gdy byłam dzieckiem.

- Może bosy chłopiec, ja, bawiłem się w okolicy, podczas gdy pani była w tych wspaniałych wnętrzach.

- O nie! - odrzekła. - Niemożliwe! Byłaby tu różnica naszego wieku! I... rzeczywiście są inne rzeczy, o których panu opowiem.

Zwróciła się do Tietjensa, znów uzbrojona w swój czar.

- Proszę pomyśleć! Znajduję, że pan Macmaster i ja niemal bawiliśmy się razem za młodu.

Spojrzał na nią, wiedziała, z nienawistnym współczuciem.

- A więc jest pani starszym przyjacielem niż ja - powiedział - chociaż znam go odkąd miałem czternaście lat i nie wierzę, abym mógł być lepszym. To dobry człowiek...

Nienawidziła go za to, że z góry traktował lepszego człowieka od siebie i zato ostrzeżenie (doskonale wiedziała, że jest to ostrzeżenie), aby oszczędziła jego przyjaciela.

Pani Wannop wydała z siebie wyraźny, lecz nieprzerazający krzyk. Pan Horsley opowiadał jej o niezwykłej rybie, która zamieszkiwała w Mozeli w czasach rzymskich. „Mosella” Ausoniusza, będąca tematem artykułu, który pisał, jest w głównej części rybą...

- Nie - zaryczał. - Mówiono, że to chodzi o płoć. Ale obecnie nie ma płoci w rzece. *Wannulis viridis oculisque*. Nie. Odwrotnie. Czerwone płetwy...

Krzyk pani Wannop i jej szeroki gest (faktycznie dłonią prawie trafiła go w usta, a powłóczyстым rękawem przesunęła po talerzu!) wystarczył, aby mu przerwać.

- Tietjens! - krzyknęła znowu. - Czy to możliwe?

Wypchnęła córkę z miejsca i zasiadając koło młodego człowieka, załapała go wielomówną miłością. Gdy Tietjens zwrócił się w rozmowie do pani Duchemin, rozpoznała w jego orlim profilu identycznie ten sam profil, co jego ojca podczas jej śniadania weselnego. Gościom przy stole, którzy znali tę opowieść na pamięć (prócz samego Tietjensa!), wyrecytowała historyjkę o tym, jak to jego ojciec uratował jej życie i był jej maskotą. Zaoferowała więc synowi - ponieważ ojciec nigdy nie zezwolił na jakiekolwiek odwzajemnienie się — swego konia, swą sakiewkę, swe serce, swój czas i wszystko. Mówiła z taką szczerością, że gdy goście zaczęli się rozchodzić, tylko skinęła do Macmastera, i złapawszy Tietjensa siłą za ramię, powiedziała w kierunku krytyka od niechcenia:

- Przykro mi, że nie mogę panu udzielić więcej pomocy przy artykule. Lecz mój drogi Krzyś musi dostać te książki, które chce. Natychmiast! W tej minucie!

Odeszła z przytrzymywanym Tietjensem, a za nimi jej córka jak młody łabędź za rodzicami. Pani Duchemin z właściwą sobie gracją odbierała podziękowania gości za wspaniałe śniadanie i wyrażała nadzieję, że skoro znaleźli tu drogę...

Echa festiwalu zdawały się szeleścić w pokoju. Macmaster i pani Duchemin stanęli twarzą w twarz, z ostrożnością i - tęsknotą w oczach.

- To okropne, że trzeba już iść. Jestem jednak umówiony - powiedział Macmaster.

- Tak, wiem! - odparła. - Z pańskimi wielkimi przyjaciółmi.

- Och! Tylko z panem Waterhousem i generałem Championem... no i oczywiście z panem Sandbachem...

Przeszyła ją dzika radość, że w tym towarzystwie nie będzie Tietjensa; lot jej mężczyzny będzie o niebo wyższy niż tego pospolitego z czasów jego młodości, przeszłości, której nie znała... Wykrzyknęła prawie ostro.

- Nie chcę, aby pan miał złudzenia co do Kingussie House! Była to po prostu szkoła wakacyjna. Nic wspaniałego.



- Była bardzo kosztowna - odparł i zdawało się, że pani Duchemin zachwiała się na nogach.

- Tak, tak - powiedziała prawie szeptem. - Ale to pan jest taki wspaniały teraz. Ja byłam dzieckiem bardzo biednych ludzi. Johnstoneowie z Midlothian... mimo to bardzo biedni ludzie... Ja... on mnie kupił, można by powiedzieć. Pan wie... Posłał mnie do bardzo bogatych szkół, gdy miałam czternaście lat... moja rodzina bardzo się cieszyła... a jednak myślę, że gdyby moja matka wiedziała, gdy wychodziła za męż... - Całe jej ciało wiło się. - Och, straszne, straszne! - krzyknęła. - Chcę, aby pan wiedział...

Jego dłonie drżały, jakby siedział na trzęsącym się wozie.

Ich usta spotkały się w namiętności zrodzonej z pasji i łez. Oderwał się, aby powiedzieć:

- Muszę się z tobą zobaczyć dziś wieczorem... Będę szalał z obawy o ciebie.

- Tak, tak - wyszeptwała. - W alejce cisowej. - Miała zamknięte oczy i ciało przyciśnięte do niego. - Jesteś... pierwszym... - mówiła bez tchu.

- Będę jedynym na zawsze - powiedział.

Zobaczył siebie w pokoju o wysokim sklepieniu i długich zasłonach; okrągłe lustro odbijało ich lśniące splecione postacie, tworząc coś na kształt zdobnego w drogocenne klejnoty obrazka o wielkiej głębi.

Oderwali się od siebie, aby na siebie patrzeć, trzymając się za ręce...

Tietjens powiedział:

- Macmaster! Masz dziś wieczorem przyjść na kolację do pani Wannop. Nie musisz się ubierać, ja nie będę.

Patrzył na nich bez żadnego wyrazu twarzy, zupełnie jakby prze-rwał im grę w karty; wielki, szary, świeży, z białą łatką połyskującą u boku lekko siwiejącej głowy.

- Dobrze - odpowiedział. - To tu niedaleko, prawda? Jestem umówiony tuż potem...

Tietjens powiedział, że prawdopodobnie będzie to w porządku i że sam będzie pracował. Zapewne całą noc. Dla Waterhouse'a... Pani Duchemin dodała w nagłym przypływie zazdrości:

- Jak pan może pozwolić sobą tak rozporządzać.

Tietjens poszedł, a Macmaster odrzekł jakby od niechcenia:

- Kto? Krzyś? Tak! Czasem ja nim, czasem on mną... Umawiamy się. Mój najlepszy przyjaciel. Największy geniusz w całej Anglii i z najlepszych rodzin. Tietjens z Groby... - Czując, że nie doceniała jego przyjaciela, z roztargnieniem obrzucał go pochwałami. - Teraz prowadzi obliczenia. Dla rządu. Żaden inny człowiek w Anglii ich nie potrafi zrobić... Ale on...

Opadła go skrajna niemoc, czuł się osłabiony, choć jeszcze triumfujący, gdy jej uścisk ustał. W ośpieniu uświadomił sobie, że będzie rzadziej widywał Tietjensa. Szkoda. Usłyszał siebie, cytującego:

- *Odkąd stoimy koło siebie!* - jego głos zadrżał.

- O, tak! - zabrzmiały jej niskie tony. - Te piękne wersy... Są prawdziwe. Musimy się rozstać. W tym świecie...

Wydawało się jej, że są to piękne i smętne słowa, i poczuła niebiańską przyjemność, że istniały po to, by je wypowiedzieć drżąco, pobudzając przeróżne wizje. Macmaster powiedział równie smętnie:

- Musimy czekać - dodał z naciskiem. - Lecz dziś wieczór, o zmierzchu!

Wyobraził sobie ten zmierzch pod cisem. Samochód podjechał pod okno, błyszcząc w słońcu.

- Tak! Tak! - powiedziała. - Od dróżki prowadzi tam biała bramka.

Wyobraziła sobie ich spotkanie pełne napiętności i smutku w otoczeniu mrocznych i na wpół widzialnych rzeczy. Na tyle czaru mogła sobie pozwolić.

Potem będzie musiał podejść do domu i zapytać o jej zdrowie, i pójść obok siebie przez trawnik, na oczach wszystkich, w ciepłym świetle, rozmawiając o obojętnych choć pięknych poezjach, z lekka znużeni, a wtedy jakie to prądy i fale będą przebiegać przez ich ciała... A potem: długie, ostrożne lata...

Macmaster zszedł po wysokich schodach do samochodu, który błyszczał w letnim słońcu. Róże lśniły nad pięknie wypoziomowaną murawą. Jego obcasy deptały kamień twardym krokiem zdobywcy. Miał ochotę krzyknąć na głos!

## VI

Stojąc przy przełazie Tietjens zapalił fajkę, uprzednio wyczyściwszy ją dokładnie za pomocą igły chirurgicznej. Z jego doświadczeń wynikało, że był to najlepszy z wyciorów, ponieważ niemieckie srebro było giętkie, nie rdzewiało i było niezniszczalne. Wytarł ją metodycznie wielkim liściem szczawiu z lepkich brązowych pozostałości po wypalonym tytoniu. Był świadom, że młoda kobieta obserwuje go zza pleców. Jak tylko włożył igłę z powrotem na miejsce do notesu, a notes do wypchanej kieszeni, panna Wannop ruszyła ścieżką. Można tam było iść wyłącznie gęsiego. Z lewej strony piętrzył się trzymetrowy, nieprzycinany żywopłot z głogu, gdzie płatki kwiatów już zaczynały czernieć na brzegach i pokazywały się małe zielone owoce. Z prawej strony rosła trawa po kolana, która kłaniała się przechodzącym. Słońce stało dokładnie w pionie, zięby dzwoniły; młoda kobieta miała miłe dla oka plecy.

Oto, pomyślał Tietjens, Anglia! Panicz i panna idą łąkami Kentu, gdzie trawa dojrzała do kosy. Panicz honorowy, czysty, dumny; panna cnotliwa, czysta, żwawa, on dobrze urodzony, ona urodzona równie dobrze, oboje syci po dobrym śniadaniu, które jeszcze są w stanie strawić. Oboje właśnie wyszli z podziwu godnego środowiska: od stołu otoczonego najlepszymi ludźmi, a ich spacer był jakby usankcjonowany kościelnie - przez dwóch przedstawicieli kleru, rządowo - dwóch urzędników państwowych oraz przez matki, przyjaciół i stare panny... Oboje znali nazwy poćwierkujących ptaków i kłaniających się traw: zięba zwyczajna, dzwonic, trznadel (kochanie!, jego angielska nazwa pochodzi od starogermańskiego słowa *amonrer* oznaczającego ziębę!), gajówki, pliszki (w tych okolicach nazywa się je pomywaczkami - czarujące!). Margerytki w trawie tworzyły bezkresny biały nalot, a trawy fioletowawą mgiełkę, aż po żywopłot w oddali: podbiał, dzika biała koniczyna, esparceta, dzikie żyto (wszystkie te nazwy powinny być znane lepiej urodzonym: była to najlepiej rosnąca wieloletnia mieszanka dla wypasu na glinach Wealden). U stóp żywopłotu: rojnik, jasnota biała, chabry (w Sussex nazwaliby je chyba strzygoniami, kochanie!). Interesujące! Pierwiosnek (*paigle* wiesz, od starofrancuskiego *pasque* oznaczającego Wielkanoc), rzep, łopuch, liście fiołków - kwiaty już dawno przekwitły, taminek,

powojnik (później nazywają go brodą starca), krwawnica (inaczej ją tutaj nazywają rubaszni pasterze zaś nadają bardziej grubiańskie miano - nieprzyzwoitość ziemi)... A więc pójdźcie przez łąkę, rycerski młodzieńcze i piękna dziewico, z głowami wypchanymi całym tym śmietnikiem anodyn przeciwmyślowych, cytatami, epitetami imbecyli! W głuchym milczeniu, niezdolni do rozmowy, zaczawszy od za dobrego śniadania, zmierzając do prawdopodobnie wyjątkowo paskudnego obiadu. Młoda kobieta (uprzednio ostrzeżono młodzieńca) przygotowuje ten obiad. Niewątpliwie poda różową, gumowatą niedopieczoną wołowinę na zimno, wystygnięte ziemniaki w kałuży wody zalegającej na dnie półmiska zdobnego w chińskie wzory. (Nie! Oczywiście, że nieautentyczna chińszczyzna, panie Tietjens.) Przesunięta sałata zalana octem, od której chciałoby się krzyczeć z bólu, pikle, także na occie, dwie butelki pospolitego piwa, które przy otwieraniu opryska ściany, kieliszek do stałego porto dla panicza!... A prawie nie daje rady ruszyć szczęką po zbyt obfitym śniadaniu o 10.15. Już południe!

- Anglia Pana Boga! - wykrzyknął sam do siebie Tietjens w nagłym przyplýwie dobrego humoru. - Ziemi nadziei i glorii!

F naturalne schodzące do tonicznego C-dur, akord 6-4, zawiesić nad dominującą siódemką do wspólnego akordu C-dur... Właśnie tak! Basy, wiolonczele, wszystkie skrzypce, wszystkie dęte, wszystkie trąby. Pełne brzmienie organów, wszystkie rejestry, głos ludzki i trąbka-sygnalówka. Poprzez kraj biegł głos trąbek, który jego ojciec znał... Fajka doskonała. Musi być doskonała: fajka dobrze urodzonego Anglika; tak samo tytoń. Atrakcyjne plecy młodej kobiety. Angielskie południe w środku lata. Najlepszy klimat w świecie! Nie ma takiego dnia, kiedy człowiekowi nie chciałoby się wyjść.

Tietjens zatrzymał się i wycelował swą leszczynową laską w wysoką tykę dziewanny o niezdecydowanych białawych i kudłatych liściach oraz niezdecydowanych, niedojrzałych cytrynowych kwiatach jak guziki. Cała konstrukcja przewróciła się wdzięcznie niczym zamordowana kobieta w krynolinie!

- Teraz jestem cholernym mordercą! - rzekł Tietjens. - Lecz nie krwią zbryzgany! Splamiony zieloną cieczą życia niewinnej rośliny... I na Boga! Nie ma w kraju takiej kobiety, która nie pozwoliłaby się zgwałcić po godzinnej znajomości!

Usiekł jeszcze dwie dziewanny i oset! Cień, lecz nie od słońca, mrok padł na sześćdziesiąt akrów kwitnącej fioletowo trawy i margerytek białych jak koronkowe halki na trawie!

- Na boga! - powiedział. - Kościół! Państwo! Wojsko! Ministerstwo JKM! Opozycja JKM! Mieszczuch JKM!... Cała klasa rządząca... Cała zgniła! Dzięki Bogu, że mamy marynarke! A może i ona zgniła! Kto wie! Brytania nie potrzebuje bastionów!... A więc dziękujmy Bogu za porządnego młodzieńca i cnotliwą dziewicę na polach w lecie, on torys z krwi i kości, ona wojująca sufrażystka, wojująca tu na ziemi... jak powinna! Jak powinna! Czy w pierwszych dekadach dwudziestego wieku istnieje sposób, aby kobieta pozostała czystą i przyzwoitą! Pokrzykują z platform (to świetne dla płuc) i rozbijają policjantom hełmy na łbach... Nie! Toja zrobiłem, to moja rzecz, jak mi się zdaje, proszę panny!... Nosić ciężkie transparenty dwadzieścia mil po ulicach Sodomy. Wspaniale! Założę się, że jest cnotliwa. Nie, nie trzeba się zakładać. Nie ma zakładów o rzeczy pewne. Widać po oczach. Ładne oczy! Pociągające plecy. Dziewicza zadziorność... o tak, lepsze zajęcie dla matek imperium niż wysługiwanie się chutliwym mężom rok po roku, aż popadnie w histerię niczym kotka podczas rui. Po tamtej było to widać, tamta kobieta jak większość z nich... Dzięki Bogu za torysa, to porządny, żonaty, młody człowiek i za małą sufrażystkę... Kręgosłup Anglii!

Zamordował następny kwiat.

- Ale, na Boga! Nad oboje nadciągnęła chmura! Oboje! Nad tą małą i nade mną! Do tego jest generał lord Edward Campion, lady Claudine Sandbach i wielce szanowny poseł (w stanie zawieszenia) Paul, żeby rozpowszechnić wieści... I czterdziestu bezzębnych staruchów po to, aby rozpowszechnić wieści, i bez liku list gości, które aż drżały, aby cię z nich skreślić, mój chłopcze... Mój drogi chłopcze, tak mi przykro, najstarszy przyjaciel twego ojca... Na Jowisza, pistacje z galantyny! Odezwały się! Śniadanie się burzy, ponure refleksje! Myślałem, że wytrzymam wszystko, trawię jak struś... Nie! Ponure refleksje, wpadam w histerię, jak ta wielkooka dziwka! Z tych samych powodów - odpowiednia dieta i nieodpowiednie życie; dieta dla myśliwych od kuropatw w rzepach, które jadają ci, co prowadzą siedzący tryb życia. Anglia krainą pigulek... Do diabła, dieta dla aktywnych:

gotowana baranina, rzepa, życie na siedząco... wtłoczeni w brudy świata, siedzimy z nosem w tym całym dniami!... A niech to, jestem w takim stanie jak ona. Sylwia jest jak Duchemin!... Nigdy bym o tym nie pomyślał... Nic dziwnego, że to, co zjadłem zamieniło się w kwas pruski... podstawowa przyczyna neurastenii... Co za paskudny bałagan! Biedny Macmaster! Jest skończony. Biedak, dla niego lepiej byłoby spróbować z tą małą. Mógłby śpiewać „Góralko Marysiu” na lepszą nutę niż „Oto kres wszystkich pragnień mężczyzny”... Można mu to wypisać nad grobem albo na wizytówce, że młody mężczyzna przypiął się do prerafaelickiej prostytutki...

Nagle stanął. Uświadomił sobie, że nie powinien spacerować z tą dziewczyną!

A, do diabła, pomyślał. Będzie dobrą zasłoną Sylwii... Kogo to obchodzi! Niech ryzykuje. Prawdopodobnie już wykreślono ją ze wszystkich parszywych list gości... bo sufrażystka!

Panna Wannop, która odeszła mniej więcej na odległość boiska do krykieta przeskoczyła przez przełaz: lewa stopa na schodku, prawa na poręczy, lewa musnęła pozostałe schodki i obie stanęły na białym, zawiewanym kurzu drogi, przez którą niewątpliwie musieli przejść. Stała i czekała, wciąż odwrócona do niego plecami... Jej zwinne nogi, pociągające plecy wydały się mu teraz nieskończenie żalosne. Pozwolić, aby dotknął ją skandal, to byłoby jak podcinanie skrzydeł żądze: jasnemu stworzeniu, żółto-biało-złocistemu, kruchemu, które letnią porą unosi się na mgiełce skrzydeł nad ostami. Nie, do diabła! Gorzej! Jeszcze gorsze niż wydłubywanie oczu trznadłowi, jak to robią miłośnicy ptaków... Niezmiernie żalosne!

W olsze nad przełazem odezwała się żięba.

Idiotyczny dźwięk napełnił go wściekłością. Powiedział do ptaszka:

- Do diabła z twoimi oczami! A niech ci je wydłubią!

Ten parszywy ptak, co wydawał z siebie odpychający dźwięk, jak tylko mu wylupili oczy przynajmniej kwilił, jak jakiś pospolity skowronek czy sikora. Do diabła ze wszystkimi ptakami, wielbicielami środowiska, botanistami! W taki sam sposób mówił w znacznym odaleniu do Wannop:

- Do cholery z twoimi oczami! A niech ci zaszargają opinię! Po co publicznie zaczepiasz nieznanym mężczyzną? Wiesz, że tego w tym

kraju się nie robi. Gdyby to było przyzwoite, porządne miejsce jak Irlandia, gdzie ludzie podrzynają sobie gardła za oczywiste sprawy: papista przeciwko protestantowi... No, mogłabyś! Mogłabyś przejść Irlandię ze wschodu na zachód i zaczepiać każdego napotkanego mężczyznę... „Zdobily ją klejnoty rzadkiej urody”... Każdego, kto tylko nie był dobrze urodzonym Anglikiem, bo tym byłabyś naruszona! - Gramolił się przez przełaz. - A bądź zdeflorowaną, strać swą dziecienną reputację. Odezwałaś się na dziwną nutę, jesteś zbrukana... Z błogosławieństwem kościelnym, wojskowym, rządowym, administracyjnym, opozycyjnym, matek i starych panien Anglii... Wszyscy powiedzieliby ci, że nie wolno zaczepiać nieznanym facetów w świetle dnia, na polu golfowym, jeśli nie chce się osłaniać jakiejś Sylwii czy innej... No, to bądź zasłoną dla Sylwii i niech cię powykreślają z list gości! Im bardziej będziesz piętnowana, tym większym ja będę draniem! Chciałbym, aby cała ta zgraja zobaczyła nas tutaj i sprawa byłaby załatwiona...

Mimo to, gdy stanął obok panny Wannop, która na niego nie spojrziała, i zobaczył białą drogę biegnącą z lewa na prawo, i że po drugiej stronie był płot bez przełazu, zapytał mruklawie:

- Gdzie następny przełaz? Nienawidzę chodzenia po drogach!
- Pięćdziesiąt jardów - powiedziała, wskazując kierunek brodą.
- Idziemy! - wykrzyknął i ruszył niemal truchtem.

Przyszło mu do głowy, że akurat ta paskudna możliwość może się ziścić, jeśli na ten odcinek drogi wjedzie samochód z generałem Campionem, lady Claudine i Paulem Sandbachem. Zresztą wystarczyłoby jedno z nich - na przykład generał w swym powoziku.

Na Boga! Jeśliby zignorowali tę dziewczynę, potrzaskałbym im kręgosłupy o kolano! - pomyślał Tietjens i przyspieszył. Całkiem prawdopodobne, że taka rzecz mogłaby się zdarzyć. Ta droga prawdopodobnie prowadziła prosto do frontowych drzwi Mountby!

Panna Wannop truchtała za nim nieco z tyłu. Uważała, że to wyjątkowo dziwny mężczyzna - równie szalony, jak odrażający. Normalni ludzie, gdy się spieszą (ale po co się spieszyć?) robią to w cieniu polnych żywopłotów, a nie na palącej bieli dróg publicznych. A niech idzie przodem. Na następnym polu wygarnie mu, co o tym myśli, nie zamierzała biegać i się spocić, niech sobie idzie, jak rak

wybałuszy na nią swe nienawistne oczy, a ona potraktuje go chłodno i denuncjatorsko w swej ładnej bluzeczce...

Nadjeżdżała bryczka!

Nagle przyszło jej na myśl, że ten głupiec kłamał, mówiąc, że policja nie zamierza ich ścigać, łąał przez stół ze śniadaniem... W bryczce była policja, ścigali je! Nie traciła czasu na oglądanie się, nie była głupia, jak Atalanta w wyścigu z jajkiem. Wzięła nogi za pas i wystartowała sprintem. Wyprzedziła go o półtora jarda do bramki kochanków biejącej wśród żywopłotu i spanikowała, dysząc. On wpadł tam, sapiąc, za nią idiota nie miał na tyle rozumu, aby ją przepuścić. Utknęli razem, twarz przy twarzy, dyszeli. W Kencie przy takich okazjach kochankowie się całują, ponieważ bramka jest skonstruowana z trzech części w kształcie V, z których wewnętrzna obraca się na zawiasach. Krowa tędy nie przejdzie, ale ten wielki bęcwał z Yorkshire o tym nie wiedział i chciał się przepchnąć jak oszałały byczek! Utknęli, złapią ich. Trzy tygodnie w więzieniu Wandsworth... A niech to...

Głos pani Wannop - to tylko mama! Wysoka pod niebo za wierzgającą klaczką, z twarzą dobrą i okrągłą jak peonia, pani Wannop powiedziała:

- Ach, udało ci się przytrzymać moją Walcię w bramie... Ale dała ci siedmioletnie fory na dwadzieścia i przegoniła do bramy. To ambicja jej ojca! - Uważała ich za ścigające się dzieci. Patrzyła w dół na Tietjensa promieniejąc, z okrągłą twarzą pełną prostoty, siedząc u boku powożącego, który miał czarną czapkę i siwą brodę jak święty Piotr.

- Mój drogi chłopcze! Mój drogi chłopcze, jaka to przyjemność gościć cię pod moim dachem!

Czarny koń stanął na tylnych nogach, a patriarcha ściągnął uzdę ruchem, jakby piłował. Pani Wannop odezwała się beztrąsko:

- Stefan Joel! Jeszcze nie skończyłam rozmowy.

Tietjens patrzył ze złością na dół końskiego brzucha, umazany potem.

- Niezadługo pani skończy - powiedział. - Mając pasek w takim stanie. Skręci pani kark.

- Och, nie sądzę - powiedziała pani Wannop. - Joel dopiero wczoraj kupił zaprzęg.

Tietjens zwrócił się do powożącego z naciskiem:



- No, zsiadaj - powiedział. Sam przytrzymał łeb konia, rozdymającego nozdrza z wrażenia. Niemal natychmiast potarł łeb o jego pierś. - Tak! O, tak! Spokojnie!

Koń rozluźnił spięte mięśnie. Stary woźnica spuścił się z wysokiego siedzenia, najpierw podchodząc do zejścia przodem, a potem tyłem. Tietjens rzucał w niego gniewnymi komendami:

- Zaprowadzić konia w cień tamtego drzewa. Nie dotykaj uzdy, bo urazisz wargi. Skądże wziął ten zaprzęg? Na rynku w Ashford, trzydzieści funtów, wart jest więcej... Ale, do pioruna, nie widzisz, że założyłeś uprzęż dla konia o trzynastu piędziach na szesnaście i pół piędzi. Poluzuj wędzidło trzy dziurki, nie widzisz, że przerzyna jej język na pół? Wiesz jaki to koń. Nie? Dawaj jej zboża przez dwa tygodnie, a skopie ciebie i wóz, i stajnię na kawałki w pięć minut.

Poprowadził pojazd, z triumfalnie ugodową panią Wannop i wszystkim, do cienia pod olchami.

- Poluzuj, żeby cię...! Aha, boisz się.

Sam poluzował wędzidło, brudząc sobie palce tłustą pastą do polerowania uprzęży, której nienawidził.

- Potrzymaj jej łeb! A może też się boisz? Zaslugujesz, żeby ci podgryzała łapy.

- Czy pani mogłaby? - zwrócił się do panny Wannop.

- Nie! Boję się koni. Umiem prowadzić każdy rodzaj samochodu, ale koni się boję - odrzekła.

- A to odpowiednie! - powiedział.

Odsunął się i popatrzył na konia: opuścił głowę i uniósł tylną nogę, opierając ją na brzegu kopyta i odpoczywał. - Teraz się uspokoi!

Rozpiął pasek, schylając się niewygodnie, spocony i tłusty. Pasek rozpadł się na dwa w jego dłoni.

- To prawda - powiedziała pani Wannop. - Za trzy minuty byłabym nie żyła, gdybyś tego nie zauważył. Bryczka wywróciłaby się do tyłu...

Tietjens wyjął duży, skomplikowany nóż o rogowej rękojeści, jak chłopiący skarb. Wybrał szpikulec do robienia dziur i wyciągnął go. Do woźnicy powiedział:

- Masz kawałek dratwy? Albo sznurka? Drucika? Wnyki na zająca? No, na pewno masz przy sobie coś na wnyki, jeśli chcesz się w ogóle na coś przydać.

Tamten obrócił czapką na znak przeczenia. Uznał, że ma przed sobą szlachtę, która pozywa do sądu za kłusownictwo, jeśli człowiek się wyda z posiadaniem wnyków.

Tietjens położył pasek wzdłuż dyszla i przebił dziurkę.

- Babska robota - powiedział do pani Wannop - ale zawiezie was do domu i powozi przez pół roku, też... Ale ja sprzedałbym to wszystko jutro.

Pani Wannop westchnęła:

- Pewnie dostanę z dziesięć funtów... Chyba powinnam była sama jechać na targ.

- Nie! - odrzekł Tietjens. - Dostanę za to pięćdziesiąt, albo nie jestem z Yorkshire. Ten człowiek was nie oszukiwał. Kupił dobrze i za niewielkie pieniądze, ale nie wie, co jest odpowiednie dla dam. Powinnyście mieć białego kuca i wiklinowy powozik.

- E, lubię konia z charakterem - powiedziała pani Wannop.

- Oczywiście - odparł. - Ale ten ma go za wiele.

Westchnął krótko i wyjął swoją igłę chirurgiczną.

- Zszyję pasek tym. Jest tak giętka, że uda mi się założyć dwa szwy i będzie trzymać na wieki...

Ale obok niego znalazł się woźnica, wyciągając w jego kierunku zawartość kieszeni: zatłuszczoną skórzaną sakiewkę, kulkę wosku pszczelego, fajkę, kawałek sera i blade wnyki. Zdecydował, że taka szlachta jest dobrotliwa i ofiarował cały swój dobytek.

Tietjens wydał okrzyk zadowolenia i rozplatał wnyki.

- No! Słuchaj! Kupiłeś to od takiego jednego handlarza pod tylnymi drzwiami gospody pod Baranim Udźcem.

- Głowę Saracena! - mruknął woźnica.

- Kupiłeś za trzydzieści funtów, bo handlarz pilnie potrzebował pieniędzy. Wiem! I prawie za darmo... Ale taki zaprzęg nie jest dla każdego. W porządku dla weterynarza albo kogoś, kto zna się na koniach. Za wysoki powóz! Ale spisałeś się świetnie. Tyle, że już nie jesteś tym samym człowiekiem, co byłeś mając trzydzieści lat. No i koń okazał się wredny, a powóz tak wysoki, że nie potrafiłeś wysiąść jak już wsiadłeś. I czekał dwie godziny na słońcu na panią.

- Trochę pod murem stajni - wymamrotał woźnica.

- No, ale nie podobało się jej czekanie - odparł łagodząco Tietjens. - Możesz dziękować opatrności, że nie skrzyłeś karku. Zapnij to, krócej o dziurkę.

Szykował się, aby wejść na miejsce dla powożącego, ale pani Wannop znalazła się tam przed nim, zasiadając na niewiarygodnej wysokości, na poduszkach przypasanych do ukośnego kozła.

- Co to, to nie - powiedziała. - Nikt przy mnie nie będzie powoził mną i moim koniem oprócz mnie i mojego woźnicy. Nawet ty, drogi chłopcze.

- No, to pojedę z wami.

- O nie. W tym pojeździe kark skręć tylko ja albo Joel - powiedziała, a potem dodała: - Może dziś wieczorem, jeśli przekonam się, że tym da się powozić.

Panna Wannop wykrzyknęła: - Mamo, nie!

Ale woźnica wdrapał się do powozu, pani Wannop machnęła batem i ruszyła. Natychmiast stanęła i nachyliła się do Tietjensa.

- Co za życie dla tej biednej kobiety - powiedziała. - Musimy wszyscy zrobić dla niej, co tylko możemy. Mogłaby jutro umieścić męża w domu dla wariatów. Całkiem się poświęciła, że tego nie robi.

Koń ruszył łagodnym, regularnym truchtem. Tietjens zwrócił się do panny Wannop:

- Ależ pani matka ma rękę. Nie co dzień widzi się kobietę z takimi umiejętnościami... Widziała pani, jak go zatrzymała?

Wiedział, że przez cały ten czas dziewczyna obserwowała go z pobocza, ze lśnącymi oczami, pilnie a nawet z zafascynowaniem.

- Jak myślę, uważa pan to za wybitnie świetny pokaz - powiedziała.

- Nieszczęśliwie się spisałem z tym paskiem - powiedział. - Zejźmy z tej drogi.

- Rozstawiając biedne, słabe kobiety po ich kątach - ciągnęła panna Wannop - uspokajając konia jak czarujący mężczyzna. Zapewne pan też tak kobiety uspokaja. Żal mi pańskiej żony... Angielski ziemianin! I jeszcze sprowadzenie służącego do roli biernego wasala. Cały system feudalny w komplecie...

- Wie pani, będzie wam lepiej służył, jeśli uzna, że macie znajomych, którzy się znają na rzeczy. Takie są niższe sfery. Zejźmy z tej drogi.

- Jak panu spieszno, żeby się schować za żywoplotem. Czy policja nas ściga, czy też nie? Może pan zełgał przy śniadaniu, żeby uspokoić historyczne nerwy słabej kobiety.

- Nie żelgałem - powiedział - ale nie cierpię dróg, jeśli mogę iść polną ścieżką...

- Fobia zupełnie jak kobieca! - wykrzyknęła.

Przebiegła przez bramkę i stanęła w oczekiwaniu na niego.

- Domyślam się, że jeśli pan zatrzymał policję swym nadętym samczym sposobem, uważa pan, że zniszczył mój romantyczny sen młodości. Bynajmniej. Ja nie chcę być ściganą. Chyba umarłabym, gdyby posadzili mnie w więzieniu na Wandsworth... Jestem tchórzem.

- O nie, nieprawda - odpowiedział, ale myślami był daleko, zupełnie tak samo, jak ona, bo wcale go nie słuchała. - Rzekłbym, że jest pani prawdziwą bohaterką. Nie dlatego, że pani trwa przy zachowaniu, którego konsekwencji pani się boi. Ale rzekłbym, że umiałaby pani przejść przez błoto i nie dać się zbrukać.

Była za dobrze wychowana, aby mu przerwać, więc odczekała, aż powie wszystko, co chciał, po czym wykrzyknęła:

- Skończmy ze wstęgami! To oczywiste, że mama zamierza często się z panem widywać. Pan będzie maskotą, zupełnie jak pański ojciec. Sądzę, że pan już tak myśli: wczoraj uratował pan nas przed policją, dzisiaj, jak się wydaje, uratował pan mamie kark. Jak się też zdaje, zamierza pan zyskać dwadzieścia funtów na sprzedaży zaprzęgu. Pan tak mówi i zapewne jest pan tego rodzaju człowiekiem... Dwadzieścia funtów to bezgraniczna suma dla takiej rodziny jak nasza... No więc, wydaje się, że będzie pan regularnym *bel ami* rodziny Wannopów...

- Mam nadzieję, że nie - rzekł Tietjens.

- O, nie mam na myśli, że urośnie pan w sławie, umizgując się do wszystkich kobiet z rodziny Wannopów. Zresztą jestem tylko ja. Ale mama wciągnie pana w różnego rodzaju zajęcia i zawsze będzie czekał na pana talerz na stole. Niech pan się nie wzdraga! Jestem dobrą kucharką, oczywiście *cuisine bourgeoise*. Uczylaam się u prawdziwej kucharki, choć pijanicy. To znaczy, że połowę gotowałam ja, a rodzinka miała wymagania. Tacy są ludzie na Ealing... połowa z nich to radni, i tacy jeszcze. A więc wiem, jacy są mężczyźni... - urwała i dodała milej: - Ale niechże pan już z tym skończy, na litość boską. Przepraszam, że byłam dla pana nieuprzejma. Ale to naprawdę irytujące, że stoi się jak wypchany królik, podczas gdy mężczyzna odgrywa

Prawdziwego Dżentelmena, chłodnego i zorganizowanego, z całą pozą ziemianina i wszystkim.

Tietjens syknął. Młoda kobieta trafiła w ton podobny do częstych denuncjacji jego żony. Na dodatek wykrzyknęła:

- Nie! To niesprawiedliwe! Jestem niewdzięczną świnią! Nie wykazał się pan bardziej niż umiejący robotnik, który wykonuje swą pracę w tłumie nieprzydatnych głupoli. Ale mógłby pan to wreszcie powiedzieć, co? Niech pan powie raz a dobrze (pan zna odpowiednią nadętą manierę), że żywi pan pewne pozytywne uczucia dla naszych zamiarów, ale nie popiera pan, o, jest pan absolutnie przeciwny naszym metodom.

Tietjens uświadomił sobie nagle, że ta młoda kobieta jest bardziej zaangażowana w sprawę praw wyborczych kobiet, niż mu się wydawało. Nie był w nastroju służącym rozmowie z młodymi kobietami, ale odpowiedział z głębszym zaangażowaniem myśli:

- Nie. Całkowicie popieram wasze metody, ale wasze cele są idiotyczne.

- Pan nie wie, jak sędzę, że Gertie Wilson, która leży w łóżku u nas w domu, jest poszukiwana przez policję, nie tylko za wczorajszy dzień, ale za to, że wrzuciła materiał wybuchowy do kilkunastu skrzynek na listy?

- Nie wiedziałem... ale działała całkiem odpowiednio. Nie spaliła żadnego z moich listów, bo byłbym może rozgniewany, ale nie zaszkodziłoby to mojemu poparciu.

- Nie uważa pan - zapytała ze szczerością - że my, mama i ja, mogłybyśmy dostać potężne wyroki za ukrywanie jej? To byłoby paskudnie pechowe dla mamy. Bo ona jest anty...

- Nie wiem o wyrokach - odparł Tietjens - ale lepiej wróćmy do was tak szybko, jak to tylko możliwe...

- O, pomoże pan?

- Oczywiście. Pani matki nie wolno niepokoić. Napisała jedyną książkę wartą czytania od osiemnastego wieku.

Stała i powiedziała szczerze:

- Niech pan słucha. Niech pan nie będzie jednym z tych nędznych babraczy, którzy mówią, że prawo wyborcze nie da kobietom nic dobrego. Kobiety mają parszywe życie. Naprawdę. Gdyby pan widział,

to co widziałam, ja wiem, co mówię. - Głos się jej obniżył i lzy napłynęły do oczu. - Biedne kobiety, tak! Bardzo mało znaczą. Musimy zmienić prawo rozwodowe. Musimy stworzyć lepsze warunki. Nie mógłby pan tego znieść, gdyby pan wiedział, co ja wiem. Jej poruszenie zdenerwowało go, ponieważ zdawało się tworzyć między nimi coś na podobieństwo braterskiego zbliżenia, którego w danym momencie nie pragnął. Kobiety nie powinny pokazywać po sobie emocji, chyba że wobec rodziny. Powiedział oschle:

- Być może. Ale nie wiem, więc nie mogę.

- Ależ pan jest wstrętny - powiedziała z głębokim rozczarowaniem. - I nigdy nie będę pana prosić o wybaczenie, że to powiedziałam. Nie wierzę, że pan wierzy w to, co mówi, ale fakt, że pan to na głos powiedział, świadczy o tym, że jest pan bez serca.

Był to następny z zarzutów sformułowanych przez Sylwię i Tietjens znowu syknął.

- Nie zna pan przypadku pracowników zakładów produkcji ubrań wojskowych z Pimlico - wyjaśniła. - Inaczej nie twierdziłby pan, że prawo głosu kobietom nie przyda się na nic.

- Całkiem dobrze znam ten przypadek - powiedział Tietjens. - Był w moim urzędowym zainteresowaniu i przypominam sobie, jak myślałem, że nie istnieje podobny sztandarowy przykład bezużyteczności głosowania.

- Chyba nie myślimy o tym samym przypadku - powiedziała.

- Owszem. Zakład produkcji ubiorów wojskowych w Pimlico znajduje się w okręgu wyborczym Westminster. Podsekretarz stanu do spraw wojny jest posłem z Westminsteru, wygrał ostatnie wybory większością sześciuset głosów. Zakłady zatrudniają siedmiuset mężczyzn za półtora szylinga na godzinę i wszyscy oni głosują w Westminsterze. Siedmiuset mężczyzn napisało do podsekretarza, że jeśli nie podniosą im stawki do dwóch szylingów będą głosować przeciwko jego osobie w następnych wyborach...

- Noi?

- No i to, że podsekretarz kazał wyrzucić siedmiuset mężczyzn za osiemnaście pensów i najął siedemset kobiet za dziesięć. I jaki był pożytek z prawa głosu? Jaki pożytek to prawo przyniosło kiedykolwiek?

Panna Wannop chciała zareplikować i Tietjens zapobiegł wyeksponowaniu bzdury dodając szybko:

- Więc gdyby te siedemset kobiet, wspartych przez wszystkie inne wykorzystywane, spracowane kobiety tego kraju zaczęło grozić podsekretarzowi, podpalać skrzynki pocztowe i niszczyć pola golfowe w okolicach jego domu na wsi, dostałyby w następnym tygodniu podwyżkę do pół korony. To jedyna przyzwoita metoda. Tak działa system feudalny.

- Och, ależ nie mogłybyśmy niszczyć pól golfowych - powiedziała panna Wannop. - To znaczy, była debata na ten temat i zadecydowano, że tak niesportowe zachowanie przysporzyłoby nam spadku popularności. Osobiście byłam za.

Tietjens jęknął.

- To rozwiścieczające, że jak tylko kobiety zaczną radzić, mają tyle samo waty w głowach i tak samo obawiają się prostego rozstrzygnięcia kwestii jak mężczyźni!

- A tak na marginesie - przerwała dziewczyna - to nie uda się panu jutro sprzedać naszego konia. Zapomniał pan, że to niedziela.

- Będę więc musiał w poniedziałek - odrzekł Tietjens. - Istotą systemu feudalnego...

Tuż po obiedzie - i był to podziwu godny obiad z jagnięcina na zimno, młodymi kartofelkami i sosem mięsowym (na occie winnym, łagodnym jak całusy); wino było całkiem do rzeczy, a porto jeszcze bardziej, gdyż pani Wannop wróciła do tych samych dostawców, u których zaopatrywał piwniczkę profesor - panna Wannop poszła odebrać telefon...

Domek niewątpliwie należał do tańszych, był bowiem stary, rozległy i wygodny; ale też wiele wysiłku kosztowało urządzenie tych niskich pokoi. W jadalni była para okien i poprzeczna belka, srebra stołowe nabyto na wyprzedazach, szklanki były ze starego rżniętego szkła, z każdej strony kominka stał wielki fotel. Przez ogród prowadziły ścieżki z czerwonej cegły, rosły słoneczniki, malwy i szkarłatne mieczyki. Nic specjalnego, ale brama ogrodowa wisiała mocno i równo.

Dla Tietjensa to wszystko oznaczało wysiłek i pracę. Oto ta kobieta, która kilka lat temu nie miała ani grosza i znalazła się w żalonym położeniu, utrzymywała się przy życiu za pomocą najskromniejszych

instrumentów. Jakąż to musiało oznaczać pracę! Jeszcze ten chłopiec w Eton... wysiłek bezsensowny, choć szlachetny.

Pani Wannop siedziała naprzeciwko niego w drugim fotelu. Podziwu godna gospodyni, podziwu godna dama. Pełna ducha, ale na wrywki. Zmęczona. Podobnie jak stary koń, któremu uprząż musi zakładać trzech mężczyzn i który rusza z kopyta jak ogier, a po chwili zwalnia do truchtu. Twarz zmęczona, owszem. Policzki rumiane od dobrego powietrza, ale ciągnące w dół. Mogła tak siedzieć beczynnie, pulchne dłonie ukryte w czarnym koronkowym szalu, opadającym po obu stronach kolan; beczynna jak inne wielkie wiktoriańskie damy. Lecz podczas obiadu wydała się, że od czterech lat pisywała osiem godzin dziennie, każdego dnia bez wyjątku. Aż do dziś. Była to sobota i nie musiała przygotować wiodącego artykułu.

- I mój drogi chłopcze - powiedziała do niego - oddaję to tobie. Nie dałabym tego nikomu innemu oprócz syna twego ojca. Nawet... - tu wymieniła nazwisko najbardziej przez siebie szanowanej osoby. - I taka jest prawda - dodała.

Mimo to, nawet przy obiedzie, popadła w roztargnienie, bardzo mocno i bardzo głęboko, i poczyniła pewne fantastycznie błędne stwierdzenia, dotyczące przede wszystkim spraw publicznych... Wszystko to oznaczało niesamowitą pracę...

Siedział więc, mając tuż obok na małym stoliczku kawę i porto, we własnym domu...

- Mój najdroższy chłopcze - powiedziała. - Masz tak wiele do zrobienia. Czy naprawdę uważasz, że powinieneś zawieźć dziewczęta dziś wieczorem do Plimsoll? Są młode i bezmyślne. Praca jest na pierwszym miejscu.

- To nie odległość... - powiedział Tietjens.

- Owszem - odpowiedziała z humorem. - To dwadzieścia mil za Tenterden. Jeśli wyruszyście dopiero po dziesiątej, po zachodzie księżyca, nie wróćcie do piątej, nawet jeśli nic wam się po drodze nie przytrafi... Ale koń jest w porządku.

- Proszę pani - powiedział Tietjens. - Powinienem pani powiedzieć, że pani córkę i mnie wzięto na języki. W paskudny sposób!

Zwróciła ku niemu głowę, dość sztywno. A jednak tylko budziła się z następnego roztargnienia.



- Mm? Aha! Ten epizod na polu golfowym... Musiało to wyglądać podejrzanie. Zapewne też narobiłeś bałaganu z policją, żeby jej nie złapali. - Przez chwilę rozmyślała, ciężko, jak wiekowy papież. - Ach, przeżyjesz - powiedziała.

- Muszę pani powiedzieć, że to poważniejsza sprawa, niż się pani wydaje. Sądzę, że nie powinienem tu być.

- Dlaczego nie! - wykrzyknęła. - Gdzież więc miałbyś być? Nie masz wspólnego języka z żoną, wiem. Ona jest całkiem niewłaściwa. A któż by zaopiekował się tobą lepiej niż Walentyna i ja?

Bolesnie ugodzony (przecież reputacja żony obchodziła Tietjensa więcej niż cokolwiek innego w tym skomplikowanym świecie) Tietjens dość ostro zapytał, dlaczego pani Wannop nazwała Sylwię niewłaściwą. Odpowiedziała sennym tonem protestu:

- Mój drogi chłopcze, nic! Odgadłam, że są między wami różnice, proszę docenić moją odrobinę percepcji. Skoro ty jesteś w oczywisty sposób odpowiedni, ona musi być nieodpowiednia. I to wszystko, zapewniam cię.

Ulga, jaką odczuł, obudziła jego upór. Podobał mu się ten dom, podobała mu się atmosfera, skromność, dobór mebli, światło padające od okna do okna, zmęczenie po ciężkiej pracy, uczucie między matką i córką oraz sympatia, jaką obie do niego żywiły, i uparł się, że zrobi co w jego mocy, aby nie zaszkodzić reputacji córki.

Uważał, że przyzwoici mężczyźni takich rzeczy nie robią i z pewną drobiazgowością przypomniał sobie główne tezy konwersacji odbytej z generałem Championem w szatni. Niemalże widział popękane miednice w wyszorowanych dębowych stojakach. Twarz pani Wannop stała się jakby bardziej szara, orla, trochę niechętna! Raz po raz kiwała głową, aby zaznaczyć swą uwagę lub też z absolutnej senności.

- Mój drogi chłopcze - rzekła wreszcie. - To paskudne, gdy mówią o tobie takie rzeczy. Widzę to. Ale wydaje mi się, że całe swe życie przeżyłam w deszczu skandalu. Każda kobieta, która dożyła mojego wieku, ma takie uczucie... Teraz wydaje mi się, że to nie ma znaczenia... - Rzeczywiście prawie zasnęła, po czym wzdrygnęła się. - Nie widzę... do prawdy nie widzę, jak mogłabym ci pomóc w sprawie twojej reputacji. Zrobiłabym to, gdybym mogła, uwierz mi. Ale muszę myśleć o innych sprawach... Mam do prowadzenia ten dom, mam

dzieci do wykarmienia i wyedukowania. Nie mogę się na tyle zaangażować, na ile powinnam w kłopoty innych... Oprzytomniała nagle i niemal wyskoczyła z fotela.

- Ależ ze mnie świnia! - oznajmiła, nieoczekiwanie intonując dokładnie tak samo jak córka i przepłynęła w wiktoriańskim majestacie szala i długich spódnic za wysokie oparcie fotela, na którym siedział Tietjens. Nachyliła się nad nim i pogłaskała włosy na jego prawej skroni.

- Mój drogi chłopcze - rzekła. - Życie to gorzka rzecz. Jestem starą pisarką i wiem. Oto zapracowujesz się na śmierć, żeby ratować naród składający się z wściekłych hien i małą, co z wyciem i wrzaskiem ograbiają cię z reputacji... Sam Dizzy powiedział mi takie słowa na jednym z naszych przyjęć: „Oto, pani Wannop, jestem...” - Znowu odplynęła, ale poczyniła następny wysiłek i nachyliła głowę do jego ucha: - Mój drogi chłopcze, to naprawdę nie ma znaczenia. Przeżyjesz. Jedyną ważną rzeczą jest uczciwa praca. Uwierz starej kobiecie, która bardzo mocno żyła. „Twarde kłamliwe pieniądze” jak mawiali w marynarce. To brzmi jak truizm, ale jest jedyną prawdą... w tym znajdziesz pocieszenie. I przeżyjesz. A może i nie, o tym zdecyduje miłosierny Bóg. Ale to nie będzie miało znaczenia, uwierz mi; czerpać swą siłę będziesz z dni swoich - ogarnęły ją inne myśli.

Bardzo była pochłonięta wątkiem nowej powieści i usilnie pragnęła wrócić do rozmyślań na ten temat. Stała, patrząc się na zdjęcie, mocno spłowiła, męża w bokobrodach i ogromnym gorsie, lecz nadal gładziła skroń Tietjensa z wielką delikatnością.

I Tietjens siedział. Był całkiem świadomy, że ma w oczach łzy, tyle delikatności prawie nie było sposób znieść, a miał w istocie całkowicie bezpośrednią, prostolinijną i sentymentalną duszę. Zawsze wilgotniały mu oczy w teatrze przy czułych scenach miłosnych i dlatego unikał teatru. Dwa razy zadał sobie pytanie, czy powinien zrobić jeszcze jeden wysiłek, choć prawie nie był w stanie. Chciał siedzieć i nie ruszać się.

Głaskanie ustało; wygramolił się z fotela i stanął na nogi.

- Proszę pani - powiedział, stojąc z nią twarzą w twarz. - To absolutna racja. Nie powinno mnie obchodzić, co te wieprze o mnie

mówią, ale obchodzi. Będę rozważał pani słowa, aż zapadną się głęboko we mnie...

- Tak, tak! Mój drogi - I nadal spoglądała na fotografię.

- A jednak - rzekł Tietjens, wziął ją za dłoń odzianą w mitenkę i poprowadził z powrotem do fotela. - Moje obawy w danej chwili nie dotyczą mojej własnej reputacji, ale reputacji pani córki, Walentyny.

Osiadła na fotelu jak opadający balon.

- Jej reputacja! Ach! Chodzi ci o to, że to ją będą wykreślać z list gości. Nie pomyślałam o tym. Rzeczywiście!

Przez dłuższy czas zatopiła się w myślach.

Walentyna weszła do pokoju, uśmiechała się. Właśnie dała obiad woźnicy i rozbawiły ją jego pochwały pod adresem Tietjensa.

- Ma pan jednego wielbiciela - powiedziała do niego. - "Przedziurkował ten zgniły pasek! - mówi - jakby wielki dzięcioł duł w pusty pień!" Dostał kufel piwa i przeplatał tym hausty.

Ciągnęła opowieść o dziwactwie Joela, które się jej spodobało, poinformowała Tietjensa, że „duć” po miejscowemu oznacza „uderzać”, po czym dodała:

- Czy ma pan jakichś znajomych w Niemczech? - Zaczęła sprzątać ze stołu.

- Tak. Moja żona jest w miejscowości, która nazywa się Lobscheid.

Postawiła górę talerzy na czarną, lakierowaną tacę.

- Bardzo mi przykro - powiedziała. - To te genialne głupoty telefoniczne. Odebrałam dla pana telegram. Myślałam, że to temat do artykułów mamy. Zawsze przysyłają z inicjałami gazety, które są nawet podobne do „Tietjens”, a wysyłającą jest panna o nazwisku Hopside. Telegram wydawał mi się całkiem nieczytelny, ale uznałam, że dotyczy polityki niemieckiej i pomyślałam, że mama zrozumie... Czyżbyście oboje spali?

Tietjens otworzył oczy. Dziewczyna przeszła zza stołu i stanęła nad nim. Trzymała w wyciągniętej dłoni kawałek papieru, na którym zapisała depeszę. Wydawało się, że pisanie jej nie szło i litery zbiegały się razem. Odczytał depeszę:

„Dobra. Ale koniecznie zorganizuj Halo Centrala jedzie z tobą. Sylwia Hopside Niemcy.”

Tietjens przez dłuższy czas leżał w fotelu, patrząc na te słowa, wydawały się pozbawione znaczenia. Dziewczyna położyła mu kartkę na

kolanie i wróciła do stołu. Wyobraził sobie, jak walczy z niejasnościami przez telefon.

- Oczywiście, gdybym miała choć trochę rozsądku - powiedziała - powinnam była wiedzieć, że to nie może być do artykułu mamy, bo nigdy nic nie dostaje w sobotę.

Tietjens usłyszał siebie jak mówi głośno, wyraźnie, pauzując pomiędzy słowami:

- To znaczy, że jadę we wtorek do żony i zabieram ze sobą jej pokojówkę.

- Szczęściar z pana! - powiedziała dziewczyna. - Chciałabym się z panem zamienić. Nigdy nie byłam w Vaterlandzie Goethego i Róży Luksemburg.

Wyszła, niosąc załadowaną tacę i obrus przewieszony przez ramię. Jak przez mgłę zobaczył, że przedtem zbiera okruchy zmiotką. Pracowała w zadziwiającym tempie, cały czas mówiąc. Tyle nauczyła się w czasie służby - zwykła młoda dama robiłaby to dwa razy dłużej i z pewnością wyleciałaby jej połowa słów, gdyby próbowała mówić. Sprawność! Właśnie co uświadomił sobie, że wracał do Sylwii i oczywiście do piekła! Doprawdy było to piekło. Złośliwy i umiejętny diabeł... ależ oczywiście diabeł jest głupi i posługuje się takimi zabawkami jak fajerwerki i siarka; prawdopodobnie wyłącznie Bóg jest zdolny opracować długotrwałe cierpienie wynikłe z presji psychicznej... a więc skoro Bóg tak chciał (choć nie można się było temu sprzeciwić, jednak miało się nadzieję, że On nie chce!) przygotować dla niego, Krzysztofa Tietjensa, wieczną otchłań znużenia i bez nadziei... Jednak On to zrobił, była to niewątpliwa kara. Za co? Kto wie, jakie grzechy własne są surowo karalne w oczach Boga, gdyż Bóg jest sprawiedliwy. Może więc Bóg tak ciężko doświadcza za przewinienia seksualne.

Jak wypalony na jego pamięci pojawił się obraz ich pokoju śniadaniowego, z całym mosiądzem, sprzętem elektrycznym, rondlami do sadzenia jajek, tosterami, opiekaczami, podgrzewaczami do potraw, których nienawidził za kretyńską nieużyteczność; z wulgarnymi kopami kwiatów cieplarnianych, których nienawidził za ich egzotyczny woskowy wygląd, z olejno malowaną białą boazerią, której nie lubił i marnymi litografiami w ramkach (oczywiście, że autentyczne,

kochanie, gwarantowane tak bardzo przez Sotheby's) przedstawiającymi różowawe kobiety w kapeluszach jak u Gainsborougha, sprzedające makrele albo miotły. Prezent ślubny, którego nie znosił. I pani Satterthwaite, w szlafroczku, ale z gigantycznym kapeluszem na głowie, czytająca „Timesa” w nieustannym szeleście papieru, ponieważ nigdy nie umiała skupić się na jednej stronie, i Sylwia chodząca tam i z powrotem, ponieważ nie potrafiła usiąść spokojnie, trzymająca w palcach kawałek grzanki, albo z dłońmi splecionymi na plecach. Bardzo wysoka, jasna, pełna wdzięku, pełnokrwista i okrutna jak typowy zdegenerowany zwycięzca Derby. Efekt krzyżowania wsobnego od pokoleń, po to tylko, aby doprowadzać do szaleństwa mężczyzn jednego typu... Chodząca tam i z powrotem, wykrzykując, że jest znudzona, znudzona i czasem nawet rozbijając talerze od kompletu śniadaniowego... i mówiąca! Mówiąca wiecznie: zwyczajnie, niegłupio, idiotycznie, z rozwścieczającymi niedokładnościami, z okrutną przenikliwością, domagając się zaprzeczenia; dżentelmen musi odpowiadać na pytania swojej żony... A na jego czoło nieustanny nacisk, determinacja, aby się nie dać poruszyć; podczas gdy wyposażenie wnętrza tego pokoju wypalało się na jego pamięci. Teraz miał je jak za mgłą przed sobą. I to ciśnienie na czoło...

Teraz mówiła do niego pani Wannop. Nie wiedział, co mówi, nigdy się nie dowiedział, co odparł.

Boże! - pomyślał. Jeśli to grzechy cielesne Bóg karze, to w istocie jest sprawiedliwy i nieprzenikniony! Między nim a tą kobietą doszło do kontaktu fizycznego, zanim ją poślubił! W wagonie kolejowym, gdy wracali z Dukeries. Ekstrawagancko piękna dziewczyna!

Gdzie teraz pierzchła jej atrakcyjność fizyczna? Nie można się jej było oprzeć, leżącej tam, podczas gdy obok nich pędem uciekały hrabstwa... Rozum podpowiedział mu, że go uwiodła. Intelpekt odpchnął tę myśl. Żaden dżentelmen nie miewa takich myśli o swej małżonce.

Żaden dżentelmen... Na Boga, musiała wtedy być w ciąży z innym... Przez minione cztery miesiące walczył z tym przeświadczeniem... Wiedział teraz, że walczył z tym całe cztery miesiące, usypiając się kąpielą z liczb i teorii fal. Jej ostatnie słowa, ostatnie słowa, jakie wypowiedziała, późno, poszła cała w bieli do garderoby i nigdy jej więcej nie ujrzał; jej ostatnie słowa dotyczyły dziecka... Nie pamiętał

reszty. Pamiętał za to jej oczy. I jej ruchy, gdy zsuwała swe długie białe rękawiczki...

Patrzył na palenisko kominka pani Wannop; pomyślał, że właściwie to nie całkiem gustowne pozostawiać polana na kominku w lecie. Lecz właściwie co robić z kominkiem w lecie? W chałupach Yorkshire zamykają je za malowanymi drzwiczkami, ale temu też brak polotu!

Pomyślał, że chyba dostał udaru i wstał z fotela, żeby sprawdzić nogi... Nie dostał udaru. Pomyślał więc, że ból wynikał z jego końcowych rozważań był zbyt wielki, aby go mózg zarejestrował, podobnie jak niektórych wielkich urazów fizycznych człowiek nie zauważa. Nerwy, niczym maszyny ważące, nie zarejestrują więcej ponad określoną wielkość, przestają działać. Włóczęga, któremu pociąg obciął nogę powiedział mu, że usiłował się podnieść, niczego nie czując... Ale ten ból wraca... Do pani Wannop, która wciąż mówiła, powiedział:

- Bardzo panią przepraszam. Umknęło mi to, co pani mówiła.
- Mówiłam, że nic lepszego nie mogę dla ciebie zrobić.
- Bardzo mi przykro, tego nie dosłyszałem. Wie pani, że mam trochę kłopotów.

- Wiem, wiem - powiedziała. - Myśli wędrują, ale wolałabym, abyś słuchał. Mam pracę i ty też. Powiedziałam, że po podwieczorku ty i Walentyna pójdziecie do Rye po twoje bagaże.

Wysilił swoją inteligencję, ponieważ nagle ogarnęła go wielka przyjemność: słońce odbija się na czerwonym dachu jak piramida w oddali, a oni schodzą długim skosem po zielonym wzgórzu - Boże, tak, pragnął powietrza i przestrzeni. Powiedział:

- Rozumiem. Bierze nas pani pod swoją ochronę. Będzie pani blefować.

Pani Wannop powiedziała dość chłodno:

- Nie wiem o „was”. To ciebie biorę pod swoją ochronę (jak mówisz). Jeśli zaś chodzi o Walentynę, to jak sobie posłała, tak niech śpi. Już ci to wszystko mówiłam. Nie będę powtarzać.

Po chwili podjęła znów:

- To niemiłe, że Mountby nie będzie zapraszać. Dają zabawne przyjęcia. Ale ja jestem za stara, żeby mnie to obchodziło, a oni będą

bardziej tęsknić za moją sztuką konwersacji niż ja za nimi. Oczywiście, że stanę po stronie mojej córki przeciwko hienom i małpom. Zrobiłabym to, gdyby zamieszkała z żonatym mężczyzną i miała nieprawe dzieci. Ale nie popieram. Nie popieram sufrażystek, nienawidzę ich celów, brzydzę się ich metodami. Uważam, że młode dziewczyny nie powinny odzywać się do nieznajomych mężczyzn. Walentyna zaczęła ciebie i proszę, ile ci to przysporzyło zmartwień. Nie podoba mi się to. Jestem kobietą, ale dałam sobie radę, inne kobiety też dałyby, gdyby miały do tego chęć i werwę. Nie podoba mi się! Ale nie sądzę, abym kiedykolwiek pogrążyła sufrażystkę, jednostkowo czy w grupie, moją Walentynę albo jakąś inną. Nie wierz, że kiedykolwiek powiem na nie złe słowo do powtórzenia - bo ty ich nie powtórzysz. Ani nie napiszę niczego złego przeciwko nim. Nie! Jestem kobietą i stanę po stronie mojej płci! - Wstała energicznie. - Muszę iść pisać moją książkę. Dziś wieczorem muszę posłać pociągiem poniedziałkowy odcinek pocztą kurierską. Wejdz do mojego gabinetu, Walentyna da ci papier, atrament i dwanaście różnych stalówek. W całym pokoju znajdziesz książki profesora Wannopa. Musisz zdzierżyć, że w alkowie Walentyna będzie pisać na maszynie. Mam na biegu dwa seriale, jeden pisany na maszynie, drugi odręcznie.

- Ale pani! - rzekł Tietjens.

- Ja - wykrzyknęła - pójdę pisać do sypialni albo będę to robić na kolanie. Jestem kobietą, więc mogę. Ty jesteś mężczyzną i musisz mieć wyścielane krzesło i swoje sanktuarium... Masz siłę do pracy? No, to masz czas do piątej. O piątej Walentyna zrobi podwieczorek. Wpół do szóstej wyruszyście do Rye. Wrócisz z bagażem i przyjacielem o siódmej. - Uciszyła go po cesarsku, mówiąc: - Nie bądź głupi. Twój przyjaciel na pewno będzie wolał ten dom i kuchnię Walentyny od pubu i tamtejszej kuchni. Na dodatek oszczędzi pieniądze... To żaden dodatkowy kłopot. Myślę, że twój przyjaciel nie doniesie o tej jednej małej sufrażystce, która siedzi na górze. Czy jesteś pewien, że zdążysz zrobić swoje i zawieźć Walentynę i tamtą - dodała po chwili. - To konieczne, bo tamta nie ma odwagi jechać pociągiem, a my tam mamy krewnych, którzy nigdy nie mieli nic wspólnego z sufrażystkami. Dziewczyna może pomieszkać tam trochę w ukryciu... Ale zawiozę je sama, jeśli ta podróż miałaby przeszkodzić ci w ukończeniu

pracy... - Znowu uciszyła Tietjensa, tym razem ostro: - Mówię ci, że to żaden kłopot. Walentyna i ja zawsze ścielimy sobie własne łóżka. Nie lubimy, żeby w naszych osobistych rzeczach grzebała służba. Mogłybyśmy mieć po trzykroć większą pomoc od sąsiadów niż teraz. Lubią nas tu. Im więcej się wkłada pracy, tym więcej otrzymuje pomocy. Jakbyśmy chciały, mogłybyśmy mieć służbę. Ale Walentyna i ja lubimy być nocą same w domu. Bardzo jesteśmy sobie bliskie.

Podeszła do drzwi i z roztargnieniem wróciła, mówiąc:

- Wiesz, nie mogę zapomnieć o tej nieszczęsnej kobiecie i jej mężu. Musimy wszyscy zrobić dla nich co tylko się da. - Drgnęła i wydała z siebie okrzyk: - Ależ, dobre nieba, nie daję ci pracować...

Gabinet jest tam, przez te drzwi.

Pospiesznie wyszła drugimi drzwiami i zapewne poszła korytarzem, wołając:

- Walentyno! Walentyno! Idź do Krzysztofa, jest w gabinecie. Natychmiast! Natych... - jej głos zanikł.

## VII

Dziewczyna zeskoczyła z kozła i całkiem znikła w srebrzystej poświacie. Miała na sobie toczek z wydrzej skórki, ciemny, który powinien być widoczny. A jednak znikła zupełnie, jakby co najmniej wskoczyła w głęboką wodę czy śnieg. A przynajmniej bardziej nieoczekiwanie. W ciemnościach czy w głębi wody przez sekundę byłby dostrzegalny ruch jaśniejszej smugi; w śniegu bądź papierowym kole pozostałaby dziura. A tu nic.

Konstatacja ta zainteresowała go. Pilnie obserwował dziewczynę w obawie, że ześliznie się z niższego stopnia i poobciera sobie piszczele ze skóry. Ona zaś odbiła się i odskoczyła od powozu, nierozsądnie dzielna, mimo że ostrzegł:

- Niech pani uważa, schodząc.

Sam by tego nie zrobił, nie byłby w stanie wskoczyć w tę solidnie wyglądającą białość...

Miał ochotę zapytać, czy wszystko jest w porządku, ale tym samym wyraziłby większą obawę niż wcześniejszym „niech pani uważa”, i straciłby na opinii nieporuszonego. Pochodził z Yorkshire, nie



poruszało go nic; ona pochodziła z południa, była delikatniejsza, uczuciowa, powiedziała by na przykład: „Mam nadzieję, że nic pan sobie nie zrobił” w przypadku, gdy rodowity mieszkaniec Yorkshire wydałby z siebie jedynie pomruk. Delikatna, bo z południa. Równie dobra jak mężczyzna - z południa. Całkiem gotowa uznać wyższość drewnianego temperamentu północy... Takie były u nich zwyczaje, a więc nie zawołał: „Mam nadzieję, że nic się pani nie stało”, choć miał na to ochotę.

Dobiegł go jej głos, zupełnie jakby mówiła mu przez czaszkę od tyłu. Wrażenie było zaskakujące.

- Niech pan pohłasuje od czasu do czasu. Tu na dole jest upiornie, a latarnia nic nie pomaga. Prawie zgasła.

Wrócił do rozważania konstatacji o kryjących właściwościach pary wodnej. Bawiła go myśl, jak groteskowo musi wyglądać w tym idiotycznym pejzażu. Po prawej miał gigantyczny, nieprawdopodobnie jasny sierp księżycy, którego poświata kładła się niczym na morzu, i prowadziła prosto do jego szyi; przy księżycu wisiała groteskowo wielka gwiazda, ponad nimi ekstrawagancko rozciągał się Wielki Wóz, jedyna konstelacja, jaką znał, gdyż będąc matematykiem nienawidził astronomii. Dla matematyka-estety nie była wystarczająco czystą wiedzą i miała też niewystarczające zastosowanie praktyczne w życiu codziennym. Oczywiście, że dokonywał kalkulacji dotyczących różnych ciał niebieskich, ale tylko na podstawie danych liczbowych, nigdy nie patrzył na gwiazdy będące przedmiotem jego obliczeń... Ponad jego głową i na całym niebie widniały inne gwiazdy, wielkie i kapiące światłem albo też blednące od świtu, tak że raz się je widziało, a innym razem nie, a potem znowu objawiały się patrzącemu oku. Naprzeciwko księżycy, na bledszej, niższej części przezroczystego błękitu nieba wisiał skrawek czy dwa obłoku, różowiejący od spodu, ciemnofioletowy z wierzchu.

Przy tym wszystkim absurdalna była ta mgła. Wydawała się rozciącać od okolic jego szyi, absolutnie gładka, absolutnie srebrzysta, z każdej strony aż po nieskończoność. W wielkiej odległości czerniały kształty drzew, w grupach, czterech grupach, całkiem jak wyspy koralowe na srebrzystym morzu. Nie mógł uciec od tego idiotycznego porównania, innego nie było.

Jednakże mgła nie rozciągała się właściwie od jego szyi; gdyż teraz uniósł ręce na wysokość sutek, trzymały w dłoniach lejce biegnące w dół i w nicość. Gdy pociągnął za lejce, koń rzucał łbem. Przez szary opar dostrzegał parę strzygących uszu. Koń był wysoki na szesnaście piędzi z kawalkiem, mgła zapewne unosiła się na wysokość dziesięciu stóp. Gdzieś tyle... Chciałby, żeby dziewczyna wróciła i wyskoczyła z powozu. Będąc na to przygotowanym, mógłby obserwować jej zniknięcie z bardziej naukowym nastawieniem. Oczywiście nie mógł poprosić jej, aby to po raz wtóry zrobiła, byłoby to irytujące. Zjawisko to udowodniłoby (albo wręcz przeciwnie) jego tezę dotyczącą zasłon dymnych. Chińczycy z dynastii Ming podobno podchodzili i niszczyli wrogów pod osłoną oparów, oczywiście niegryzących. Czytał, że Patagończycy, ukrywając się w dymie, podchodzili tak blisko do zwierząt i ptaków, że mogli je bez przeszkód brać do ręki. Grecy pod Paleologiem...

Spod desek podwozia powozu doleciał głos panny Wannop:

- Mógłby pan pohłasować. Czuję się tu samotna, a poza tym to może być niebezpieczne. Po obu stronach drogi może być grobla.

Jeśli jechali przez mokradła, to na pewno były groble (dlaczego nazywa rowy groblami i czemu w liczbie pojedynczej?) po obu stronach drogi. Nie mógł wymyślić niczego, co nie wyraziłoby jego obaw, a tego mu nie było wolno, według reguł gry. Usiłował zagwizdać na melodię „John Peel”. Ale marnie mu szło gwizdanie. Zaśpiewał:

- *Czy poznasz Johna Peela o świcie...* - i poczuł się głupio.

Ale ciągnął dalej jedyną melodię, jaką znał. Maszerowała do niej lekka piechota z Yorkshire; regiment jego braci w Indiach. Żałował, że nie był w wojsku, ale ojciec nie zgadzał się, by więcej niż dwóch młodszych synów poszło na służbę. Zamyślił się, czy jeszcze kiedykolwiek pobiegnie z ogarami Johna Peela, jak to mu się raz czy dwa udało. Albo z jakąś inną wykarmioną sforą z okolic Cleveland. Jeszcze ich kilka istniało, gdy był chłopcem. Przyzwyczaił się do myśli, że jest jak John Peel w szarym płaszczu... w górę przez wrzosa, przez pole Whartona, dziczejąca sfora, wrzosa kapiące wilgocią mgła wchodzi na stoki... Inna mgła niż to południowe srebrzyste prześcieradło. Beznadziejne! Magiczne! O właśnie to słowo. Głupie słowo... Południowe.. . Na północy stare, bure mgły skłębiały się razem i podnosiły, odsłaniając czarne stoki pagórków.

Nie sądził, aby teraz starczyło mu tchu; przebrzydłe życie biurokraty! Gdyby był w wojsku, jak Ernest i Jakub, kolejno od niego starsi... Ale niewątpliwie nie podobałoby się mu w wojsku. Dyscyplina! Uważał, że zdzierzyłby dyscyplinę, dżentelmen musiał. Ponieważ *noblesse oblige*, a nie ze strachu przed konsekwencjami... Jednakże oficerowie armii wydawali się mu żałośni. Prychali i ryczeli, żeby podwładny zgrabnie skakał. I na tym koniec...

W rzeczywistości ta mgła nie była srebrzysta, a raczej już nie była srebrzysta. Jeśli na nią spojrzeć okiem artysty... Akurat takim okiem! Brukały ją pasma fioletu, czerwieni, oranżu; delikatne refleksy; ciemnoniebieskie cienie kładące się od wyższej części nieba, gdzie zalegała niby zasy śniegu... Akuratne oko, akuratne widzenie, praca dla mężczyzny. Jedyna praca dla mężczyzny. No, to artyści byli miękcy, kobiecy, wcale nie byli mężczyznami. Oficer wojskowy zaś, co miał nieścisty umysł nauczyciela, był męskim mężczyzną? Całkiem męskim mężczyzną póki nie stał się starą babą!

A biurokrata? Tyjący i delikatniejący jak on, czy suchy i żyłasty jak Macmaster albo stary Ingleby? Wykonywali pracę męską prowadzili akuratne obserwacje: zwrócić dokument 17642 do uściślenia liczb. A mimo to popadali w histerię, biegali po korytarzach albo frenetycznie rąbali w dzwonki na biurkach, dopytując się wysokimi tonami rozedrganych eunuchów, dlaczego formularz numer 90002 nie był gotowy. Jednakże mężczyźni lubili pracę w biurokracji: jego brat Marek, głowa rodziny, spadkobierca Groby... Piętnaście lat starszy, spokojny, kij od szczotki, drewniany, brązowy, zawsze w meloniku, zazwyczaj z lornetką na wyścigi konne wiszącą u boku. Chodził do swego biura na wysokim szczeblu, gdy chciał, był zbyt dobrym nabytkiem dla administracji, aby go stracić przez krótsze trzymanie... I spadkobierca Groby. Co ten stary sztywniak pocnie z Groby? Wynajmie, nie ma co, a sam będzie podjeżdżał z Albany na wyścigi (nigdy się nie zakładał), na Whitehall, gdzie był podobno niezastąpiony... A to dlaczego? Dlaczego, w imię niebios? Ten sztywniak, który nigdy nie polował, nigdy nie strzelał, nie umiał odróżnić radła od pługa i żył w meloniku! „Przywoity” człowiek, archetyp wszystkich przywoitych mężczyzn. Nigdy w życiu nikt nie potrząsnął głową na Marka i nie powiedział: „Jesteś genialny!”. Genialny! Ten kij od szczotki! Nie, on był niezastąpiony!

Na mą duszę! - pomyślał Tietjens. Ta dziewczyna tam w dole jest jedynym inteligentnym stworzeniem, jakie od lat spotkałem.

Trochę przerysowana maniera, czasem fałszywe rozumowanie, oczywiście, ale całkiem inteligentna, od czasu do czasu źle zaakcentuje jakieś słówko. Ale gdyby ją gdzieś chcieli, wzięliby i już! Z dobrej rodziny, jak należy, po obu stronach!

Pozytywnie rzecz biorąc, ona i Sylwia były to jedyne istoty ludzkie godne szacunku, jakie spotkał od wielu lat. Jedną szanował za doskonałą umiejętność zabijania, drugą za konstruktywne chęci i umiejętność dążenia do ich urzeczywistnienia. Wyleczyć lub zabić! Dwie funkcje człowieka. Jeśli zaistniała potrzeba zabicia czegoś, należało iść z tym do Sylwii Tietjens, w całkowitej pewności, że zabije: uczucie, nadzieję, ideały - zniszczy szybko i pewnie. Jeśli zaistnieje potrzeba utrzymania czegoś przy życiu, trzeba było iść do Walentyny, a znajdzie jakiś sposób, żeby temu pomóc... Dwa charaktery: bezwzględny wróg, szczelna tarcza... sztylet... pochwa!

A może więc przyszłość świata należy do kobiet? Czemu nie? Od lat nie spotkał mężczyzny, na którego nie musiał patrzeć z góry i mówić jak do dziecka. Tak jak patrzył i mówił do generała Campiona i pana Waterhouse'a... jak zawsze mówił do Macmastera. I to wszyscy na swój sposób dobrzy ludzie.

Dlaczego więc urodził się na coś w gatunku samotnego bawoła? Poza stadem? Nie artysta, nie żołnierz, nie biurokrata, z pewnością dający się zastąpić, najwyraźniej nawet nie całkiem przyzwoity w oczach tych otępiałych specjalistów... Szczegółowy obserwator...

Głośno wypowiedział zapamiętane dwa wersy:

*Die Sommer Nacht hat mirs angethan*

*Das war ein schweigsame Reiteri...*

Jak można było to tłumaczyć? Nie można; nikt nie mógł tłumaczyć Heinego.

*Ogarnęła mnie letnia noc...*

W jego senne rozmyślania wdarł się głos:

- Ach, istnieje pan. Ale odezwał się pan za późno. Wpadłam na konia.

Chyba mówił na głos. Poczul, że na końcu lejc koń zadygotał. Koń też zdążył się już do niej przyzwyczaić. Ledwo drgnął... Ciekaw był, kiedy przestał śpiewać „Johna Peela”.

- No, to niech pani tu idzie. Znalazła pani cokolwiek?  
- Coś... - doleciała odpowiedź. - Ale nie da się w tym mówić. Ja tylko...

Głos zanikł jakby za zamkniętymi drzwiami. Czekał. Świadome czekanie - jakieś zajęcie! Ze skruchą, żeby zrobić jakiś hałas, zastukał batem w uchwycie. Koń skoczył i musiał szybko usadzić. Był idiotą - oczywiście, że koń podskoczy, jeśli postukasz batem. Zawołał:

- Nic się pani nie stało?

Powóz mógł ją przejechać. Złamał zwyczaj. Jej głos dobiegł z wielkiej odległości.

- W porządku. Patrzę po przeciwnej stronie...

Jego ostatnia myśl powróciła. Złamał ich zasadę, wykazał się zainteresowaniem, zupełnie jak każdy inny mężczyzna.

Na Boga! - pomyślał. Może by iść na całość? Złamać wszelkie zasady?

Wznosiły się znienacka i nieodparcie. Znał tę młodą kobietę niecałe dwadzieścia cztery godziny i już między nimi ustaliła się konwencja, że on gra sztywnego i zimnego, a ona promieniuje ciepłem i łgnie... A jednak ona wydawała się podobnie chłodnym graczem jak on; nie wątpił, że chłodniejszym, ponieważ na dnie duszy był całkowicie sentymentalny.

Imbecyjska konwencja... Zresztą, łamać konwencje! Te, które dotyczyły owej młodej kobiety, a ponad wszystko jego samego. Przez czterdzieści osiem godzin... niemal dokładnie za czterdzieści osiem godzin wyruszy do Dowru...

*I pójdą sam w zielony las,  
Samotny ja banita!*

Ballada z pogranicza! Napisana najdalej siedem mil od Groby!

Według zachodzącego księżyca i według piania kogutów tej letniej nocy w okolicach świętego Jana (cóż za sentymentalność!), zapewne było około wpół do piątej w niedzielę rano. Ustalił, że aby zdążyć na prom w Ostendy, który wypływał rano, będzie musiał wyjechać od Wannopów o 5.15 we wtorek, samochodem do pociągu... Niewiarygodne połączenia kolejowe! Czterdzieści mil będzie jechał pięć godzin.

A więc zostało mu czterdzieści osiem godzin i trzy kwadransy na urlop! Urlop przede wszystkim od siebie samego, urlop od jego zasad,

od jego własnej konwencji. Od jasnej obserwacji, od szczegółowego myślenia, od przewracania dokładnie poustawianych kręgli przekonania innych, od duszenia uczuć... od wszystkich tych męczących spraw, przez które nie znosił siebie... Poczul, że wydłużają mu się ręce i nogi, jakby i one się rozluźniły.

Cóż, zakosztował już ponad sześciu godzin całej tej zabawy. Wyruszyli o 10.00. Jechał, jak każdy mężczyzna, z przyjemnością, chociaż trudno było utrzymać równowagę tego paskudnego powozu. Dziewczyna musiała usiąść z tyłu i objąć tę drugą, która piszczała na widok każdego dębu...

No i tak lunatykował (przyznał się w duchu) w świetle tego absurdalnego księżyca, który towarzyszył im na niebie, razem z zapachem siana, śpiewem słowika (już oczywiście ochryplego, w czerwcu zmieniały nutę), derkaczy, nietoperzy i czapli, które raz i drugi przeleciały im nad głowami. Minęli czarno-granatowe cienie pod stogami, pod obłymi, ciężkimi dębami, tyczkami chmielu, na polu przypominającymi wieże kościelne i drogowskazy. I ta szarosrebrna droga, ta ciepła noc... Wszystkiemu winna ta letnia noc...

*... hat mirs angethan*

*Das war ein schweigsame Reiteri...*

Oczywiście, że nie całkiem cicha, ale prawie! Wracając od proboszcza, gdzie zostawili tę małą szcurzycę z londyńskich kanałów, rozmawiali niewiele... Całkiem sympatyczni ludzie, ta rodzina proboszcza, jakiś wujek dziewczyny, trzy kuzynki, miłe, podobne do niej, ale pozbawione indywidualności... Wyjątkowo dobry kawałek wołowego, rzeczywiście najwyższych ocen godny pleśniowy Stilton i łyk whisky świadczący o tym, że proboszcz jest mężczyzną. Wszystko w świetle świec. Matczyna matka rodziny zabrała szcurzyczkę po schodach na górę... Mnóstwo dziewczęcego śmiechu... Wyruszyli z powrotem godzinę później niż zmierzali... Bez znaczenia - mieli przed sobą całą wieczność; koń (naprawdę dobry koń!) przykładał się do pracy...

Na początku trochę rozmawiali: o bezpieczeństwie tej z Londynu, że policja jej teraz nie znajdzie, że proboszcz był morowy, bo ją przyjął. Z pewnością nie dojechałaby do Charing Cross pociągiem...

Popadali w dłuższe okresy milczenia. Przy latarni od strony drogi zawirował nietoperz.

- Ale duży nietoperz! - powiedziała. - *Noctilux major*...
- Skąd pani bierze to absurdalne łacińskie nazewnictwo? Czy to nie był *phalaena*...?
- Z White'a - odpowiedziała. - Czytałam „Naturalną historię Selborne” i żadnej innej...
- Był ostatnim angielskim pisarzem, który potrafił pisać - powiedział Tietjens.
- Nazywa te wzgórza „majestatycznymi i zabawnymi górami” - powiedziała. - A skąd pan wziął tę koszmarną wymowę łacińską? „Falajajajna”!
- „Wyniosłymi i zabawnymi górami” a nie „majestatycznymi” - powiedział Tietjens. - Wymowę łacińską wziąłem, jak każdy współczesny uczeń lepszej szkoły, od Niemców.
- Rzeczywiście! Ojciec mawiał, że od tego robi mu się niedobrze.
- Cezar równa się kajzer - powiedział Tietjens.
- A żeby tych pana Niemców... - powiedziała. - Żadni z nich etnologowie, filologia ich przerasta! Tak mówił ojciec - dodała, aby nie wydać się nadmiernie pedanteryjną.

I milczenie... Na głowę naciągnęła koc, który pożyczyła jej ciotka; koło niego siedziała sylwetka z zadziornym nosem wystawionym poza opadający czarny zawój. Gdyby nie kwadratowy toczek, miałyby tę samą sylwetkę, co tkaczka z Manchesteru; toczek nadawał jej inną linię, niczym diadem Diany. Drażniąca mile była jazda koło całkiem milczącej damy w ciemnościach gęstego boru, który prawie nie przepuszczał światła księżyca. Kopyta końskie postukiwały równo; dobry koń. Zewnętrzna lampa oświetliła rdzawą postać mężczyzny z workiem na plecach, wtulonego w żywopłot; koło niego mrugający pies.

Dozorca pościelowy - pomyślał Tietjens. Ci wszyscy leśnicy z poludnia śpią całą noc... a potem daje się im pięć funtów napiwku za sobotnie polowanie... Zdecydował, że w tej sprawie też zajmie stanowisko. Żadnych więcej weekendów z Sylwią w domostwach Wybrańców.

Wjechali na polanę w leśnej głuszy i nagle dziewczyna powiedziała:

- Nie obrażę się na pana za tę łacinę, chociaż był pan niepotrzebnie nieuprzejmy. I wcale mi się nie chce spać. Świetnie się bawię.

Zawahał się chwilę. Powiedziała taką dziewczęcą głupotę. Nieczęsto mówiła jak głupie dziewczę. Powinien ofuknąć ją dla jej własnego dobra.

- I ja też! - powiedział.

Patrzyła na niego. Jej nos znikł z zarysu postaci. Nie umiał się powstrzymać; tuż nad jej głową wisiał księżyc, wkoło niej nieznanne gwiazdy i ciepła noc. Poza tym, mężczyzna może się zniżyć! Właściwie należy mu się to...

- To było miłe z pana strony! Mógł pan dać do zrozumienia, że ta przejażdżka odrywa pana od niezmiernie ważnej pracy...

- O, mogę myśleć i powozić - odparł.

- Och! Powodem, dla którego nie obeszła mnie pańska uwaga na temat mojej łaciny, jest to, że wiem, że jestem o wiele lepsza z łaciny niż pan. Nie umie pan zacytować Owidiusza bez rażących pomyłek... *Vastum* a nie *longum*... *Terra tribus scopulis vastumprocurrit*... a poza tym *alto* a nie *coelo*... *Uvidus ex alto desilientis*... Jak mógłby Owidiusz napisać *ex coelo*? Aż zęby dzwonią od tego „c” po „x”.

- *Excogitabo!* - odezwał się Tietjens.

- E, to psie! - rzekła z pogardą.

- Zresztą - powiedział Tietjens - *longum* brzmi o wiele lepiej niż *vastum*. Nienawidzę kiczowatych przymiotników jak „bezkresny”...

- To całkiem podobne do pańskiej skromności, poprawiać Owidiusza! - wykrzyknęła. - A jednak twierdzi pan, że Owidiusz i Katullus byli jedynymi prawdziwymi poetami rzymskimi... Właśnie dlatego, że byli sentymentalni i używali przymiotników takich jak *vastum*... „Łzy smutku zmieszane z pocałunkami” - czyż to nie czysty sentymentalizm?

- Wie pani - powiedział Tietjens, o krok od niebezpieczeństwa - że to powinno brzmieć „Pocałunki co łączą się ze łzami smutku”... *Tristibus et lacrimis oscula mixta dabis*...

- A jeszcze czego - wybuchła. - Taki człowiek jak pan zdychałby w rowie i nawet bym nie podeszła. Jest pan całkiem do niczego, nawet jak na kogoś, kto uczył się łaciny od Niemców.

- Cóż, jestem matematykiem - odparł. - Klasycy nie są w moim stylu.

- O, tak - odparła cierpko.



Długo, długo potem wypowiedziała te słowa:

- Pan użył „łączyć się” zamiast „mieszać” w tłumaczeniu *mixta*. Angielskiego też chyba się pan nie uczył w Cambridge! Chociaż i tego przedmiotu tam uczą marnie, jak wszystkich innych, o czym mawiał ojciec.

- Pani ojciec pobierał nauki w Balliol, niewątpliwie - rzekł Tietjens, nadymając się w pogardzie jak prawdziwy absolwent Trinity College z Cambridge. Lecz ponieważ ona całe swe życie obracała się wśród absolwentów Balliol, przyjęła to jako komplement i gałązkę oliwną.

Po pewnym czasie Tietjens, zauważywszy, że jej sylwetka wciąż znajdowała się między nim a księżycem, odezwał się:

- Nie wiem, czy pani wie, że od dobrych kilku minut jedziemy prawie na zachód. Powinniśmy jechać na południe, lekko odbijając na wschód. Domyślam się, że naprawdę pani zna tę drogę...

- Każdy cał - odparła. - Jeździłam po niej wiele razy naszym motocyklem z mamą w przy czepce. Następne skrzyżowanie nazywa się Grandfather's Wantways. Mamy do przejechania jedenaście mil i ćwierć. Droga tu zawraca z powodu dawnych wyrobisk rudy żelaza, kluczy wśród nich, a są ich setki. Wie pan, że w osiemnastym wieku miasto Rye eksportowało głównie szyszki chmielu, armaty, kotły i części kominów. Ogrodzenie wokół katedry Świętego Pawła w Londynie jest zrobione z żelaza z Sussex.

- Oczywiście, że wiedziałem - powiedział Tietjens. - Sam pochodzę z żelaznych okolic... Dlaczego nie pozwoliła mi pani zawieźć kożuszki na przyczepce? Byłoby szybciej.

- Ponieważ trzy tygodnie temu rozbiłam przyczepkę na kamieniu milowym na Hog's Corner, jechałam czterdziestką.

- Ładna wywrotka! - powiedział Tietjens. - Nie wiozła pani wtedy matki?

- Nie. Bibułę. Przyczepka była jej pełna. Rzeczywiście wywrotka była ładna. Nie zauważył pan, że jeszcze trochę kuleję? - Po kilku minutach powiedziała: - Nie mam zielonego pojęcia, gdzie jesteśmy. Całkiem zapomniałam, aby śledzić drogę. I nic mnie to nie obchodzi... Ale tu jest drogowy znak, niech się pan przy nim zatrzyma.

Niestety nie dało się poświecić latarnią na ramiona drogowego znaku - ledwo się żarzyła. W powietrzu wisiało pełno mgły. Tietjens oddał

lejce dziewczynie i zszedł. Zdjął wewnętrzną latarnię i zawróciwszy jard czy dwa do drogowskazu, przyglądał się jego ogłupiającej i upiornej postaci...

Dziewczyna wydała z siebie pisk, który przeszył go aż po kręgosłup, kopyta zastukały dziwnie, powóz ruszył. Tietjens podążył za nim i ze zdumieniem stwierdził, że całkiem zniknął. Wtedy wbiegł na coś upiornego, czerwonego i mglistego. Chyba mgła zrobiła się nagle jeszcze gęściej sza. Wirowała wkoło latarni, gdy zawieszał ją na miejsce.

- Zrobiła pani to naumyślnie? A może pani nie potrafi utrzymać konia?

- Nie umiem powozić - odparła. - Boję się koni. Nie umiem też jeździć motorem. Zmyśliłam wszystko, bo wiedziałam, że pan powie, że wolałby pojechać z Gertie w przyczepce niż ze mną.

- Wybacz więc pani, że zapytam, czy pani w ogóle zna tę drogę?

- Oczywiście! - odparła wesoło. - W życiu tędy nie jechałam. Zanim wyruszyliśmy, sprawdziłam na mapie, bo mam powyżej uszu tej drogi, którą jechaliśmy. Z Rye do Tenterden jest jednokonny autobus, a z Tenterden wiele razy chodziłam do wujka...

- No, to prawdopodobnie zabawimy całą noc - powiedział Tietjens. - Czy to pani przeszkadza? Koń może być zmęczony...

- Ach, biedny koń! Chciałam, żebyśmy byli w drodze całą noc... Ale koń... Co ze mnie za okrutnica, że nie pomyślałam o koniu.

- Jesteśmy w odległości trzynastu mil od miejscowości o nazwie Brede, jedenaście i ćwierć od jakiejś, której nie odczytałem, sześć i trzy czwarte od jakiejś, co nazywała się chyba Uddlemere... - powiedział Tietjens. - Ta droga prowadzi do Uddlemere.

- Aha, więc to była Grandfather's Wantways - oznajmiła. - Dobrze ją znam. Mówią tak na nią, bo siadywał przy niej pewien staruszek, którego nazywali Gran'fer Finn. Jak był dzień targowy w Tenterden i jechały tędy wozy, to Dziadek Finn sprzedawał im z koszyka babeczki. Targ w Tenterden zlikwidowano w 1845 roku, po zniesieniu ustaw o handlu zbożem, wie pan. Jako torysa powinno to pana zainteresować.

Tietjens odezwał się cierpliwie, umiał wczuć się w jej nastrój; pozbyła się wielkiego ciężaru, a jeśli długa znajomość z własną żoną nie przyzwyczaiła go do znoszenia kobiecych kaprysów, to nic już go nie zmieni:

- Czy mogłaby mi pani wobec tego powiedzieć...  
- Jeśli - przerwała mu - to rzeczywiście była Gran'fer's Wantways (angielski z centrum kraju). *Vent* oznacza poczwórne rozstaje, ze starofrancuskiego *carrefour*... albo może to nie to słowo. Ale w taki sposób działa pański umysł...

- Oczywiście często chadzała pani od wujka do Gran'fer's Wantways - powiedział Tietjens - razem z kuzynkami. Nosiliście brandy dla inwalidy mieszkającego w starym domu na rogatce. I stąd pani zna opowieść o Dziadku. Mówiła pani, że nigdy tędy nie jechała, ale chodziła często. I w taki sposób działa pani umysł, nieprawdaż?

- Och!

- No to, czy zechciałaby mi pani powiedzieć przez litość dla biednego konia, czy droga na Uddlemere zaprowadzi nas do domu czy nie? Rozumiem, że pani nie zna akurat tego fragmentu drogi, ale będzie pani wiedzieć, czy to ta właściwa.

- Ta nutka rozżalenia - powiedziała dziewczyna - jest całkiem zła. To pan ma psychiczne opory w związku z drogą, a koń nie...

Tietjens pozwolił, aby koń ujechał jeszcze pięćdziesiąt jardów i powiedział:

- To jest właściwa droga. Skręt na Uddlemere był dobry. Nie pozwoliłaby pani ujechać pięciu kroków, gdyby było inaczej. Ma pani równie miękkie serce do koni... jak ja.

- Przynajmniej zgadzamy się pod tym względem - powiedziała oschle. - Gran'fer's Wantways jest o sześć i trzy czwarte mili od Udimore, Udimore dokładnie pięć od nas; dwanaście i ćwierć, jeśli dodać pół mili samego Udimore. I miejsce nazywa się Udimore, a nie Uddlemere. Lokalni entuzjaści od nazw miejscowości wyprowadzają ją od *o'er the mere*. Bzdura! Legenda proszę: budowniczowie pragną wznieść świątynię z relikwiami świętego Rumwolda w nieodpowiednim miejscu, głos skądś jęczy: „za jeziorem”! Wierutna bzdura! „O'er the” nigdy nie przejdzie w „Udi” według zasady Grimma... *Mere* też nie jest słowem z tego okresu...

- Po co - zapytał Tietjens - daje mi pani te wszystkie informacje?

- Ponieważ - odrzekła dziewczyna - w taki sposób działa pański umysł... Zbiera bezużyteczne fakty, zupełnie tak jak wypolerowane srebro zbiera opary siarki i czernieje! Umieszcza bezużyteczne fakty

w nieużyteczne układy. Jeszcze nigdy nie spotkałam torysa z Cambridge. Myślałam, że wszyscy trafili do muzeów i trzeba ich na nowo składać ze starych kości. Tak mawiał ojciec, a on był oksfordzkim disraelowskim konserwatywnym imperialistą...

- Wiem, oczywiście.

- Oczywiście, że pan wie. Pan wie wszystko... I wszystko pan przerobił na bzdurne zasady. Pan uważa, że ojciec był niestabilny, ponieważ usiłował zastosować tendencje w życiu. Pan chciałby być stuprocentowym angielskim dżentelmenem z dworu na wsi i wynicowywać zasady z gazet i plotek zasłyszanych na targach końskich. I niech diabli wezmą cały kraj, nie ruszyłby pan palcem, chyba żeby powiedzieć „a nie mówiłem?” - Nagle dotknęła jego ramienia. - Niechże się pan mną nie przejmuje! To reakcja. Jestem taka szczęśliwa. Taka szczęśliwa.

- W porządku! - powiedział. - W porządku!

Ale przez minutę czy dwie, wcale nie było w porządku. Kobięce pazurki, pomyślał, kryją się w aksamicie, ale potrafią skaleczyć boleśnie, jeśli trafią w czułe miejsca wadliwych cech charakteru. Nawet jeśli dotkną samym aksamitem.

- Matka pani daje pani dużo pracy.

- Ależ pan rozumie! - wykrzyknęła. - Jest pan zadziwiający, jak na mężczyznę, który stara się zachowywać jak ukwiał! Owszem, to pierwsze moje wakacje od czterech bitych miesięcy, sześć godzin dziennie pisania na maszynie, cztery godziny pracy na rzecz ruchu, trzy zajmowania się domem i ogrodem, trzy - mama odczytuje uropek dzienny, żeby wychwycić błędy... I na dodatek wszystkiego ten napad i nerwy... Straszne nerwy, wie pan. A jeśli mama trafiłaby do więzienia... Och, zwariowałabym... Dni powszednie i niedziele... Tłumaczę się, taka jest prawda. Oczywiście, że nie powinnam była odzywać się do pana w taki sposób. Pan, taka figura, ratujący kraj swą statystyką i w ogóle... Wie pan, że sławę pan miał raczej straszną... I ulga, przekonać się, że... oj, że jest pan podobny do człowieka, i też z glinianymi nogami... Bałabym się straszliwie tej przejażdżki... Strasznie, straszliwie bym się bała, gdybym tak nie obawiała się o Gertie i policję. I gdybym nie wybuchła, to musiałabym wyskoczyć i biec koło powozu... Jeszcze bym mogła...

- Bynajmniej - powiedział Tietjens. - Nie widziałaby pani powozu.

Właśnie wjechali w kłęb nieprzebitej mgły, niemal wbijając się w nią i czując uderzenie. Była oślepiająca, tłumiała odgłosy, w pewnym sensie była smętna, ale też przyjemna w swej romantycznej niezwykłości. Nie widzieli świateł latarni, prawie nie słyszeli dźwięku kopyt końskich, a koń natychmiast zwolnił i szedł. Zgodzili się, że ani jedno, ani drugie nie odpowiada za zgubienie drogi, w danych okolicznościach było to niemożliwe. Na szczęście koń zawiezie ich w jakieś miejsce, należał do miejscowego handlarza, człowieka, który jeździł po tych drogach, skupując drób do odsprzedaży... Zgodzili się, że nie są za nic odpowiedzialni i po tym jechali przez niezmierzone godziny, a opary stopniowo zaczęły lśnić... Raz czy dwa, gdy wjechali na wzniesienie drogi, zobaczyli znowu gwiazdy i księżyc, ale przez mgłę. Za czwartym razem natknęli się na srebrzyste jezioro, niczym syreny unoszące się na powierzchni tropikalnego morza...

Tietjens powiedział:

- Niech pani lepiej zejdzie i weźmie latarnię. Może pani uda się znaleźć kamień milowy, sam bym zszedł, ale skoro pani może nie utrzymać konia...

Wyskoczyła, a on siedział, czując się nie wiadomo dlaczego jak kukła; w świetle, rozmyślając nad wcale nie nieprzyjemnymi rzeczami, ustalając, że na czterdzieści osiem godzin bierze urlop (jak panna Wannop), aż do wtorku rano! Miał przed sobą miłą perspektywę całego dnia w luksusie obliczeń, odpoczynku po obiedzie i jeszcze obliczeń przez połowę nocy albo dłużej; poniedziałek poświęci na sprzedaż zaprzęgu w mieście targowym, gdzie akurat znał handlarza końmi. Owszem, tego handlarza znał każdy polujący mężczyzna w Anglii! Luksusowa, długa rozprawa w atmosferze stajnianych zapachów, powolne i epigramatyczne targowanie się w języku stajennych. Lepszego dnia nie trzeba, a piwo w gospodzie też pewnie będzie dobre. Jeśli nie, porto. Wiejskie gospody sprzedawały tego niewiele, więc przetrzymywano je dobrze...

We wtorek wszystko znowu się na nim skupi, poczynając od spotkania z pokojówką żony w Dowrze...

Brał urlop przede wszystkim od siebie i jak inni mężczyźni zamierzał uwolnić się od swych konwencji, ciasnej kamizelki...

Dziewczyna odezwała się:

- Wchodzę! Czegoś się dowiedziałam...

Patrzył pilnie w to miejsce, gdzie powinna się zjawić; dałoby mu to pewne wskazówki o nieprzejrzystości mgły.

Jej toczek z wydry zdobiły krople rosy, krople rosy były na jej włosach poniżej toczka; wgramoliła się trochę niepewnie; jej oczy błyszczały od śmiechu, trochę sapała, jej policzki jaśniały. Jej wilgotne włosy ściemniały od oparów, lecz ona sama zdawała się złocista, kiedy tak nagle pojawiła się w świetle księżyca.

Zanim weszła, mało brakowało, a Tietjens by ją pocałował. Mało. Impuls nie do odparcia! Wykrzyknął zaskoczony:

- Uwaga! Koła!

- No, to mógłby mi pan podać rękę. Znalazłam kamień, na którym było wycięte I.R.D.C i tam zgasła latarnia. Nie jesteśmy na mokradłach, bo po obu stronach mamy żywopłoty. I to tyle... Ale zrozumiałam, dlaczego jestem wobec pana taka ostra.

Nie mógł uwierzyć, że jest tak zupełnie spokojna; fala, która po nim przeszła pozostawiła tak silne wrażenie, jakby usiłował ją złapać i przycisnąć do siebie, a ona mu umknęła... Powinna być obrażona, rozbawiona, nawet zadowolona... Powinna wykazać się jakimś uczuciem...

- To dlatego, że zamknął mi pan buzię tym bzdurnym *nonsequitur* w sprawie fabryki odzieżowej w Pimlico. To obrażało moją inteligencję.

- Uświadomiła pani sobie, że to była bzdura - powiedział Tietjens.

Patrzył na nią pilnie. Nie wiedział, co mu się stało. Popatrzyła na niego, chłodno, ale ogromnymi oczyma. Było tak, jakby przeznaczenie, które zazwyczaj pozwalało mu przeczołgać się bokiem, spojrzało na niego. Czyżby, zaczął tłumaczyć się przed przeznaczeniem, mężczyzna nie mógł w zamieszaniu zapragnąć pocałować pensjonarki. Jego własny głos, karykatura jego własnego głosu zdawała się odpowiedzieć: „Dzientelmeni nie”, wykrzyknął:

- Dzientelmeni nie? - i urwał, ponieważ zdał sobie sprawę, że mówi na głos.

- Owszem tak! - powiedziała. - Dzientelmeni posługują się fałszywymi argumentami, by wybrnąć ze śliskiego miejsca w dyskusji. A jeszcze wykorzystują je, aby zastraszyć pensjonarki. Cały czas miałam

to w pamięci i dlatego traciłam przy panu cierpliwość. Wówczas - trzy czwarte doby temu - pan mnie uważał za pensjonarkę. - Teraz bynajmniej! - odrzekł Tietjens. - Wielkie nieba, teraz nie!

- Teraz nie, owszem!

- Nie musiała się pani uciekać do całej tej sawanckiej erudycji, aby mnie przekonać...

- Sawanckiej! - wykrzyknęła pogardliwie. - Nie ma we mnie nic z sawantki. Znam łacinę, ponieważ ojciec rozmawiał z nami po łacinie. Ja tylko deptałam pański napuszony sawancki odcisk.

Nagle zaczęła się śmiać. Tietjens poczuł się niedobrze. Mdlilo go. Nadal się śmiała.

- O co chodzi? - spytał.

- Słońce! - powiedziała, wskazując. Ponad srebrnym horyzontem stało słońce, wcale nie czerwone, lśniąc jak wypolerowane.

- Nie wiem...

- Z czego tu się śmiać? Oto dzień! Zaczął się najdłuższy dzień...

I jutro tak samo długie... Wie pan, przesilenie letnie... Od pojutrze dni będą coraz krótsze do zimy. Ale jutro będzie trwać równie długo... Cieszę się...

- Że przetrwaliśmy noc?

Popatrzyła na niego.

- Wie pan, wcale nie jest pan tak strasznie brzydki - powiedziała.

- Co to za kościół? - zapytał.

Ponad mgłą, w odległości ćwierci mili, na fantastycznie zielonym pagórku znajdowała się niczym niewyróżniająca się świątynia: na wieży dach z dębowych gontów połyskiwał szaro jak ołów; niewiarygodnie błyszczący kurek, jaśniejszy niż słońce. Wokół rosły ciemne wiązy, omotane wilgotną mgłą.

- Icklesham! - wykrzyknęła i stłumiła głos. - Ach, prawie jesteśmy w domu. Tuż za Mountby... To podjazd do Mountby...

Zaistniały drzewa, czarne, przyprószone kroplami mgielnej siwizny. Drzewa wzdłuż żywopłotu i wzdłuż alei wiodącej do Mountby, która zakręcała pod kątem prostym tuż przed bramą krzyżowała się prostopadle z drogą.

- Będzie pan musiał ciągnąć go w lewo, jak podjedziemy pod aleję - powiedziała dziewczyna - albo koń podejdzie pod sam dom.

Jego poprzedni właściciel, ten handlarz, kupował jajka od lady Claudine...

- Do diabła z Mountby! - krzyknął barbarzyńsko Tietjens. - Żałuję, że w ogóle znaleźliśmy się w pobliżu.

Podciął konia, który ruszył stępem. Kopyta nagle zadźwięczały głośniej. Położyła dłoń na jego dłoni, tej którą trzymał lejce, odzianej w rękawiczkę. Nie zrobiłaby tego, gdyby nie miał rękawic.

- Mój drogi... - powiedziała. - I tak nie mogłoby to trwać wiecznie... Ale jest pan dobrym człowiekiem. Na dodatek bardzo mądrym. Da pan radę...

Tietjens spostrzegł, że niecałe dziesięć jardów przed nimi pojawiła się taca, wewnętrzna strona czarnej lakierowanej tacy, sunąca w ich stronę w matematycznie prostej linii, tuż nad mgłą. Poczul, że krew uderzyła mu do głowy i zaczął krzyczeć jak szalony. Jego krzyk utonął w przeraźliwym wrzasku konia; ściągnął go ku lewej. Pojawił się wóz; koń wysunął z mgły: łeb, przednie nogi, kopyta bijące powietrze. Kamienny tryton z fontanny wersalskiej! Taki sam! Zawieszony na wieczność w powietrzu. Dziewczyna patrzyła nań, pochyłona lekko do przodu.

Koń nie przewrócił się do tyłu. Zwolnił lejce. Konia już nie było. Ta przekłeta rzecz musiała się zdarzyć. Wiedział, że się zdarzy. Powiedział:

- Już w porządku!

Rozległ się trzask i długi zgrzyt, jakby dwudziestu tac. Pewnie otarli się o błotnik niewidzialnego samochodu. Czuł opór w lejcach. Koń się spłoszył i uciekał. Ściągnął lejce mocniej.

- Wiem, że przy panu nic mi się nie stanie - powiedziała dziewczyna.

Wyjechali nagle na pełne słońce - był powóz, koń i zwyczajne żywopłyty. Jechali pod górę. Stromy stok. Nie był pewien, czy powiedziała „drogi” czy „mój drogi”. Możliwe, po tak krótkim...? A jednak noc była długa. Niewątpliwie też ratował jej życie. Łagodnie ściągnął lejce całą siłą swego ciężkiego ciała. Wzgórze pomogło. Stroma biała droga pomiędzy strzyżonymi trawiatymi stokami nasypu!

Stój, do diabła! Biedne stworzenie... Dziewczyna wypadła z powozu. Nie, zeskoczyła! Podbiegła do łba! Poderwał łeb, prawie ją przewrócił. Uchwyciła uzdę... Przecież nie mogła! Płochliwy koń... ona



boi się koni...

- Ranny! - powiedział.

Miała twarz białą jak mały mleczny budyń.

- Niech pan szybko przyjdzie - rzekła.

- Muszę go chwilę potrzymać. Jeśli popuszczę, żeby zejść może ruszyć. Duża rana?

- Krew się leje!

Wreszcie dołączył do niej. Miała rację.

- Ma pani białą halkę - powiedział. - Niech pani wejdzie za żywo-  
płot, przeskoczy go, i ją zdejmie...

- Podrzec na pasy? Tak!

Już była w połowie rowu, gdy zawołał:

- Niech pani najpierw oderwie połowę, a resztę porwie na pasy.

- Dobrze!

Nie przeskoczyła żywoplotu tak zręcznie, jak się spodziewał. Nie miała dobrego odbicia. Ale przeszła.

Koń spoglądał w dół, drząc, z rozwartymi nozdrzami, na kałużę gromadzącą się wkoło jego lewej nogi. Rana znajdowała się akurat na barku. Tietjens zakrył mu oczy ramieniem. Zdawało się, że koń westchnął z ulgą.

...cudowny magnetyzm do koni. Może też do kobiet? Bóg wie. Był prawie pewien, że powiedziała „drogi”.

- Proszę - podała mu materiał.

Złapał białawą kulę. Rozplatał ją. Dzięki Bogu, co za rozsądek! Długi, mocny pas bieli... Co tam, do diabła, syczało...? Niewielki samochód ze zgniecionymi błotnikami, prawie niesłyszalny; lśniąca czerń... Przekłęty... minął ich... zatrzymał się w odległości dziesięciu jardów... koń wspiął się na tylne nogi, oszalał! Całkiem oszalał... Coś na podobieństwo szkarłatno-białej kakadu wyłoniło się, powiewając piórami, zza drzwi niewielkiego samochodu... Generał. W pełnej gali. Białe pióra! Dziewięćdziesiąt orderów! Szkarłatny mundur! Czarne spodnie z czerwonymi lampasami. I jeszcze ostrogi, na Boga!

- Niech cię szlag trafi, cholerny wieprzu - powiedział Tietjens. - Wynoś się pan!

Zjawisko odezwało się zza kłapek na końskich oczach, mówiąc: - Mogę przynajmniej potrzymać konia. Odjechałem, żeby nie widziała tego Claudine.

- Cholernie to uprzejme - powiedział Tietjens, jak tylko umiał nieuprzejmie. - Będziecie musieli zapłacić za konia.

- Niech to diabli! - wrzasnął generał. - A niby dlaczego? Wjechałeś tym swoim wielbłądem prosto na mój podjazd!

- Nie trąbiliście - powiedział Tietjens.

- Byłem na terenie prywatnym - krzyczał generał. - A poza tym, trąbiłem.

Rozwścieczony, szkarłatny strach na wróble, bardzo chudy, trzymał uzdę. Tietjens rozpostarł pół halki na wysokości piersi konia i zmierzył je wzrokiem.

- Słuchaj - powiedział generał. - Jestem królewską eskortą w St. Peter on Manor, pod Dowrem. Będą tam poświęcać sztandar czy coś.

- Nie trąbiliście wcale - powiedział Tietjens. - Dlaczego nie wziąłeś pan szofera? To odpowiedzialny człowiek... Wiele pan opowiadasz o wdowie i dziecku, ale nie wtedy, gdy wydzierasz im pięćdziesiąt funtów, szlachtując konia...

- Co u diabła robiłeś, wjeżdżając nam w bramę o piątej rano? - powiedział generał.

Tietjens, założywszy pół halki przez pierś konia krzyknął:

- Podnieś pan tamto i daj mi!

U jego stóp znalazła się wąska rolka płótna, która przyturlała się z okolic żywoplotu.

- Mogę puścić konia?

- Możesz - odparł Tietjens. - Jeśli ja nie potrafię uspokoić konia lepiej niż pan prowadzić samochód...

Wiązał paski płótna przez połówkę halki. Koń opuścił łeb i powąchał mu dłoń. Generał, stojący z tyłu za nim, zakołysał się na piętach, ściskając złotą rękojeść szabli. Tietjens nie przerywał bandażowania.

- Słuchaj no - Nagle generał pochylił się i zaszeptał mu na ucho. - Co mam powiedzieć Claudine? Chyba widziała dziewczynę.

- Ach, powiedz pan, że jechaliśmy zapytać, o której godzinie spuszczaacie te swoje cholerne psy gończe za wydrą - odparł Tietjens.

- To akurat zajęcie na rano...

- W niedzielę! - zaintonował żałośnie generał. - Powiem jej, że jechaliście do komunii do kościoła Duchemina w Pett - dodał z wyraźną ulgą.

- Dobrze, jeśli masz pan ochotę dodać zawodowe bluźnierstwo do szlachtowania koni. Ale za konia musisz pan zapłacić.

- Prędeż mnie szlag trafi! - wrzasnął generał. - Mówię, że wyjeżdżałeś na mój podjazd.

- No, to ja zapłacę - rzekł Tietjens. - A wiesz, jaką teorię do tego dorobisz. - Wyprostował plecy i spojrzął na konia. - Idź pan stąd. Mów pan i rób, co uważasz. Ale jadąc przez Rye, zamów u weterynarza ambulans dla konia. Nie zapomnij! Chcę tego konia uratować...

- Wiesz Krzysiu - powiedział generał - masz najwspanialszy dar do koni... Drugiego takiego w Anglii nie znajdziesz...

- Wiem. Idź. I przyślij pan tego weterynarza... Pańska siostra wysiada z samochodu.

- Będę miał strasznie dużo do wyjaśniania... - zaczął generał, ale na dźwięk cienkiego głosiku piskliwie wołającego „Generale! Generale!” przycisnął rękojeść szabli, aby nie dostała się mu między jego długie, czarne, lamowane czerwonym nogi i pobiegł do samochodu akurat na czas, aby wepchnąć z powrotem w drzwi upstrzony piórami długi czarny wałek. Zamachał na Tietjensa.

- Przyśle ambulans! - zawołał.

Koń, z barkiem owiniętym na krzyż bandażami, przez które powoli przesączała purpurowa plama, stał pod oślepiającym słońcem, ze łbem zwieszonym jak muł. Tietjens zaczął odpinać uprząż, żeby mu ulżyć. Dziewczyna przeskoczyła przez żywopłot i zaczęła mu pomagać.

- No, lichy wzięło moją reputację - powiedziała wesoło. - Wiem, jaka jest lady Claudine... Dlaczego usiłował pan się pokłócić z generałem?

- Byłoby lepiej - powiedział zgnębiony Tietjens - żebyście panie założyły przeciwko niemu sprawę w sądzie. To byłoby wyrównaniem za... za to, że nie pójdzie pani do Mountby...

- Myśli pan o wszystkim - powiedziała.

Pchając, wycofali powóz. Koń stał bez ruchu. Tietjens podprowadził go parę kroków do przodu, aby nie widział swojej krwi. Potem usiedli koło siebie nad brzegiem rowu.

- Niech pan mi opowie o Groby - powiedziała wreszcie dziewczyna.

Tietjens zaczął opowiadać jej o swym domu... przed którym znajdowała się dokładnie tak sama aleja, skręcająca prostopadle do drogi. Zupełnie jak w Mountby.

- Wytyczył ją mój pradziadek - powiedział Tietjens. - Lubił prywatność i nie chciał, żeby dom był na widoku pospolitych ludzi z ulicy... niewątpliwie tak samo jak ten ktoś, kto robił plany Mountby... Ale przy samochodach to się robi paskudnie niebezpieczne. Będziemy musieli to zmienić... akurat u stóp łagodnego wzgórka. Nie wolno ranić koni... Zobacz pani...

Nagle przyszło mu na myśl, że być może nie był ojcem dziecka, które miało odziedziczyć ten ukochany dom, nad którym rozmyślały pokolenia pokoleń. Od czasów Holendra Wilhelma! Przeklęty dysydencki wieprz!

Siedząc tak nad rowem, miał kolana prawie na jednym poziomie z brodą. Poczuł, że się ześlizguje.

- Jeśli kiedykolwiek panią tam zabiorę... - zaczął.

- O, nigdy pan nie zabierze - powiedziała.

Dziecko nie było jego. Dziedzic Groby! Żaden jego brat nie miał dzieci... Przed stajnią była głęboka studnia. Zamierzał nauczyć małego, że gdy się tam wrzuci kamyk, trzeba odczekać i policzyć do sześćdziesięciu trzech. A potem dobiegał z oddali szeleszczący ryk... Ale nie jego dziecko! Może nawet nie mógł mieć dzieci. Jego żonaci bracia nie mieli... Wstrząsnęło nim niezgrabne łkanie. Ta straszna rana zadana koniowi wykończyła go. Czuł się odpowiedzialny. Biedne stworzenie zaufało mu, a on je naraził na ból. Panna Wannop objęła go ramieniem.

- Mój drogi! - powiedziała. - Nigdy pan mnie nie weźmie do Groby... Możliwe, że to... och, zbyt krótka znajomość, ale czuję, że jest pan najwspanialszym...

Pomyślał, że rzeczywiście znajomość jest raczej krótka. Odczuwał wielki ból, nad którym władzę sprawowała wysoka, o cerze lśniącej jak piskorz, jasnowłosa postać jego żony...

- Jedzie dwukółka! - powiedziała dziewczyna i zabrała ramię.

Zatrzymała się przy nich bryczka z zaspanym woźnicą. Powiedział, że generał Champion wykopał go z łóżka i z towarzystwa jego starej.

Domagał się funta za dowieszenie ich do pani Wannopowej, że tak go pozbawiono snu dla urody i w ogóle. Za nim jechał wóz rzeźnika.

- Natychmiast zawieziesz pannę Wannop do domu - powiedział Tietjens. - Musi zadbać o śniadanie dla matki... Ja nie zostawię konia, póki nie przyjedzie wóz.

Woźnica dotknął batem czapki zzieleniałej ze starości.

- Tak jest - powiedział głucho, wsuwając suwerena do kieszonki kamizelki. - Dżentelmen jak zwykle... litościwy człowiek lituje się też nad stworzeniem... Ale ja nie wyszedłbym ze swej drewnianej budki ani nie odszedłbym od śniadania dla żadnego stworzenia... Niektórzy - tak... a niektórzy - nie.

Odjechał, uwożąc dziewczynę we wnętrzu swego leciwego wehikułu.

Tietjens pozostał nad rowem w ostrym słońcu, koło słabnącego konia. Zwierzę przeszło prawie czterdzieści mil i na koniec straciło wiele krwi.

- Chyba udałoby mi się zmusić pana ojca, żeby za niego zapłacił. Potrzebują pieniędzy... - powiedział. - Ale to nie byłoby po sportowemu!

Po dłuższym czasie dodał:

- Do diabła ze wszystkimi zasadami! - I wreszcie: - Ale trzeba jakoś iść... Zasady są jak szkic mapy terenu - wiesz, czy posuwasz się na wschód czy na północ.

Zza rogu, dudniąc, pojawił się wóz końskiego rzeźnika.

## CZEŚĆ DRUGA

### I

Sylwia Tietjens wstała od swego końca stołu i kołysząc się szła wzdłuż niego, niosąc talerz. Nadal czesała włosy w pasma i ubierała się w najdłuższe spódnice z możliwych, nie chcąc - jak twierdziła - aby przy jej wzroście ludzie brali ją za skautkę. Sądząc po jej cerze, figurze i leniwych gestach, nie postarzała się ani minutę. Na jej twarzy nie można było dostrzec najdrobniejszego ziemistego śladu ani w jej oczach znużenia o cień większego, niż chciała wyrazić. Z rozmysłem jednak przybrała pozę jeszcze bardziej wyrazistej pogardliwej bezczelności. Uważała bowiem, że jej władza nad mężczyznami jest tym większa, im większy jest jej chłód. Wiedziała, że ktoś kiedyś powiedział o niebezpiecznej kobiecie, że gdy wejdzie do pokoju, każda inna trzyma męża na smyczy. Sylwia z przyjemnością myślała o tym, że zanim wyjdzie z pokoju, każda obecna tam kobieta wie, upokorzona, że nie musi! Zupełnie jakby wchodząc oznajmiała chłodnym, wyraźnym głosem: „Nic z tego!”. To podobnie jak barmanki mówią zbyt natarczywym klientom. Nie mogłyby jaśniej się wyrazić do pozostałych kobiet, że nic jej po ich zazdrośnie strzeżonych.

Kiedyś, nad urwiskiem w Yorkshire, gdzie ląd spotyka się z morzem, podczas jednego z tych męczących modnych polowań, jakiś mężczyzna zwrócił jej uwagę na zachowanie mew. Rzuciły się ze skałki na skałkę, wrzeszcząc, pozbawione całej mewiej powagi. Niektóre nawet upuszczały złowione śledzie i widziała, jak srebrne skrawki wpadają do będącej w ciągłym ruchu niebieskiej wody. Kazał jej spojrzeć do góry: wysoko, kołując, kołując długo, oświetlony od spodu promieniami słonecznymi i podobny do bladego płomienia na tle nieba, leciał ptak. Mężczyzna powiedział jej, że jest to rodzaj orła czy sokoła. Zazwyczaj ścigał mewy, które w przerażeniu upuszczały swój łup, po czym drapieźca łapał rybę, zanim wpadła z powrotem do wody. W danej chwili nie był na dyżurze, ale mewy popadły w

popłoch, jakby był.

Przez długi czas Sylwia stała obserwując kołującego ptaka. Z zadowoleniem myślała o tym, że mewy wrzeszczały i upuszczały swe śledzie, choć nie miały się czego bać... Cała sytuacja przypominała jej własną i kobiet z jednego podwórka... Doskonale wiedziała, że nie było przy niej nawet szmeru skandalu. Pilnowała tego bezustannie - zupełnie tak, jak bezustannie odmawiała przyzwoitym mężczyznom (tym „rzeczywiście przyzwoitym mężczyznom” na rynku). Było to jej hobby.

Ćwiczyła przeróżne rodzaje „odmawiania” na tych stworzeniach: tych najsympatyczniejszych z wąsami Kitchenera, oczyma brązowymi jak u foki, szczerym, głębokim głosem, mówiącym krótkimi zdaniami, mających proste plecy i podziwu godny życiorys (o ile nie wnikać zbyt głęboko). Kiedyś, na samym początku wojny, pewien młody człowiek - owszem, uśmiechnęła się do niego, myśląc go z kimś bardziej odpowiedzialnym - jechał za nią taksówką, tuż za jej samochodem, po czym czerwony od wina, glorii i utwierdzony w przekonaniu, że w czasie tego ponurego karnawału wszystkie kobiety stają się publiczną własnością, wpadł w jej drzwi prosto ze wspólnych schodów... Wyższa od niego o pół głowy, po upływie kilku minut urosła jeszcze w jego oczach kilkadziesiąt cali i wykazała się umiejętnością takiego doboru słów, że wżerały się w jego kręgosłup, mówione głosem lodowatej marmurowej statuy - efekt *chaudfroid*. Wpadł tam jak ogier z czerwonymi ślepiami i z nogami w powietrzu, zbiegał ze schodów jak podtopiony szczur z mętным wzrokiem i sprawiał dla jakiejś przyczyny wrażenie naprawdę zmokłego.

A jednak nie powiedziała mu nic więcej niż to, jak powinien się zachowywać wobec żon bratnich oficerów, którzy służą na froncie - uwaga, którą w jej najintymniejszym kręgu przyjaciół zgodnie dzień w dzień pogardzano. Mimo to natręt musiał usłyszeć w jej słowach głos własnej matki, oczywiście sporo odmłodzonej, mówiącej z raję, a sumienie dopełniło zmokłego efektu. Ponieważ jednak wszystko to było melodramatyczne i wiązało się z wojną, nie interesowało jej. Woląa zadawać rany głębsze i cichsze.

Mówiła sobie nie bez dumy, że wie, jak mocne wyrzże wrażenie na mężczyźnie już od pierwszego spojrzenia - nie tylko jak mocne,

ale i jak szlachetne. Umiała też nie spojrzeć wcale albo musnąć mało zainteresowanym spojrzeniem jakiegoś biedaka, który nawet przy ceremonii przedstawiania nie potrafił ukryć swych chęci, a potem, po kolacji, wzrokiem przesunąć po prawej stopie porzuconej eskorty, skosem wzdłuż odprasowanego kantu prawej nogawki spodni do kieszonki w kamizelce, i dalej skosem przez koszulę, zatrzymując się przy spince i wtedy przyspieszyć i spojrzeć gdzieś w dal ponad lewym ramieniem, podczas gdy ten stał przerażony i kolacja zalegała mu w żołądku... Miała cały arsenał „odmówień”. Od łagodniejszych aż po bardziej wyraziste. Następnego dnia ofiary zmieniały szewca, dostawcę skarpetek, krawca, jubilera od spinek, specjalistę od koszul wieczorowych, nawet potrafiły zmienić układ twarzy po poważnych konsultacjach. Mimo to w głębi serca wiedzieli, że katastrofę wywołał fakt, że nie zechciała spojrzeć im w oczy... a może nie ośmieliła się, o to chodziło!

Sylwia osobiście mogłaby serdecznie przytaknąć, że w rzeczywistości tak było. Wiedziała, że podobnie jak jej przyjaciółki, te wszystkie Elżbiety, Alixy i lady Moiry, które pojawiały się na gładkim papierze i rozfotografowanych łamach tygodniowych magazynów - była szalona na punkcie mężczyzn. Właściwie, było to warunkiem ich przyjaźni oraz trafiania na gorące łamy. Poruszały się bandą, otoczone - zdawałoby się - gajem lekkich pierzastych boa, chociaż nikt przecież nie nosił boa z piór... skracały włosy i spódnice i robiły co się dało, aby spłaszczyć biust, aby nabrać, och, wiecie, takiego czegoś... Upodabniały się w zachowaniu do - i całkiem się od nich różniły - kelnerek w herbaciarniach odwiedzanych przez miejskich mężczyzn. Można przeczytać w raportach policyjnych, czym są te herbaciarnie! Prawdopodobnie kobiety te w swoim zachowaniu były tak samo przyzwoite, jak inne kobiece grona i najprawdopodobniej były bardziej przyzwoite niż wielka przedwojenna klasa średnia i niewątpliwie bez zmazy w porównaniu z własną służbą której moralność (jak widać po statystykach rozwodowych, czego dowiedziała się od Tietjensa) zawstydzilaby nawet wiochy w Walii czy na szkockim pogórzu. Jej matka mawiała, że jest przekonana, że majordomus pójdzie do nieba, tylko dlatego, że Anioł Rejestrator - jako anioł i wobec tego istota wrażliwa - nie będzie miał odwagi zapisać, nie mówiąc już o odczytaniu, najpospolitszych grzechów Morgana...



A ponieważ Sylwia Tietjens miała naturę sceptyka, nie dowierzała, że jej przyjaciółki są zdolne do niemoralności w takim zakresie. Nie wierzyła, aby którakolwiek z nich była na poważnie tym, co Francuzi nazywają *maitresse en titre* jakiegoś mężczyzny. A przynajmniej nie z namiętności. Namiętność pozostawiały bardziej (lub mniej) dostojnym kręgom. Księżę A... oraz wszystkie małe A... być może są dziećmi smętnego i roznamiętnionego księcia B... a jeszcze bardziej smętnego a jednak mniej namiętnego świętej pamięci księcia A... Pan C, torys, mąż stanu i były minister spraw zagranicznych mógłby też być ojcem wszystkich dzieci torysowskiego lorda kanclerza E... Czołowi parlamentarzyści wigów, ponurzy i niesympatyczni Russellowie i Cavendishe'owie, prowadzący (znowu francuszczyzna) *collages sérieux* o dywagacjach matrymonialnych ich własnego towarzysza lorda F i pana G... Zresztą, miłości utytułowanych i wysoko urodzonych pierwszoliniowych parlamentarzystów traciły polityką wyższego lotu. Gorące tygodniówki nigdy z nich nie skorzystały, bo zainteresowane strony były nefotogeniczne, jako stare, brzydkie i fatalnie ubrane. Stanowiły temat raczej na niedyskretne memuary, pisane na bieżąco, ale które miały ujrzeć światło dnia dopiero za pół wieku...

Sprawy dotyczące jej towarzystwa, jej pierwszoliniowych pań z tej czy tamtej strony, miały więcej wzięcia. Ich romanse, jeśli sięgały zenitu, miały charakter bliższy rozwiązłości i rozgrywały się w dworach, gdzie dzwoniło o piątej rano. Sylwia słyszała o takich dworach na wsi, ale nigdy żadnego nie poznała. Wyobrażała sobie, że są to siedziby baronów, których rodowe nazwiska kończyły się na -schen... -stein... i -baum. Wielu takich pojawiło się w Koronie, ale Sylwia nie składała im wizyt. Do tego stopnia była papistką.

Niektóre z jej co bardziej błyskotliwych przyjaciółek z pewnością wychodziły za mąż nagle, ale przeciętna liczba niewiele odbiegała od córek lekarzy, adwokatów, kleru, burmistrzów i zwykłych radnych. Zazwyczaj był to wynik mniej rygorystycznej potańcówki, niedoświadczenia i szampana - szampana o większej mocy bądź szampana wypitego w niezwykłych okolicznościach (na ogół w poście). Te przyspieszone śluby rzadko kiedy bywały wynikiem namiętności czy lubieżności wynikającej z temperamentu.

W jej własnym przypadku (wiele lat temu) oczywiście wykorzystała ją, po szampanie, żonaty mężczyzna nazwiskiem Drake. Teraz przyznawała, że potrafił być brutalny. Ale potem pojawiła się namiętność, intensywna z jej strony, wystarczająco intensywna z jego. Gdy, wystraszona na równi z matką, uwiodła Tietjensa i wyszła za niego w Paryżu, żeby zniknąć z oczu (na szczęście w kościele angielskich katolików przy Avenue Hoche brała też ślub jej matka, ustanawiając precedens i dając namacalny powód!) aż po noc przedślubną musiała znosić koszmarnie sceny. Wystarczyło teraz zamknąć oczy, a znów widziała sypialnię hotelową w Paryżu, wykrzywioną twarz Drake'a, który szalał z bólu i zazdrości, na tle różnych białych rzeczy, kwiatów i różności, nadesłanych na wesele. Wiedziała, że znalazła się bardzo blisko śmierci. Pragnęła śmierci.

Nawet teraz, gdy spostrzegła nazwisko Drake'a w gazecie (w wyniku wpływów matki u tego nadętego kuzyna, posła do Izby Wyższej, Drake znalazł się na liście awansów kolonialnych odnotowywanych przez gazety), a nawet gdy niechcący przez myśl przebiegło wspomnienie tamtej nocy, stawiała jak wryta, urywała w pół słowa, wbijała sobie paznokcie we wnętrze dłoni i słabo jęczała... Musiała wymyślić chroniczną kolkę serca, żeby wytłumaczyć ten jęk, który kończył się mamrotem i, jak się jej wydawało, upokarzał ją...

Żałosne wspomnienie zjawiało się jak duch, wszędzie i o każdej porze. Widziała twarz Drake'a, ciemną na tle bieli, czuła darcie ramiączka cienkiej koszuli nocnej, ale ponad wszystko czuła, pogrążona w ciemności wykluczającej wszelkie światło, gdziekolwiek by się znalazła, przeszywający ból, ten sam, który czuła wtedy, straszliwe psychiczne cierpienie i tęsknotę za brutalem, który ją skrzywdził. Tym dziwniejsze, że na widok Drake'a, którego widziała kilkakrotnie od chwili wybuchu wojny, nie czuła absolutnie nic. Ani odrazy, ani tęsknoty... Jednak czuła tęsknotę, ale wiedziała, że była tylko pragnieniem, aby raz jeszcze przeżyć to okropne uczucie. Ale nie z Drake'em.

I dlatego jej „odmawianie” tym naprawdę przyzwoitym mężczyznom, traktowane jako sport, okazywało się sportem nie bez pewnej dozy niebezpieczeństwa. Wydawało się jej, że odnosząc sukces, musi odczuwać niektóre z tych samych wrażeń jak te, o których opowiadali jej mężczyźni, gdy udał się im prawy i lewy sierpowy. Niewątpliwie

czuła też w pewnym stopniu to samo, co ci młodzi mężczyźni, gdy szli strzelać w towarzystwie początkującego myśliwego. Pielęgnowała swoją czystość cielesną podobnie jak pielęgnowała czystość fizyczną i wytrwale poświęcała czas na gimnastykę szwedzką, ćwiczyła po kąpieli przy otwartym oknie, potem jeździła konno i długo tańczyła w noc, w każdej przyzwoicie wietrznej sali. Według niej, te dwa aspekty jej życia były ściśle powiązane - utrzymywała swą urodę dzięki umiejętnie dobranym ćwiczeniom i higienie; wskutek wynikłego zmęczenia, chociaż nie było zdrowe, skłaniała się ku czystości obyczajów. Zachowywała się w ten sposób odkąd wróciła do męża, nie dlatego, żeby była z nim czy z cnotą szczególnie związana, ale ponieważ miała taki kaprys i zawarła ze sobą pakt, a zamierzała go dotrzymać. Musiała mieć mężczyzn u swoich stóp, było to ceną (na gruncie czysto towarzyskim) jej powszedniego chleba. Sylwia była - od wielu lat - wstrzemięźliwa. Najprawdopodobniej wstrzemięźliwe były wszystkie jej Moiry, Megi i lady Marjorie, ale miała świadomość, że ponad ich zgrupowaniem musiał unosić się lekki opar przypominający zachowanie i zwyczaje burdelu. Tego chciało pospółstwo.. , lekki opar, podobny do śladowej lepkiej mgielki, którą widziała pokrywającą lustro wody w zbiorniku z krokodyłami w zoo.

Owszem, taka była cena. Sylwia wiedziała, że miała szczęście. Niewielu młodym kobietom z jej towarzystwa, które tak szybko wychodziły za mąż, udało się naprawdę utrzymać głowę nad powierzchnią. W ciągu sezonu można było przeczytać, że lady Marjorie i kapitan Hunt, tuż po tym jak ją przedstawiono u dworu z okazji małżeństwa, pojawili się w Roehampton, w Goodwood i tak dalej; zdjęcia młodej pary, spacerującej energicznie po Londynie, pojawiały się mniej więcej przez miesiąc. Po czym rejestr ich modnych zajęć przenosił się do rubryki służby i ataszatów na dworach wicekrólów w odległych tropikach, źle wpływających na cerę. Potem następowała cisza.

W jej przypadku nie było tak źle, ale mało brakowało. Miała tę przewagę, że była jedyną córką bardzo bogatej kobiety, jej mężem nie stał się jakiś kapitan Hunt, którego można wepchnąć w wicekrólowską służbę. Był w wyjątkowym urzędzie, a gdy Angélique tworzyła notki o nowym związku, zawsze mogła (Angélique miała raczej mętne pojęcie o tych sprawach) nazywać pana domu przyszłym lordem

kanclerzem bądź ambasadorem w Wiedniu. W ich maleńkim, straszliwie droгим mieszkaniu (do którego walcie dołożyła jej matka, mieszkając z nimi) upłynęły dwa pierwsze i niebezpieczne lata. Wydawali przyjęcia jak szaleni. Także dwa rozslawione skandale miały swój początek w saloniku Sylwii. Całkiem zapuściła korzenie, aż uciekła z Perownem...

Powrót wcale nie był taki trudny. Spodziewała się, że będzie, a nie był. Tietjens wybrał duże mieszkanie w Gray's Inn. Nie wydawało się jej to rozsądne, ale uznała, że chce być w pobliżu przyjaciela i choć nie czuła żadnej wdzięczności wobec Tietjensa, że przyjął ją z powrotem, czuła wyraźną niechęć na myśl o zamieszkaniu w jego domu. Mieli pójść na układ, a ona uważała, że należy być sprawiedliwą. Nigdy nie oszukała kolei na bilecie, nigdy nie przewiozła perfum bez oclenia ani nie wmówiła handlarzowi rzeczy używanych, że jej ubrania są mniej zniszczone, niż rzeczywiście były, choć mogła, mając taką pozycję. Tietjens mógł mieszkać, gdzie chciał. Zamieszkali, a ich bardzo wysokie okna zaglądały prosto do okien Macmastera po przeciwnej stronie gregoriańskiego dziedzińca.

Mieli tu dwa poziomy w wielkim budynku i mnóstwo miejsca. Pokój śniadaniowy, gdzie podczas wojny także jadal obiad, był ogromny, całkiem wypełniony książkami, niemal wszystkie oprawione były w skórę cielecą. Gigantyczne lustro wisiało nad olbrzymich rozmiarów rzeźbionym kominkiem z żółto-białego marmuru. Trzy okna, bardzo wysokie, z szybkami ze starego, wydętego szkła, nabierającego delikatnej fioletowej barwy, połączone jakby nicią pajęczą nadały pomieszczeniu dystygowany osiemnastowieczny charakter. Przyznawała, że pasował on do Tietjensa, który był postacią osiemnastowieczną w typie doktora Johnsona - jedyna taka osiemnastowieczna osobistość, jaką znała, oprócz tego chyba Beau, który ubierał się w białą satynę i falbanki, jeździł do Bath i zapewne był nieopisanie nużący.

Nad jadalnią miała wielki biały salon z wyposażeniem, o którym wiedziała, że pochodzi z osiemnastego wieku i należy się mu szacunek. Tietjens (znowu musiała to przyznać) miał cudowny talent do starych mebli - jako takie ich nienawidził, ale znał się na nich na wyłot. Pewnego razu, gdy jej przyjaciółka lady Moira narzekała na

koszty umeblowania jej nowego małego domku za doradztwem sir Johna Robertsona, specjalisty (małżonkowie Moirowie sprzedali dom przy Arlington Street, tak jak stał, jakiemuś Amerykaninowi), Tietjens, który przyszedł na herbatę i przysłuchiwał się bez słowa, powiedział łagodnie i miło, trochę sentymentalnym tonem, którym raz na tysiąc lat raczył jej najładniejsze przyjaciółki:

- Może lepiej ja to zrobię dla pani.

Rozejrzawszy się po wielkim salonie Sylwii, z białymi panneaux, chińskimi parawanami z laki, mebelkami z czerwonej laki w złocistych okuciach i gigantycznym błękitno-różowym dywanie (a Sylwia wiedziała, że jej salonik jest wyjątkowy, chociażby z powodu trzech panneaux autorstwa Fragonarda, kupionych w ostatniej chwili, zanim rozwinęła się moda na Fragonardy wszczęta przez zmarłego króla) lady Moira powiedziała Tietjensowi, trzepocząco i głosem przypominającym ten, którym rozpoczynała romans:

- Och, gdyby pan tak zechciał.

Umebłował, a na dodatek umebłował za ćwierć tego, co wycenił w przybliżeniu sir John Robertson. Mebłował bez wysiłku, jakby tylko poruszywszy raz czy dwa swymi słoniowatymi barkami; gdyż wydawałoby się, że wystarczy spojrzeć na zielony znaczek za pół pensa przyklejony do koperty, a wie, co zawierają przysłane w niej katalogi aukcyjne i handlowe. Jeszcze bardziej zadziwiające było to, że umizgiwał się do lady Moiry - dwa razy pojechali z dłuższą wizytą do nich w Gloucestershire, Moirowie zaś spędzili trzy weekendy u pani Satterthwaite na zaproszenie Tietjensów... Tietjens umizgiwał się do lady Moiry całkiem ładnie i wystarczająco długo, aby pozbięła się i zaczęła romansować z sir Williamem Headhley'em.

Ponadto, sir John Robertson, ten specjalista od starych mebli, którego lady Moira wezwała, aby szukał dziury w jej ślicznym domu, pojechał tam, krótkowzroczny i stary, obijał się swymi wielkimi okularami o plecy szafek, wachał lakier na stołowych blatach i gryzł oparcia krzesel, po czym powiedział lady Moirze, iż Tietjens nie kupił jej niczego, co nie byłoby warte nieco więcej, niż kosztowało. Tym większy poczuli respekt do staruszka - wiedzieli już, w jaki sposób zarobił swe miliony. Jeśli staruszek zamierzał zarobić na swej dobrej znajomej lady Moirze 300 procent (i tylko tyle, bo ograniczył się z

sympatii do ładnej kobiety), ileż by wyciągnął od kogoś tak naturalnie wrogięgo sobie (i krajowi) jak senator Stanów Zjednoczonych?

Na dodatek, staruszkowi bardzo spodobał się Tietjens, a Tietjens (ku zdumieniu Sylwii) nie miał mu tego za złe. Staruszek przychodził więc na podwieczorek i, jeśli Tietjens był na miejscu, przesiadywał godzinami, mówiąc o starych meblach. Tietjens słuchał nie odzywając się. Sir John raz po raz rozwodził się nad tym wobec pani Tietjens. To było nadzwyczajne. Tietjens działał całkiem instynktownie - rzucał na coś okiem i ryzykował cenę. Według sir Johna najbardziej nadzwyczajnym wydarzeniem w dziedzinie handlu meblami był Tietjensowy zakup biurka Hemingwaya dla lady Moiry. Tietjens, ze zwykłą sobie pogardą nabył biurko na wiejskiej wyprzedaży za 3 funty i 10 szylingów i powiedział lady Moirze, że lepszego mebla nigdy nie będzie miała. Lady Moira była z nim na tej wyprzedaży. Handlarze nawet nie spojrzeli na biurko, a Tietjens nawet go nie otworzył. Ale w domu u lady Moiry sir John, rozpychając się okularami w okolicach przeszklenia, trafił nosem prosto w kawałek żółtego drewnianka, umieszczonego przy zawiasie, zawierającego sygnaturę, nazwisko i datę „Jno. Hemingway, Bath, 1784”. Sylwia pamiętała je, ponieważ sir John tak często tę historię opowiadał. Biurko było „zaginionym obiektem”, ściganym od wielu lat przez antykwariuszy.

Za ten wyczyn staruszek najwyraźniej pokochał Tietjensa. Sylwia była całkiem świadoma, że ją już i tak kochał. Krążył wokół niej drżąc, wydawał fantastyczne przyjęcia na jej cześć i był jedynym mężczyzną, któremu nigdy nie odmówił. Mówiono, że ma harem w jednym z wielkich domów w Brighton czy gdzieś. Ale Tietjensa obdarzył zupełnie innego rodzaju miłością: taką żalostną miłością jaką mają starzy ludzie dla swych ewentualnych następców.

Kiedyś sir John przyszedł na podwieczorek i całkiem formalnie, jakby obwieszczal złą wróżbę, oznajmił, że to są jego siedemdziesiąte pierwsze urodziny i że jest załamany. Z całą powagą zaproponował, aby Tietjens wszedł do jego interesu i przejął go (oczywiście bez prywatnego finansowego wkładu). Tietjens wysłuchał wypowiedzi przyjaźnie, zapytując to tu, to tam o szczegóły propozycji. Potem oznajmił, używając pieszczotliwego tonu, jakim czasem obdarzał ładną kobietę, że wydawało mu się to niemożliwe. Za dużo w tym paskudnych

pieniędzy. Byłoby to dla niego o wiele miłszym zajęciem niż jego obecna praca w urzędzie... ale za dużo tych paskudnych pieniędzy.

I ponownie, ku zaskoczeniu Sylwii (ale mężczyźni to dziwaczne stworzenia!), wydawało się, że sir John uznał obiekcję Tietjensa za rozsądną, chociaż wysłuchał jej z żalem i usiłował słabo zaprotestować. Odszedł z ulgą i energicznie, bo jeśli nie mógł mieć Tietjensa, to nie mógł, więc zaprosił Sylwię na kolację w jakimś miejscu, gdzie zjedzą coś bajecznego i zarazem obrzydliwego, kosztującego według menu dwie gwinee za uncję. Coś w tym stylu! Podczas kolacji sir John bawił ją wysławianiem jej męża. Powiedział, że Tietjens jest zbyt dżentelmeński, żeby go marnować na handel antycznymi meblami, właśnie dlatego nie nalegał. Ale poprzez Sylwię przesłał wiadomość, że gdyby kiedykolwiek Tietjens znalazł się w finansowej potrzebie...

Od czasu do czasu martwiło Sylwię, dlaczego ludzie mówią jej (bo mówili), że jej mąż posiada wielkie talenty. Ona uważała, że jest po prostu nieobliczalny. Jego działanie i opinie wydawały się zwykłymi kaprysami, podobnymi do jej własnych, a ponieważ wiedziała, że większość jej własnych zachowań wynikała z przekory, odzwyczaiła się od myślenia o nim.

Jednak stopniowo i jak przez mgłę zaczęła dostrzegać, że Tietjens miał przynajmniej konsekwentny charakter i dość niezwykłą wiedzę o życiu. Przyszło to jej na myśl, gdy musiała przyznać, że ich przeprowadzka do dzielnicy Inns of Court okazała się towarzyskim sukcesem i okazała się wygodna także dla niej. Kiedy omawiali zmiany w Lobscheid (a raczej wtedy, gdy Sylwia zgadzała się bezwarunkowo na każde żądanie Tietjensa!), niemal dokładnie przewidział, co się stanie, chociaż najbardziej wywarł na niej wrażenie przypadek z lożą operową kuzyna matki. Powiedział jej w Lobscheid, że nie ma zamiaru przeszkadzać w jej życiu towarzyskim. Myślał nad tym wiele.

Niezbyt pilnie go słuchała. Po pierwsze uznała go za głupka, a po drugie uważała, że naprawdę chce ją skrzywdzić. Przyznała, że miał do tego jakieś prawo. Uważała, że po tym, jak uciekła z innym, a prosi tego mężczyznę, aby uczynił jej ten zaszczyt i pozwolił nosić jego nazwisko oraz przebywać pod jego dachem, nie ma prawa sprzeciwiać się jego warunkom. Jediną możliwą zemstą na nim będzie życie tak zrównoważone, żeby poznał jak upokarzająca jest porażka.

Ale w Lobscheid mówił wiele głupot, jak jej się zdawało, mieszając wieszczanie i politykę. Ówczesny minister skarbu naciskał na wielkich właścicieli ziemskich, ci z kolei w odzwie zmniejszali swoje włości i zamykali domy w miastach - nie na wielką skalę, ale wystarczająco, aby stało się to wymownym gestem i spowodowało wrzenie wśród lokajów i modystek. Tietjensowie (oboje) byli z klasy ziemiaństwa, mogli więc zamknąć dom na Mayfair i wyprowadzić się do głuszy. Tym lepiej, że wygodnie wymościли swoją głuszę!

Poradził jej, aby przedstawiła sprawę w tym aspekcie kuzynowi jej matki, ponuremu i nadętemu Rugeleyowi. Rugeley był obszarnikiem, niemal największym ze wszystkich, na dodatek miał obsesyjne poczucie obowiązku wobec osób będących na jego utrzymaniu, a nawet dalekich krewnych. Wystarczy, uważał Tietjens, że Sylwia uda się do księcia i powie mu, że wypowiedź kanclerza spowodowała te przenosiny, ale że przeniesli się po części w formie protestu - i książę uzna to niemal za hołd wobec swej osoby. On nie mógł, nawet w formie protestu, zamknąć domu w Mexbough czy obciąć wydatków. Jednakże, jeśli zrobią to jego pomniejsi krewniacy, z pewnością im to wynagrodzi. A łaska Rugeleya była podobnie nadęta, jak wszystko inne w jego charakterze. Tietjens przepowiedział, że kuzyn wypożyczy Sylwii rodową lożę Rugeleyów na jej spotkania towarzyskie.

Dokładnie tak się stało.

Książę (który chyba prowadził szczegółowy rejestr najdalszych krewnych) na krótko przed ich powrotem do Londynu dowiedział się, że ta młoda para rozstała się. Miał w perspektywie poważny i bardzo nieprzyjemny skandal. Skontaktował się z panią Satterthwaite (którą darzył ponurą sympatią) i z radością usłyszał, że była to najbardziej grubiańska potwarz. A więc, gdy młoda para pojawiła się znów (z Rosji!), Rugeley, który stwierdził, że nie tylko są razem, ale nad wyraz zbliżeni, uparł się, aby im nie tylko to wynagrodzić i zniszczyć oszczerców, ale też zasygnalizować swoją łaskę nie utrudniając sobie nader życia. Dlatego też dwukrotnie (był wdowcem) zaprosił panią Satterthwaite, aby pełniła honory jego domu dla gości zaproszonych przez Sylwię; wprowadził nazwisko pani Tietjens na listę tych, którzy mogli korzystać z jego łoży w operze, w ślad za zgodą



sekretariatu Rugeleyów, wtedy gdy rodzina jej nie potrzebowała. Był to nie lada przywilej i Sylwia wiedziała, jak go w pełni wykorzystać.

Z drugiej strony, wtedy gdy rozmawiali w Lobscheid, Tietjens oddał się wieszczoniu i naopowiadał - według niej - mnóstwo bzdur. Dwa czy trzy lata wcześniej, Tietjens oznajmił, że w okolicach początku sezonu na cietrzewie, w 1914 roku, Europa stanie w płomieniach, wskutek czego połowa domów na Mayfair będzie pozamykana, a ich mieszkańcy staną się żebrakami. Cierpliwie wspierał swoje prośby statystykami finansowymi dotyczącym bliskiego bankructwa niektórych państw europejskich oraz umiejętności zdobywczych i żądzy posiadania rozwijającej się w Wielkiej Brytanii. Słuchała uważnie, mimo iż wydało się jej, że opowiada bzdury typowe dla zgromadzeń na wsi - choć w takich okolicznościach zazwyczaj irytował ją i nie odzywała się. Jednak lubiła mieć w zanadrzu jakiś barwny fakt lub dwa, którym mogła się wesprzeć, gdy z kolei ona chciała skupiać na sobie uwagę, wydawać poruszające stwierdzenia o rewolucjach, anarchiach i nadchodzących niepokojach. Oczywiście zdążyła zauważyć, że gdy powtarzała uwagi Tietjensa poważni panowie na odpowiedzialnych stanowiskach zaczynali z nią dyskutować i poświęcać jej więcej uwagi niż wcześniej...

A teraz, gdy szła wzdłuż stołu, trzymając w ręku talerz, mogła jedynie przyznać, że triumfalnie (a dla niej bardzo wygodnie!) Tietjens miał rację! Upływał trzeci rok wojny, a ona miała wygodny, tani, prawie dostojny dom, który można by w razie potrzeby prowadzić z jedną tylko służącą chociaż wierna Halo Centrala jak dotąd nie pozwoliła, aby do tego doszło...

Znalazszy się przy Tietjensie podniosła talerz, na którym znajdowały się dwa zimne kotlety w auszpiku i kilka liści sałaty; zachwiała się lekko i wykonując kolisty ruch ramieniem, posłała całą zawartość talerza w kierunku jego głowy. Odstawiła talerz na stół i powoli przepłynęła do gigantycznego lustra nad kominkiem.

- Nudzę się - oznajmiła. - Nudzę! Nudzę!

Tietjens odsunął się trochę, gdy rzucała; kotlety i większość sałaty przeleciały nad jego ramieniem. Mimo to jeden skulony i bardzo zielony liść osiadł na pagonie, natomiast oliwa i ocet (Sylwia wiedziała, że nabiera za dużo przypraw) poplamiały mu insygnia. Z przyjemnością

stwierdziła, że trafiło na niego aż tyle - więc nie najgorszy cel. Z przyjemnością też stwierdziła, że go nie trafiła. Poza tym było to jej niezmiernie obojętne. Przyszło jej na myśl coś takiego zrobić, więc zrobiła. I dobrze!

Przez pewien czas przyglądała się sobie w błękitnej głębi lustra. Przycisnęła wielkie pasma włosów po obu stronach głowy dłońmi do uszu. Była w porządku: wyraziste rysy i alabastrowa cera (głównie dzięki lustru), piękne, długie, chłodne dłonie - czy istniał taki mężczyzna, który nie pragnąłby, aby spoczęły na jego czole?... I te włosy! Który mężczyzna nie pomyślałby o nich, jak rozpuszczone spływają po białych ramionach!... Cóż, Tietjens by nie pomyślał! A może?... Miała nadzieję, że tak, przeklęty, ponieważ nigdy tego zjawiska nie zobaczył. Na pewno czasem, nocą, po odrobinie whisky, musi chcieć je zobaczyć!

Zadzwoiła dzwonkiem i kazała Halo Centrali zamieść dywan. Weszła Halo Centrala, wysoka i ciemna, o rozszerzonych oczach patrzących nieruchomo przed siebie.

Sylwia poszła wzdłuż półek z książkami, zatrzymując się przy grzbiecie jednego z woluminów. „Vitare Hominum Notiss” wybite złoconym, nierównym drukiem, wyciśnięte głęboko w starej skórce. Przy pierwszym z wysokich okien uchwyciła się sznurka od rolet. Wyrzała, a potem spojrzała z powrotem do pokoju.

- Tamta kobieta w woalce! - powiedziała. - Znowu wchodzi pod jedenastkę. Oczywiście, wybiła druga...

Popatrzyła pilnie na plecy swego męża, na te niezgrabne plecy, które coraz bardziej teraz się garbiły. Pilnie! Nie umknie jej ani ruch, ani zeszywnienie.

- Dowiedziałam się, kto to jest - powiedziała - i do kogo chodzi. Od portiera. To ta kobieta, z którą jechałeś z Bishop Auckland. Tego dnia, kiedy wypowiedziano wojnę - dodała po chwili.

Tietjens obrócił się całym ciałem na krześle. Wiedziała, że to robi ze sztywnej uprzejmości, a więc nie znaczyło nic.

Jego twarz była biaława w bladym świetle, ale odkąd wrócił z Francji, gdzie spędzał czas w blaszance pomiędzy zaspami z kurzu wciąż była biaława. Powiedział:

- A więc widziałas mnie!

Ale to też było zwykłą uprzejmością.

- Oczywiście! - odrzekła. - Cały nasz tłum od Claudine was widział! To stary Champion powiedział, że to pani... zapomniałam nazwiska.

- Tak sądziłem, że on będzie ją znał. Widziałem, jak zagląda z korytarza!

- Czy to twoja kochanka, czy tylko Macmastera, a może kochanka was obu? Byłoby to do was podobne, mieć wspólną kochankę... Ma męża wariata, tak? Pastora.

- Nie! - powiedział Tietjens.

Sylwia nagle powstrzymała dalsze pytania i Tietjens, który w podobnych dyskusjach nigdy nie wymanewrowywał pozycji, powiedział:

- Już ponad sześć miesięcy jest panią Macmasterową.

- Wyszła za niego nazajutrz po śmierci męża - powiedziała Sylwia. Wzięła głęboki oddech i dodała: - Nic mnie to nie obchodzi... Od trzech lat przychodzi tu każdego piątku... Mówię ci, że ją wydam, chyba że ten mały parszywiec jutro odda pieniądze, które jest ci winen... Bóg wie, że są ci potrzebne!

Po chwili pospiesznie dodała, nie wiedząc jak Tietjens odniesie się do tej propozycji:

- Pani Wannop dzwoniła dziś rano, z pytaniem kto był... och! złym duchem Kongresu Wiedeńskiego. A tak na marginesie, kto jest sekretarką pani Wannop? Chciała się z tobą zobaczyć dziś po południu.

- Pani Wannop nie ma sekretarki - powiedział Tietjens. - Wszystkie telefony wykonuje jej córka.

- To ta dziewczyna - rzekła Sylwia - za którą tak szalałeś wtedy, gdy Macmaster wydał swe okropne popołudniowe przyjęcie? Czyżbyś zrobił jej wojenne dziecko? Wszyscy mówią, że jest twoją kochanką.

- Nie - odparł Tietjens. - Panna Wannop nie jest moją kochanką. Jej matka otrzymała zamówienie na artykuł o dzieciach wojny. Powiedziałem jej wczoraj, że takich dzieci właściwie nie ma, no i popsulem jej humor, ponieważ nie będzie mogła napisać nic sensacyjnego. Chce spowodować, abym zmienił zdanie.

- To na pewno była panna Wannop na tym paskudnym przyjęciu u twojego przyjaciela? - zapytała Sylwia. - A kobieta, która pełniła honory, to twoja druga kochanka. Mało sympatyczne towarzystwo.

Nie dzieliłam twojego gustu. Wtedy, gdy pościągano wszystkich obrzydliwych geniuszy z Londynu jakiś mężczyzna podobny do królika opowiadał mi jak pisać poezję.

- Mało trafnie określasz przyjęcie - rzekł Tietjens. - Macmaster wydaje przyjęcia co piątek, a nie w sobotę. Od lat. Pani Macmaster chodzi tam co piątek. Jest gospodynią. Panna Wannop chodzi tam co piątek, po tym jak skończy pracować dla matki. Po to, żeby pomóc pani Macmasterowej...

- Od lat! - przedrzeźniła go Sylwia. - No i ty chodzisz tam co piątek, żeby gruchać nad panną Wannop. Och, Krzysztofie! - przybrała prześmiewczo wzniosły ton głosu. - Nigdy nie miałam dobrego zdania o twoim guście... ale nie to! Nie pozwól, aby tak było. Daj jej spokój. Jest dla ciebie za młoda...

- Wszyscy geniusze z Londynu - ciągnął niezrażony Tietjens - chodzą co piątek do Macmastera. Powierzono mu bowiem zadanie rozdzielania królewskiego funduszu literackiego, dlatego tam chodzą. Chodzą. Dlatego też dostał order.

- Nie sądziłam, że się liczą - powiedziała Sylwia.

- Oczywiście, że tak - odparł. - Piszą do gazet. Zdobędą wszystko dla każdego... oprócz siebie!

- Tak jak ty - powiedziała Sylwia. - Akurat jak ty! Banda przepuknych karłów.

- O nie. - powiedział Tietjens. - Nie robią tego w sposób oczywisty bądź nieuczciwy. Nie wierz w to, że Macmaster rozdaje co roku po czterdzieści funtów pod warunkiem poparcia dla siebie. Sam nie ma pojęcia, jak to działa, chyba że po otoczeniu.

- Nie znam bardziej obrzydliwego otoczenia - powiedziała Sylwia. - Wręcz cuchnęło karmą dla królika.

- Absolutnie się mylisz. To specjalnie oprawione w rosyjską skórę autorskie tomiki w dużej biblioteczkę.

- Nie wiem, o czym mówisz. Cóż za autorskie tomiki? Wydawałoby mi się, że masz dosyć rosyjskich zapachów po Kijowie.

Tietjens pomyślał chwilę.

- Nie! Nie pamiętam. Kijów? Ach, gdzie byliśmy...

- Wyłożyłeś połowę pieniędzy swojej matki na rządowe kijowskie tramwaje miejskie...

Słyszając to, Tietjens wyraźnie syknął; nie tak jak chciała.

- Nie jesteś w stanie jutro pójść. Zadepeszuję do starego Campiona.

- Pani Duchemin - rzekł sztywno Tietjens - to znaczy pani Macmaster zapalała na chwilę przed przyjęciem kadzidło w salonie... te smrody chińskie... jak je tam zwą? Zresztą, nieważne - dodał z rezygnacją. Potem ciągnął: - Żebyś się nie pomyliła. Pani Macmaster to nadzwyczajna kobieta. Wybitnie umiejężna! Ogromnie szanowana. Nie radziłbym nawet tobie się z nią zetrzeć, teraz gdy się dobrze usadowiła.

- Ach, taka to kobieta! - powiedziała pani Tietjens.

- Nie twierdę, że będziesz miała okazję się z nią zmierzyć. Jesteście z różnych sfer. Ale jeśli nie... Mówię to, ponieważ wydaje mi się, że masz ją na celu.

- Nie lubię, gdy coś takiego dzieje mi się pod oknami - powiedziała Sylwia.

- Coś jakiego?... Usiłowałem trochę ci powiedzieć o pani Macmaster... Ona jest podobna do tej kobiety, która była kochanką tego człowieka, co spalił temu drugiemu książkę... Nie przypominam sobie nazwisk.

- Nie próbuj! - powiedziała szybko i dodała wolniej: - Absolutnie nie chcę wiedzieć...

- No, to cała Egeria! - powiedział Tietjens. - Inspiracja dla dystyngowanych ludzi. Tym wszystkim jest pani Macmaster. Geniusze roją się wokół niej, a z wybranymi koresponduje. Pisuje wybitne listy, zazwyczaj o Wyższej Moralności, ogromnie wrażliwe i uczuciowe. Naturalnie, że szkockie. Kiedy wyjeżdżają za granicę posyła im wycinki o literackich wydarzeniach w Londynie, naprawdę niegłupie, poza wszystkim! No i raz na jakiś czas wzmiankuje o czymś, co by chciała mieć dla Macmastera. Z ogromną delikatnością... Chociażby ten order... Wprowadza w umysł Geniusza nr 1, 2 lub 3 myśl o odznaczeniu dla Macmastera... Geniusz numer 1 je obiad z wiceministrem kultury, który zajmuje się odznaczeniami i jada obiady z geniuszami i zbiera płatki...

- Dlaczego - zapytała Sylwia - pożyczyleś Macmasterowi tyle pieniędzy?

- Zresztą - Tietjens kontynuował - to całkiem odpowiednie. Właśnie w taki sposób są rozdzielane patronaty w tym kraju. Takie to powinno być. Jasne i czyste. Pani Duchemin popiera Macmastery, ponieważ jest on pierwszorzędnym człowiekiem na tym stanowisku. Natomiast ona ma wpływ na geniuszy, bo jest pierwszorzędna na swoim stanowisku... Reprezentuje Wyższą Moralność prawdziwie przyzwoitych Szkotów. Niedługo będzie mogła wstrzymać bilety na wieczorki Akademii. Już tak robi w przypadku kolacji organizowanych przez Królewską Fundację. Jeszcze trochę później, kiedy Macmaster dostanie szlachectwo za podbicie oka Francuzom, będzie mieć coś do powiedzenia w jeszcze dostojniejszych zgromadzeniach... Oni muszą przecież pytać kogoś o radę. A więc któregoś dnia będziesz chciała przedstawić jakąś debiutantkę. I nie dostaniesz biletu...

- Wobec czego cieszę się, że napisałam do wujka Browniego o tej kobiecie. Dzisiaj rano było mi trochę żal, ponieważ z tego, co mi mówiła Glorvina, wywnioskowałam, że znalazłeś się w diabelnej kropce...

- A cóż to za wujek? - zapytał Tietjens. - Lord... lord... ten bankier! Wiem, że Brownie jest w banku wujka...

- Port Scatho! - powiedziała Sylwia. - Wolałabym, abyś nie udawał, że zapominasz nazwiska. Przedobrzyłeś.

Twarz Tietjensa zbielała o ton...

- Port Scatho jest przewodniczącym Komisji Kwaterunkowej, oczywiście. I napisałaś do niego?

- Przepraszam - powiedziała Sylwia. - To znaczy, przepraszam, że powiedziałam ci to o zapominaniu... Napisałam do niego, że jako mieszkanka tej okolicy nie zgadzam się, aby twoja kochanka (wie o tym związku, oczywiście!) co piątek przemykała się ukryta pod grubą woalką i wymykała w sobotę o czwartej rano.

- Lord Port Scatto wie o moich związkach - zaczął Tietjens.

- Widział jak ją trzymałeś w ramionach w pociągu - powiedziała Sylwia. - Brownie tak się zdenerwował, że zaoferował się zlikwidować twoje konto i zwracać czeki, które mogłyby być bez pokrycia...

- Żeby zrobić tobie przyjemność? Czy bankierzy rzeczywiście tak robią? Rzucałoby to całkiem nowe światło na społeczeństwo brytyjskie...

- Domyślam się, że bankierzy chcą sprawiać przyjemność swym znajomym kobietom, podobnie jak inni mężczyźni - odparła Sylwia. -

Powiedziałam mu z naciskiem, że mnie nie sprawiłby przyjemności... Ale... - zawahała się. - Nie dawałabym mu okazji, żeby się zemścił na tobie. Nie chcę się mieszać w twoje sprawy, ale Brownie cię nie lubi...

- Chce żebyś się ze mną rozwiodła i wyszła za niego?

- Skąd wiedziałeś? - zapytała nieporuszenie. - Od czasu do czasu pozwalałam mu się zaprosić na obiad, dla wygody, bo prowadził moje interesy, gdy ciebie nie było... Oczywiście, że cię nienawidzi za to, że jesteś w wojsku. Wszyscy mężczyźni, którzy nie są, nienawidzą tych, którzy są. Jeśli jeszcze między nimi znajdzie się kobieta, cywile robią wszystko, żeby pogrzyżać wojskowych. A jeśli są bankierami, to mają za co pociągać...

- Chyba tak - powiedział mętnie Tietjens. - Tak, mieliby za co...

Sylwia puściła sznurek, który ciągała jedną ręką. Aby światło padło jej na twarz i nadało więcej wyrazu jej słowom (za chwilę, za dwie, gdy się poczuje na siłach, przekaże mu rzeczywiście złe wieści), przepłynęła do kominka. Śledził ją i obrócił się na krześle twarzą do niej.

- Słuchaj - powiedziała. - Wszystkiemu winna jest ta parszywa wojna, nieprawda? Zaprzeczysz? Chodzi mi o to, że przywoici, dżentelmeńscy panowie, tacy jak Brownie, zamieniają się w obrzydliwych karłów!

- Chyba tak - powiedział tępo Tietjens. - Tak, oczywiście. Masz rację. To incydentalna degeneracja impulsu heroicznego - jeśli na ten impuls działa jednostajna siła, górę bierze degeneracja. Stąd przypadki Browniego... wszystkich Brownich... że stają się karłami...

- No, to dlaczego się na to godzisz? Bóg wie, potrafiłabym cię wydostać, gdybyś mi tylko troszkę pomógł.

- Dziękuję! Ale wolę w tym siedzieć... Jak inaczej miałbym zarabiać na życie?

- A więc wiesz! - wykrzyknęła Sylwia, prawie świdrującym głosem. - Wiesz, że nie wezmą cię z powrotem do urzędu, jeśli uda im się znaleźć odpowiedni pretekst.

- O, uda im się! - powiedział i kontynuował poprzednią wypowiedź. - Kiedy zaczniemy wojnę z Francją - rzekł tępo.

Sylwia wiedziała, że będzie głosił swą ustaloną opinię, aby nie zaangażować głębiej w dyskusję czynnej części mózgu. Zapewne myśli pilnie o tej Wannopównie! Taka drobna... cała w tweedach...

prowinjonalna miniaturka jej samej, Sylwii Tietjens... Gdyby to ona, Sylwia, była miniaturowa i prowincjonalna... Słowa Tietjensa cięły ją jak biczem.

- Będziemy zachowywać się bardziej godnie - oznajmił - ponieważ będziemy rzadziej działać powodowani impulsem heroicznym. My... w połowie... będziemy się za siebie wstydzić. No i będzie mniej incydentalnej degeneracji.

Sylwia, która w tej chwili go słuchała, porzuciła myśl o pannie Wannop i obsesję, że Tietjens wypowie kilka słów na przyjęciu u Macmastera. Wykrzyknęła:

- Na Boga! O czym ty mówisz?

- O naszej przyszej wojnie z Francją... Jesteśmy naturalnymi wrogami Francuzów. Zarabiamy na chleb, okradając ich albo wykorzystując...

- Nie możemy! Nie moglibyśmy...

- Musimy! - powiedział Tietjens. - Jest to warunkiem naszej egzystencji. Jesteśmy krajem na północy, prawie bankrutem, przeludnionym, a oni są bogatymi południowcami, gdzie ludność maleje. Przed 1930 rokiem będziemy musieli zrobić to, co Prusy w 1914. Nasze warunki będą dokładnie takie same, jak wtedy pruskie... To jest... jak się to nazywa?

- Ależ... - wykrzyknęła Sylwia - przecież jesteś maniakałnym frankofilem! Uważają, że jesteś francuskim agentem... i to marnuje ci karierę!

- Tak? - zapytał bez większego zainteresowania i dodał: - Fakt, to by mi mogło psuć karierę... - kontynuował z większym ożywieniem i bardziej przytomnie: - A! Tę wojnę będzie warto zobaczyć... Żadnego pijanego rzucania się do gardeł bandytów-imbecyli...

- Moja matka by zwariowała! - powiedziała Sylwia.

- Bynajmniej - odparł. - To ją podnieci, o ile dożyje. Nasi bohaterowie nie będą już pijani winem i pożądaniem, nasze karły nie będą siedzieć po domach i wsadzać bohaterom noży w plecy. Nasz minister od klozetów nie będzie przetrzymywał dwóch i pół miliona żołnierzy, aby zapewnić sobie głosy ich kobiet na ogólnokrajowych wyborach - takie są pierwsze niedobre skutki dawania głosu kobietom! Kiedy Francuzi zajmą Irlandię i staną od Bristolu po Whitehall,



powiesimy ministra, zanim zdąży cokolwiek podpisać. I będziemy przyzwoicie wierni naszym sojusznikom i braciom z Prus. Nasz rząd nie będzie ich nienawidzić tak jak Francuzów za to, że są oszczędni, logiczni, edukowani i bezlitośnie praktyczni. Prusacy to są faceci, z którymi możesz się ześwinić, jeśli chcesz... Sylwia przerwała mu z pasją:

- Na litość boską przestań. Prawie udaje ci się mnie przekonać, że mówisz prawdę. Mówię ci, że mama by zwariowała. Jej najbliższą przyjaciółką jest księżna Tonerre Chateau-Herault...

- Cóż! - rzekł Tietjens. - Twoimi największymi przyjaciółmi są Med... Med... ci oficerowie austriaccy, którym nosisz czekoladki i kwiaty. Cała awantura o... z nimi prowadzimy wojnę, a ty nie oszalałaś!

- Nie wiem - powiedziała Sylwia. - Czasem wydaje mi się, że wariuję!

Tietjens, z bardzo napiętą twarzą, patrzył na obrus. Mamrotał: - Med... Met... Kos... Sylwia odezwała się:

- Czy znasz wiersz „Somewhere”? Zaczyna się od słów: *Somewhere or other there must surely be...*

- Przykro mi! - odparł. - Nie. Nie udało mi się wrócić do poezji.

- Przestań! - powiedziała Sylwia i dodała: - Masz być w Ministerstwie Wojny o 16.15, prawda? Która jest teraz godzina?

Bardzo pilnie chciała przekazać mu te złe wieści, zanim pójdzie, a jednocześnie chciała odłożyć tę chwilę tak długo, jak tylko się dało. Chciała najpierw przemyśleć sprawę, a także podtrzymać rozmowę, żeby nie wyszedł z pokoju. Zależało jej na uniknięciu sytuacji, by wstrzymywać go w ostatniej chwili, ponieważ w danym momencie mógł nie być w nastroju. Nie było jeszcze drugiej. Mógł jej poświęcić jeszcze półtorej godziny.

Żeby podtrzymać rozmowę, powiedziała:

- Jak sądzę Wannopówna drze bandażę albo wspomaga lotnictwo. Coś wymagającego hartu.

- Nie - odparł Tietjens. - Jest pacyfistką. Podobnie jak ty. Nie aż tak impulsywna, ale z drugiej strony ma więcej argumentów. Powiedziałbym, że przed końcem wojny trafi do więzienia...

- No, to ładnie się bawisz z nami dwiema - powiedziała Sylwia.

Nieodwołalnie ogarnęło ją wspomnienie rozmowy z wielką damą, którą nazywano Glorwiną (choć wcale nie było to dobre przydomko).

- Na pewno zawsze z nią wszystko omawiasz? Widzisz się z nią codziennie.

Uznała, że to stwierdzenie zajmie go na minutę albo dwie. Powiedział (pojęła tylko sens) całkiem obojętnie, że codziennie chodzi na podwieczorek do pani Wannop. Przeniosła się na ulicę Bedford Park, która znajdowała się nie opodal jego biura, niecałe trzy minuty drogi. Ministerstwo Wojny wybudowało mnóstwo blaszanek na jakimś publicznym trawniku w okolicy. Córkę widywał raz na tydzień, co najwyżej. Nigdy nie rozmawiali o wojnie, dla młodej kobiety był to zbyt nieprzyjemny temat. A raczej zbyt bolesny... Jego wypowiedzi powoli przeistaczały się w niedokończone zdania.

Od czasu do czasu odgrywali komedię, ponieważ niemożliwością było mieszkać we dwoje w tym samym domu i nie spotykać się na jakimś wspólnym gruncie. Więc oboje mówili, czasem długo i bardzo uprzejmie, pogrążeni każde we własnych myślach, aż zalegała cisza.

Poza tym, odkąd Sylwia nawykła do odbywania rekolekcji u pewnych anglikańskich zakonnic, żeby denerwować Tietjensa, który nie cierpiał zakonów i uważał, że religie nie powinny się mieszać - nawykła też do całkowitego zatapiania się w rozmyślaniach. Teraz więc była mętnie świadoma, że szarawa bryła, Tietjens, siedzi u szczytu roztaczającej się bieli - stołu obiadowego. Były tam też książki... w rzeczywistości widziała zupełnie inną postać i inne książki, książki po małżonku Glorviny, albowiem dama ta przyjęła Sylwię w bibliotece tego męża stanu.

Glorvina, matka dwojga z najbliższych przyjaciół Sylwii, posłała po nią. Życzyła sobie, z sympatią i humorem, upomnieć Sylwię za jej całkowitą abstynencję od wszelkiej działalności patriotycznej. Zaoferowała Sylwii adres pewnego miejsca w mieście, gdzie można było nabyć gotowe pieluszki, które mogłaby podarować jako swe własne dzieło jakiejś organizacji charytatywnej. Sylwia powiedziała, że nic takiego nie robi i Glorvina rzekła, że przekaże pomysł biednej pani Pilsenhauser. Ona, czyli Glorvina, każdego dnia poświęcała czas na obmyślanie czynów patriotycznych dla udręczonych bogatych ludzi mających obce nazwisko, akcent lub pochodzenie...

Glorvina była panią w okolicach pięćdziesiątki, o szarej, spiczastej twarzy i twardym obejściu, ale stawiała się miła, gdy dopisał jej humor lub gdy starała się coś wyblagać. Znajdowały się w pokoju wyglądającym na ogród na tyłach placu Belgravia. Oświetlał go lufcik i cienie kładące się z góry pogłębiały zmarszczki na jej twarzy, i podkreślały jakby przykurzoną szarość siwych włosów, a także zarówno hardość, jak i przywilność. Wywarło to wielkie wrażenie na Sylwii, która była przyzwyczajona do widywania damy w sztucznym świetle...

- Chyba nie sugerujesz, Glorvino, że to ja jestem udręczoną bogaczką z obcym nazwiskiem?

- Moja droga Sylwio, nie tyle chodzi o ciebie, co o twego męża. Twój ostatni wybryk w związku z Esterhazymi i Metternichami właściwie go skończył. Zapominasz, że ci, co są teraz u steru, nie myślą logicznie...

Sylwii przypomniało się, jak skoczyła na nogi z głębi skórzanego fotela wykrzykując:

- Czyżbyś twierdziła, że tamte nieopisane wieprze uważają, że ja...!

- Moja droga Sylwio - rzekła cierpliwie Glorvina - powiedziałam już, że nie chodzi o ciebie. Cierpi twój małżonek. Wydaje się, że jest zbyt przywoitym mężczyzną, aby cierpieć. Tak mówi pan Waterhouse. Ja sama nie znam go dobrze.

Sylwia przypomniała sobie, że powiedziała:

- A któż to jest pan Waterhouse?

Na wieść, że pan Waterhouse jest byłym ministrem w rządzie liberałów, straciła zainteresowanie. W istocie nie mogła osobie przypomnieć nic więcej, z tego co jej gospodyni wyraziła słowami. Ich sens całkiem ją oszołomił...

Stała teraz, spoglądając na Tietjensa i tylko okazjonalnie go widząc, wysiłkiem całego umysłu starała się sobie przypomnieć słowa Glorviny, pragnąc wykazać się dokładnością. Zazwyczaj dość dobrze pamiętała rozmowy, ale w tym przypadku jej wściekłość, opanowująca ją mdłości, ból paznokci wbijanych w dłonie, sekwencja uczuć niemożliwa do odtworzenia, oszołomiły ją.

Patrzyła teraz na Tietjensa z czymś w rodzaju złośliwej radosnej ciekawości. Jak to możliwe, że człowieka najbardziej honorowego ze wszystkich, jakich знаła, pogrążyły podłe i bezpodstawne plotki? Można by pomyśleć, że honor sam w sobie miał coś złowrogiego...

Tietjens, z pobladłą twarzą, obracał w palcach kawałek grzanki, mrużąc:

- Met... Met... To Met... - Otarł czoło serwetką, spojrzął nań z zaskoczeniem, rzucił na podłogę i wyciągnął chustkę... Mamrotał: - Mett... Metter... - Jego twarz pojaśniała niczym twarz dziecka przy słuchującego się muszli.

Sylwia krzyknęła z pasją nienawiści:

- Na litość boską powiedz, że to Metternich... doprowadzasz mnie do szalu!

Kiedy znowu na niego spojrzała, na jego twarz wrócił spokój. Szedł szybko w kierunku aparatu telefonicznego znajdującego się w rogu pokoju. Przeprószył ją i podał numer na Ealing. Po chwili odezwał się:

- Pani Wannop? Aha! Moja żona właśnie przypomniła mi, że to Metternich był złym duchem Kongresu Wiedeńskiego... - powiedział.

Po pewnym czasie odezwał się: - O, może pani użyć mocniejszych słów. Może pani napisać, że torysowska determinacja, by zniszczyć Napoleona za wszelką cenę, była jednym z tych przejawów idiotyzmu partyjnego, który... etcetera... Tak, Castlereagh. No i oczywiście Wellington... Bardzo mi przykro, muszę kończyć... Tak, jutro o 8.30 z Waterloo... Nie, nie będę się z nią już widział... Nie, pomyliła się...

Tak, proszę ją ucałować ode mnie... Żegnam.

Odwrócił słuchawkę, aby ją odwieść, ale seria wysokich pisków dobiegająca z niej zmusiła go znowu przyłożyć ją do ucha:

- A! Wojenne dzieci! - wykrzyknął. - Już wysłałem wam statystyki! Nie, wcale nie ma znacznego wzrostu nieprawych urodzin, tylko miejscowo. Wskaźnik jest szokująco wysoki w nizinnej Szkocji, ale tam zawsze jest szokująco wysoki... - zaśmiał się i powiedział mile: - Ech, jest pani dobrą dziennikarką, nie pozwoli pani z tego powodu umknąć pięćdziesięciu funtom... - kończył. - A może - powiedział nagle - mam jeszcze jeden pomysł. Wskaźnik utrzymuje się mniej więcej na tym samym poziomie z takiego powodu: połowa facetów jadących do Francji idzie na całość, bo uważają, że to ich ostatnia szansa. Ale ta druga połowa z tego samego powodu staje się jeszcze bardziej sumienna. Przyzwoity żołnierz angielski pomyśli dwa razy, zanim zostawi swą dziewczynę w kłopotcie przed pójściem na śmierć... Oczywiście statystyki rozwodowe zwykują, ponieważ ludzie

chęcą popробować od nowa zgodnie z prawem... Dziękuję... dziękuję...  
- odwiesił słuchawkę.

Sylwia, słuchając tej konwersacji, poczuła jak jej myśli się dziwnie rozjaśniają. Powiedziała, niemal z przykrością:

- Chyba właśnie dlatego nie uwiedziesz tej dziewczyny.

Wiedziała, wiedziała natychmiast, słysząc nagłą zmianę tonacji w głosie Tietjensa, gdy mówił „przyzwoity żołnierz angielski pomyśli dwa razy, zanim...”, że Tietjens osobiście również dwa razy pomyślał.

Patrzyła teraz na niego, niemal nie dowierzając, ale z chłodem. A dlaczego, zapytała się w duchu, nie zazna nieco przyjemności ze swoją dziewczyną, zanim wyruszy na pewną śmierć? Poczuła prawdziwy, ostry ból w sercu... Biedny nędznik w strasznym położeniu...

Przeniosła się na krzesło w pobliżu kominka i siedziała, patrząc na niego, pochylając się z zaciekawieniem do przodu, jakby na przyjęciu w ogrodzie (*par impossible!*) trafiła na niezłe odegraną sztukę pasterską. Tietjens był bajecznym potworem...

Był bajecznym potworem nie dlatego, że był honorowy i cnotliwy. Znała kilku bardzo honorowych i bardzo cnotliwych mężczyzn. Jeśli nie poznała honorowej i cnotliwej kobiety, prócz tych wśród swych francuskich czy austriackich znajomych, to dlatego, że cnotliwe i honorowe kobiety jej nie bawiły, albo dlatego, że (wyjąwszy Francuzki i Austriaczki) nie były rzymskimi katoliczkami... Natomiast znani jej honorowi i cnotliwi panowie zwykle prosperowali i cieszyli się szacunkiem. Nie posiadali największych fortun, ale mieli się dobrze; dobrze się o nich mówiło, byli w typie wiejskich dżentelmenów... jak Tietjens...

Uszeregowwała myśli. Żeby ustalić jedną rzecz, zapytała:

- Co naprawdę stało się z tobą we Francji? Co się dzieje z twoją pamięcią? A może raczej z twoim mózgiem?

Powiedział ostrożnie:

- Połowa, niespełna połowa, obumarła, czy raczej wyblakła. Nie ma odpowiedniego dopływu krwi... a więc duża część mózgu, w postaci pamięci, przepadła.

- Ty! - wykrzyknęła - Bez mózgu!

Ponieważ nie było to pytanie, nie odpowiedział.

Jego zachowanie, marsz do telefonu, jak tylko przypomniał sobie nazwisko Metternich, nareszcie przekonało ją że przez minione cztery

miesiące nie udawał hipochondryka ani nie kłamał, żeby obudzić współczucie albo dostać przedłużenie urlopu chorobowego. Wśród przyjaciół Sylwii numer nazywany wstrząsem wzbudzał cyniczny śmiech i poparcie. Całkiem przyzwoici i - o ile wiedziała - całkiem odważni mężczyźni związani z jej paniami otwarcie chętni się, że jak tylko będą mieli dosyć kontynentalnych warunków, to zorganizują mały urlop albo przedłużą mały urlop udawaniem choroby znanej wyłącznie z nazewnictwa. Pośród całej tej afery objawiającej się kłamstwem, lubieżnością pijaństwem i piciem, symulowanie lekkiego wstrząsu wywołanego bombardowaniem wydało się jej niemal cnotliwe. Zresztą jeśli mężczyźni spędzali czas na przyjęciach ogrodowych albo - jak przez ostatnie kilka miesięcy Tietjens - w blaszance pośród zawału piachu, chodząc każdego popołudnia na podwieczorek do pani Wannop, żeby jej pomagać w pisaniu artykułów do gazet - wtedy przynajmniej nie nastawali nawzajem na swoje życie.

Odezwała się:

- Nie miałbyś nic przeciwko opowiedzeniu mi, co naprawdę z tobą się stało?

- Nie wiem, czy potrafię... Coś się rozprysło, może odpowiedniejszym słowem będzie „ekspłodowało” w pobliżu, w ciemnościach. Sądzę, że wołałabyś o tym nie słuchać?...

- Chcę!

- Cała istota w tym, że ja nie wiem, co mi się przytrafiło i nie pamiętam, co robiłem. Trzy tygodnie mojego życia przepadły... Pamiętam jedynie, że leżałem w szpitalu i nie mogłem sobie przypomnieć, jak się nazywam.

- Naprawdę? - zapytała Sylwia. - Czy tylko tak mówisz?

- Nie, nie mówię tak tylko - odparł Tietjens. - Leżałem w łóżku, w szpitalu polowym... Twoi przyjaciele zrzucali na nas bomby.

- Nie musisz ich nazywać moimi przyjaciółmi.

- Wybacz, proszę - odrzekł Tietjens. - Człowiek przyzwyczajają się do nieostrożnych wypowiedzi. No, to ci biedni cholerni Hunowie zrzucali z samolotów bomby na blaszanki szpitalne... Nie sugeruję, że wiedzieli, że to szpital... Niewątpliwie była to tylko niedokładność z ich strony...

- Nie musisz przy mnie oszczędzać Niemców! - powiedziała Sylwia. - Nie musisz oszczędzać nikogo, kto zabił człowieka.

- A więc martwiłem się straszliwie - ciągnął Tietjens - komponowałem wstęp do książki.

- Czyżbyś napisał książkę! - wykrzyknęła szybko Sylwia, ponieważ uważała, że gdyby Tietjens zaczął pisać książkę, może udałoby mu się zarobić na życie. Wielu mówiło jej, że powinien napisać książkę.

- Nie napisałem żadnej książki - powiedział Tietjens - i nie wiedziałem, co to jest arminianizm...

- Wiesz doskonale, czym była herezja arminiańska - powiedziała ostro Sylwia. - Wyjaśniałeś mi tyle lat temu.

- Tak! - wykrzyknął Tietjens. - Kilka lat temu mogłem, ale nie wtedy. Teraz owszem, ale wtedy trochę mnie to martwiło. To trochę dziwne pisać wstęp na temat, o którym nie masz pojęcia. A jednak, nie wydawało mi się to wcale dyskredytujące w sensie wojskowym... A jednak miałem nie lada zamartwienie, że nie wiem, jak się nazywam. Leżałem i zamartwiałem się i myślałem, że to będzie strasznie dyskredytujące, jak przyjdzie pielęgniarka i zapyta mnie, a ja nie będę wiedział. Oczywiście, miałem nazwisko wypisane na przywieszce bagażowej przywiązanej do kołnierza, ale zapomniałem, że tak się robi z ofiarami... Potem mnóstwo ludzi przeniosło pielęgniarkę w kawałkach przez barak, tego oczywiście dokonały niemieckie bomby. Nadal padały wokoło.

- Ależ, wielkie nieba! - krzyknęła Sylwia - chodzi ci o to, że przenieśli obok ciebie nieżywą pielęgniarkę?

- Biedne stworzenie wcale nie było nieżywe - powiedział Tietjens. - Współczułem, że żyje. Nazywała się Beatrice Carmichel... poznałem jej imię po moim wypadku. Teraz ona już oczywiście nie żyje... Chyba od tego obudził się facet leżący po drugiej stronie pomieszczenia i strasznie krwawiący przez bandaż na głowie... Wytoczył się z łóżka i bez słowa przeszedł do mnie i zaczął mnie dusić...

- Ależ to niewiarygodne - powiedziała Sylwia. - Przykro mi, ale ja nie mogę w to uwierzyć... Byłeś oficerem, nie mogli przenieść rannej pielęgniarki tobie pod nos. Musieli wiedzieć, że twoja siostra Karolina była pielęgniarką i zginęła...

- Carrie - powiedział Tietjens - utonęła na statku szpitalnym. Dziękuję Bogu, że nie skojarzyłem tamtej z nią... Ale chyba nie uważasz, że

oprócz nazwiska, rangi, jednostki i daty przyjęcia zapisywali, że straciłem siostrę i dwóch braci na wojnie, i ojca - pękło mu serce, jak sądzę...

- Przecież straciłeś tylko jednego brata - powiedziała Sylwia. - Nosiłam po nim żałobę i po twojej siostrze...

- Dwóch - powiedział Tietjens. - Ale chciałem ci opowiedzieć o tym facecie, który mnie dusił. Wydawał przeszywające wrzaski i przybiegło mnóstwo salowych, ściągnęło go ze mnie i usiadło na nim. Potem zaczął wrzeszczeć. Ryczał: „Faith!... Faith!... Faith!...” w odstępie dwusekundowym, jeśli dobrze liczyłem według pulsu, aż do czwartej nad ranem, kiedy skonał... Nie wiem, czy chodziło mu o wiarę religijną, czy imię żeńskie. Nienawidziłem go, bo od niego rozpoczęły się tortury... Kiedyś znałem dziewczynę o imieniu Faith. Nie żaden romans. Była córką pewnego Szkota, szefa ogrodników u mojego ojca. Chodzi o to, że za każdym razem, gdy mówił „Faith”, ja pytałem „jaka Faith?”. Nie mogłem sobie przypomnieć nazwiska ogrodnika mojego ojca.

Sylwia, która zaczęła myśleć o czymś innym, zapytała: - I jak się nazywał?

- Nie wiem... - odpowiedział. - Do dziś dnia nie wiem... Chodzi o to, że gdy zrozumiałem, że nie znam tego nazwiska, stałem się tak nieświadom jak nowo narodzone dziecko i o wiele bardziej tym zmartwiony... Koran mówi (doznałem do K, czytając Encyklopedię Britannicę każdego popołudnia u pani Wannop), że „Gdy silnego męża trafi cios, trafia jego dumę”! Oczywiście szybko wyuczyłem się na pamięć regulaminu królewskiego i wszystkich spraw wojskowych, które powinien wiedzieć brytyjski oficer. Właściwie czynnik oficjalne nie przagną, aby wiedział więcej...

- Och, Krzysztofie! Ty czytasz encyklopedię, to straszne. Kiedyś bardzo nią pogardzałeś.

- O to mi chodzi, gdy mówię o „ciosie trafiającym w dumę”. Oczywiście, teraz pamiętam to, co usłyszę albo przeczytam... Ale nie dotarłem do M, a tym bardziej do W. Dlatego tak gnębił mnie Metternich i Kongres Wiedeński. Staram się przypomnieć sobie sam, ale jeszcze mi się nie udało. Widzisz, to jest tak, jakby jakiś obszar mojego mózgu wytarto do czysta. Od czasu do czasu jakaś nazwa prowadzi



do innej. Zauważyłaś, że mając Metternicha wpadłem na Castlere-  
agha i Wellingtona, i nawet więcej... Ale właśnie tu złapie mnie De-  
partament Statystyczny. Gdy mnie będą wyrzucać. Prawdziwą przy-  
czyną będzie moja służba. Ale będą udawać, że to dlatego, że nie po-  
siadam więcej ogólnej wiedzy niż można przeczytać w encyklopedii,  
dwie trzecie, mniej więcej - w zależności od tego jak długo potrwa  
wojna... Oczywiście prawdziwym powodem będzie to, że nie zgodzę  
się fałszować statystyk, którymi będą karmić Francuzów. Poprosili  
mnie o to kilka dni temu w ramach rozgrywek urlopowych. A gdy  
odmówiłem, powinnaś była widzieć ich twarze.

- Naprawdę straciłeś dwóch braci na wojnie?

- Tak. Kudłatego i Długonogiego. Nigdy ich nie zobaczyłaś, bo  
ciągle byli w Indiach. I nie rzucali się w oczy...

- Dwóch! A ja napisałam do twojego ojca o jednym, który nazy-  
wał się Edward. No i o Karolinie. W tym samym liście...

- Carrie też nie rzuciła się w oczy - powiedział Tietjens. - Praco-  
wała dla fundacji charytatywnych... Ale pamiętam, nie lubiłaś jej.  
Była urodzoną starą panną...

- Krzysztofie! Czy ty nadal uważasz, że twoja matka umarła, bo  
jej pękło serce, gdy od ciebie odeszłam?

- Dobry Boże, nie. Nigdy tak nie myślałem i tak nie uważam.  
Wiem, że nie to było przyczyną.

- No więc! - wykrzyknęła Sylwia. - Pękło jej serce, bo wróciłam...  
Nic nie da, że będziesz protestował. Pamiętam twoją twarz, gdy  
otworzyłeś depeszę w Lobscheid. Panna Wannop przekazała ją z Rye.  
Pamiętam stempel. Urodziła się, żeby mnie gnębić. Jak tylko dosta-  
łeś depeszę, widziałam, jak myślisz, że musisz ukryć przede mną, że  
uważasz, iż przeze mnie umarła. Widziałam, jak się zastanawiasz, czy  
nie byłoby praktycznie ukryć przede mną, że nie żyje. Oczywiście nie  
mogłeś tego zrobić, bo o ile pamiętasz, mieliśmy jechać do Wiesba-  
den i się pokazywać, a nie mogliśmy, bo musieliśmy nosić żałobę.  
Więc pojechałeś ze mną do Rosji, żebym nie jechała na pogrzeb.

- Pojechałem z tobą do Rosji - powiedział Tietjens. - Teraz sobie  
przypominam, pojechałem, bo miałem polecenie od sir Roberta In-  
gleby, aby pomóc konsulowi generalnemu Brytanii w sporządzeniu  
„Błękitnej Księgi” z tablicami statystycznymi rządu kijowskiego...

Wydawało się wówczas, że jest to obszar o największych możliwościach przemysłowych na świecie. Naturalnie teraz już nie jest. Nigdy nie obejrzę pensa z tych pieniędzy, które w to włożyłem. Wtedy wydawało mi się, że jestem sprytny... No i oczywiście te pieniądze pochodziły ze spadku mojej matki. Wszystko wraca... tak, oczywiście...

- Czyżbyś zrobił unik i nie zawiózł mnie na pogrzeb swojej matki, ponieważ uważałeś, że zbezczeszcę jej trupa moją obecnością? A może bałeś się, że przy jej ciele nie będziesz mógł ukryć przekonania, że to ja ją zabiłam? Nie zaprzeczaj. I nie próbuj się wyplątać, twierdząc, że nie pamiętasz tamtych dni. Właśnie sobie przypominasz: że zabiłam twoją matkę, że panna Wannop dostała depeszę... dlaczego nie zapiszesz jej kreski, że to ona przekazała wieść? Albo, dobry Boże, zapisz krechę sobie, uznaj to za gniew Wszechmogącego, że twoja matka umierała, podczas gdy ty gruchałeś z tamtą... w Rye! Ja byłam w Lobscheid.

Tietjens otarł czoło chustką.

- Cóż, dajmy temu spokój - powiedziała Sylwia. - Bóg wie, nie mam prawa podstawić dziewczynie nogi ani tobie. Jeśli się kochacie, macie prawo do szczęścia i, mogę rzec, że ona cię uszczęśliwi.

Nie mogę się z tobą rozwieść, jako że jestem katoliczką ale nie będę ci w żaden inny sposób utrudniać, a ludzie opanowani, jak ty i ona, jakoś dają sobie radę. Będziesz wiedział jak, wzorując się na Macmasterze i jego kochance... Ale, Krzysztofie Tietjensie, czy kiedykolwiek wziąłeś pod uwagę, jak podle mnie wykorzystałeś?

Tietjens spojrział na nią pilnie, z zainteresowaniem zmartwionej sroki.

- Jeśli więc - ciągnęła denuncjację Sylwia - powiedziałbyś do mnie raz w życiu: „Ty suko! Ty nierządniczo! Zamordowałaś moją matkę. Żebyś za to gniła w piekle...”. Albo gdybyś raz powiedział coś podobnego... o małym! O Perownie!... Zrobiłbyś coś, co mogłoby nas zbliżyć...

- Oczywiście, to prawda - powiedział Tietjens.

- Wiem - powiedziała Sylwia - nie potrafisz inaczej... Ale gdy w nimbie swej sławnej rodzinnej wiejskiej dumy (mimo że jesteś najmłodszym synem!) powiesz sobie... i nie wątpię, że... Chryste!... gdy cię postrzelą w okopach, powiesz to... pomiędzy siodłem a ziemią! Że nigdy nie zrobiłeś nic niehonorowego... Miej to na względzie, że żaden inny mężczyzna prócz jednego nie miałby większego prawa tak powiedzieć...

- Wierzysz w to!  
- Jak wierzę w to, że stanę przed moim Zbawicielem! Wierzę... Ale, w imię Wszchemogącego, jak może kobieta żyć u twego boku... i mieć wciąż wybaczone? Nie, to nie wybaczenie, a ignorowanie! No, to bądź sobie dumny w chwili śmierci ze swego honoru. Ale, Boże, przyznaj kornie, że... błędnie oceniasz. Ty wiesz jak to jest, gdy ktoś pojeździ koniem w przyciasnej uprzęży i omal nie przetnie mu języka na pół... Pamiętasz tamtego stajennego u ojca, który potrafił tak robić z końmi do polowań...

Kazałeś go wybatożyć. Mówiłeś mi, że chciało ci się płakać za każdym razem, gdy pomyślałeś o tamtej kobyłce... No! To pomyśl czasem o tej kobyłce! Prowadzisz mnie w takich cuglach już od siedmiu lat... - Urwała, po czym ciągnęła dalej: - Czyżbyś nie wiedział, Krzysztofie Tietjens, że jest tylko jeden mężczyzna, od którego kobieta ścierpi słowa „ani ja cię nie potępiam” i którego nie będzie nienawidzić gorzej od diabła?

Tietjens spojrział na nią tak, że zwróciła nań swą uwagę.

- Pozwól mi zapytać, jak miałbym w ciebie rzucić kamieniem? Nigdy nie potępiłem twojego zachowania.

Ręce opadły jej wzdłuż boków.

- Och, Krzysztofie - powiedziała - przestań wciąż udawać. Nigdy cię już więcej nie zobaczę, całkiem prawdopodobnie nigdy nie porozmawiam. Dziś wieczór będziesz spał z Wannopówną, a jutro jedziesz dać się zabić. Bądźmy ze sobą szczerzy przez następne dziesięć minut - powiedzmy. I wysłuchaj mnie. Wannopówną może tyle mi poświęcić, jeśli weźmie sobie całą resztę...

Zobaczyła, że słucha jej z całkowitą uwagą.

- Jak właśnie powiedziałaś - wypowiedział wolno - tak jak wierzę, że stanę przed mym Zbawicielem, uważam, że jesteś dobrą kobietą, która nigdy nie zrobiła nic niehonorowego.

Cofnęła się w głąb swego fotela.

- Więc to ty jesteś zły. Zawsze tak mówiłam, choć nie wierzyłam w to.

- Nie! Pozwól mi wyjaśnić, jak ja to widzę.

- Nie! - krzyknęła. - Byłam zła. Zrujnowałam cię. Nie będę ciebie słuchać.

- Prawdopodobnie mnie zrujnowałaś. Nic mnie to nie obchodzi. Absolutnie mi nie zależy.

- Och! - wyjęczała. - Och! Och!

Tietjens ciągnął uparcie:

- Nic mnie nie obchodzi. Takie są, takie być powinny, warunki życia wśród przyzwoitych ludzi. Mam nadzieję, że na następnej wojnie będziemy walczyć w takich warunkach. Mówmy, na litość boską, o rycerskim wrogu. Zawsze. My musimy plądrować Francuzów, bo inaczej miliony naszych będą głodować, oni muszą się bronić i to skutecznie albo dać się wyniszczyć... Tak samo jest z tobą i mną...

- Czy chcesz powiedzieć, że nie uważasz, abym była zła, gdy... odpłynęłam jak to moja matka nazywa?! - wykrzyknęła.

- Nie! - powiedział bardzo głośno. - Dałaś się podejść jakiemuś zwierzęciu. Zawsze utrzymywałem, że kobieta, która zawiedzie się na mężczyźnie, ma prawo... ma obowiązek ze względu na dziecko, zawiść mężczyznę. Kobieta przeciwko mężczyźnie, przeciwko jednemu mężczyźnie. Akurat ja stałem się tym mężczyzną, taka była wola Boga. Ale ty postępowałaś w granicach swoich praw. Nigdy tego nie cofnę. Nic mnie nigdy nie zmusi!

- A ci inni? I Perowne... Wiem, że powiesz, że usprawiedliwiłbyś każdego we wszystkim, co robi, o ile będzie przy tym szczerzy... ale przez to umarła twoja matka. Czy potępiasz mnie za zamordowanie twojej matki? A może uważasz, że zepsułam małego...

- Nie... O tym chciałbym z tobą porozmawiać.

- Chyba nie! - wykrzyknęła.

- Wiesz, że nie... - powiedział spokojnie. - Wtedy, gdy uważałem, że będę na miejscu pilnował jego wychowania w wierze anglikańskiej, walczyłem z twoim wpływem na małego. Jestem ci zobowiązany, że podniosłaś to, że mogę zginąć oraz że jestem zrujnowany. Jestem. Do jutra nie byłbym w stanie zorganizować stu funtów. Dlatego też nie jestem człowiekiem, który powinien mieć wyłączną władzę nad jedynym spadkobiercą Groby.

- Każdy pens w moim posiadaniu jest do twojej dyspozycji - mówiła Sylwia, kiedy pokojówka Halo Centrala przymaszerowała i włożyła panu do ręki kartkę.

Powiedział:

- Powiedz mu, żeby poczekał pięć minut w salonie.

- Kto to? - zapytała Sylwia.

- Ktoś... - odparł. - Skończmy. Nigdy nie uważałem, że psujesz chłopca. Usiłowałaś go nauczyć, jak się mówi kłamstewka. Na całym porządnym papistowskich zasadach. Nie mam nic przeciwko papistom i nic przeciwko kłamstewkom w ich imieniu. Kiedyś powiedziałaś mu, żeby wsadził Marchantowej do wanny żabę. Nie mam w zasadzie nic przeciwko temu, żeby chłopiec wkładał niańce żabę do wanny. Ale Marchant jest starą kobietą i spadkobierca Groby powinien zawsze szanować stare kobiety, a w szczególności rodzinną służbę... Być może nie wzięłaś pod uwagę, że chłopiec jest spadkobiercą Groby...

- Jeśli... jeśli zginie twój starszy brat. Ale twój najstarszy brat...

- Ma Francuzkę, która mieszka niedaleko stacji kolejowej Euston. Żyje z nią od ponad piętnastu lat popołudniami, gdy nie ma wyścigów. Ona nigdy nie pozwoli mu się ożenić, a sama już nie jest w wieku do rodzenia dzieci. Więc nikogo innego nie ma...

- Czy to znaczy, że mogę go wychować na katolika?

- Człowieka wyznania rzymskokatolickiego. Bardzo proszę, abyś go nauczyła używać wobec mnie tego terminu, jeśli go kiedykolwiek jeszcze zobaczę...

- Och, dzięki Bogu, że twoje serce zmiękło. To zdejmie przekleństwo z tego rodu.

Tietjens potrząsnął głową.

- Nie sądzę. Może nie z ciebie. Może z Groby, owszem. Chyba czas, aby właścicielem Groby znowu był papista. Czytałaś Speldena o świętokradztwie w Groby?

- Tak! Pierwszy Tietjens, który przybył z Wilhelmem, tamtym wieprzem, niemiło potraktował papistowskich właścicieli...

- Był twardym Holendrem - powiedział Tietjens - ale kontynuujmy! Czasu wystarczy, choć mamy go niewiele... Muszę zobaczyć się z tym człowiekiem.

- Kto to jest?

Tietjens zbierał myśli.

- Moja droga - powiedział. - Mogę tak do ciebie mówić? Jesteśmy od tak dawna wrogami, a mówimy o przyszłości naszego dziecka.

- Powiedziałaś „naszego dziecka”, a nie „dziecka”...

Tietjens odpowiedział jej z przejęciem:

- Wybacz, że podniosłem tę sprawę. Może wolałabyś uważać go za dziecko Drake'a. Nic z tego. Byłoby to nienaturalne... Jestem tak biedny, ponieważ... wybacz... wiele pieniędzy wydałem na to, aby prześledzić ruchy twoje i Drake'a, zanim wzięliśmy ślub. Jeśli ci to sprawi ulgę...

- Tak - powiedziała Sylwia. - Zawsze byłem zbyt nieśmiała, aby to przedstawić specjalście albo nawet mamie. A my kobiety tak mało wiemy...

- Wiem... - powiedział Tietjens. - Wiem, że byłaś zbyt nieśmiała, żeby nawet nad tym dłużej pomyśleć. - Zaczął rozważać miesiące i dni, potem ciągnął: - Ale nie zrobiłoby to żadnej różnicy: dziecko zrodzone w związku małżeńskim jest według prawa dzieckiem swego ojca. Jeśli więc mężczyzna, który uważa się za dżentelmena, ścierpi spółdzenie swego dziecka, musi po przyzwoitości ścierpieć konsekwencje; ważniejsze są kobieta i dziecko niż mężczyzna, kimkolwiek by nie był. I dzieci płodzone gorzej niż to nasze otrzymywały bardziej dostojne tytuły. Ja zaś pokochałem małego całym sercem i duszą jak tylko go ujrzałem. Może tu leży tajemnica, a może to zwykła sentymentalność... Więc zwalczałem twój wpływ, ponieważ był wpływem papistowskim, ja natomiast byłem w całości mężczyzną. Ale już nim nie jestem, a złe spojrzenie, które mnie śledzi, mogłoby przenieść się na niego. - Urwał i oznajmił: - Lecz muszę iść w zielony las. Samotny ja banita... Strzeż go dobrze przed złym okiem.

- Och Krzysztofie - powiedziała -to prawda. Nie byłem niedobra dla małego. Nigdy nie będę. I potrzymam z nim Marchantową póki nie umrze. Powiesz jej, żeby się nie mieszała do jego religii i nie będzie...

Tietjens powiedział z przyjaznym znużeniem:

- Racja... a ty weźmiesz ojca... ojca... tego księdza, który był z nami na dwa tygodnie przed jego urodzeniem, żeby go uczył. To był najlepszy człowiek, jakiego w życiu spotkałem i jeden z najbardziej inteligentnych. Z wielką ulgą myślę o tym, że chłopiec trafi w jego ręce...

Sylwia wstała, a jej oczy płonęły w kamiennej twarzy.

- Ojca Consetta powieszono tego samego dnia, kiedy zastrzelono Casementa. Nie ośmielają się o tym napisać w gazetach, bo był księdzem, a wszyscy świadkowie są z Ulsteru... A jednak nie wolno mi mówić, że to przekłęta wojna.

Tietjens potrząsnął głową ciężko jak staruszek.

- Przy mnie możesz... Zadzwoń, dobrze? Nie odchodź...

Siedział w ciasnym błękitnym półmroku, niezgrabna bryła na fotelu.

- Spelden, pisząc o świętokradztwie - powiedział - może jednak miał rację. Tietjensowie mogliby poświadczyć. Od czasu, gdy pierwszy lord - minister sprawiedliwości wyłudził od papistowskich Loundesów Groby, żaden z Tietjensów nie umarł inaczej niż z rozpaczy albo tragicznie, mimo że mieli piętnaście tysięcy akrów dobrej ziemi uprawnej i rudy żelaza, i cały ten wrzos na wierzchu... Jak brzmi ten cytat? Bądź czymś... Jak to idzie?

- Kalumnii! - powiedziała Sylwia z wielką goryczą. - Choć będziesz czysta jak lód i tak samo zimna, nie unikniesz...

- Tak! Tak! - powiedział Tietjens. - Zważ, że żaden z Tietjensów nie był uległy. Ani jeden! Mieli powody, żeby im serca pękały... Mój biedny ojciec na przykład...

- Przestań!

- Obaj moi bracia zginęli przy swoich indyjskich regimentach tego samego dnia, nie dalej od siebie niż o milę. Tego samego tygodnia moja siostra, na morzu, nie tak daleko od nich... Niewidoczni ludzie. A jednak można kochać niewidocznych ludzi...

U drzwi stanęła Halo Centrala. Tietjens poprosił ją, aby wprowadziła lorda Port Scatho...

- Musisz oczywiście poznać wszystkie te szczegóły - rzekł Tietjens - jako matka spadkobiercy mojego ojca... Mój ojciec otrzymał trzy zawiadomienia tego samego dnia. Wystarczyło, aby mu serce pękło. Żył jeszcze miesiąc. Widziałem go...

Sylwia zaczęła przeraźliwie krzyczeć.

- Przestań! Przestań! Przestań! - Chwyliła się półki nad kominem, żeby nie upaść. - Twojemu ojcu pękło serce - powiedziała - bo najlepszy przyjaciel twojego brata, Ruggles, powiedział mu, że jesteś łajdakiem, co żyje z pieniędzy kobiet i co zrobił córce jego najstarszego przyjaciela dziecko...

- O! - powiedział Tietjens. - Ach, tak! ...Podejrzewałem. Doprawdy, wiem o tym. Chyba biedaczysko teraz wie lepiej. A może nie... Nieważne.

## II

Mówi się, że osobliwie angielski zwyczaj opanowywania uczuć jest wielce niekorzystny dla Anglika w chwilach wyjątkowego napięcia. W przypadku drobnych i ogólnych spraw życiowych Anglik zachowa się bez zarzutu i będzie nieporuszony, ale w nagłej konfrontacji z czymś, co nie jest fizycznym zagrożeniem potrafi bardzo się rozkrochmalić (a właściwie niemal na pewno to zrobi). A przynajmniej tak sądził Krzysztof Tietjens i bardzo obawiał się rozmowy z lordem Port Scatho, ponieważ miał wrażenie, że znalazł się bardzo blisko załamania.

Wybrawszy osobliwie angielski styl zachowania i tyle, na ile mógł kontrolować swój charakter (albowiem choć nikt nie ma możliwości wyboru swej narodowości ani swych przodków, każdy kto będzie uparcie nad sobą pracował, potrafi zmienić swe automatyczne zachowanie), Tietjens uważał, że celowo przyjął styl, który uważał za najbardziej odpowiedni w świecie dla normalnego życia. Jeśli każdego dnia dzień cały gadasz piskliwym głosem z logiką i przejrzystością Francuza, jeśli wrzeszczysz bojowo, przyciskając kapelusz do brzucha i kłaniając się ze sztywnym kręgosłupem oraz nieustannie implikujesz groźbę zastrzelenia swego rozmówcy jak Prusak, jeśli jesteś łzawo uczuciowy jak Włoch albo oschle i epigramatycznie wdajesz się w bzdurne szczegóły jak Amerykanin, utworzysz hałaśliwe, kłopotliwe i bezmyślne społeczeństwo pozbawione zewnętrznego spokoju, który powinien cechować mężczyzn zgromadzonych razem. Nigdy nie dorobisz się głębokich foteli w klubach, gdzie można zasiąść na długie godziny i rozmyślać o niczym albo o teorii przypadku w grze w kręgle. Z drugiej strony, wobec śmierci - chyba że na morzu, w ogniu, wypadku kolejowym lub przypadkowym utonięciu w rzece; wobec szaleństwa, namiętności, dyshonoru lub (i szczególnie) przedłużonego napięcia psychicznego, masz wszystkie braki początkującego w grze i prawdopodobnie bardzo źle skończysz. Na szczęście śmierć, miłość, publiczny uszczerbek na honorze i tym podobne wydarzenia są bardzo rzadkie w życiu przeciętnego mężczyzny, a więc korzyści zdawały się leżeć po stronie angielskiego społeczeństwa, a przynajmniej do końcowych miesięcy 1914 roku. Śmierć przychodziła tylko raz, zagrożenie śmiercią tak rzadko, że właściwie wcale; miłość z



gatunku szalonych była chorobą atakującą wyłącznie słabych; utrata honoru osób mających pozycję - w sytuacji gdy klasa rządząca miała tak wielkie możliwości zatuszowywania, a odleglejsze kolonie były tak chłonne - była praktycznie nieznana.

A teraz Tietjens stanął w obliczu tego wszystkiego, występującego dość nagle i w formie skumulowanej. Miał odbyć rozmowę, która prawdopodobnie będzie dotyczyła wszystkich tych spraw, i to z człowiekiem, którego bardzo szanował i któremu bardzo nie chciał sprawić przykrości. Ponadto, musiał się z tym wszystkim zmierzyć, mając mózg w dwóch trzecich zdrętwiały. Właśnie tak.

Nie tyle martwił go fakt, że nie mógł posługiwać się pozostałą częścią mózgu tak sprawnie jak kiedyś, ale że istniały całe obszary danych, do których nie miał już dostępu, aby podeprzeć swoją argumentację. Znajomość historii miał nadal prawie żadną, całkiem nic nie wiedział o naukach humanistycznych i, co gorsza, zupełnie nic o co bardziej zmysłowych wyższych działach matematyki. Wiadomości te wracały o wiele wolniej, niż przyznał Sylwii. W tak niekorzystnym układzie musiał stanąć przed lordem Port Scatho.

Lord Port Scatho był pierwszym mężczyzną, który przyszedł na myśl Sylwii, kiedy rozważała mężczyzn absolutnie honorowych, całkowicie dobrotliwych... i raczej niedysponujących inteligencją twórczą. Odziedziczył stanowisko kierownicze w jednym z najbardziej szanowanych wielkich londyńskich banków, a więc jego wpływy w interesach i w towarzystwie były bardzo szerokie; był wielce zainteresowany ograniczaniem władzy kościelnej, reformą prawa rozwodowego oraz upowszechnieniem sportu; i ogromnie lubił Sylwię Tietjens. Miał czterdzieści pięć lat, zaczynał przybierać na wadze, choć wcale nie był otyły; miał dużą, całkiem okrągłą głowę, bardzo rumiane policzki, błyszczące niczym po częstym myciu; ciemne, niepodcinane wąsy, ciemne, gładkie, bardzo krótko ścięte włosy; piwne oczy; nowiutki garnitur z tweedu, nowiutki kapelusz, czarny krawat w złotym pierścieniu i nowiuteńkie lakierki ze wstawkami z białej skóryki cielecej. Miał żonę, będącą niemalże jego odbitką - sądząc po twarzy, figurze, prawości, dobrotliwości i zainteresowaniach z tą różnicą, że upowszechnianie sportu zastępowała szpitalami położniczymi. Jego spadkobiercą był bratanek, pan Brownlie, nazywany Browniem, który

fizycznie również przypominał kopię stryja, oprócz tego że nie utył i wydawał się wyższy, a jego wąsy i włosy były nieco dłuższe i jaśniejsze. Dżentelmen ten żywił do Sylwii ponurą i głęboką namiętność, którą uważał za całkowicie honorową, gdyż pragnął się z nią ożenić po tym, jak się rozwiedzie z mężem. Tietjensa pragnął zrujnować, ponieważ chciał ożenić się z panią Tietjens oraz po części dlatego, że uważał Tietjensa za jednostkę niepożądaną o niewielkich zasobach. O namiętności tej nie wiedział lord Port Scatho.

Wszedł do pokoju jadalnego Tietjensów w ślad za służącą, trzymając otwarty list. Szedł dość sztywno, ponieważ był poważnie zmarzwiony. Zauważył, że Sylwia płakała i jeszcze ocierała oczy. Rozejrzał się po pokoju, aby sprawdzić, czy nie dostrzeże niczego, co mogłoby wyjaśnić jej łzy. Tietjens nadal siedział w głowach stołu, Sylwia wstawała z fotela przy kominku.

- Chcę się z panem widzieć, Tietjens - oznajmił lord Port Scatho.  
- Minuta, w sprawie interesu.

- Mogę panu poświęcić dziesięć minut... - powiedział Tietjens.

- Może pani Tietjens... - powiedział lord Port Scatho. Zamachał listem w kierunku pani Tietjens.

- Nie! - powiedział Tietjens. - Pani Tietjens zostanie. - Zapragnął powiedzieć coś bardziej przyjaznego. Powiedział: - Proszę usiąść.

- Nie zajmie mi to dłużej niż minutę - powiedział lord Port Scatho. - Lecz naprawdę... - i poruszył listem, mniej szerokim gestem, w kierunku Sylwii.

- Nie mam tajemnic przed panią Tietjens - powiedział Tietjens. - Ani żadnej...

- Nie... - rzekł lord Port Scatho. - Nie, oczywiście, że nie... Ale...

- Podobnie jak pani Tietjens, która nie ma przede mną tajemnic.

- Oczywiście, że nie opowiadam Tietjensowi o romansach mojej służącej ani o cenie ryb każdego dnia - powiedziała Sylwia.

- Niech pan lepiej usiądzie - powiedział Tietjens. Z nagłą sympatią dodał: - Właśnie zresztą uporządkowywałem sprawy, żeby Sylwia mogła przejąć... komendę.

Jednym z objawów jego psychicznej niesprawności była od czasu do czasu niemożność przywołania na myśl innych porównań niż wojskowe. Zdenerwował się. Obecność lorda Port Scatho wywołała w

nim lekkie mdłości, które w owych dniach czuło się w kontaktach z cywilami niemającymi pojęcia o twoich myślach, zwrotach słownych, ani o tym, co cię pochłaniało. Mimo to dodał łagodnie:

- Trzeba porządkować. Jadę.

Lord Port Scatho rzekł pospiesznie:

- Tak, tak, nie będę pana zatrzymywał. Mimo wojny człowiek ma tyle zajęć... - Jego oczy błędziły w oszołomieniu.

Tietjens spostrzegł, że wreszcie spoczęły na płamach z oliwy pozostawionych przez sos do sałaty Sylwii na jego kołnierzu i zielonych pagonach. Powiedział do siebie, że będzie musiał przebrać się, zanim pojedzie do Ministerstwa Wojny. Nie może zapomnieć. Oszołomienie lorda Porta Scatho na widok tych płam było takie, że stracił ochotę na tłumaczenie, skąd się wzięły... Widać było, jak myśli suną z wolna za kwadratowym, polerowanym, brunatnym czołem. Tietjens bardzo chciał mu pomóc. Chciał powiedzieć: To w sprawie tego listu Sylwii, który trzymasz w dłoni, tak? Ale lord Port Scatho wszedł do pokoju sztywno, jakby zapięty na ostatni guzik, krokiem dziwnym i charakterystycznym dla Anglików w oficjalnych i nieprzyjemnych okolicznościach. Wtedy podchodzą do siebie spięci niczym obce psy na ulicy. Dlatego też Tietjens nie mógł powiedzieć „Sylwia...” Gdyby zaś powiedział „Pani Tietjens”, oficjalna i nieprzyjemna atmosfera jeszcze by wzrosła. Wcale by tym nie pomógł Portowi Scatho...

Nagle Sylwia odezwała się:

- Zdaje się, że pan nie rozumie. Mój mąż jedzie na linię frontu. Jutro rano. Po raz drugi.

Lord Port Scatho usiadł niespodziewanie na krześle przy stole. Jego świeża twarz i brązowe oczy nagle zabłysły rozpaczą. Wykrzyknął:

- Ależ mój drogi! Pan! Dobry Boże! - Po czym zwrócił się do Sylwii: - Proszę mi wybaczyć! - Żeby ochłonąć znowu rzekł do Tietjensa: - Pan! Pan jedzie jutro!

Kiedy myśl okrzepla, na jego twarzy pojawiła się ulga. Rzucił na Sylwzię szybkie, skryte spojrzenie, potem na chwilę zatrzymał się na oleistej plamie na mundurze Tietjensa. Tietjens widział, jak tłumaczy sobie w olśnieniu, skąd wzięły się łzy Sylwii i oliwa na mundurze. Port Scatho był człowiekiem, który uważa, że oficerowie idą do boju w swych najstarszych ubraniach...

Ale podczas gdy jego zakłopotanie nikło, strapienie wzrosło podwójnie. Wszedł przecież do pokoju i znalazł się w środku sceny małżeńskiej, którą uznał za wysoce emocjonalne rozstanie. Tietjens zaś wiedział, że od początku wojny Port Scatho nigdy nie był świadkiem rodzinnego rozstania. Unikał ich jak zarazy, o ile nie dało się inaczej, a jego własny bratanek i wszyscy bratankowie żony byli w banku. Było to całkiem w porządku, bowiem uszlachetniona rodzina Brownlie nie należała do klasy rządzącej (która musiała iść!) - należeli do klasy administracyjnej, która miała ten przywilej, że mogła zostać. Nie widział więc żadnych rozstań.

Nie pokazał po sobie zażenowanej nienawiści. Zaczął najpierw od kilku zdań wychwalających heroizm Tietjensa, których nie był w stanie dokończyć, po czym, wstając szybko z krzesła, wykrzyknął:

- W takich okolicznościach... ten drobiazg, w sprawie którego przyszedłem!... Oczywiście nie mógłbym...

- Nie, niech pan nie idzie - powiedział Tietjens. - Ta sprawa, z którą pan przyszedł, oczywiście wszystko o niej wiem, i trzeba ją załatwić.

Port Scatho znowu usiadł, szczeka mu powoli opadła, pod opalenizną zbladł. Wreszcie powiedział:

- Wie pan, po co przyszedłem? Ale...

Jego prosty i dobrotliwy umysł pracował widocznie i niechętnie; jego atletyczna postać zgarbiła się. Popchnął list, który wciąż trzymał, po obrusie w kierunku Tietjensa. Powiedział, tonem człowieka oczekującego na odrzucenie wyroku:

- Ależ nie... Nie może pan znać tego listu...

Tietjens pozostawił list leżący na obrusie, skąd mógł odczytać duże pismo z szaroniebieskiego papieru:

„Pani Tietjens przekazuje wyrazy szacunku lordowi Port Scatho oraz Szanownej Radzie Dzielnicy Inn...”. Zastanowił się, skąd Sylwia wzięła te sformułowania, wydawały mu się fantastycznie nieodpowiednie. Powiedział:

- Już panu powiedziałem, że znam sprawę tego listu, tak jak już mówiłem, że znam - i dodam, że popieram! - wszystkie posunięcia pani Tietjens... - Hardym spojrzeniem niebieskich oczu popatrzył druzgocąco w uległe brązowe źrenice Porta Scatho, wiedząc, że posyła mu takie słowa: „Myśl pan, co uważasz i idź do diabła!”.

Łagodne brązowe aksamitki nie odwróciły się z jego twarzy, potem napelniły się wyrazem głębokiego bólu. Port Scatho jęknął:

- Ależ, dobry Boże! Więc pan...

Znowu spojrzął na Tietjensa. Jego umysł, który uciekał od żywych spraw, pograżając się w kwestiach ograniczeń kościelnych, reformy przepisów prawa rozwodowego oraz sporcie dla wszystkich, stawał się morzem boleści, gdy musiał kontemplować twardą rzeczywistość. Jego oczy rzekły: „Na litość boską nie mów mi, że pani Duchemin, kochanka pana najbliższego przyjaciela, jest także pańską kochanką, i że w ten sposób chce pan się wulgarnie na nich mścić”.

Tietjens, pochylając się ciężko do przodu, nadał swym oczom wyraz jak tylko mógł enigmatyczny, mówiąc bardzo powoli i wyraźnie:

- Pani Tietjens, oczywiście, nie jest zaznajomiona ze wszystkimi okolicznościami.

Port Scatho rzucił się na oparcie swego krzesła.

- Nie rozumiem! - powiedział. - Nie rozumiem. Jak mam się zachować? Nie chce pan, abym postąpił w ślad za tym listem? Nie może pan!

Tietjens, który odnalazł siebie, powiedział:

- Lepiej niech pan porozmawia o tym z panią Tietjens. Ja coś od siebie powiem później. Tymczasem, proszę pozwolić mi powiedzieć, że wydaje mi się, że pani Tietjens działa absolutnie w ramach swych praw. Dama, w gęstej woalce, przychodzi tu co piątek i pozostaje do czwartej rano w sobotę... Jeśli pan jest gotów umorzyć postępowanie, lepiej niech pan to zrobi w imieniu pani Tietjens.

Port Scatho zwrócił się poruszony do Sylwii:

- Oczywiście nie mogę umorzyć. Boże uchwaj... Ale, moja droga Sylwio... pani Tietjens... w przypadku dwojga ludzi tak poważnych! Oczywiście, omówiliśmy kwestię zasad. To podchodzi pod kwestię, która bardzo mi leży na sercu: udzielanie rozwodów... a przynajmniej rozwodów w świetle prawa cywilnego... w przypadkach, gdy jedna ze stron trafia do szpitala dla umysłowo chorych. Przesłałem wam broszurkę ESP Haynesa, którą publikujemy. Wiem, że będąc katoliczką obrządku rzymskiego, pani ma silne przekonania... Ja chciałbym zapewnić, że nie pieram liberalizmu w tych sprawach... - i stał się

prostolinijnie elokwentny, naprawdę sprawy te leżały mu na sercu, gdyż jedna z jego siostr od wielu lat była żoną umyślowo chorego. Rozwodził się o koszmarach sytuacji tym bardziej elokwentnie, że była to jedyna forma ludzkiego nieszczęścia, której był osobiście świadkiem.

Sylwia popatrzyła na Tietjensa, wydało się mu, że z prośbą o radę. Popatrzył na nią przez chwilę, potem na Porta Scatho, który zwracał się do niej szczerze, a potem znowu na nią. Chciał, aby zrozumiała: „Posłuchaj go przez chwilę. Potrzebuję czasu, aby obmyślić moje działanie!”.

Po raz pierwszy w życiu potrzebował czasu na obmyślenie działania.

Cały czas miał na uwadze tę sprawę, odkąd Sylwia powiedziała mu o liście do radnych denuncjującym Macmastera z jego panią; odkąd tylko przypomniła mu, że pani Duchemin, na pokładzie ekspresu z Londynu do Edynburga w przeddzień wybuchu wojny znalazła się w jego ramionach, Tietjens widział w myślach całą mnogość scen z północy, których nie umiał nazwać. Zapominanie nazw było czymś nie-normalnym, powinien znać nazwy miejscowości od Berwick aż po dolinę York, natomiast to, że zapomniał zdarzenia było całkiem normalne. Nie były ważne; wolał nie pamiętać faz romansu swojego przyjaciela; ponadto wydarzenia natychmiast po nich następujące były takie, że całkiem naturalnie człowiek zapominał, co było wcześniej. Że pani Duchemin płakała na jego ramieniu w zamkniętym przedziale kolejowym, wcale nie wydało mu się istotne, była kochanką jego najbliższego przyjaciela, miała bardzo nerwowy tydzień zakończony paskudną kłótnią z rozdrażnionym kochankiem. Oczywiście, że płakała z powodu kłótni, która wstrząsnęła nią tym bardziej, że pani Duchemin - podobnie jak Tietjens - zawsze była nadmiernie opanowana. Mówiąc szczerze, osobiście nie lubił pani Duchemin i był całkiem przekonany, że ona sama nie lubiła go więcej niż trochę, a więc łączyło ich tylko wspólne uczucie do Macmastera. Jednakże nie mógł o tym wiedzieć generał Campion... Spojrzał do przedziału całkiem naturalnie, jak to się robi, gdy pociąg ruszy... Nie mógł sobie przypomnieć tej nazwy... Doncaster... Nie! Darlington; chyba nie. W Darlington była atrapa Rakiety... a może nie. Wielki, niezgrabny lewiatan o kształtach lokomotywy odpłynął w tył... tył... Wielkie ponure stacje dla pociągów biegnących na północ... Durham... nie!...

Alnwick... Nie! Wooler... Na Boga! Wooler! Skrzyżowanie na kierunku Bamborough...

W jednym z zamków Bamborough mieszkali z Sylwią w gościnie u Sandbachów. Potem... Nazwa przypomiała mu się sama!... Dwie nazwy! Może karta się odwróciła! Po raz pierwszy... Zaznaczyć na czerwono... od tego czasu, może niektóre nazwy, nazwiska, z końca języka będą mu się przypominać! Chwileczkę, wróć.

No to Sandbachowie, on i Sylwia... i inni... byli w Bamborough od połowy lipca; Eton i Harrow walczyły o palmę zwycięstwa w krykieta na boisku w Lord's; czekali na prawdziwe domowe zgromadzenia, które zaczynały się od dwunastego... Powtarzał w myślach nazwy i daty z czystej satysfakcji, że naprawy w jego mózgu odtworzyły to: Eton i Harrow, koniec sezonu w Londynie, 12 sierpnia kiedy zaczyna się sezon na cietrzewie... Żalodne...

Kiedy generał Campion przyjechał dołączyć do siostry, Tietjens pozostał jeszcze dwa dni. Między nimi trwał chłód - po raz pierwszy spotkali się (prócz sądu) od wypadku. Pani Wannop bowiem, z zaciętą determinacją, wystąpiła o odszkodowanie za konia. Przeżył, ale nadawał się już tylko do koszenia boisk do krykieta... A więc pani Wannop puściła wodze i zaatakowała generała, po pierwsze dlatego, że chciała tych pieniędzy oraz że chciała mieć oficjalny powód zerwania stosunków z Sandbachami. Generał zachował się z podobnym uporem i niewątpliwie złożył fałszywe zeznania w sądzie; najlepszy, najbardziej honorowy, najbardziej dobrotliwy mąż na świecie był gotowy uciskać wdowę z sierotami, gdy nastawano na jego umiejętności szoferskie oraz wywlekano na światło dzienne, że przed bardzo niebezpiecznym zakrętem nie zatrąbił. Tietjens przysiągł, że nie trąbił, generał, że owszem. Nie mogło być żadnej wątpliwości, ponieważ ten potworny klakson wydawał przeciągły dźwięk podobny do przeżanego pawia... I stąd Tietjens, aż do końca lipca, nie widział się więcej z generałem. Była to całkiem odpowiednia sprawa do poróżnienia dwóch dzentelmenów i całkiem na czasie, choć kosztowała generała pięćdziesiąt funtów za konia i oczywiście jeszcze trochę kosztów sądowych. Lady Claudine odmówiła wszelkiego uczestnictwa; osobiście uważała, że generał nie zatrąbił, ale generał był jej namiętnie oddany i wybuchowym bratem. Pozostała w bliskich

stosunkach z Sylwią, łagodnie serdeczna wobec Tietjensa i wciąż prosiła Wannopów na te przyjęcia w ogrodzie, na których generał był nieobecny. Była również bardzo zaprzyjaźniona z panią Duchemin. Spotkaniu Tietjensa i generała towarzyszyła atmosfera wstrzemięzliwej serdeczności, charakterystycznej dla angielskich dżentelmenów, którzy lata temu oskarżali się o krzywoprzysięstwo w wypadku samochodowym. Drugiego dnia rano wybuchła między nimi ostra kłótnia na temat tego, czy generał zatrafił, czy nie. Wreszcie generał zaczął wrzeszczeć - naprawdę wrzeszczeć...

- Na Boga! Jeśli kiedykolwiek trafisz pod moją komendę...

Tietjens pamiętał, że zacytował odpowiedni paragraf królewskiego regulaminu, dotyczący losów generała bądź oficera wyższej rangi, którzy wystawiali podwładnym złe opinie w ślad za prywatnymi sprawami. Generał eksplodował serią odgłosów, które zakończyły się śmiechem.

- Ależ masz mózg pełen skrawków, Krzysiu! Czym są dla ciebie regulaminy królewskie? I skąd wiesz, że to paragraf 66 czy który tam mówiłeś? Ja nie wiem. - Dodał poważniej: - Ty naprawdę potrafisz wplątywać się w niejasne awantury! Po co u licha ci to wszystko?

Tamtego popołudnia Tietjens pojechał kawał przez wrzosowiska zobaczyć się ze swym synkiem, siostrą Effie i jej dziećmi. Były to ostatnie szczęśliwe dni, jakich w życiu zaznał, a wiele takich dni nie było. Był wtedy zadowolony. Bawił się z małym, który dzięki Bogu wreszcie zaczynał zdrowo rosnać. Chodził po wrzosowiskach ze swoją siostrą Effie, dużą, pospolitą żoną pastora, która wcale nie znała sztuki rozmowy, choć czasem mówili o matce. Wrzosowiska były na tyle podobne do tych w okolicach Groby, żeby sprawiać im przyjemność. Żyli w pustym, ponurym wiejskim domu, pili wielkie ilości maślanki i jadalni ogromne ilości sera Wensleydale. Tak pragnął żyć - oszczędnie i twardo, ze spokojną głową.

Miał spokojną głowę, ponieważ miała być wojna. W momencie, gdy przeczytał o zabójstwie arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, już to wiedział, spokojnie i pewnie. Gdyby przyszło mu na myśl, że włączy się jego kraj, nie czułby się spokojny. Kochał ten kraj za jego łańcuchy pagórków, za kształt jego wiaźów i za to jak wrzosy, biegnące w górę stoku po horyzont, spotykają się z błękitem nieboskłonu. Wojna dla tego kraju mogła oznaczać tylko upokorzenie, roztaczając pod



słońcem niewidzialny całun, ponad wiązy, góry, wrzos... całkiem jak opar rozchodzący się... och, z Middlesbrogh! Nie byliśmy przygotowani ani do porażki, ani do zwycięstwa; nie mogliśmy być ani prawdziwym przyjacielem, ani wrogiem. Nawet wobec siebie samych!

Jednak nie obawiał się, że wojna nas tknie. Przewidywał, że nasze ministerstwo będzie siedzieć twardo aż do odpowiedniej chwili, a potem capnie jeden z francuskich portów nad kanałem albo kilka kolonii niemieckich za cenę neutralności. I cieszył się, że nie tknie, ponieważ jednym z miejsc jego ucieczki (drugim!) była francuska Legia Cudzoziemska. Najpierw Sylwia, a potem to! Dwie ogromne siły dyscyplinujące ducha i ciało.

Francuzów podziwiał za ich ogromną sprawność, oszczędne życie, logikę myśli, podziwu godne osiągnięcia w sztuce, zaniedbywanie systemu gospodarczego i uwielbienie ponad wszystko wieku osiemnastego. Co za odpoczynek służyć, nawet jako niewolnik, ludziom, którzy postrzegali jasno, chłodno, prosto, niepokrętnie i jedynie mało krytycznie sprawy, które w efekcie tyczyły się warunków wygody wieprzy i przemykania oczu na wszeteczeństwo... Wolalby siedzieć godzinami na ławce w barakach, polerując odznakę przed wyruszeniem na najokrutniejszą z morderczo długich marszrut pod algierskim słońcem.

Nie miał bowiem złudzeń co do Legii Cudzoziemskiej. Traktowano cię nie jak bohatera, ale jak zbitego psa; był świadom istnienia asticoteries, okrucieństw, ciężaru strzelby i ładunków. Sześć miesięcy szkolenia na pustyni, a potem marsz do szeregu, masakrowanego bezlitośnie... cudzoziemska hołota. A jednak ta perspektywa wydawała się mu przepelniona głębokim spokojem- nigdy nie domagał się życia w puchu, a teraz z nim skończył... Chłopiec był zdrowy, Sylwia, przy wszystkich ich oszczędnościach, bardzo bogata... i już nawet wtedy był przekonany, że w chwili gdy zniknie czynnik drażniący, Tietjens we własnej postaci, Sylwia będzie dobrą matką...

Oczywiście może przeżyć; ale po tym straszliwym fizycznym ćwiczeniu przeżyje nie on, ale mężczyzna z czystymi kośćmi wysuszonymi na słońcu - jasny umysł. Miał swoją ambicję w dążeniu do świętości, żeby potrafił włożyć palec w smołę i się nie skalał. Wiedział, że

przez to daje się zaliczyć do sentymentalnej gałęzi ludzkości. Nic nie mógł na to poradzić: stoik, epikurejczyk; kalif w haremie czy derwisz wysychający na słońcu - trzeba być albo jednym, albo drugim. On zaś pragnął zostać świętym odmiany anglikańskiej... takim jak jego matka, nie będąc w zakonie, bez rytuału, ślubów ani cudów dokonywanych przez relikwie! Taką świętość mogła rzeczywiście dać Legia Cudzoziemska... Pragnienie każdego angielskiego dżentelmena, począwszy od pułkownika Hutchinsona w górę... Mistycyzm...

Przypominając sobie jasne słoneczne światło towarzyszące tym naiwnościom (choć pogrążony w silnym smutku nie odpuścił ani trochę tamtym ambicjom), Tietjens westchnął głęboko, wracając na moment do swej jadalni. Doprawdy, po to tylko, żeby sprawdzić, ile zostało mu czasu, aby przemyśleć to, co miał powiedzieć Portowi Scatho... Port Scatho podsunął krzesło ku Sylwii i prawie ją dotykając, nachylił się i opowiadał o troskach siostry ożenionej z wariatem. Tietjens ponownie pogrążył się w luksusie użalania nad sobą. Uznał, że jest tępy, ciężki, zrujnowany i tak obrzucony kalumniami, że czasami sam wierzył w swą własną infamię, ponieważ niemożliwością jest wiecznie wytrzymywać napór własnego towarzystwa i pozostać w myślach niezmienionym. Jeśli będziesz długo wciskał głowę między ramiona, chroniąc się przed burzą, to wreszcie się zgarbisz...

Tok jego myśli ustał na chwilę i oczy spoczęły tępo na otwartym liście Sylwii, leżącym na obrusie. Jego myśli zbiegły się na rozwlekłe napisanych słowach: „Przez ostatnie dziewięć miesięcy kobieta...”.

Zastanowił się błyskawicznie, co zdążył powiedzieć Portowi Scatho: tyle tylko, że wiedział o liście żony, a nie kiedy się dowiedział! Oraz, że popiera! No, w zasadzie! Usiadł prosto. Pomyśleć, że doszedł do tego, że tak powoli myśli!

Szybko przypomniał sobie przebieg zdarzenia w pociągu ze Szkocji, i wcześniejszych...

Macmaster pojawił się pewnego ranka u ich stołu śniadaniowego na wsi, bardzo poruszony, wyglądający przesadnie miniaturowo w miękkiej czapce i nowej marynarce z szarego tweedu. Chciał zapłacić rachunek, gdzieś parę przystanków za... za... Berwick, błysnęło nagle...

Tam, według pozycji geograficznej. Sylwia była w Bamborough na wybrzeżu (skrzyżowanie w Wooler) on sam na północnym zachodzie, na wrzosowiskach. Macmaster od niego na północny wschód, tuż za granicą, w jakimś cichym uroczysku, gdzie nie spotykało się ludzi. Macmaster razem z panią Duchemin z pewnością znali przecież te okolice i gulgotali nad ich związkami z literaturą... Shirra! Maida! Marjorie!... Też coś! Niewątpliwie Macmaster zarobił uczciwy grosz, pisując o tym wszystkim artykuły, podczas gdy pani Duchemin trzymała go za rękę...

Z tego, co wiedział Tietjens, została kochanką Macmastera tuż po strasznej scenie na plebanii, gdy Duchemin rzucił się na żonę jak wściekły pies, a w domu był Macmaster... Było to niejako naturalną reakcją. Ale Tietjens raczej wolałby, żeby nie. A teraz wydało się, że spędzali razem tydzień albo i dłużej... w tym czasie Duchemin już był w szpitalu.

Tietjens domyślił się, że któregoś dnia wstali rano z łóżka, żeby wybrać się łodzią na jakieś jezioro i stamtąd oglądać wschód słońca, cytując różne wiersze Gabriela Charlesa Dante Rossettiego, niewątpliwie po to, aby usprawiedliwić swój grzech. Spędzili razem dzień, a wracając wpadli łodzią prosto w podwieczorek rodziny Port Scatho z panem Brownlie, bratankiem, który właśnie wysiadał z samochodu, aby do nich dołączyć. Państwo Port Scatho nocowali w hotelu Macmasterów, wychodzącym na jezioro. Było to tego typu paskudne zdarzenie, którego nie da się uniknąć na tych wysepkach, co mają kilka jardów w najszerszym miejscu.

Zdaje się, że Macmasterowie całkiem potracili głowy, choć lady Port Scatho przybrała jak najbardziej macierzyńską postawę wobec pani Duchemin, w rzeczywistości do tego stopnia, że gdyby byli w stanie coś zrozumieć, to Portowie Scatho zjawiliby się im w charakterze popierających, a nie szpiegów. A jednak to niewątpliwie Brownlie ich zdenerwował, zachowywał się niezbyt uprzejmie wobec Macmastera, o którym wiedział, że jest przyjacielem Tietjensa. Brownlie przyjechał szybko z Londynu, żeby skonsultować się ze swym wujem, który przyleciał z zachodu Szkocji, na temat polityki banku w owej kryzysowej chwili...

Więc Macmaster nie nocował w tym hotelu, pojechał do Jedburgha czy do Melrose, albo gdzieś indziej i pojawił się znowu przed bladym świtem, aby, nim minęła piąta rano, odegrać straszliwą scenę

z panią Duchemin, która w okolicach trzeciej doszła do katastrofalnego wniosku dotyczącego jej położenia. Po raz pierwszy w historii związku obojgu puściły nerwy i to bardzo: aż trudno było uwierzyć, co powiedziała pani Duchemin Macmasterowi...

Gdy Macmaster pojawił się przy śniadaniowym stole Tietjensa, był prawie bez zmysłów. Chciał, żeby Tietjens pojechał jego samochodem, zapłacił rachunek w hotelu i wrócił do miasta z panią Duchemin, która z pewnością nie była w stanie podróżować sama. Tietjens miał też przeprosić się z panią Duchemin i pożyczyć Macmasterowi 50 funtów w gotówce, ponieważ w danej chwili niemożliwością było zrealizować czek. Tietjens pożyczył pieniądze od swej starej niani, która - nie ufając bankom - nosiła wielkie sumy w banknotach pięcioletnich w kieszonce, po wewnętrznej stronie jednej z hulek.

Macmaster, chowając pieniądze, powiedział:

- Teraz jestem ci winien równo dwa tysiące gwinei. Czynię starania, aby ci oddać w przyszłym tygodniu...

Tietjens przypomniał sobie, że dość sztywno odpowiedział:

- Na litość boską, nie. Błagam cię. Zajmij się przekazaniem majątku Duchemina po przyzwoitości pod zarząd powierniczy i nie ruszaj jego kapitału. Naprawdę, błagam cię. Nie wiesz, w co byś się wmanewrował. Nic mi nie jesteś dłużny i zawsze możesz na mnie liczyć.

Tietjens nigdy nie dowiedział się, co pani Duchemin zrobiła z majątkiem małżonka, nad którym wdanej chwili miała pełnomocnictwo; ale wydało mu się, że od tej chwili Macmaster poczuł do niego pewien dystans, pani Duchemin zaś go znienawidziła. Przez kilka lat Macmaster pożyczał naraz setki funtów od Tietjensa. Romans z panią Duchemin dużo kosztował kochanka: niemal każdą sobotę spędzał w Rye, w drogim hotelu. Ponadto, sławne piątkowe przyjęcia dla geniuszy odbywały się już któryś rok z kolei, a to oznaczało nowe wyposażenie domu, obicia, dywany i pożyczki dla geniuszy - a przynajmniej zanim Macmaster uzyskał posłuch królewskiej fundacji. I tak suma urosła do 2000 funtów, a teraz jeszcze dodatkowo do gwinei. I od tamtej chwili Macmasterowie nie zaoferowali się zwrócić długu.

Macmaster wówczas oznajmił, że nie odważy się jechać z panią Duchemin, ponieważ cały Londyn będzie wracać tym pociągiem. I tak było. Pociąg - wielki raut 3.8.14 - zatrzymywał się na każdej z

możliwych i niemożliwych stacji na trasie. Tietjens wsiadł w Berwick, gdzie doczepiano dodatkowe wagony, i wsunąwszy banknot pięćdziesięciofuntowy w dłoń konduktora, który nie potrafił zagwarantować podróży w pojedynkę na jakimkolwiek dystansie, otrzymał zamknięty przedział dla siebie. Mimo to był niewystarczająco długo zamknięty, by pani Duchemin się wyplakała, ale wystarczająco długo, żeby narobić szkód. Sandbachowie wsiadli z pewnością w Wooler, Portowie Scatho gdzieś dalej. Skończyła się im benzyna, a wstrzymano sprzedaż, nawet bankierom. Macmaster, podróżujący tym samym pociągiem i ukrywający się, zabrał panią Duchemin z King's Cross i wydałoby się, że wszystko się wtedy skończy. Tietjens, z powrotem w jadalni, poczuł ulgę przemieszana z gniewem. Powiedział:

- Port Scatho. Czas ucieka. Chciałbym załatwić sprawę tego listu, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Port Scatho skoczył jak wybity ze snu. Proces przekonywania pani Tietjens do reformy prawa rozwodowego okazał się bardzo przyjemny, jak zwykle.

- Tak... Ach, tak! - powiedział.

Tietjens powiedział powoli:

- Proszę słuchać... Macmaster jest żonaty z panią Duchemin dokładnie od dziewięciu miesięcy... Zrozumiał pan? Pani Tietjens nie wiedziała o tym aż do dzisiejszego popołudnia. Pani Tietjens wymienia w swojej skardze okres dziewięciu miesięcy. Miała absolutną rację pisząc ten list. W istocie popieram go. Gdyby wiedziała, że Macmasterowie są małżeństwem, nie napisałaby go. Nie wiedziałem, że go napisze. Gdybym wiedział, poprosiłbym ją, aby tego zaniechała. Gdybym o to poprosił, nie wątpię, aby spełniła moją prośbę. Wiedziałem o liście, gdy pan tu wchodził. Dowiedziałem się o nim podczas obiadu, zaledwie dziesięć minut wcześniej. Nie wątpię, że usłyszałbym o nim wcześniej, ale dziś po raz pierwszy od czterech miesięcy jem obiad w domu. Dziś otrzymałem jednodniową przepustkę przed wyjazdem do służby za granicę. Dotąd służyłem na Ealing. Dziś po raz pierwszy miałem okazję odbyć poważną rozmowę o interesach z panią Tietjens... Czy pan to wszystko rozumiał?

Port Scatho biegł w kierunku Tietjensa z wyciągniętą dłonią, a z całej jego postaci biło szczęście oczarowanego nowożeńca. Tietjens

przesunął prawą dłoń nieco w prawo, unikając różowej, pulchnej dłoni Porta Scatho. Ciągnął lodowato:

- Niech pan lepiej i tego się dodatkowo dowie: zmarły pan Duchemin był skatologicznym szaleńcem, później doszły mordercze zapędy. Miał chroniczne napady, zwykle w sobotę rano, wywoływane postem - ścisłym, a nie zwykłym powstrzymywaniem się od pokarmów - w piątek. W piątki też pił. Pociąg do alkoholu pojawił się u niego w związku z poszczeniem, gdy dopijał wino po odprawieniu mszy z komunią. Nie jest to nic nadzwyczajnego. Ostatnio zachowywał się bardzo agresywnie wobec pani Duchemin, która traktowała go z najwyższym uważaniem i troską; prawdopodobnie mogłaby wcześniej uzyskać zaświadczenie o jego niepoczytalności i zamknąć go w szpitalu, ale zważywszy na ból, jaki niewątpliwie odczuwałby w chwilach umysłowej jasności, nie uczyniła tego. Byłem naocznym świadkiem tragicznego wręcz heroizmu tej pani. Natomiast jestem gotów zaświadczyć, że zachowanie Macmastera i pani Duchemin... i sądzę, że społeczeństwo to zaakceptuje... było... och, wyjątkowo roztropne i odpowiednie!... Nie było żadnych sekretów dotyczących ich związku. Wierzę, że ich dążenie, aby zachować się jak należy w okresie oczekiwania, nie budzi zastrzeżeń...

- Nie! Nie! Nigdy... - rzekł lord Port Scatho. - Wyjątkowo, jak pan powiedział, roztropne i... tak, odpowiednie!

- Pani Duchemin - ciągnął Tietjens - od dłuższego czasu pełni honory domu na literackich piątkach Macmastera, jeszcze zanim zostali małżeństwem. Ale, jak pan wie, jego literackie piątki zawsze były całkowicie otwartymi przyjęciami, nawet można by rzec, dość sławnymi...

- Tak! Tak! Owszem... - rzekł lord Port Scatho. - Byłbym więcej niż zadowolony, gdyby lady Port Scatho otrzymała bilecik...

- Wystarczy po prostu wejść - powiedział Tietjens. - Powiem im: ucieszą się... Nawet dziś wieczór można zajrzeć! Mają szczególne przyjęcie... Zawsze pani Macmaster towarzyszyła pewna młoda dama, która odprowadzała ją na ostatni pociąg do Rye. Bardzo często ja sam ją odprowadzałem, ponieważ Macmaster był zajęty pisaniem cotygodniowego artykułu do jednej z gazet... Zawarli małżeństwo następnego dnia po pogrzebie pana Duchemina...

- I nic dziwnego! - oznajmił lord Port Scatho.

- Ja się nie dziwię - rzekł Tietjens. - Doprawdy, owe straszliwe tortury, jakie cierpiała pani Duchemin, usprawiedliwiają (w rzeczy samej - czynią koniecznym) to, że pragnęła znaleźć ochronę i współczucie jak najszybciej. Odkładali zawiadamanie o ślubie po części z respektowania zwyczajowego przyjętego okresu żałoby, a po części dlatego, że pani Duchemin uważa, że w obecnej sytuacji, gdy jest wokół tyle cierpienia, należy absolutnie unikać uczt weselnych i oznak radości. Mimo to małe przyjęcie dzisiaj wieczór między innymi będzie mieć na celu ogłoszenie ich małżeństwa... - urwał, aby chwilę pomyśleć.

- Absolutnie rozumiem! - wykrzyknął lord Port Scatho. - Całkowicie popieram. Proszę mi wierzyć, ja i lady Port Scatho zrobimy wszystko... Wszystko!... Wybitnie podziwu godni ludzie... Tietjens! Mój drogi! Twoje zachowanie... wybitnie wspaniałe...

- Chwileczkę - powiedział Tietjens. - W sierpniu, w 1914 roku... gdzieś przy granicy, nie pamiętam nazwy tej miejscowości...

Lord Port Scatho wykrzyknął:

- Ależ mój drogi... Błagam, żebyś nie... Błagam...

- Tuż zanim pan Duchemin zaatakował żonę z niespotykaną agresją, w wyniku czego trzeba było go ostatecznie ubezwłasnowolnić. Nie dość, że pani Duchemin została tymczasowo oszpecona, ale odniosła poważne wewnętrzne obrażenia, i oczywiście wielki wstrząs psychiczny. Było absolutnie konieczne, aby zmieniła otoczenie... a jednak myślę, że zgodzi się pan ze mną że nawet w tym przypadku jej postępowanie było... jak poprzednio, ostrożne i odpowiednie...

- Wiem, wiem... - rzekł Port Scatho. - Lady Port Scatho i ja doszliśmy do tego wniosku, nawet nie wiedząc o tym, co mi pan właśnie powiedział... że biedaczyska przedobrzyli... Sypiał oczywiście w Jedburgh...?

- Właśnie - powiedział Tietjens. - Prawie przedobrzyli... Wezwano mnie, abym odwiózł panią Duchemin do domu... Zdaje się, że wynikły z tego nieporozumienia...

Port Scatho, pełen entuzjazmu na myśl, że przynajmniej dwójka ofiar nienawistnych przepisów rozwodowych, z całą przyzwoitością i ostrożnością trafiła do upragnionego rajy, wykrzyknął:

- Na Boga, Tietjens, jeśli kiedykolwiek usłyszę, jak ktoś rzeknie na pana słowo... Co za wspaniały rycerz sprawy przyjaciela! Pana... pana wierne poświęcenie...

- Chwileczkę, Port Scatho - odezwał się Tietjens. Odpinał z guzika kieszonkę na piersi.

- Mężczyzna, który potrafi zachować się tak wspaniale w danej sytuacji - rzekł Port Scatho - i wyjazd do Francji... Jeśliby ktoś... ktokolwiek odważył się...

Na widok książeczki z welinowymi rogami i zielonymi obrzeżeniami, która znalazła się w dłoni Tietjensa, Sylwia nagle wstała. Gdy Tietjens wyjął z wewnętrznej przegródki nieco już nieświeży czek, trzema wielkimi krokami posunęła po dywanie do jego boku.

- Och, Krzysiu! - jęknęła. - On nie... Ta kreatura nie...

- Owszem - odrzekł Tietjens. Podał przybrudzony czek bankierowi. Port Scatho powoli obejrzał go w otępieniu.

- „Stan konta przekroczone” - odczytał. - Pismo Browniego... mojego bratanka... Adresowany do klubu... To...

- Ty temu nie popuścisz? - zapytała Sylwia. - Och, dzięki Bogu, nie popuścisz.

- Nie! Nie popuszczę - powiedział Tietjens. - A niby dlaczego?

Na twarzy bankiera odmalowało się silne podejrzenie.

- Z tego wynika - powiedział - że przekroczył pan konto. Nie powinno się przekraczać stanu konta. Na jaką sumę pan zalega?

Tietjens podał swój portfel Portowi Scatho.

- Nie rozumiem, na jakiej zasadzie działasz - powiedziała Sylwia do Tietjensa. - Niektóre sprawy pomijasz, a inne nie.

- To nie ma żadnego znaczenia. Naprawdę. Tylko dla dziecka - odpowiedział Sylwii.

- Zeszłego czwartku zagwarantowałam ci pożyczkę do tysiąca funtów. Nie możesz mieć przekroczonego konta o więcej niż tysiąc funtów.

- Wcale nie mam przekroczonego - powiedział Tietjens. - Wczoraj miałem o piętnaście funtów. Nie wiedziałem.

Port Scatho przewracał kartki książeczki bankowej z całkiem pozabawioną wyrazu twarzą.



- Po prostu nie rozumiem - powiedział. - Ma pan dostatni stan konta... i zawsze pan miał, za wyjątkiem drobnych sum od czasu do czasu, na dzień - dwa.

- Miałem przekroczone - odparł Tietjens - wczoraj o piętnaście funtów. Powiedziałbym, że na dwie do trzech godzin: tyle ile trwa przekaz od mojego agenta wojskowego do waszego biura głównego. W czasie tych dwóch godzin, pana bank wybrał dwa spośród sześciu moich czeków i znieważył je. Oba czeki były wystawione na sumę poniżej dwóch funtów. Ten drugi odesłano do mojej kwatery na Ealin, skąd oczywiście go mi nie oddadzą. Na tamtym również jest adnotacja „stan konta przekroczone”, tym samym pismem.

- Ależ, na Boga - odezwał się bankier. - Tym samym jest pan zrujnowany.

- Oczywiście - odparł Tietjens. - O to chodziło.

- Ależ - powiedział bankier z ulgą malującą się na twarzy, która zdążyła upodobnić się rysami do złamanego człowieka - musi pan mieć w banku inne konta... spekulacyjne na przykład, gdzie jest pan mocno na minusie... Ja osobiście nie zajmuję się kontami klientów, prócz tych najogromniejszych, mających wpływ na politykę banku.

- Powinien pan - powiedział Tietjens. - To te maluteńkie konta powinien pan obsługiwać, będąc człowiekiem, który z nich czerpie swój majątek. Nie mam u was żadnego innego konta. Nigdy w życiu na niczym nie spekulowałem. Straciłem bardzo dużo pieniędzy na rosyjskich gwarancjach - jak dla mnie, bardzo dużo. Ale bez wątpienia pan też na tym stracił.

- To... hazard!

- Nigdy w życiu nie postawiłem pieniędzy na konia - powiedział Tietjens. - Za dużo o nich wiem.

Port Scatho popatrzył na ich twarze - najpierw na Sylwię, która przecież należała do jego starych przyjaciół, potem na Tietjensa.

- Krzysztof nigdy się nie hazarduje - powiedziała Sylwia i nigdy nie gra na giełdzie. Jego osobiste wydatki są niczym w porównaniu do jakiegokolwiek pana w tym mieście. Można powiedzieć, że nie ma wcale wydatków osobistych.

Ponownie na szczerej twarzy Porta Scatho mignął cień podejrzenia.

- O, chyba nie podejrzewa pan mnie i Krzysztofa o spisek i usiłowanie szantażu - powiedziała Sylwia.

- Nie, nie mógłbym - odrzekł bankier. - Ale ta druga wersja jest również nadzwyczajna... Podejrzewać bank... Bank... Jak pan by to wytłumaczył? - skierował się do Tietjensa; jego okrągła głowa zdawała się kwadratowiec, zaciskał nerwowo szczęki.

- Powiem panu po prostu. A potem będzie pan mógł sprawę naprawiać, jak pan uważa za najstosowniej. Dziesięć dni temu otrzymałem rozkaz wymarszu. Jak tylko przekazałem wszystko mojemu następcy, wypisałem czeki na wszystkie moje zaległości: począwszy od wojskowego krawca, za kwaterę - na sumę jednego funta dwunastu szylingów. Musiałem też nabyć kompas i rewolwer, ponieważ moje zajęto, gdy byłem w szpitalu...

- Dobry Boże - rzekł Port Scatho.

- Nie wiedział pan, że zajmują? Cała suma wyniosła piętnaście funtów więcej niż stan konta, ale nie wziąłem tego pod uwagę, ponieważ kwaterymistrz powinien był wpłacić wam mój miesięczny żołd pierwszego. Jak pan widzi, dopiero wpłacili dziś rano, trzynastego. Ale jak wynika z mojej książeczki, zawsze wpłacali w okolicach trzynastego, a nie pierwszego. Dwa dni temu jadłem obiad w klubie i wypisałem ten czek na jednego funta, czternaście szylingów i sześć pensów, jeden na dziesięć funtów na osobiste wydatki, cztery szylingi i sześć pensów za obiad...

- Lecz faktycznie przekroczył pan - rzekł ostro bankier.

- Wczoraj - odparł Tietjens. - Na dwie godziny.

- No, ale - powiedział Port Scatho - co pan chce, abym zrobił? Zrobimy, co będzie można.

- Nie wiem. Co pan uważa. Lepiej niech pan coś wyjaśni władzom wojskowym. Jeśli postawią mnie przed sądem, to bardziej zaszkodzi panu niż mnie. Zapewniam pana. Wyjaśnienie istnieje.

Nagle Port Scatho zaczął się trząść.

- Jak... jak... jakie wyjaśnienie? Pan... do diabła... pan to wypisał... Czy ośmiela się pan twierdzić, że mój bank... - urwał, przesunął dłonią po twarzy i powiedział: - A jednak... jest pan rozsądnym i przyzwoitym człowiekiem... Słyszałem, jak mówią o panu. Ale nie wierzyłem. Pański ojciec zawsze się bardzo dobrze o panu wypowiadał.

Pamiętam, że powiedział, że gdyby pan potrzebował pieniędzy, zawsze może pan przez nas wziąć z jego konta trzysta, czy czterysta... Właśnie dlatego to jest tak niezrozumiałe... To... To... - Coraz bardziej poddawał się zdenerwowaniu. - Wydaje się uderzać w samo serce...

- Niech pan poczeka, Port Scatho - rzekł Tietjens. - Zawsze szanowałem pana. Niech pan to załatwi, jak pan chce. Niech pan uprzątnie ten bałagan w jaki bądź sposób, który nie upokorzy pańskiego banku. Ja już złożyłem rezygnację w klubie...

- Nie! - powiedziała Sylwia. - O, nie, Krzysztofie!

Port Scatho podskoczył przy stole.

- Ale jeśli pan jest niewinny - powiedział. - Pan nie mógłby... odejść z klubu... Ja jestem członkiem komisji... Wyjaśnię im jak najpełniej, jak najszerzej...

- Nie wyjaśni pan - powiedział Tietjens. - Nie ucieknie pan od plotek... Już w tej chwili rozeszła się na pół Londynu. Pan wie, jacy są ci bezzębni staruszkowie z waszej komisji... Anderson! Ffolliot... No i przyjaciel mojego brata, Ruggles...

- Przyjaciel pana brata, Ruggles... - powiedział Port Scatho. - Ależ... On jest kimś ważnym w sądach, tak? Ależ... - Tok jego myśli ustał. Oznajmił: - Nie powinno się przekraczać konta... Jednak, skoro pana ojciec powiedział, że może pan korzystać z jego, to mnie naprawdę martwi... Jest pan pierwszorzędnym człowiekiem... Stwierdzę to wyłącznie na podstawie pana książeczki bankowej... Same czeki wypisane pierwszorzędnym rzemieślnikom na umiarkowane sumy. Takie książeczki najbardziej lubiłem widywać, gdy byłem jeszcze młodszym referentem w banku... - i na to wspomnienie ogarnęły go wzniosłe uczucia i znowu tok myśli się urwał.

Sylwia wróciła do pokoju. Nie zauważyli, jak wychodziła. Ona też trzymała w dłoni list.

- Słuchaj, Port Scatho, niech pan przestanie się tak denerwować. Proszę mi dać słowo, że zrobi pan, co się da, gdy pan się przekona, że fakty są takie, jak ja je przedstawiłem. Nie zawracałbym panu głowy, to nie w moim stylu, gdyby nie pani Tietjens. Samotny mężczyzna coś takiego przeżyje albo nie. Jednakże nie ma żadnego powodu, aby pani Tietjens trwała w związku z lotrem, podczas gdy on to przeżywa czy umiera.

- Ależ nie powinno tak być - powiedział Port Scatho. - Nie tak należy sytuację odczytać. Zignorować... Jestem po prostu oszołomiony...

- Nie ma pan prawa do oszołomienia - powiedziała Sylwia. - Zmartwia się pan, szukając sposobów, jak uratować reputację swojego banku. Wiemy, że ten bank więcej dla pana znaczy niż dziecko. I powinien pan się nim opiekować.

Port Scatho, który zdążył cofnąć się dwa kroki od stołu, postąpił dwa do przodu i o mało co nie przewrócił się na blat. Sylwia rozděła nozdrza.

- Tietjens nie odejdzie z waszego parszywego klubu. Bynajmniej! - oznajmiła. - Wasza komisja formalnie zwróci się do niego o wycofanie rezygnacji. Rozumie pan? Wycofa ją. A potem zrezygnuje na dobre. Jest zbyt dobry, żeby mieszać się z ludźmi waszego pokroju... - urwała, oddychając szybko. - Rozumie pan, co ma pan zrobić?

Strasзлиwa myśl zaświtała w głowie Tietjensa - nie pozwolił, aby się przeistoczyła w słowa.

- Nie wiem... - powiedział bankier. - Nie wiem, czy uda mi się przekonać komisję...

- Musi pan - powiedziała Sylwia. - Powiem panu dlaczego... Krzysztof nigdy nie przekroczył konta. Zeszłego czwartku nakazałam pańskim urzędnikom wpłacić tysiąc funtów na konto męża. Polecenie powtórzyłam na piśmie i zostawiłam sobie kopię listu, poświadczoną przez moją zaufaną służącą. Posłałam list pocztą rejestrowaną i mam kwit. Może je pan sobie obejrzeć.

Port Scatho wymamrotał znad listu:

- Adresowany do Brownliego... Rzeczywiście, kwit na list do Brownliego... - Obejrzał mały zielony świstek z obu stron. Powiedział: - Zeszły czwartek... a dzisiaj jest poniedziałek... Zlecenie sprzedaży akcji North-Western na sumę tysiąca funtów, które mają być przelane na konto... a więc...

- Wystarczy - rzekła Sylwia. - Już nie może pan grać na zwłokę. Pana bratanek już raz był wplątany w podobną sytuację... Powiem panu. W zeszły czwartek, przy obiedzie, pański bratanek powiedział mi, że prawnicy brata Krzysztofa wycofali wszystkie gwarancje związane z majątkiem Groby. Było takich kilka wystawionych dla członków

rodziny. Pański bratanek stwierdził, że zamierza przyłapać Krzysztofa, tak właśnie się wyraził, i odesłać następny jego czek, gdy napłynie. Powiedział, że czekał na taką okazję od początku wojny i dzięki posunięciu brata ją ma. Błagałam go, aby tego nie robił...

- Ależ, na Boga! - rzekł bankier - to niesłychane.

- Bynajmniej - powiedziała Sylwia. - Krzysztof musiał bronić pięciu nadętych, żalosnych niziutkich oficerków przed sądem wojskowym w identycznych sprawach. Jedna z tych spraw była dokładną kopią tego...

- Ależ na Boga! - ponownie wykrzyknął bankier. - Mężczyźni, oddający życie za kraj... Czy chce pani powiedzieć, że Brownlie zrobił to z zemsty, że Tietjens bronił tamtych... No i... pani tysiąc funtów nie jest wykazane w ksiąteczce męża...

- Oczywiście, że nie. Nigdy nie zostało wpłacone. W piątek otrzymałam od pańskich urzędników oficjalny list, wskazujący, że prawdopodobnie ceny tych akcji wzrosną i abym ponownie rozważyła moje zlecenie. Następnego dnia wysłałam ekspres wyraźnie nakazujący wykonanie mojego polecenia... i od tej chwili pański bratanek nagabuje mnie telefonicznie i błaga, żebym nie ratowała męża. Właśnie teraz, gdy wychodziłam z pokoju dzwonił. Błagał mnie też, abym z nim uciekła.

- Może wystarczy Sylwio? Sprawiasz małe tortury - powiedział Tietjens.

- Niech będą torturowani - odparła Sylwia. - Chyba jednak wystarczy.

Port Scatho zakrył twarz obiema różowymi dłońmi. Jęknął:

- O mój Boże! Znowu Brownlie...

Brat Tietjensa, Marek, znalazł się w pokoju. Był mniejszy, o ciemniejszej karnacji i bardziej wytrzymały niż Tietjens, a jego niebieskie oczy były jeszcze bardziej wypukłe. W jednym ręku trzymał melonik, w drugim parasol, miał na sobie garnitur w kolorze pieprzu z solą i przerzuconą przez ramię lornetkę. Nie lubił Porta Scatho, który darzył go podobnym uczuciem. Niedawno otrzymał tytuł szlachecki. Powiedział:

- Witam, Port Scatho - pomijając szwagierkę.

Jego wzrok, choć sam stał bez ruchu, zatoczył krąg po pokoju i zatrzymał się na miniaturowym biurczku, które stało na stoliku we wnęce, pomiędzy półkami z książkami i pod nimi.

- Widzę, że jeszcze masz tę szafkę - powiedział do Tietjensa.
- Nie mam - odparł tamten. - Sprzedałem sir Johnowi Robertsonowi. Zabierze ją, kiedy będzie miał miejsce w swojej kolekcji.

Port Scatho dość niepewnie obszedł stół i stanął przed jednym z wielkich okien. Sylwia usiadła na swym fotelu przy kominku. Dwaj bracia stanęli naprzeciwko siebie. Krzysztof przypominał worki zbożowe, a Marek strugane drewno. Wkoło nich błyszcząły złociste grzbiety książek i lustro odbijające na niebiesko. Halo Centrala sprzątała ze stołu.

- Słyszałem, że jutro znowu wyjeżdżasz - powiedział Marek. - Chcę kilka rzeczy z tobą ustalić.

- Jadę o dziewiątej z Waterloo - odparł Krzysztof. - Nie mam wiele czasu. Możesz ze mną pójść do ministerstwa, jeśli chcesz.

Oczy Marka śledziły białą-czarną służącą krążącą wokół stołu. Wysła z tacą. Nagle Krzysztofowi przypomniała się Walentyna Wannop, sprzątająca ze stołu w domku u matki. Halo Centrala wcale nie była szybsza.

- Port Scatho! - odezwał się Marek. - Skoro tu jesteś, to załatwmy jedną sprawę. Wycofałem zabezpieczenie ojca dla ewentualnego kredytu zaciągniętego przez mojego brata.

Port Scatho przemówił do okna, ale wystarczająco głośno:

- Wiemy wszyscy. I kosztowało to nas.

- Mimo to chciałbym, aby pan przelał z mojego własnego konta na konto brata tysiąc funtów rocznie, w miarę potrzeby. Nie więcej niż tysiąc na dany rok.

Port Scatho powiedział:

- Niech pan napisze list do banku. Nie zajmuję się sprawami kont podczas wizyt towarzyskich.

- Nie rozumiem, czemu nie - powiedział Marek Tietjens. - W taki chyba sposób zarabia pan na chleb z maselkiem?

- Oszczędź sobie kłopotu, Marku - powiedział Tietjens. - I tak likwiduję konto.

Port Scatho obrócił się gwałtownie na pięcie.

- Błagam, niech pan tego nie robi! - wykrzyknął. - Błagam, abyśmy... abyśmy mieli dalej ten zaszczyt, że czerpie pan z naszych zasobów. - Znowu konwulsyjnie zaciskał szczęki, a jego głowa oglądana pod światło przypominała zaokrąglony wierzch pala podtrzymującego

bramę. Do Marka powiedział: - Może pan przekazać swemu przyjacielowi, panu Rugglesowi, że pana brat ma moje upoważnienie, aby pobierać pieniądze z mojego prywatnego konta... osobistego - tyle ile potrzebuje. Mówię to, aby udowodnić panu, jak cenię pańskiego brata; oraz wiem, że nie wejdzie w żadne zobowiązania, których nie będzie mógł wypełnić.

Marek Tietjens stał nieruchomo, opierając się lekko na zagiętej rączce parasola z jednej strony, z drugiej pokazując białą jedwabną podszewkę melonika. Podszewka była najjaśniejszym punktem w całym tym pokoju.

- To pana sprawa - powiedział do Porta Scatho. - Mnie chodzi tylko to, aby wpłacono na konto mojego brata tysiąc rocznie, póki nie otrzymacie innych instrukcji.

Krzysztof Tietjens odezwał się do Porta Scatho głosem, o którym wiedział, że brzmi sentymentalnie. Był bardzo wzruszony, wydało się mu, że razem ze spontanicznym pojawieniem się kilku nazwisk z pamięci, i teraz wobec takiego świadectwa bankiera, los odwracał się i ten dzień naprawdę należało odznaczyć czerwonym kamykiem.

- Oczywiście, panie Scatho, nie wycofam od pana mojego żalnego konta jeśli pan chce je trzymać. Pochlebia mi pan tym - urwał i dodał: - Ja tylko chciałem uniknąć tych... rodzinnych komplikacji. Ale sądzę, że może pan powstrzymać wpłatę pieniędzy mojego brata. Nie chcę jego pieniędzy. - Do Sylwii rzekł - Lepiej ty załatw drugą sprawę z Portem Scatho. Zwrócił się do Porta Scatho: - Jestem ogromnie panu zobowiązany, Port Scatho... Niech pan przywiezie lady Port Scatho wieczorem do Macmasterów, chociażby na minutę, przed jedenastą... - a do brata: - Chodź, Marek. Idę do ministerstwa. Porozmawiamy po drodze.

Sylwia odezwała się prawie nieśmiało - i znowu chmurna myśl pojawiła się w głowie Tietjensa:

- Czy spotkamy się jeszcze?... Wiem, że jesteś bardzo zajęty...

- Tak, przyjadę po ciebie do lady Job, jeśli nie przetrzymają mnie w ministerstwie. Wiesz, że idę na kolację do Macmastery, ale raczej nie zostanę długo.

- Poszłabym do Macmasterów, gdybyś to uznał za stosowne. Przyprowadziłabym Claudine Sandbach i generała Wade'a. Idziemy zobaczyć rosyjskich tancerzy, to wszystko. Moglibyśmy wyjść wcześniej.

Tietjens potrafił szybko uporać się z takimi myślami.

- Zrób tak - powiedział szybko.

- Byłoby im miło.

Poszedł do drzwi i wrócił. Jego brat prawie skończył. Odezwał się do Sylwii, czując przy tej okazji radość:

- Wymęczyłem parę słów z tej piosenki. Tak idzie:

*Somewhere or other there must surely be*

*The face not seen: the voice not heard...*

Prawdopodobnie jest tu „the voice not ever heard”, żeby było zgodnie z metrum... Nie wiem, jak się nazywa autor. Mam nadzieję, że w ciągu dnia je wymęczone.

Sylwia zrobiła się całkiem blada.

- Przestań! Och... przestań! - Po czym dodała zimno: - Nie rób sobie kłopotu - i otarła malutką chusteczką usta.

Usłyszała piosenkę kiedyś na koncercie dobroczynnym i płakała słuchając. Potem przeczytała słowa w programie i mało brakowało, a znowu by się rozpląkała. Ale program gdzieś zgubiła i nigdy więcej nie wpadły jej w ręce słowa. Ich echo pozostało w jej pamięci niczym coś straszliwego, a zarazem pociągającego: jak nóż, który kiedyś pochwyci i wbije sobie w pierś.

### III

Dwaj bracia przeszli dwadzieścia kroków po opustoszałym chodniku Inn, nie odzywając się. Jeden i drugi miał twarz całkiem pozbawioną wyrazu. Krzysztofowi wydało się, że jest w Yorkshire. Pojawił się mu Marek; stał na trawniku Groby, w meloniku, z parasolem, podczas gdy myśliwi przekroczyli trawnik i podchodzili pod górę na stanowiska. Prawdopodobnie Marek nigdy tak nie stał, ale w takiej postaci zawsze jawił się przed oczyma brata. Marek rozmyślał nad zakładkami parasola - jedna z nich była nierówna. Z powagą rozważał, czy powinien natychmiast rozpiąć i uporządkować parasol (co oznaczało wiele zachodu), czy poczekać, aż wróci do swego klubu, gdzie rozkaże portierowi, aby to od razu zrobił. To z kolei znaczyło, że musiałby przejść milę i ćwierć przez Londyn z nieporządnym parasolem. Bardzo nieprzyjemne.

- Gdybym był tobą - powiedział - nie pozwoliłbym temu facetowi z banku dawać sobie takich referencji.



Krzysztof powiedział:

- Ha!

Pomyślał, że mając tylko jedną trzecią aktywności mózgu, nie może mierzyć się z Markiem, ale nie miał ochoty na dyskusje. Przyjął, że przyjaciel brata, Ruggles, skonstruuje jakiś nieprzyjemny wniosek o przyjaźni Porta Scatho. Ale nie był tym zainteresowany. Marek doznał niejasnego uczucia, że coś nie jest w porządku.

- Dziś rano klubowi odesłano twój czek - powiedział.

- Tak - odparł Krzysztof.

Marek czekał na wyjaśnienia. Krzysztof ucieszył się, że wieść rozniosła się w takim tempie: to potwierdziło wszystko, co powiedział Portowi Scatho. Przyglądał się zająciu z dala. Zupełnie jakby oglądał jakiś sprawnie działający model mechaniczny.

Marek czuł się bardziej zakłopotany. Przez trzydzieści lat przyzwyczał się do gadatliwego południa i zapomniał, że jeszcze istnieje milczenie. Jeśli w swym ministerstwie lakonicznie oskarżył urzędnika od transportu o niedociągnięcia albo gdy oskarżył - w podobnie lakoniczny sposób - swą francuską kochankę o nadmiar dodatków na codziennym kotlecie baranim, albo o nadmiar soli w wodzie, w której gotowała mu kartofle, wysłuchiwał wiele wymówek albo zaprzeczeń, wypowiedzianych energicznie i przez dłuższy czas. Przyzwyczał się więc do myśli, że jest jedyną lakoniczną istotą na świecie. Nagle przypomniał sobie z przykrością (i jednocześnie z zadowoleniem), że brat był jego bratem.

Nic nie wiedział o Krzysztofie, jako takim. Mogło się wydawać, że na małego braciszka patrzył z oddalenia, jakby stojąc w alejce, na przeciwległym, końcu której rozrabiało dziecko. Nie całkiem prawdziwy Tietjens, urodzony bardzo późno, synek mamusi raczej niż ojca. Matka była podziwu godną kobietą ale z południa. I dlatego miękka, duża. Starsze dzieci Tietjensów, gdy spotykały ich niepowodzenia, miały pretensje do ojca, że nie ożenił się z kobietą z ich okolicy. A więc nie wiedział nic o tym chłopcu. Mówiono, że jest geniuszem - cecha ta rzadko występowała u krewnych. Podobna do gadatliwości! No, gadatliwy nie był. Powiedział:

- Co zrobiłeś z tymi wszystkimi pieniędzmi, które ci zostawiła matka? Dwadzieścia tysięcy, tak?

Przechodzili wąską uliczką biegnącą wzdłuż domów w stylu gregoriańskim. Przy następnym placyku Tietjens zatrzymał się i popatrzył na brata. Marek stał i pozwolił na siebie patrzeć. Krzysztof pomyślał: „On ma prawo zadawać te pytania!”.

Zaszła jakaś dziwna zmiana, jak na filmie: ten człowiek stał się głową rodziny, on, Krzysztof został spadkobiercą. Ich ojciec już od czterech miesięcy był w grobie, ale w tej chwili umarł naprawdę.

Krzysztofowi przypomniało się dziwne wydarzenie. Po pogrzebie, gdy wrócili z kościoła i zjedli obiad, Marek (Tietjens znowu zobaczył ten drewniany gest) wyjął cygarniczkę, wybrał sobie cygaro i podał innym. Serca podeszły wszystkim do gardeł - do tego dnia nikt nigdy nie zapalił w Groby. Ojciec kazał swe dwanaście fajek chować po różnych krzakach wzdłuż podjazdu...

Wszyscy uznali to za nieprzyjemny incydent w złym guście... Krzysztof dopiero co powrócił z Francji i mało rozumiał; miał zupełną pustkę w głowie, ale proboszcz szepnął do niego:

- A w Groby do dziś dnia nikt nie zapalił.

A teraz! Zdarzenie to pojawiło się mu niczym symbol i to całkowicie odpowiedni symbol. Czy im się to podobało, czy nie, oto była głowa rodziny i spadkobierca. Głowa rodziny musi działać, jak uważa, spadkobierca zgadza się lub nie; ale starszy brat ma prawo, aby mu odpowiedzieć na pytania.

- Połowę od razu zapisałem na dziecko - odparł. - Siedem tysięcy straciłem na gwarancjach rosyjskich. Resztę wydałem...

- Ha! - powiedział Marek.

Przeszli pod łukiem, który prowadzi do Holborn. Tym razem to Marek zatrzymał się i Krzysztof stanął, pozwalając bratu ogarnąć się badawczym spojrzeniem. Marek pomyślał: „Przynajmniej nie boi się spojrzeń!”. Był bowiem przekonany, że Krzysztof będzie unikał jego wzroku. Powiedział:

- Wydałeś na kobiety? A skąd masz pieniądze do wydawania na kobiety?

- Nigdy w życiu nie wydałem ani pensa na kobietę.

- Ha! - powiedział Marek.

Przeszli Holborn i poszli tylnymi uliczkami w kierunku Fleet Street.

- Gdy mówię „kobieta” - powiedział Krzysztof - używam słowa w jego pospolitym znaczeniu. Oczywiście, że zapraszałem kobiety z naszej sfery na podwieczorki, obiady albo płaciłem za ich taksówki. Może lepiej wyjaśnię, że nigdy, ani przed, ani po zawarciu małżeństwa, nie byłem związany z inną kobietą niż moja żona.

- Ha! - powiedział Marek.

Pomyślał: „Więc Ruggles musi łąć”. Ani go to zdenerwowało, ani obeszło. Przez dwadzieścia lat on i Ruggles dzielili się wielkim i dość ponurym budynkiem na Mayfair. Zazwyczaj gawędzili, goląc się we wspólnej łazience, poza tym nie spotykali się, oprócz spotkań w klubie. Ruggles był na jakichś warunkach związany z dworem królewskim, prawdopodobnie był zastępcą zastępcy pazia od złotej laski. Być może awansował wraz z upływem tych dwudziestu lat. Marek Tietjens nigdy nie zadał sobie trudu sprawdzenia. Ogromnie dumny i zamknięty w sobie, był pozbawiony wszelkiej dociekliwości. Mieszkał w Londynie, ponieważ było to gigantyczne miasto, rządzone administracyjnie i najwyraźniej zupełnie nieinteresujące się swoimi własnymi mieszkańcami. Gdyby znalazł na północy miasto równie przepastne i charakteryzujące się powyższymi cechami, wołałby tam zamieszkać.

O Rugglesie myślał niewiele albo nic. Kiedyś ktoś kogoś nazwał „sympatyczna grzechota” i uważał Rugglesa za takiego, choć nie bardzo wiedział, co to miałyby oznaczać. W trakcie golenia Ruggles relacjonował najnowsze skandale. Nigdy, rzecz jasna, nie wymienił kobiety, której cnoty nie dało się kupić, albo mężczyzny, gotowego sprzedać żonę za awanse. Wszystko pasowało do obrazu południa Marka. Kiedy Ruggles usiłował nadwerężyć dobre imię mężczyzny pochodzącego z północnej rodziny, Marek uciszał go:

- O nie. To nie prawda. On jest Craisterem z Wantley Felis.

Albo wymieniał kogoś innego, w zależności od przypadku. Ruggles, pół-Szkot, pół-Żyd, był bardzo wysoki i nosił głowę przekrzywioną na bok jak sroka. Gdyby był Anglikiem, Marek nigdy nie zgodziłby się dzielić z nim mieszkania; w rzeczywistości znał niewielu Anglików na tyle dobrze urodzonych i usytuowanych, aby mogli dostąpić tego zaszczytu, a z drugiej strony niewielu dobrze urodzonych i usytuowanych Anglików zechciałoby mieszkać w tak ponurym i

niewygodnym miejscu, wyposażonym w mahoń wypchany końskim włosiem i oświetlonym lufcikami z matowego szkła. Marek, przyjechawszy do stolicy, wynajął ten dom wspólnie z panem o nazwisku Peebles, który dawno zmarł i nigdy nie zadał sobie trudu, aby cokolwiek we wnętrzu zmienić, choć Ruggles wszedł na miejsce Peeblesa. Pewne podobieństwo nazwisk mniej obeszło Marka, niż gdyby nazwiska te były całkiem inne. Często myślał, że byłoby gorzej, gdyby musiał dzielić mieszkanie z kimś o nazwisku, powiedzmy, Granger. W istniejącej sytuacji czasem odezwał się do Rugglesa per Peebles i nic się nie działo. Marek nic nie wiedział o pochodzeniu Rugglesa - i tu ich znajomość przypominała Krzysztofa i Macmastery. Lecz Krzysztof dla swojego satelity oddałby koszulę z grzbietu, Marek zaś nigdy nie pożyczyłby Rugglesowi więcej niż pięć funtów i wyrzuciłby go z mieszkania, gdyby nie oddał długu do końca kwartału. Zresztą Ruggles nigdy nie prosił o żadne pożyczki i dlatego Marek uważał go za absolutnie honorowego mężczyznę. Od czasu do czasu Ruggles opowiadał o swoim zamiarze ożenienia się z tęczą tamtą bogatą wdową albo o swych wpływach u tej czy tamtej osobistości na świeczniku, ale wtedy Marek przestawał go słuchać, więc szybko wracał do swych opowieści o kobietach do kupienia i sprzedajnych mężczyznach.

Mniej więcej pięć miesięcy wstecz, któregoś ranka Marek powiedział do Rugglesa:

- Może byś zebrał, co możesz o moim najmłodszym bracie Krzysztofie i przekazał mi.

Poprzedniego wieczoru, ojciec Marka wezwał go do siebie z przeciwległego końca palarni i powiedział:

- Może byś się dowiedział czegoś o Krzysztofie. Może potrzebować pieniędzy. Czy uświadomiłeś sobie, że jest spadkobiercą siedziby rodu? Oczywiście w następstwie po tobie. - Pan Tietjens bardzo się postarzał po śmierci swych dzieci. - Chyba się nie ożenisz?

- Nie, nie ożenię się. Lecz sądzę, że prowadzę lepsze życie niż Krzysztof. Z tego co wiem, dostał mocno w skórę.

Uzbrojony w takie rozkazy, pan Ruggles wykazał zadziwiającą aktywność w przygotowaniu teczki Krzysztofa Tietjensa. Nieczęsto sezonowy plotkarz ma okazję wziąć kogoś na cel, jednocześnie będąc praktycznie chronionym przed oskarżeniami o oszczerstwo. Ruggles

zaś nie lubił Krzysztofa Tietjensa jak tylko może nie lubić plotkarz kogoś, kto nigdy nie plotkuje. Natomiast Krzysztof Tietjens wykazał się większą niż zwykle bezczelnością wobec Rugglesa. W związku z tym w ubiegłym tygodniu poły rugglesowskiego fraka załopotwały w niezwykłej ilości drzwi, a jego cylinder zabłysnął u niezwykłej ilości wysokich portali.

Między innymi złożył wizytę u damy znanej jako Glorvina.

Podobno istnieje księga, przetrzymywana w pewnym sanktuarium, w której są zapisywane czarne kreski przy nazwiskach dobrze urodzonych angielskich mężczyzn na wysokich stanowiskach. W księgę tę Marek Tietjens oraz jego ojciec (oraz większość twardogłowych dzentelmenów spośród angielskiego ziemiaństwa) absolutnie wierzyli. Krzysztof Tietjens nie wierzył - wydawało się mu, że działalność dzentelmenów pokroju Rugglesa wystarczy, aby zniszczyć kariery nielubianym przez nich osobom. Z drugiej strony, Marek oraz jego ojciec spoglądali na angielskie towarzystwo i widzieli dzentelmenów, na pozór mających wszelkie kwalifikacje, aby zrobić karierę w takiej bądź innej służbie, którzy nigdy nie dostawali awansów, orderów, premii ani żadnych zasług. W tajemniczy sposób nie udawało się im zaistnieć. I to też Marek z ojcem kładli na karb księgi.

Ruggles podobnie nie tylko wierzył w istnienie owej kompilacji podejrzanych i zgubionych, ale też, że posiadał władzę nad sformułowaniem niektórych zapisów na jej stronicach. Wierzył, że gdy w sposób bardziej umiarkowany i mając więcej podstaw niż zwykle oczerni pewnych mężczyzn w obecności różnych osobistości, przynajmniej poważnie tym mężczyznom zaszkodzi. Całkiem zrównoważenie i prawdziwie, wierząc w to, co mówi, Ruggles oczernił przed tymi osobistościami Tietjensa. Ruggles nie rozumiał, dlaczego Krzysztof pozwolił Sylwii wrócić po jej ucieczce z Perownem, ani nie rozumiał dlaczego Tietjens w ogóle ożenił się z Sylwią, która była w ciąży z Drakiem i tak samo nie wierzył, że Krzysztof otrzyma jakiegokolwiek świadectwo od lorda Port Scatho, chyba że „sprzeda” Sylwię bankierowi. Nie dostrzegał tam żadnych innych podtekstów, prócz pieniędzy lub stanowisk. Nie rozumiał, jak inaczej mógł Tietjens mieć pieniądze na utrzymanie pani Wannop, panny Wannop i jej dziecka oraz na utrzymywanie pani Duchemin i Macmastera w stylu,

do jakiego przywykli. Pani Duchemin była kochanką Krzysztofa. Po prostu nie widział żadnej innej możliwości. Faktycznie dopraszasz się o kłopoty, jeśli jesteś większym altruistą niż otaczający cię ludzie.

Jednakże Ruggles nie miał żadnych wskazówek, na ile, czy w ogóle i w jakim stopniu zaszkodził bratu współlokatora. Wypowiadał się tam, gdzie to uznał za najbardziej odpowiednie, ale nie miał żadnych dowodów, że jego słowa trafiły do celu. Aby to ustalić, złożył wizytę wielkiej damie, bo jeśli ktoś miałby wiedzieć, to właśnie wiedziała on.

Niczego nie ustalił definitywnie, bowiem wielka dama (wiedział o tym) była znacznie sprytniejsza od niego. Wielka dama zezwoliła mu odkryć, że bardzo lubi Sylwię, bliską przyjaciółkę swej córki i wyraziła prawdziwe zmartwienie na wieść, że ona z Krzysztofem Tietjensem nie dogadują się ze sobą. Ruggles poszedł do niej i całkiem otwarcie zapytał, czy niczego nie dałoby się zrobić dla brata jego współlokatora. Potwierdzono, że Krzysztof posiada wielkie możliwości, lecz ani w urzędzie (gdzie niewątpliwie pozostałby, gdyby był zadowolony z perspektyw), ani w wojsku nie zajmował pozycji wyższej od zwykłego podwładnego. Ruggles pytał Glorwinę, czy mogłaby coś dla niego zrobić? Myślał, że brat jego współlokatora ma już ową czarną kreskę.

Wielka dama odrzekła, bardzo energicznie, że niczego nie jest w stanie zrobić. Energia miała zaświadczyć, jak bardzo podupadła jej partia, zdeptana przez partię u władzy, a więc ona sama nie miała nigdzie żadnych wpływów. Była to przesada, ale nie pomogła Krzysztofowi Tietjensowi, ponieważ Ruggles przetłumaczył sobie, że Glorvina nie może niczego zrobić, ponieważ rzeczywiście Tietjens miał krechę w księdze wtajemniczonych, do której wielka dama - ktoś inny? - musiała mieć dostęp.

Z drugiej strony, Glorvina poczuła obawę o los Tietjensa. Nie wierzyła w istnienie księgi: nigdy jej nie widziała. Ale mogła szybko uwierzyć, że Tietjens ma krechę w wymiarze metaforycznym i w trakcie następnych pięciu miesięcy dowiadywała się o niego. Trafiła na majora Drake'a, oficera wywiadu, który miał dostęp do kartoteki centralnej poufnych raportów dotyczących oficerów, i ów major Drake pokazał jej, bardzo ochoczo, w ramach przykładu, raport

dotyczący Tietjensa. Miał charakter bardzo przykry i był poprzetykany hieroglifami, ale głównie chodziło o to, że Tietjens był bez grosza i że lubił Francuzów, a w szczególności rojalistów francuskich. W danym okresie rząd brytyjski miał wiele tarć ze swym sojusznikiem i ta cecha Tietjensa, która wcześniej przynosiła mu wygodne robótki, tym razem mu zaszkodziła. Glorvina otrzymała konkretną informację, że Tietjensa wysłano w charakterze oficera łącznikowego do artylerii francuskiej, że przebywał tam przez dłuższy czas, ale po wstrząsie wywołanym wybuchem pocisku odesłano go z powrotem. Po tym fakcie pojawił się dopisek: nie zatrudniać ponownie jako oficera łącznikowego.

Z drugiej strony, zanotowano na jego koncie także wizyty Sylwii u więzionych oficerów austriackich i dodano pod koniec: nie powierzać żadnych poufnych zadań.

Wielka dama nie wiedziała i nie chciała wiedzieć, w jakim stopniu major Drake sam tworzył tę dokumentację. Wiedziała o związkach stron i miała świadomość, że niektórzy smagli, „pełnokrwieści” mężczyźni długo noszą w sobie pragnienie zemsty za sprawy męskodamskie, więc dała temu spokój. Dowiedziała się też od pana Waterhouse'a (już również wycofanego z życia publicznego), że miał bardzo dobre zdanie o charakterze i umiejętnościach Tietjensa, i że tuż przed przejściem na emeryturę szczególnie poparł kandydaturę Tietjensa do wysokiego awansu. Glorvina wiedziała, że przy danych układach ministerialnych, sympatiach i wrogościach, takie poparcie wystarczyłoby, aby zrujnować każdego, kto znajdzie się w bezpośrednim zasięgu władzy rządowej.

Dlatego też posłała po Sylwię i przedstawiła jej to wszystko, ponieważ była zbyt mądra, aby wierzyć, że nawet gdyby istniały jakieś różnice zdań między młodymi (na które nie miała wcale dowodów), Sylwia nie zechce popierać materialnych interesów małżonka. Ponadto, mimo że dama ta była tak dobrotliwie nastawiona wobec tej pary, spostrzegła też możliwość przynajmniej zaszkodzenia niektórym członkom rządzącej partii. Ktoś pracujący na mało istotnym stanowisku, niesprawiedliwie potraktowany, może czasem narobić strasznego bałaganu, jeśli ma determinację i choć trochę poparcia. Warunki te spełniała Sylwia.

Wysłuchała ona wielkiej damy z takim poruszeniem, że nikt nie mógłby wątpić o jej poświęceniu dla męża ani w to, że wszystko mu opowie. Jak dotąd, Sylwii się nie udało.

W tym czasie Ruggles uzbierał całkiem okazały pakiet informacji i aluzji, by zaprezentować je Markowi Tietjensowi podczas golenia. Marek nie był ani zdziwiony, ani wściekły. Zwykle mawiał o dzieciach swojego ojca (prócz bezpośrednio młodszego brata) „te szczeniaki” i nie interesował się ich sprawami. Niech się żenią, płodzą nieistotne dzieci, tworzą boczne linie Tietjensów i znikają, jak przeznaczono synom młodszym synów. Śmierć braci średnich była jeszcze tak niedawna, że Marek nie zdążył przyzwyczać się i myśleć o Krzysztofie inaczej, jak o szczeniaku, o kimś, czyje postępowanie może być przykre, ale nie ma znaczenia. Do Rugglesa powiedział:

- Lepiej opowiedz wszystko mojemu ojcu. Nie wiem, czy dokładnie spamiętam wszystkie te szczegóły.

Ruggles zrobił to z radością. Wspierany bliską znajomością z najstarszym synem, który zaświadczał o jego spolegliwości w kwestiach pieniężnych oraz o jego kwalifikacjach w zbieraniu szczegółowych danych o ludziach, przypadkach oraz awansach - tego dnia w klubie, w porze podwieczorku, zaszyty w cichym zakątku, Ruggles opowiedział starszemu panu Tietjensowi, że małżonka Krzysztofa była w ciąży z innym mężczyzną, gdy za niego wyszła, że zatuszował jej ucieczkę z Perownem i przyczyniał się do innych romansów ku własnej niesławie oraz że w wyższych sferach podejrzewano go o to, że jest francuskim agentem i dlatego przy jego nazwisku w wielkiej książce jest czarna krecha... a wszystko po to, aby zdobyć pieniądze na utrzymanie panny Wannop, której spłodził dziecko, i na utrzymanie Macmastera z panią Duchemin, żyjących na stopie zupełnie niedostosowanej do ich środków i że pani Duchemin była kochanką Krzysztofa. Historię dziecka panny Wannop i Krzysztofa najpierw zasugerował, a potem potwierdził fakt, że w Yorkshire istotnie mieszkał jego syn, który nigdy nie pojawił się w Gray's Inn.

Pan Tietjens był człowiekiem rozsądnym, lecz widać niewystarczająco rozsądnym, aby zwątpić w poszlaki prezentowane przez Rugglesa. Wierzył święcie w wielką księgę (wiele pokoleń ziemiaństwa wierzyło), wiedział, że jego genialny syn nie postępował w górę



odpowiednio do swej genialności i wpływów, podejrzewał, że jego geniusz był równoznaczny z nagannymi skłonnościami. Ponadto, stary przyjaciel Tietjensa seniora, generał Ffolliot, wyraźnie powiedział mu kilka dni wcześniej, że powinien przyrzeć się sprawom Krzysztofa. Przyciśnięty Ffolliot równie wyraźnie oświadczył, że Krzysztofa podejrzewa się o bardzo niehonorowe postępowanie, zarówno w sprawach pieniędzy, jak i kobiet. I dlatego alegacje Rugglesa stanowiły konkretne potwierdzenie podejrzeń, które zdawały się stać na aż za mocnych podstawach.

Gorzko żałował, że choć wiedział o geniuszu Krzysztofa, puścił chłopca (jak to zwykle bywa z młodszymi synami) na szerokie wody, wyposażając go w co mógł. Pomyślał, że zawsze pomagał trzymać w domu i pod okiem tego chłopca, do którego żywił szczególne uczucia. Jego żona, z którą był związany pełnym pasji poświęceniem, była wyjątkowo pochłonięta Krzysztofem, najmłodszym ze swych synów, urodzonym bardzo późno. Odkąd zmarła, Krzysztof stał się panu Tietjensowi szczególnie drogi, jakby nosił ze sobą cząstkę tej jasności, charakteryzującej matkę. Po śmierci żony pan Tietjens o mało nie poprosił Krzysztofa z małżonką, aby zamieszkali z nim w Groby, oczywiście odpowiednio zmieniając zapis w testamencie, aby wynagrodzić Krzysztofowi utratę kariery w Departamencie Statystyki. Nie pozwoliło na to jego poczucie sprawiedliwości wobec pozostałych dzieci. Naprawdę złamał mu serce fakt, że Krzysztof nie tylko uwiódł, ale i spłodził dziecko Walentynie Wannop.

Pan Tietjens miał wybitnie wielkopańskie zwyczaje i zawsze wierzył w swój obowiązek patronowania nauce i sztuce. Choć niewiele zrobił w tym kierunku, wyjąwszy kilka zakupów malarstwa historycznej szkoły francuskiej w czekoladowych tonacjach, był dumny z pomocy udzielonej wdowie i dzieciom swego starego przyjaciela, profesora Wannopa. Całkiem usprawiedliwienie uważał, że to on sam zrobił z pani Wannop pisarkę i uważał ją za wielką. W przekonaniu o winie Krzysztofa umacniała go maluteńka nuta zazdrości - uczucia, do którego nigdy by się nie przyznał. Bowiem odkąd Krzysztof (nie wiadomo jak, on syna nie przedstawiał) stał się przyjacielem domu Wannopów, pani Wannop zupełnie odstąpiła od pytania jego, pana Tietjensa, głośno i bezustannie, o rady. Natomiast wyśpiewywała pochwały na temat Krzysztofa niemal ekstrawagancko. Powiedziała nawet, że gdyby Krzysztof nie był codziennie w ich domu

(albo przynajmniej pod telefonem), raczej nie dałaby rady wciąż pracować na najwyższych obrotach. Nie uratowało to pana Tietjensa. Żywił on do Walentyny Wannop najgłębsze uczucia, ponieważ te same cechy podobały się ojcu, co synowi. Nawet (mimo swych sześćdziesięciu kilku lat) z całą powagą myślał o małżeństwie z dziewczyną. Była damą, świetnie umiała by prowadzić Groby i choć sukcesją majątku rządziły bardzo surowe prawa majoratu, przynajmniej mógłby jej zapewnić godziwe życie po jego śmierci. I dlatego nie wątpił w winę syna. Musiał też znieść dodatkowo upokarzającą myśl, że nie dość, że syn podstępnie obszedł się z tym promiennym stworzeniem, ale zrobił to w tak niezgrabny sposób, że wieść o jej dziecku rozniosła się szeroko. Dla syna dzentelmena był to niewybaczalny brak umiejętności postępowania. A teraz ten chłopiec był spadkobiercą i ciągnął za sobą bękarta. Nieodwołalnie!

A więc wszyscy czterej jego wysocy synowie padli. Najstarszy był po wieczność związany z (całkiem podziwu godną) fładrą, następni dwaj nie żyli, najmłodszego traktował gorzej niż umarłego. Jego żona umarła ze złamanym sercem.

Religijność pana Tietjensa, trzeźwo choć głęboko wierzącego, spowodowała, że uwierzył w winę Krzysztofa. Wiedział bowiem, że bogatemu jest trudniej wejść do nieba niż wielbłądowi przejść przez bramę w Jerozolimie nazywaną Uchem Igielnym. Żywił pokorną nadzieję, że Stworzyciel przyjmie go do tych, którym przebaczone. Stąd (ponieważ był bogatym, ogromnie bogatym człowiekiem) jego cierpienia na ziemi muszą być przeogromne...

Tego dnia od podwieczorku aż do czasu, gdy należało wyjść na pociąg o północy do Bishop Auckland, siedział ze swym synem Markiem w czytelni klubu. Sporządzili wiele notatek. Zobaczył swego Krzysztofa w mundurze. Wyglądał na załamane go i napuchniętego, niewątpliwie wskutek rozpusty. Krzysztof przeszedł z drugiego końca pomieszczenia, a pan Tietjens uniknął jego wzroku. Złapał ten pociąg i dojechał do Groby, sam. Pod wieczór zabrał strzelbę. Znalezione go następnego dnia rano, pod żywo płotem grodzącym placyk kościelny. Koło ciała leżały dwa króliki. Prawdopodobnie przepelzł przez żywo płot, ciągnąc za sobą nabitą strzelbę, lufą do przodu. Steki mężczyzn, głównie wieśniaków, ginie w ten sposób każdego roku w Anglii...

Pamiętając o tych wszystkich rzeczach (a przynajmniej o ilu mógł), Marek przystąpił do prześledzenia poczynąń swego brata. Pozwoliłby, aby proces trwał dłużej, ponieważ jeszcze nie wszystkie sprawy spadkowe były zakończone, ale właśnie tego dnia rano Ruggles powiedział mu, że klub otrzymał zwrot czeku jego brata oraz że Krzysztof następnego dnia wyjeżdża do Francji. Dokładnie pięć miesięcy upłynęło od śmierci ojca. Umarł w marcu, teraz był sierpień: jasny, bałaganiarski dzień.

Marek uporządkował myśli.

- Ile - powiedział - potrzebujesz, żebyś mógł żyć wygodnie? Jeśli tysiąc nie wystarczy, to ile? Dwa?

Krzysztof powiedział, że nie potrzebuje żadnych pieniędzy i nie zamierza żyć wygodnie.

- Mam ci dać trzy tysiące - powiedział Marek - jeśli wyjedziesz za granicę. Ja tylko wykonuję instrukcje ojca. We Francji żyłbyś piekielnie dobrze za trzy tysiące.

Krzysztof nie odpowiedział. Marek zaczął znowu:

- No więc, co się stało z resztą? Z trzema tysiącami, pozostałymi z pieniędzy matki? Przepisałeś na dziewczynę czy wydałeś na nią?

Krzysztof powtórzył cierpliwie, że nie miał dziewczyny.

- Ta dziewczyna, która urodziła ci dziecko. Mam instrukcję, jeśli ty jeszcze niczego nie zapisałeś, ale ojciec uznał, że zapewne to zrobisz; mam przepisać na nią tyle, żeby mogła żyć dostatnio. Jak uważasz, ile będzie jej potrzebne? Daję Szarlotcie czterysta. Czy czterysta wystarczy? Domyślam się, że dalej będziesz chciał ją utrzymywać? Trzy tysiące to niewiele, żeby utrzymać siebie i dziecko.

- Może lepiej wymienisz jakieś nazwiska?

- Nie! Nigdy nie wymieniam nazwisk. Chodzi mi o pewną pisarkę i jej córkę. Myślałem, że dziewczyna jest córką ojca, co?

- Nie. Nie może być. Myślałem o tym. Ma dwadzieścia siedem lat. Wszyscy byliśmy w Dijon dwa lata przed jej urodzeniem. Ojciec przejął spadek dopiero w następnym roku. Wannopowie w tym czasie byli w Kanadzie. Profesor Wannop był rektorem tamtejszego uniwersytetu. Zapomniałem, jakiego.

- Rzeczywiście - odrzekł Marek. - W Dijon! Żebym się nauczył francuskiego - po czym dodał: - A więc nie może być córką ojca. To

dobrze. Myślałem, że skoro chce im zapisać pieniądze, to prawdopodobnie są jego dziećmi. Jest jeszcze syn. Ma dostać tysiąc. Co on robi?

- Syn - rzekł Tietjens - jest przeciwny wojnie. Jest na polawiaczu min. Uważa, że łowienie min ratuje ludziom życie, a nie odbiera.

- No, to jeszcze nie będzie potrzebował pieniędzy. Ma to być kapitał na założenie firmy. Jakie jest pełne imię, nazwisko i adres twojej dziewczyny? Gdzie ją ukrywasz?

Znaleźli się na otwartym polu, pełnym kurzu, otoczonym budynkami, których rozbiórkę wstrzymano. Krzysztof stanął przy słupie, który niegdyś był armatą. Uznał, że brat może oprzeć się o to i wysłuchać. Powiedział powoli i cierpliwie:

- Jeśli chcesz się ze mną skonsultować w sprawie intencji ojca, a skoro chodzi o pieniądze, lepiej spróbuj poznać fakty. Nie sprawiałbym ci tego kłopotu, gdyby nie chodziło o pieniądze. Po pierwsze, z tej strony nie ma żadnego zapotrzebowania na pieniądze. Mogę żyć z żołdu. Moja żona jest bogatą kobietą, względnie bogatą. Jej matka jest bardzo bogata...

- Jest kochanką Rugeleya, prawda?

- Nie, nie jest. Powiedziałbym, że na pewno nie. A niby dlaczego? Są kuzynami.

- Wobec czego to twoja żona była kochanką Rugeleya? Bo inaczej dlaczego wypożycza jej łóżę?

- Sylwia także jest kuzynką Rugeleya, o stopień dalszą - powiedział Tietjens. - Nie jest niczyją kochanką. Możesz być tego pewien.

- Mówią, że owszem - odparł Marek. - Mówią, że to prawdziwa ladacznica... Chyba uważasz, że cię obraziłem.

- Nie, nie obraziłeś... Lepiej wyłóżmy sobie to wszystko. Jesteśmy sobie właściwie obcy, ale ty masz prawo pytać.

- Czyli nie masz dziewczyny i nie potrzebujesz pieniędzy na jej utrzymanie... Mógłbyś mieć, cokolwiek byś chciał. Nie ma powodu, dla którego mężczyzna nie powinien mieć dziewczyny, jeśli ma tyle, żeby ją utrzymać na przyzwoitym poziomie.

Krzysztof nie odpowiedział. Marek oparł się o wpół zakopaną armatę i huśtał parasol za rączkę.

- Ale - powiedział - skoro nie utrzymujesz dziewczyny, jak... - chciał dokończyć „sobie radzisz z domowym ciepłem”, ale przysła

mu do głowy nowa myśl. - Oczywiście - powiedział. - Widać, że twoja żona jest w tobie po uszy zakochana... Po uszy... Ślepy by widział...

Krzysztof poczuł, że mu opada szczęka. Sekundę wcześniej - niecałą sekundę! - zdecydował się, że poprosi Walentynę Wannop, żeby tej nocy została jego kochanką. Powiedział sobie, że to już nic nie da. Kochała go, wiedział, głęboko, niewzruszenie, namiętnie... a jego namiętność pochłaniała każdą jego myśl i otoczyła cały jego mózg zupełnie jak atmosfera otacza kulę ziemską. Czemu więc mieli odejść w śmierć rozdzieleni latami, nie wymówiwszy ani słowa? Po co? Dla kogo? Cały świat konspirował, aby ich połączyć! Opór stawał się nużący!

Jego brat Marek mówił dalej:

- Wiem wszystko o kobietach - oznajmił.

Może. Od wielu lat był przykładnie wierny zupełnie nieciekawej kobiecie. Możliwe, że bliższe przestudiowanie jednej kobiety dawało studiującemu mapę całej kobiecości!

- Słuchaj, Marku - powiedział Krzysztof. - Lepiej przejrzyj wszystkie moje książeczki oszczędnościowe za ostatnie dziesięć lat, odkąd mam konto. Ta dyskusja nic nie da, jeśli mi nie wierzysz.

- Nie chcę ich oglądać - odparł tamten. - Wierzę ci. - Po sekundzie dodał: - A dlaczego miałbym ci nie wierzyć? Albo uwierzę, że jesteś dżentelmenem, albo że Ruggles łże. To tylko rozsądne uwierzyć, że Ruggles łże. Poprzednio nie wierzyłem, bo nie miałem podstaw.

- Wątpię, aby „łże” stanowiło odpowiednie słowo. Wyzbrała plotki o mnie. Nie wątpię, że przekazał je wiernie. Plotkuje się o mnie, owszem. Nie wiem, dlaczego.

- Ponieważ - powiedział Marek z naciskiem - traktujesz te południowe wieprze z pogardą na jaką zasługują. Oni nie są w stanie pojąć motywów zachowania dżentelmena. Jeśli żyje się wśród psów, będą myśleć, że kierujesz się motywami psa. A jakie inne mogliby ci przypisać? - i dodał: - Myślałem, że na tak długo zakopałeś się w ich brudach, że przyłgnęły też do ciebie!

Tietjens spojrział na brata z podziwem, jakim obdarza się przenikliwego ignoranta. To było odkrycie, że jego brat był przenikliwy.

Oczywiście, musiał być przenikliwy. Był niezastąpionym szefem wielkiego departamentu. Musiał mieć jakieś cechy... Niestety, nawet nieedukowany. Dzikus. Lecz przenikliwy!

- Musimy się ruszyć - powiedział - bo będę musiał wziąć taksówkę. - Marek odkleił się od zakopanej armaty. - Co zrobiłeś z tymi trzema tysiącami? - zapytał. - Trzy tysiące to piekielnie duża suma do wyrzucenia. Nawet jak na młodszego syna.

- Poza paroma sprzętami, które kupiłem do mieszkania żonie, rozpozyczyłem - odparł.

- Pożyczki! - wykrzyknął Marek. - Temu Macmasterowi?

- Głównie. Poza tym około siedmiuset Dicky'emu Swipesowi z Cullercoats.

- Dobry Boże! Dlaczego jemu?

- Ach, bo był Dickim Swipesem z Cullercoats i poprosił - odrzekł Krzysztof. - Dostałby więcej, tyle tylko, że tamto starczyło mu, żeby się zapił na śmierć.

- Domyślam się, że nie dajesz pieniędzy każdemu facetowi, który poprosi?

- Owszem - powiedział Krzysztof. - Z zasady.

- Na szczęście wielu o tym nie wie. Bardzo szybko straciłbyś wiele forsy.

- Nie miałem jej długo.

- Chyba nie spodziewałeś się, że będziesz odgrywał ksiązęcego patrona na funduszach młodszego syna. To kwestia gustu. Osobiście nigdy nie dałem półpensówki żebrakowi. Ale wielu Tietjensów miało ksiązące maniery. Jedno pokolenie gromadziło forszę, jedno na niej siedziało, jedno wydawało. W porządku... Sądzę, że żona Macmastera jest jednak twoją kochanką? To wyjaśniłoby, dlaczego nie dziewczyna. Trzymają dla ciebie fotel.

- Nie - odparł Krzysztof. - Poparłem Macmastera po to, żeby go poprzeć. Na początku to ojciec mu pożyczył pieniądze.

- Rzeczywiście! - wykrzyknął Marek.

- Jego żona jest wdową po Śniadaniowym Ducheminie. Znałeś Śniadaniowego Duchemina?

- O, znałem - odparł Marek. - Sądzę, że Macmaster osiadł teraz w ciepélku. Na majątku Duchemina.

- I jak! - powiedział Krzysztof. - Niedługo nie będą mnie znać.

- Ale, do diabła! Przecież Groby jest właściwie twoje. Ja nie zamierzam żenić się i płodzić dzieci, żeby ci przeszkodzić.

- Dziękuję. Nie potrzebuję.
- Zły jesteś na mnie?
- Jestem zły na ciebie. Na całą waszą cholerną bandę, na Rugglesa, Ffolliota i ojca!
- Ha! - powiedział Marek.
- A jak uważasz?
- Ja uważałbym, że nie - odparł Marek. - Myślałem, że jesteś mięczakiem. Widzę, że nic takiego.
- Jestem z północy, tak samo jak i ty!

Wpadli w prąd Fleet Street, rozpychani przez przechodniów, rozdzielani ruchem. Krzysztof, władczy po oficersku, przedostał się przez ciąg autobusów i ciężarówek. Marek, władczy po dyrektorsku, rozkazał:

- Policjant! Zatrzymać mi te cholerne samochody, żebym mógł przejść.

Krzysztof przeszedł na drugą stronę o wiele szybciej i czekał na brata pod bramą Middle Temple. Zatopił się w marzeniach o uściskach Walentyny Wannop. Pomyślał, że spalił mosty.

Marek podszedł do niego i powiedział:

- Lepiej powiem ci, co chciał ojciec.
- Ale szybko. Muszę iść.

Musiał szybko rozprawić się z rozmową w ministerstwie i odnaleźć Walentynę Wannop. Będą mieć zaledwie kilka godzin, aby wyznać miłość dwóch istnień. Widział jej złotą głowę i jej zachwyconą twarz. Zastanawiał się, jak będzie wyglądała jej twarz pełna zachwytu. Widział ją pełną humoru, rozpaczy, uczucia, w oczach... a także gniewu i pogardy dla politycznych przekonań jego, Krzysztofa. Jego militaryzmu!

Mimo to zatrzymali się przy fontannie w sądach, z szacunku dla pamięci zmarłego ojca. Marek wyjaśniał. Krzysztof pochwycił niektóre wyrazy i domyślił się łączników. Pan Tietjens nie pozostawił testamentu, wierząc, że jego pragnienia dotyczące rozdysponowania gigantycznej fortuny będą dokładnie zrealizowane przez najstarszego syna. Sporządziłby testament, ale była ta niejasna kwestia Krzysztofa do rozważenia. Gdyby Krzysztof był młodszym synem, dostałby pokazną sumkę i poszedł z nią do diabła, jak tylko miał ochotę. Już nie był młodszym synem, taka była wola Boga.

- Ojciec uważał, że żaden zapis nie wyprostuje ci charakteru. Uważał, że skoro jesteś cholernym alfonsem, żyjącym z kobiet... Wybaczysz?

- Wybaczę, że mówisz po prostu - odparł Krzysztof.

Popatrzył na dno fontanny, do połowy pełnej liści. Ich cywilizacja spowodowała taki porządek, że w sierpniu liście gnily. Zresztą, i tak była skazana na upadek!

- Gdybyś był alfonsem i żył z kobiet - powtórzył Marek - testament nie zdałby się na nic. Prawdopodobnie potrzebowałbyś niezliczonych tysięcy, żeby żyć porządnie. Miałeś je mieć. Mogłeś hulać i uprawiać rozpustę do woli, ale płacąc czystymi pieniędzmi. Miałem sprawdzić, ile by ci wystarczyło, odpowiednio dostroić pozostałe zapisy... Ojciec miał tabuny emerytów...

- Ile ojciec zostawił? - zapytał Krzysztof.

- Bóg raczy wiedzieć... Widziałeś, że wyceniliśmy majątek na milion i ćwierć. Ale w rzeczywistości może tego być dwa razy więcej. Albo i pięć! Sądząc według cen stali w okresie minionych pięciu lat, trudno powiedzieć, ile naprawdę mógłby być wart majątek w Middleborough... Podatek spadkowy nawet go nie uszczknął. Zresztą, są i na to sposoby.

Krzysztof przyjrzał się bratu z ciekawością. Ten smagły facet z wypłasiastymi oczami, nieco oberwany, wtłoczony w dość leciwy garnitur w kolorze pieprzu z solą, ze źle złożonym parasolem, starą lornetką i w meloniku (który jako jedyny był schludny), ten facet był księciem. Wszyscy prawdziwi książęta muszą tak wyglądać.

- Cóż! - powiedział. - Przeze mnie nie zbiedniejesz ani pensa.

Marek zaczął w to wszystko wierzyć. Powiedział:

- Nie wybaczysz ojcu?

- Nie wybaczę ojcu, że nie sporządził testamentu. Nie wybaczę mu, że wezwał Rugglesa. Widziałem go z wami w czytelnicy w wieczór poprzedzający śmierć ojca. Nawet się do mnie nie odezwał. A mógł. Było to niezgrabne i głupie. To jest niewybaczalne.

- Człowiek się zastrzelił - powiedział Marek. - Zwykle wybaczają się facetowi, który się zastrzelił.

- Ja nie wybaczam - powiedział Krzysztof. - Poza tym, prawdopodobnie jest w niebie i nie potrzebuje mojego wybaczenia. Dziesięć do jednego, że jest w niebie. Był dobrym człowiekiem.



- Jednym z najlepszych - dodał Marek. - Ale to ja wezwałem Rugglesa.

- Tobie też nie wybaczam.

- Ależ musisz - powiedział Marek i tym samym bardzo się zniżył do sentymentalności. - Musisz wziąć tyle, żebyś mógł żyć wygodnie.

- Na Boga! - wykrzyknął Krzysztof. - Nienawidzę waszej parszywej grzankowo-maślanej, kotletowo-jagnięcej, papuciowej wygody na grzonym rumie, tak samo jak nienawidzę waszego parszywego rodzaju cudzołożenia po pałacach na Riwierze, po samochodach z szoferami, windach hydraulicznych i szklarniach... - stracił panowanie nad sobą, ciągle mając w myślach miłość z Walentyną Wannop, która rozegra się w domku o nagiej podłodze z desek, gdzie nie będzie draperii, tłustych mięs ani lepkich afrodyzjaków... - Ani pensa - powtórzył - nie stracisz na mnie.

- Nie musisz się denerwować. Jeśli nie, to nie. Lepiej chodźmy. Powiedzmy, że na tym koniec... Przekroczyłeś konto w banku, czy nie? Załatwię to, bez względu na to, co zrobisz, by mi przeszkodzić.

- Nie przekroczyłem - powiedział Krzysztof. - Mam ponad trzydzieści funtów na koncie i gigantyczne gwarancje Sylwii. Bank się pomylił.

Marek zawahał się. Prawie nie mógł uwierzyć, że bank mógłby popełnić błąd. Jeden z wielkich banków. Podpora Anglii.

Szli w kierunku nabrzeża. Swym cennym parasolem Marek wymierzył ostry cios ogrodzeniu otaczającemu trawiaste korty tenisowe, gdzie białawe postacie, zmatowiały w mglistym powietrzu, poruszały się na podobieństwo marionetek ćwiczących ukrzyżowanie.

- Na Boga! Toż to koniec Anglii... Tylko w moim departamencie nigdy się nie mylą. Mówię ci, gdyby ktoś się tam pomylił, to poleciałoby parę głów! - Po tym dodał: - Ale nie myśl sobie, że ja pozbędę się mojej wygody. Bynajmniej. Moja Szarlotta robi lepsze grzanki z masłem niż potrafią w tym klubie. Poza tym ma kurek z rumem francuskim, który nieraz ratował mi życie po parszywej pogodzie na wyścigach.

I wszystko na tych pięciuset, co jej dają, i jeszcze siebie utrzyma. Nie majak Francuzka w domu. Na Boga, ożeniłbym się z kobietą, gdyby nie była papistką. Ucieszyłaby się, a mnie by to nie zabolalo. Ale nie zdzierzyłbym ożenku z papistką. Papistom nie można ufać.

- Będziesz musiał zdzierzyć papistę w Groby - powiedział Krzysztof. - Mój syn będzie wychowywany w tej wierze.

Marek stanął i wbił parasol w ziemię.

- A, to przykre - powiedział. - Co ci przyszło do głowy? Pewnie matka cię wmanewrowała. Zanim się z nią ożeniłeś. - Po chwili dodał: - Nie chciałbym sypiać z tą twoją żoną. Zbyt atletyczna. Myślałbym, że śpię obok wiązki chrustu. Ale domyślałam się, że jesteście jak gołąbki... Ech, nie sądziłem, że okażesz się tak słaby.

- Zdecydowałem się dopiero dziś rano - odparł Krzysztof - kiedy bank odesłał mój czek. Nie sądzę, żebyś czytał Speldena na temat świętokradztwa, o Groby.

- Obawiam się, że nie.

- Więc próba wyjaśnienia nic nie da. Nie ma czasu. Ale mylisz się, twierdząc, że Sylwia zrobiła to warunkiem małżeństwa. Wtedy nic nie spowodowałoby mojej zgody. Teraz jest szczęśliwa. Biedaczka sądziła, że nasza rodzina jest przeklęta, ponieważ nie było spadkobiercy-papisty.

- A teraz czemu się zgodziłeś?

- Mówiłem ci. Bank odesłał czek do klubu. To na koniec całej reszty. Facet, który nie potrafi sobie w życiu poradzić, powinien oddać dziecko na wychowanie matce... A poza tym, papistowski chłopiec nie będzie do tego stopnia cierpiał z powodu ojca, któremu znieważają czeki, co protestant. Oni nie są w pełni Anglikami.

- Masz rację.

Stanął przy ogrodzeniu parku w pobliżu dworca Tempie.

- A więc, gdyby pozwolił adwokatom napisać do ciebie o zatrzymaniu gwarancji majątkowych, tak jak chcieli, chłopiec nie zostałby papista? Nie przekroczyłbyś konta.

- Nie przekroczyłem - powiedział Krzysztof. - Ale gdybyś mnie ostrzegł, poszedłbym do banku i nie zasłaby żadna pomyłka. Dlaczego nie ostrzegłeś?

- Chciałem - odparł Marek. - Chciałem to zrobić sam. Ale nie cierpię pisania listów. Odkładałem. Nie miałem ochoty na kontakty z facetem, za którego ciebie uważałem. Zapewne tego też mi nie wybacysz?

- Owszem. Nie wybaczę, że nie napisałeś do mnie. Powinieneś pisać listy w interesach.

- Nie cierpię ich - powiedział Marek. Krzysztof ruszył. - I jeszcze coś - powiedział Marek. - Zapewne ten chłopiec jest twoim synem.
- Tak, jest moim synem - powiedział Krzysztof.
- No to wszystko. Myślę, że jeśli byś zginął, nie będziesz miał nic przeciwko temu, żebym miał wzgląd na małego?
- Będę zadowolony - powiedział Krzysztof.

Szli nadbrzeżem koło siebie, powoli, z wyprostowanymi plecami i ramionami, czerpiąc przyjemność ze wspólnego spaceru, chcąc go przedłużyć poprzez coraz wolniejszy chód. Raz czy dwa przystanęli, aby spojrzeć na brudno-srebrną rzekę - obaj lubili ponure krajobrazy. Czuli się mocarni, jakby ziemia do nich należała!

Marek zachichotał i powiedział:

- To cholernie śmieszne. Pomyśleć, że obaj jesteśmy, jak im tam... monogamistami zresztą, to całkiem przyjemne, trwać przy jednej kobiecie... Nie możesz powiedzieć, że nie. Oszczędza kłopotu. I człowiek wie, gdzie jest.

Pod posępnym łukiem prowadzącym na dziedziniec Ministerstwa Wojny Krzysztof zatrzymał się.

- Nie. Ja wchodzę - powiedział Marek. - Chcę porozmawiać z Hogarthem. Nie rozmawiałem z nim od dłuższego czasu. O przewoźnikach parkujących w parku Regenta. Zajmuję się tym wszystkim i jeszcze wieloma innymi parszywymi rzeczami.

- Mówią, że dajesz sobie świetnie radę. Mówią, że jesteś niezastąpiony. - Wiedział, że jego brat chce zostać przy nim jak tylko może najdłużej. Sam też tego chciał.

- I, do cholery, mają rację - powiedział Marek, po czym dodał: - Chyba mógłbyś robić coś podobnego we Francji? Opiekować się transportem i końmi?

- Mógłbym. Ale chyba wrócę do pracy łącznika.

- Nie sądzę - powiedział Marek. - Mógłbym porozmawiać o tobie z tymi od transportu.

- Jeśli możesz. Nie nadaję się do powrotu na front. Poza tym, nie jestem bohaterem! Piechur ze mnie żaloszny. Żaden z Tietjensów nigdy nie był żołnierzem wartym wzmianki.

Wyszli zza łuku. W jakiś sposób odpowiednio do sytuacji i całym oczekiwaniem, zobaczyli Walentynę Wannop przy listach ofiar

wiszących pod tanim zielonym drewnianym daszkiem na ścianie, świadczącym jednocześnie o świadomości pomniejszych kierunków sztuki współczesnej oraz o chęci zaoszczędzenia pieniędzy podatników.

Z identycznym zachowaniem kogoś, kto całkiem oczekiwanie znajduje Krzysztofa Tietjensa, zwróciła się do niego z gniewem. Jej twarz była sino-biała i zmieniona. Podbiegła do niego i krzyknęła:

- Popatrz tylko na ten koszmar! A ty w tym twoim obrzydliwym mundurze jeszcze to poprzysz!

Kartki papieru wiszące pod zielonym daszkiem były kreślane poziomo małutkimi rozedrganymi linijkami, każda z nich oznaczała czyjąś śmierć tego dnia.

Tietjens cofnął się o krok z chodnika otaczającego dziedziniec.

- Poprę - powiedział - bo muszę. Podobnie jak ty jesteś temu przeciwna, bo musisz. Widzimy dwa zupełnie inne wzory - i dodał: - To Marek, mój brat.

Zwróciła sztywno głowę ku Markowi, miała twarz całkiem jak z wosku. Jej ruch przywodził na myśl skręt głowy u manekina. Powiedziała do Marka:

- Nie wiedziałam, że pan Tietjens ma brata. No, prawie. Nigdy nie słyszałam, aby o panu mówił.

Marek uśmiechnął się niepewnie, pokazując damie podszewkę kapelusza.

- Nie sądzę, aby ktokolwiek słyszał, abym ja mówił o nim - powiedział - ale owszem, to mój brat.

Weszła na asfaltową drogę i złapała dwoma palcami Krzysztofa za rękaw w kolorze khaki.

- Muszę z tobą pomówić. I zaraz to zrobię.

Zaciągnęła go na środek zamkniętego, surowego i nieprzyjemnego dziedzińca, nadal trzymając materiał mundurku. Popchnęła go tak, aby stanął do niej twarzą. Przełknęła i ruch jej gardła trwał straszliwie długo. Krzysztof spojrział w górę, na niebo nad budynkami z brzydkiego, przybrudzonego kamienia. Często zastanawiał się, jak by to było, gdyby jakaś pokaźna bomba spadła z powietrza prosto w to szare, zimne, kamienne serce ogarniętego wojną świata.

Dziewczyna pozerwała jego twarz wzrokiem, chciała zobaczyć, jak drgnie. Jej głos zabrzmiał twardo, płynąc zza drobnych ząbków. Powiedziała:

- Czy to ty jesteś ojcem dziecka, które miała mieć Ethel? Twoja żona tak mówi.

Krzysztof rozważył wymiary dziedzina. Powiedział niepewnie:

- Ethel? A któż to?

Postępując wedle zwyczaju malarza i poety, pan i pani Macmaster zwracali się do siebie wyłącznie per „GugGums!”. Najprawdopodobniej Krzysztof nigdy nie słyszał imion pani Duchemin. Na pewno nigdy ich nie słyszał, bowiem katastrofa wymiotła wszystkie imiona z jego pamięci.

Doszedł do wniosku, że dziedzinec nie będzie stanowił większego oporu dla wybuchającej bomby.

- Edit Ethel Duchemin! - powiedziała dziewczyna. - Znaczy pani Macmaster! - Najwyraźniej czekała w wielkim napięciu.

- Nie! - powiedział mało przytomnie Krzysztof. - Na pewno nie! - Co powiedziano?

Marek Tietjens nachylał się nad krawężnikiem przed zielonym daszkiem, całkiem jak dziecko nachylające się nad strumykiem. Bardzo wyraźnie czekał, cierpliwie machał parasolem. Wydawało się, że nie zna innych sposobów na wyrażanie swych uczuć. Dziewczyna mówiła, że gdy tego ranka zadzwoniła do Krzysztofa, odezwał się głos, który bez żadnych wstępów oznajmił (powtórzyła) bez żadnych wstępów:

- Jeśli to Wannopówna, to lepiej trzymaj się z dala. Kochanką mojego męża jest pani Duchemin. Więc wara!

- Tak powiedziała? - odezwał się Krzysztof.

Zastanawiał się, jak Marek utrzymuje równowagę. Wydawał się przy takiej postawie upierać, skupiając całą swoją osobowość. Było to nie do zniesienia. Po raz ostatni tego popołudnia z wysiłkiem zebrał myśli.

- Do diabła z tym wszystkim. Jak możesz zadawać takie bzdurne pytania? Ty! Uważałem cię za inteligentną osobę. Jedyłą inteligentną osobę, jaką znam. Czy mnie nie znasz?

Z wysiłkiem powstrzymywała się przed zeszytnieniem.

- A pani Tietjens? Przecież jest prawdomówna. Wydawało mi się, że mówi tylko prawdę, gdy zobaczyłam ją u Wincenta i Ethel.

- Mówi to, w co wierzy. Ale wierzy tylko w to, co chce, w danym momencie. Jeśli nazywasz to prawdomównością, to jest prawdomówna. Ja przeciwko niej nic nie mam. - Pomyślał, że nie

będzie wkradał się w jej łaski, oczerniając żonę.

Zdawało się, że nagle się rozkleja, zupełnie jak kostka cukru traci wyraziste kandy, gdy spadnie na nią kropla wody.

- Och! - powiedziała. - To nie jest prawda. Wiedziałam, że to nieprawda. - Zaczęła płakać.

- No, chodź - powiedział. - Cały dzień odpowiadam na bzdurne pytania. Jeszcze jednego idiotę mam tu spotkać, a potem już będzie spokój.

- Nie mogę z tobą iść, taka zapłakana.

- Możesz. Tu akurat jest miejsce, gdzie kobiety płaczą. A poza tym, tam jest Marek. To pocieszający osioł.

Dostarczył ją Markowi.

- Masz, zaopiekuj się panną Wannop. I tak chciałeś z nią porozmawiać, prawda?

Pospieszył przed nimi, jak zdenerwowany sprzedawca do posępnego hallu. Poczuł, że jeśli szybko nie trafi przed bezuczuciowego osła z czerwonymi, zielonymi lub różowymi pagonami, który będzie miał rybie oczy i będzie zadawał pytania podobne do tych, jakie zapewne zadają ryby w akwariach, on sam rozklei się i rozplacze. Z ulgi! Z resztą, w tym miejscu mężczyźni też płakali.

Przedostał się natychmiast, dzięki własnej silnej osobowości, i przebrnął przez mile korytarzy, aż stanął przed całkiem inteligentnym, szczupłym i ciemnowłosym osobnikiem ze szkarłatnymi pagonami. Oznaczało to coś na wyższym szczeblu sztabowym, a nie kosze na śmieci.

Ciemnowłosy natychmiast mu powiedział:

- Słuchaj! Co to za historia z kwaterami pułkowymi? Robiłeś strasznie dużo wykładów. O gospodarności. Skąd się wzięły te wszystkie cholerne bunty? Czy to ze względu na rządy parszywych starych pułkowników?

- Słuchaj - powiedział przyjaźnie Tietjens. - Nie jestem szpiclem, chyba wiesz. Parszywi starzy pułkownicy byli dla mnie gościnni.

- Nie wątpię, ale po to tam cię posłano. Generał Campion powiedział, że jesteś najlepszym mózgowcem pod jego komendą. Pech chce, że już pojechał... No, to co się dzieje z tymi kwaterami? Ludzie czy oficerowie? Nie musisz wymieniać nazwisk.

- Miło ze strony Campiona. Nie oficerowie ani nie rekruci, ale podły system. Bierze się ludzi, którzy uważają, że zasługują na dobre traktowanie ze strony swego kraju (i mają rację!) i strzyże się im łby...

- To medycy - powiedział ciemnowłosy. - Boją się wszy.

- Skoro wołają bunt... Człowiek chce pójść sobie z dziewczyną i mieć przyzwoicie naoliwiony loczek. Nie chcą, żeby ich traktowano jak więźniów. A tak się na nich patrzy.

- Dobra. Mów dalej. Może usiądziesz?

- Trochę się spieszę - odparł Tietjens. - Jutro jadę, a na dole czeka na mnie brat i inni.

- O, przepraszam... - powiedział ciemnowłosy. - Ale, niech to diabli. Taki jak ty przydałby się nam na miejscu. Chcesz jechać? Nie wątpię, że udałoby się nam do tego nie dopuścić, jeśli nie chcesz.

Tietjens wahał się przez chwilę.

- Tak - powiedział wreszcie. - Tak, chcę jechać.

Przez chwilę kusiło go, żeby zostać. Ale jego przygnębiony umysł przypomniał mu, że Marek powiedział, że Sylwia się w nim kocha. Przez cały czas pamiętał o tym, czuł to cały czas, niby kopniak tylnej nogi muła. Oto była niemożliwa komplikacja. Być może to nieprawda, ale tak czy nie - najlepiej będzie, jeśli pojedzie i jak najszybciej go zabiją. Mimo to wściekle uparł się spędzić noc z dziewczyną, która płakała na dole...

Usłyszał całkiem wyraźnie dwuwiersz:

*Głos, który jeszcze nigdy dotąd  
nie odparł na me słowa...*

Pomyślał: „Tego chciała Sylwia. Tyle mam!” Ciemnowłosy coś powiedział. Tietjens powtórzył:

- Byłbym bardzo niezadowolony, gdyby pan przeszkodził mojemu wyjazdowi. Chcę jechać.

- Niektórzy chcą - powiedział tamten. - Niektórzy nie chcą. Zapisz sobie twoje nazwisko, na wypadek gdybyś wrócił... Nie masz nic przeciwko temu, że wracasz do przesiewania popiołu? Wracaj tak szybko, jak możesz. I zabaw się ile wlezie przed wyjazdem. Mówią, że tam jest parszywie. Cholernie strasznie! Piekielne pranie. Dlatego chcą was wszystkich.

Przez chwilę Tietjens widział szary świt na końcu torów kolejowych i dobiegający z oddali odgłos nieustannie buzującego kociołka. Ogarnęło go poczucie, że jest w wojsku. Zaczął opowiadać o kwaterach pułkowych, rozwlekle i z entuzjazmem. Prychał z wściekłości na traktowanie ludzi trafiających do tych ponurych miejsc. Z genialną wręcz głupotą!

Od czasu do czasu ciemnowłosa przerywał mu, mówiąc:

- Niech pan nie zapomni, że tam trafiają chorzy i ranni, żeby wrócić do zdrowia. Musimy ich odzyskiwać tak szybko, jak się da.

- I odzyskujecie? - zapytał Tietjens.

- Nie. Stąd nasza kontrola.

- Macie - ciągnął Tietjens - na północnej stronie obrzydliwej gliniastej góry w odległości dziewięciu mil od Southampton trzy tysiące mężczyzn ze szkockiego pogórza, z północnej Walii, Cumberland i Bóg wie skąd. Chodzi tylko o to, żeby znaleźli się trzysta mil od domu i szaleli z tęsknoty... Pozwalacie im wychodzić na godzinę każdego dnia, w czasie, gdy puby są zamknięte; golicie im łby, żeby nie wpadali w oko miejscowym pannom, których nie ma, i nie pozwalacie im nosić lasek do munduru! Bóg wie czemu! Żeby sobie oczu nie powymowali, jak się przewrócą, co? Dziewięć mil w głębi pustkowia, kredowe drogi do spacerów, ani krzaka, pod który można się schować przed deszczem bądź słońcem... I, do diabła, jeśli trafią się dwaj przyjaciele z południa bądź północy kraju, nie pozwala się im sypiać w tym samym pawilonie, ale wpycha między grubasów ze wschodu albo z zachodu kraju, którzy cuchną porami i nie mówią jak ludzie po angielsku...

- To przez to piekielne zarządzenie medyków, żeby nie gadali całą noc.

- Żeby nie konspirowali całą noc, jak nie pójść na paradę - powiedział Tietjens. - I masz zarzewie buntu... I, do diabła, to wspaniali ludzie. Pierwszorządni faceci. Dlaczego (skoro żyjemy w chrześcijaństwie) nie można pozwolić im na rekonwalescencję w domu z dziewczynami, gdzie mają własną karczmę i przyjaciół, i trochę pochodzą w aurze bohatera? Na Boga, czemu nie? Mało jeszcze cierpienia?

- Przecież to nie moja wina - powiedział ciemnowłosa. - Jedyny rozkaz, jaki napisałem, dotyczył kina i teatru dla każdej kwatery. Ale



cholerni medycy i to zatrzymali... że infekcje. No i oczywiście kler i prawomyślni miejscowi biurokraci...

- Wobec tego musicie to wszystko zmienić - powiedział Tietjens - inaczej będziecie tylko powtarzać: „Dzięki Bogu, mamy marynarkę”. Bo armii nie będzie. Niedawno trzech kawalerów z Warwickshire zapytało mnie po wykładzie, dlaczego zamknięto ich w Wiltshire, podczas gdy uchodźcy belgijscy robili ich żonom bękarty w Birmingham. A kiedy zapytałem, ilu ma podobną skargę, wstało ich ponad pięćdziesięciu. Wszyscy z Birmingham...

- Zapiszę... Mów dalej.

Tietjens mówił dalej. Jak długo tam przebywał, czuł się mężczyzną, wykonującym pracę godną mężczyzny, żywiącym i wyrażającym gorzką męską pogardę dla głupców. Było to jak wyzwolenie - prawdziwa ostatnia przepustka.

## IV

Na dziedzińcu Marek Tietjens, zmieszany i machający parasolem, z melonikiem wciśniętym na uszy, co dawało mu poczucie równowagi, szedł koło płaczącej dziewczyny.

- Wie pani - powiedział. - Niech pani nie bardzo nastaje na militarystyczne przekonania staruszka Krzysztofa... Przecież on jedzie jutro, a to najlepszy z ludzi.

Spojrzała na niego szybko, ze łzami na policzkach, a potem odwróciła wzrok.

- Jeden z najlepszych - powiedział. - Ktoś, kto nigdy nie skłamał ani nie zrobił w życiu nic niehonorowego. Niech pani traktuje go łagodnie, dobra dziewczyno. Powinna pani, wie pani o tym.

Dziewczyna powiedziała, odwracając twarz:

- Życie bym za niego oddała!

- Wiem. Umiem poznać dobrą kobietę. Niech tylko pani pomyśli, on prawdopodobnie uważa, że... oddaje swoje życie, wie pani, za panią. I oczywiście za mnie też. Po prostu inne spojrzenie.

Chwyił ją niezgrabnie, ale silnie za ramię. Chude było to ramię ukryte pod płaszczkiem z niebieskiej welenki. Pomyślał: „Na Jowisza! Krzysztof rzeczywiście lubi chudzielce. Pociągają go te wysportowane. Na tej dziewczynie nie ma nic, zupełnie jak...”, ale nie mógł

wymyślić nikogo, kogo dałoby się przyrównać do panny Wannop. Czuł jednak zadowolenie, że udało się mu do niej i do brata zbliżyć.

- Pani nie odejdzie? Nie może pani, zanim nie powie mu czegoś miłszego. Tylko pomyśleć! Może zginie... No i... Prawdopodobnie nie zabił żadnego Niemca. Był oficerem łącznikowym. A potem kierował takim miejscem, gdzie przeglądają wojskowe śmietniki. Żeby sprawdzić, czy można ludziom dać mniej jedzenia. Co znaczy, że więcej dostaną cywile. Nie ma pani nic przeciwko temu, że oddaje więcej mięsa cywilom?... W ten sposób nawet nie przyczynia się do zabijania Niemców...

Poczuł, że przycisnęła ramię i jego dłoń do swego ciepłego boku.

- A co teraz będzie robił? - zapytała niepewnym głosem.

- Właśnie po to tu jestem. Zamierzam wejść i spotkać się ze starym Hogarthem. Nie zna pani Hogartha? Starego generała Hogartha? Chyba uda mi się spowodować, by dał Krzysztofowi pracę w transporcie. Bezpieczna robota. Bezpiecznawa! Żadnej chwały! Ani zabijania parszywych Niemców... Przepraszam panią, jeśli pani ich lubi.

Zabrała ramię i spojrzała mu w twarz.

- Och! Pan nie chce, aby przypadła mu jakakolwiek paskudna wojskowa chwała! - Jej twarz znowu nabrała koloru. Patrzyła na niego szeroko rozwartymi oczyma.

- Nie! A niby dlaczego! - Pomyślał: „Ma wielkie oczy, ładną szyję, ładne ramiona, ładne piersi, zgrabne biodra, drobne dłonie. Ma proste nogi, zgrabne kostki. Dobrze stoi. Stopy nie za duże. Powiedzmy, że wzrostu ma pięć stóp i cztery cale. Naprawdę niezła żrebica!”. Na głos dodał: - A po co zachciało się mu być parszywym żołnierzem? Jest spadkobiercą Groby. Na jednego mężczyznę tyle powinno wystarczyć.

Stała spokojnie wystarczająco długo, aby się mógł jej (wiedziała) krytycznie przyjrzeć. Potem nagle wsunęła mu dłoń pod ramię i poprowadziła w kierunku schodów wejściowych.

- No to szybko - powiedziała. - Natychmiast niech trafi do tego pańskiego transportu. Zanim jutro pojedzie. I będziemy wiedzieli, że jest bezpieczny.

Dziwiła go jej sukienka. Była bardzo prosta, ciemnogramatowa i krótka. Do tego biała bluzka z męskim krawatem z czarnego jedwabiu. Miękki kapelusz z rondem i cyfrą na szerokiej taśmie.

- Pani też jest w mundurze - powiedział. - Czy pani sumienie zezwala na podjęcie pracy na cele wojny?

- Nie. Mamy kłopoty finansowe. Zarabiam uczciwie, dając lekcje gimnastyki w wielkiej szkole... Ale szybko!

Jej uścisk na jego łokciu sprawił mu przyjemność. Oparł się mu nieco, cofając się, zmuszając ją do większej natarczywości. Lubił, jak prosi go ładna kobieta, a na dodatek dziewczyna Krzysztofa.

- O, nie jest to kwestia paru minut. Trzymają ich tygodniami w bazie przed wysyłką. Nie mam wątpliwości, że uda się nam wszystko dla niego załatwić. Poczekamy w hallu, aż zejdzie.

Do dobrotliwego portiera, jednego z dwóch tkwiących za pulpitem pośród ponurego i zatłoczonego hallu, powiedział, że za parę minut wejdzie do generała Hogartha. Ale żeby nie posyłać chłopca, bo może jeszcze chwilę zabawić.

Usadził się koło panny Wannop niezgrabnie na drewnianej ławie. Wokół nich przepływały tłumy, zupełnie jak na plaży. Przesunęła się trochę, żeby mu zrobić miejsce i tym samym też sprawiła mu przyjemność.

- Powiedziała pani właśnie, że jesteście w kłopotach finansowych. Czy oznacza to panią i Krzysztofa?

- Mnie i pana Tietjensa. O, nie! Chodzi o mnie z mamą! Ta gazeta, do której pisywała, przestała wychodzić. O ile wiem, po śmierci pana ojca. Myślę, że to on znajdował dla nich pieniądze. A mamie nie odpowiada praca wolnego strzelca. Zbyt ciężko w życiu pracowała.

Spojrzał na nią, wybałuszając oczy.

- Nie wiem, co oznacza bycie wolnym strzelcem. Ale musi pani żyć wygodnie. Ile potrzeba pani i pani matce, aby żyć przyzwoicie? Z niewielką nadwyżką, żeby Krzysztof mógł od czasu do czasu dostać u was kotlet barani?

Właściwie nie słuchała. Powiedział z pewnym naciskiem:

- Niech pani popatrzy! Jestem tu w interesach. Nie w charakterze starzejącego się wielbiciela, co się uparł, żeby pomóc. A jednak, na Boga, rzeczywiście podziwiam panią... Ale mój ojciec pragnął, aby pani matka żyła w dostatku...

Jej twarz zwróciła się ku niemu i zeszywniała.

- Nie myśli pan...

- Nie będzie szybciej, jeśli mi pani będzie przerywać. Muszę opowiedzieć moje historie po swojemu. Mój ojciec chciał, aby pani matce żyło się w dostatku. Mówił, że to dlatego, żeby mogła pisać książki, a nie do gazet. Nie wiem, jaka jest różnica, ale on tak mawiał. Chce też, żeby pani było dobrze... Nie ma pani żadnych obciążeń? Żadnego... interesu, powiedzmy, sklepiku z kapeluszymi, który nie daje pieniędzy? Niektóre panny mają...

- Nie... Ja tylko uczę... Proszę szybciej...

Po raz pierwszy w życiu zmienił tok swych myśli, aby uspokoić kogoś.

- Może pani przyjąć, że mój ojciec zostawił pani matce ładną sumkę. - Szybko zbierał nieuporządkowane myśli.

- A jednak! A jednak! Mimo wszystko! - powiedziała dziewczyna.

- O, dzięki Bogu!

- Będzie tam dla was trochę, jeśli pani chce - powiedział Marek. - Ale może Krzysztof pani nie pozwoli. Wobec mnie zachowuje się strasznie. I jeszcze dla pani brata, żeby kupił praktykę lekarską. Czyba pani nie zemdląca?

- Nie. Ja nie mdleję. Ja płacę.

- A, to w porządku. I tak to wygląda z pani strony. A teraz z mojej. Chcę, żeby Krzysztof miał takie miejsce, gdzie zawsze dostanie kotlet i gdzie będzie czekał fotel przy kominku. I ktoś, kto byłby dla niego dobry. Pani jest dla niego dobra. Widzę to. Znam się na kobietach!

Dziewczyna płakała, cicho i bezustannie. Po raz pierwszy poczuła ulgę, po raz pierwszy od wigilii dnia, kiedy Niemcy przekroczyli granicę belgijską w okolicach miejscowości o nazwie Gemmenich.

Zaczęło się od powrotu pani Duchemin ze Szkocji. Natychmiast z plebanii posłała po pannę Wannop, choć była późna noc. W świetle świec płonących w wysokich srebrnych lichtarzach na tle dębowej boazerii, przypominała szaloną postać z marmuru, z utkwionymi w nicości oczyma i rozwianym włosiem. Wykrzyknęła głosem ostrym, jakby dobywającym się z maszyny:

- Jak się pozbyć dziecka? Byłaś służącą! Musisz wiedzieć!

To był ten straszny wstrząs, punkt zwrotny w życiu Walentyny Wannop. Lata miały jej w wielkim spokoju, zabarwionym melancholią,

ponieważ kochała Krzysztofa Tietjensa. Lecz wcześniej nauczyła się dawać sobie radę bez tego i postrzegala świat jako miejsce wyrzeczeń, wysiłku i poświęceń. Tietjens musiał być tym mężczyzną, który przychodził do jej matki i wspaniale opowiadał. Była szczęśliwa, gdy był u nich w domu - ona w służbówce przygotowywała podwieczorek. Poza tym bardzo ciężko pracowała dla swojej matki. Pogoda była całkiem dobra i wiejski zakątek, gdzie mieszkali, wydawał się dalej świeży i miły. Była w świetnym zdrowiu, od czasu do czasu jeździła powozikiem, którym Tietjens zastąpił wóz Joela, a jej brat zbierał pochwały w Eton, uczestniczył w tylu wystawach i innych imprezach, że jak tylko znalazł się w Magdalen, matka prawie nie musiała się o niego martwić. Podziwu godny, radosny chłopiec. Nie tylko chluba uniwersytetu, ale może i jego część w przyszłości, o ile nie wyrzuci go za jego ekstrawagancje polityczne. Był komunistą!

Na plebanii byli Ducheminowie, a raczej pani Duchemin i na ogół Macmaster gdzieś w okolicy w soboty. Namiętność Macmastera do Edith Ethel i namiętność Edith Ethel do Macmastera wydawała się jedną z najpiękniejszych części życia. Zdawało się, że pławią się w morzu pięknych cytatów i wiernego oczekiwania. Macmaster nie interesował jej osobiście, ale obdarzała go zaufaniem w ślad za romantyczną pasją Edith Ethel i ponieważ był przyjacielem Krzysztofa Tietjensa. Nigdy nie słyszała, aby powiedział coś oryginalnego, kiedy posłużył się cytatem, robił to w sposób odpowiedni, ale nieuderzający. Przyjęła jednak, że jest tym właściwym mężczyzną - mniej więcej tak, jak przyjmuje się, że pociąg kolejowy prowadzi odpowiednia lokomotywa. Wybrali ją dla ciebie właściwi ludzie...

Gdy pani Duchemin stanęła przed nią jak szalona, po raz pierwszy zaświtało jej w myśli, że jej idealizowana przyjaciółka, w którą wierzyła jak w to, że stoi na ziemi pod słońcem, była kochanką swego wielbiciela... niemalże od dnia, kiedy go spotkała... Oraz że pani Duchemin zachowała gdzieś w głębi bardzo nieprzyjemne cechy charakteru i ogromnie wulgarne słownictwo. Tłukła się rozwścieczona w światło świec, na tle ciemnej boazerii, wrzeszcząc grubiańskie zwroty wyrażające najgłębszą nienawiść do kochanka. Czyżby ten grzmot nie potrafił inaczej?... Ten mały, brudny handlarz ryb z Port of Leith...

Po co więc te świece w wysokich srebrnych lichtarzach? Galeryjki wyłożone srebrną boazerią?

Walentyna Wannop nie mogłaby być smoluchem odzianym w znoszone kretonowe sukienki, sypiającym pod schodami w domu na Ealing, gdzie była kucharka-pijaczka, żona-inwalidka i trzech przekarmionych mężczyzn, żeby nie zebrać dość szerokiej wiedzy o seksualnych potrzebach i ekscesach ludzkości. Ale, podobnie jak najbiedniejsi heloci wielkich miast, upiększając sobie życie, śniąc o urodzie materialnej, elegancji i bogactwie, zawsze uważała, że z dała od świata Ealingu i miejscowych radnych, którzy przejadali się i rzeli jak ogiery, istniały jasne kolonie stworzeń czystych, o pięknym wnętrzu, altruistycznym i roztroprnym.

I, do tamtej chwili, wyobrażała sobie, że znalazła się na obrzeżach właśnie takiej kolonii. W myślach uwierzyła w istnienie towarzystwa intelektualistów skupiających się w Londynie wokół jej przyjaciół. O Ealingu zapomniała. Przypomniła sobie, że kiedyś rzeczywiście usłyszała, jak Tietjens mówi, że ludzkość składa się z jednej strony z dokładnych i konstruktywnych intelektów, a z drugiej z materiału na cmentarze... I co teraz stało się z tymi ścisłymi i konstruktywnymi intelektami?

Co gorsza, czym stała się jej piękna skłonność do Tietjensa, bo nie mogła tego uczucia nazwać niczym innym? Czyżby jej serce już nie mogło śpiewać, gdy była w służbówce i gabineciku matki? Ponadto, czym stawała się skłonność Tietjensa - o której wiedziała - do niej? Zadała sobie odwieczne pytanie (wiedziała, że jest to odwieczne pytanie), czy żaden mężczyzna i żadna kobieta nie potrafi pozostać przy pięknej skłonności. Patrząc na panią Duchemin, biegającą w przód i w tył w świetle świec, z sinoblądą twarzą i rozwianym włosom, Walentyna Wannop pomyślała: „Nie! Nie! Tygrys leżący w trzcinie zawsze podniesie łeb!”. Tygrys... to raczej przypominało pawia...

Tietjens, siedzący koło jej matki po drugiej stronie stołu przy podwieczorku, uniósł głowę i spojrzął na nią długo i medytująco: a może powinien nie mieć niebieskich i wylupiastych oczu, ale takie przedzielone pionową kreską, czarną, większą bądź mniejszą, gdy rozszerzały się czy mrużyły, na żółtym tle, pobłyskujące skrycie zielonymi iskrami?

Wiedziała, że Edith Ethel uczyniła jej krzywdę nie do naprawienia, bowiem nie da się przeżyć wielkiego wstrząsu na tle seksualnym i wrócić do swego poprzedniego stanu. Nie przez wiele lat. Mimo to pozostała przy pani Duchemin aż do wczesnych godzin rannych, kiedy tamta upadła, wiązeczka kości w szlafroczku w kolorze pawiego błękitu, na fotel i nie chciała ani się poruszyć, ani przemówić; nawet wtedy niestrudzenie czuwała przy swej przyjaciółce.

Następnego dnia wybuchła wojna. Była koszmarem czystego cierpienia, bez chwili ulgi, w dzień ani w nocy. Zaczęło się czwartego dnia rano, gdy jej brat przyjechał z jakiejś letniej komunistycznej szkoły w Oksfordzie. Miał na głowie niemiecką czapkę studencką i był bardzo pijany. Żegnał się z niemieckimi przyjaciółmi, odjeżdżającymi z Harwich. Po raz pierwszy widziała pijanego mężczyznę, więc zrobił jej miły prezent.

Następnego dnia, na trzeźwo, był nieco gorszy. Przystojny, ciemnowłosy chłopak, podobny do ojca, miał po matce orli nos i zawsze był nieco niezrównoważony - nieszalony, ale zbyt agresywny w wypowiedzianiu własnych przekonań. W letniej szkole miał nad sobą różnych złośliwych nauczycieli o najróżniejszych przekonaniach. Dotychczas nie było to istotne. Matka pisywała do gazety torysowskiej. Brat, gdy przyjeżdżał do domu, zajmował się redakcją jakiegoś oksfordzkiego organu siejącego niepokój. Ale matka tylko się podśmiewała.

Wojna to wszystko zmieniła. Oboje zdawali się dyszeć pragnieniem krwi, żadne nie zwracało najmniejszej uwagi na drugie. Zupełnie jakby (w późniejszych latach widziała taką scenę we wspomnieniach) w jednym rogu pokoju matka, starzejąca się, na kolanach, z których podnosiła się z wielkim trudem, krzyczała schrypniętym głosem modlitwy do Boga, aby pozwolił jej własnymi rękami dusić, torturować i obdrzeć ze skóry potwora zwanego Kajzerem, i jakby po drugiej stronie jej brat, wyprostowany, smagły, chmurny i złowrogi, z jedną ręką ściśniętą w pięść i uniesioną nad głową wzywał przekleństwa niebios na brytyjskiego żołnierza, aby ginął w męczarniach, rzygając krwią z poparzonych płuc. Zdaje się, że przywódca komunistyczny Edward Wannop nie odniósł większego sukcesu w swych usiłowaniach zmiany nastrojów w tej czy innej brytyjskiej jednostce wojskowej, w przykry sposób poniósł klęskę - wyśmiano go czy

zignorowano. Nie został natomiast męczennikiem, nikt nie utopił go w studni, nie zastrzelił ani nie uszkodził w żaden inny sposób. Stąd w dość oczywisty sposób wynikało, że szeregowy żołnierz jest odpowiedzialny za wojnę. Gdyby te nieszlachetne hordy odmówiły wojny, cała objęta wojną i sterroryzowana reszta rzuciłaby broń!

Na tle tego straszego koszmaru objawiała się postać Tietjensa. Wątpił. Kilkakrotnie słyszała, jak wyrażał swe wątpliwości jej matce, która z dnia na dzień stawała się coraz bardziej odległa. Któregoś dnia pani Wannop powiedziała:

- A co o tym myśli twoja żona?

- O! - powiedział Tietjens. - Pani Tietjens jest proniemiecka... No, nie całkiem tak. Ma niemieckich przyjaciół, internowanych i opiekuje się nimi. Prawie cały czas przebywa w klasztorze i czyta powieści przedwojenne. Nie może znieść myśli o fizycznym cierpieniu. Wcale jej nie mam tego za złe.

Pani Wannop już nie słuchała, ale jej córka owszem.

Dla Walentyny Wannop wojna przechyliła szalę i Tietjens stał się bardziej mężczyzną niż skłonnością - choć pomiędzy nimi była wojna i pani Duchemin. Zdawało się, że stał się mniej nieomylny. Mężczyzna wątpiący jest bardziej mężczyzną, ma oczy, dłonie, potrzebuje pożywienia i przyszywania guzików. Było tak, że przyszyła mu odpadający guziczek od rękawiczki.

Któregoś piątkowego popołudnia u Macmastera długo z nim rozmawiała - po raz pierwszy od przejażdżki i wypadku.

Od kiedy Macmaster wprowadził piątkowe popołudnia u siebie - a stało się to znacznie wcześniej niż wybuch wojny - Walentyna towarzyszyła pani Duchemin w podróży porannym pociągiem do miasta i z powrotem wieczorem na plebanię. Nalewała herbatę, a pani Duchemin przebywała w dużym, wyłożonym książkami pokoju z geniuszami i wyższymi sferami dziennikarstwa.

Wtedy (był bardzo zimny i mokry listopadowy dzień) nie przyszedł prawie nikt. Poprzedniego zaś piątku był nadzwyczajny tłum. Macmaster i pani Duchemin przyjmowali pana Sponga, architekta, i zabrali go do jadalni, aby mu pokazać wyjątkowo piękny komplet „Widoków Rzymu” Piranesiego, które Tietjens gdzieś wypatrzył i oddał Macmasterowi. Jakiś pan Jegg i pani Haviland siedzieli blisko



siebie w oknie. Rozmawiali zniżonymi głosami. Od czasu do czasu pan Jegg używał słowa „zahamowania”. Tietjens wstał z ławy przy ogniu i podszedł do niej. Kazał jej wziąć sobie herbaty i przyjść do kominka, by porozmawiać z nim. Wysłuchiwała. Siedzieli koło siebie na obitej skórą ławie, stojącej na lśniącem mosiądzu. Ogień grzał ich w plecy. Powiedział:

- No i cóż, panno Wannop. Co pani porabiała?

Zaczęli mówić o wojnie. Nie dało się inaczej. Z zaskoczeniem stwierdziła, że on nie jest tak odpychający, jak się spodziewała. Właśnie w owym czasie, na podstawie wszystkich faktów wysłuchiwanym od przyjaciół-pacyfistów, jej brata i nieustannego roztrząsania moralności pani Duchemin, wyrobiła sobie przekonanie, że wszyscy mężczyźni to demony pałające pożądaniem, które nie pragną niczego innego, jak tylko biegać po polach bitewnych, w sadystycznym szale, wbijając rannym długie sztylety. Wiedziała, że ta opinia nie może dotyczyć Tietjensa, ale i tak jej pilnie strzegła.

Przekonała się (choć podświadomie zawsze to wiedziała), że jest nad wyraz łagodny. Zbyt często przyglądała się mu, wysłuchującemu tyrad jej matki przeciwko Kajzerowi. Nie podnosił głosu, nie pokazywał po sobie żadnych uczuć. Wreszcie powiedział:

- Pani i ja jesteśmy jak dwoje ludzi... - urwał i zaczął od nowa, szybciej: - Zna pani te reklamy mydła, które przedstawiają różne obrazy, gdy na nie się patrzy pod różnymi kątami? Podchodząc, widzi się, że to reklama „mydła Małpiego”, a jak się przejdzie obok, a potem odwróci, widać „nie potrzebuje splukiwania”... Pani i ja stoimy pod różnymi kątami i choć patrzymy na to samo, odczytujemy inne hasła. Ale mam nadzieję, że szanujemy się. Oboje jesteśmy uczciwi. Ja, przynajmniej, bardzo panią szanuję i mam nadzieję, że pani szanuje mnie.

Milczała. Za ich plecami szeleścił ogień. Pan Jegg, po przeciwległej stronie pokoju powiedział:

- Brak skoordynowania... - i zniżył głos.

Tietjens spojrzał na nią pilnie.

- Pani mnie nie szanuje?

Uparcie milczała.

- Wolałbym to od pani usłyszeć.

- Och! - wykrzyknęła. - Jak mogę pana szanować, gdy jest tyle cierpienia? Tak wiele bólu? Tortur... Nie mogę spać... Nigdy... Nie przespałam nocy odkąd... Niech pan pomyśli o ogromnych przeszczeniach, rozciągających się daleko w noc... Sądzę, że ból i strach są jeszcze gorsze nocą... - wiedziała, że to mówi, ponieważ jej obawy ziściły się.

Gdy powiedział: „Wolałbym to od pani usłyszeć”, używając czasu przeszłego, wypowiedział słowa pożegnania. I jej mężczyzna też szedł.

Wiedziała też - zawsze wiedziała, nie dopuszczając do swej świadomości, a teraz przyznała się do tego - że cierpiała po części dlatego, że któregoś dnia on powie jej żegnaj, właśnie w taki sposób, poprzez fleksję czasownika. Podobnie jak czasem używał - może niechęcy - słowa „my”, tym samym mówiąc jej, że ją kocha.

Pan Jegg przeszedł spod okna. Pani Haviland już była u drzwi.

- Pozostawiamy państwa, abyście omówili wojnę - powiedział pan Jegg. - Ja osobiście wierzę, że jedynym obowiązkiem jest ochrona piękna rzeczy, jeśli to piękno da się ochronić. Trudno. Musiałem to powiedzieć.

Została sama z Tietjensem w ten cichy wieczór. Pomyślała: „A teraz musi mnie wziąć w ramiona. Musi! Musi!”. Jej najgłębsze instynkty wypływały na wierzch spod warstw myśli prawie nieuświadomionych. Czowała jego ramiona, wdychała swoisty zapach jego włosów, podobny do zapachu skórki od jabłka, ale bardzo nikły. „Musisz! Musisz!” mówiła w duchu. Oszołomiło ją wspomnienie ich wspólnej jazdy i tej chwili, obłędnej chwili, gdy wyłoniła się z białej mgły w oslepiającą jasność dnia i poczuła jak całym swym ciałem ciągnie ku niej i ona całym ciałem odpowiada. Nagłe zapomnienie... krótki jak chwila sen o upadaniu... Widziała białą tarczę słońca nad srebrnym oparem; za nimi długa, ciepła noc...

Tietjens siedział raczej skulony i opuszczony; światło płomieni igrało na srebrzystych pasmach jego włosów. Na dworze prawie już ściemniało. Mieli wrażenie, że wielki pokój, połyskujący złoceniami i ręcznie polerowanym ciemnym drewnem, wraz z upływem tygodni coraz bardziej przypominał jadalnię Ducheminów. Znużony wstał z ławy, sprawiając wrażenie, jakby ława była bardzo wysoka. Powiedział z lekką goryczą, ale z większym zmęczeniem:

- Cóż, mam teraz zadanie poinformowania Macmastera, że odchodzę z urzędu. To też nie będzie przyjemne! Chociaż to, co myśli biedny Vinnie wcale nie jest ważne. - Po chwili dodał: - To dziwne, moja droga... - Szarpana uczuciami była całkiem pewna, że powiedziała „moja droga”... - Niecałe trzy godziny temu moja żona powiedziała mi prawie dokładnie to samo, co ty. Niemal w takich samych słowach. Mówiła, że nie może sypiać po nocach, rozmyślając o wielkich przestrzeniach wypełnionych bólem, który nocami staje się straszniejszy... i ona także powiedziała, że nie potrafi mnie szanować...

Skoczyła na nogi.

- O nie! - powiedziała. - Ona tak nie uważa. Ja tak nie uważam. Prawie każdy mężczyzna, który jest mężczyzną, musi postępować tak jak pan. Ale czy pan nie widzi, że jest to desperacka próba spowodowania, żeby pan został, z powodów moralnych? Jak mogłybyśmy nie uciec się do każdej możliwej sztuczki, żeby nie stracić naszych mężczyzn? - i dodała, uciekając się do jeszcze jednej: - A poza tym, jak panu się uda pogodzić to ze swoim poczuciem obowiązku, nawet z pana punktu widzenia? Jest pan bardziej przydatny swemu krajowi... Pan wie, że tak jest! Tutaj, nieźli...

Stanął nad nią lekko zgarbiony, w jakiś sposób wyrażający wielką łagodność i obawę.

- Nie umiem tego pogodzić ze swym sumieniem - powiedział. - W tej sprawie nie ma niczego, co człowiek mógłby pogodzić z sumieniem. Nie chodzi mi o to, że nie powinniśmy brać udziału w tej aferze, czy po której ze stron. Powinniśmy. Ale powiem pani coś, o czym nie mówiłem nikomu innemu.

Wydawało się jej, że prostota jego wyznania zawstydzą wszelkie zasłyszane sztuczki słowne. Wydało się jej, jakby przemówiło dziecko. Opisał własne rozczarowanie, które odczuł, jak tylko ten kraj włączył się do wojny. Nawet opisał rozświetlone słońcem wrzosowisko na północy, gdzie naiwnie poprzysiągł sobie wstąpić do francuskiej Legii Cudzoziemskiej w randze szeregowego żołnierza i jego przekonanie, że przez to (jak to nazwał) znów będzie mógł być czysty.

Powiedział, że tamto było proste. A teraz nic nie było proste - ani dla niego, ani dla nikogo. Można było walczyć z czystym sercem o cywilizację, powiedzmy osiemnasty wiek przeciwko dwudziestemu,

czyli walczyć po stronie Francji przeciwko wrogim państwom. Ale włączenie się Anglii natychmiast zmieniało ocenę sytuacji. Dwudziesty wiek wykorzystywał wiek osiemnasty, żeby przyłożyć innej części dwudziestego wieku. Prawda, że nic innego nie dało się zrobić. Jak długo będziemy postępować przyzwoicie, jakoś da się to znieść. Można było siedzieć w pracy (i fałszować statystyki dla tych po drugiej stronie), aż człowiekowi robiło się niedobrze i w mózgu zaczynało się kręcić.

Prawdopodobnie fałszowanie statystyk (przesadzone liczby!) było złą polityką wobec wrogich państw. Prawdopodobnie i tak pod koniec dnia wszystko dałoby się zrobić jak należy. Może nie. To był problem przełożonych. Oczywiście! Pierwszy komplet składał się z facetów prostych i uczciwych. Głupich i względnie mało zainteresowanych. Ale teraz! I co robić? Mamrotał wciąż jakieś słowa.

Nagle zobaczyła w nim mężczyznę o wyjątkowo ostrym spojrzeniu na sprawy innych ludzi, na sprawy wielkiej wagi, ale traktującego własne sprawy z prostotą prawie niemowlęcą. Łagodny! I wyjątkowo niesamolubny. Nie zdradził się z jednej myśli o własnych interesach... ani jednej!

Mówił dalej:

- Ale teraz!... Ten cały tłum łajdaków! A gdyby poprosili cię, żebyś zmanipulował liczbą milionów par butów, aby zmusić kogoś, żeby wysłał jakiegoś żalosego generała z jego ludźmi do, powiedzmy, Salonik, kiedy oni sami i ty, i wszyscy, i rozsądek mówi, że to skończy się katastrofą?... I od tego do manipulowania własnymi siłami zbrojnymi... Głodzenie niektórych jednostek w celach politycznych... - Mówił do siebie, nie do niej; i wreszcie powiedział: - Widzisz, właściwie nie mogę z tobą rozmawiać. Skąd mam wiedzieć, czy nie sympatyzujesz, a może nawet działasz na rzecz wrogich państw.

Odpowiedziała z pasją:

- Nie! Nie! Jak śmiesz coś takiego powiedzieć!

- To nie ma znaczenia... Nie! Jestem przekonany, że nie jesteś...

Mimo to, wszystkie te sprawy są poufne. Skrupulatnym urzędnikom nawet nie wolno o nich mówić... A widzisz... ich skutkiem są niezliczone śmierci... bezkresne przedłużenie... wszystkie te przeszkody z powodu jakichś ubocznych celów! Jakbym dostrzegał tych ludzi

mających głowy w chmurach krwi... A widzisz... ja mam wykonywać ich polecenia, ponieważ są moimi przełożonymi... A pomaganie im oznacza śmierć niezliczonych ofiar...

Spojrzał na nią z bladym, niemal wesołym uśmiechem:

- Widzisz! Może nie jesteś od siebie aż tak daleko! Nie wolno ci myśleć, że jesteś jedyną, która dostrzega śmierć i cierpienie. Ja też się sprzeciwiam. Moje sumienie nie pozwala mi na dalszą pracę z tymi ludźmi...

- Czyżby nie było nic...

- Nie! - przerwał. - Nie ma innej drogi. W takich sytuacjach jest się albo ciałem, albo rozumem. Jak sądzę w moim przypadku przeważa rozum. Może nie. Ale moje sumienie nie pozwoli mi wykorzystywać rozumu w tej sprawie. No, to mam wielkie, zwaliste cielsko! Przyznam, że prawdopodobnie na niewiele się zdam. Ale nie ma po co żyć: to, czego się trzymałem, znikło z powierzchni ziemi. Tego, czego chcę, jak wiesz, nie mogę mieć. Więc...

Wykrzyknęła z goryczą:

- Och, powiedz to, powiedz: powiedz, że twoje wielkie cielsko zatrzyma dwie kule przed dwoma małymi i anemicznymi facetami... i jak możesz mówić, że nie masz po co żyć?! Wrócisz. Znowu będziesz robił swoją dobrą robotę. Dobrze wiesz, że pracowałeś sumiennie.

- Tak - powiedział. - Wierzę, że tak. Nienawidziłem jej, ale uwieżyłem, że owszem... Nie! Nigdy mi nie dadzą wrócić. Udało im się mnie pozbyć, i jeszcze z różnymi krechami. Będą mnie systematycznie ścigać... Widzisz, w takim świecie, jak ten, idealista (a może tylko sentymentalista) musi zostać ukamienowany. Przez niego wszyscy czują się tak strasznie niewygodnie, prześladuje ich podczas partyjki golfa... o nie, dopadną mnie w taki czy inny sposób. I jakiś facet (tutaj będzie to Macmaster) będzie wykonywał moją pracę. Nie tak dobrze, jak ja, ale bardziej nieuczciwie. Nie, może nie powinienem mówić „nieuczciwie”. Będzie ją wykonywał z entuzjazmem i przekonaniem. Będzie wypełniał rozkazy swych przełożonych z wielkim spokojem i namaszczeniem. Będzie fałszował liczby na użytek naszych aliantów z czarnym entuzjazmem Kalwina, a gdy wybuchnie ta wojna, będzie wykonywał wymagane fałszowania niczym gniew Jehowy, skierowany na kapłanów Baala. I będzie miał rację. Tylko do tego się

nadajemy. Nigdy nie powinniśmy przystępować do tej wojny. Powinniśmy zagarnąć cudze kolonie za cenę neutralności...

- Och! - wykrzyknęła Walentyna Wannop. - Jak możesz tak bardzo nienawidzić swojego kraju?

- Nie mów tak! - powiedział z ogromną szczerością. - Nie wierz w to! Nawet niech ci to przez myśl nie przejdzie! Kocham każdy cal tutejszych pól i każdą roślinę pod żywopłotem: żywokost, dziewannę... i te, którym pasterze nadają bardziej rubaszne miano... i całą resztę śmiecia. Pamiętasz to pole pomiędzy Ducheminami a posesją twojej matki? A my od zawsze byliśmy łotrami i rabusiami, i przemytnikami, i piratami, i złodziejami krów, i tak zbudowaliśmy tę wielką tradycję, którą kochamy. A w danej chwili to boli. Cała nasza banda jest bardziej skorumpowana niż za Walpole'a. Jest się zbyt blisko nich. W naszych oczach Walpole skonsolidował naród przez rozbudowanie długu państwowego, nie dostrzega się jego metod... Mój syn albo jego syn dostrzeże wyłącznie chwałę całej naszej zabałaganionej sytuacji. Może tej następnej sytuacji. Nie będzie wiedział nic o metodach. Będą go uczyć w szkole, że przez cały kraj niesło dźwięk trąbki, którą jego ojciec słyszał... chociaż to będzie następna niechlubna sytuacja...

- Ale ty! - wykrzyknęła Walentyna Wannop. - Co ty będziesz robił po wojnie?

- Ja? - zapytał z lekkim oszołomieniem. - Ja! Och... zacznę handlować starymi meblami. Oferowano mi pracę...

Nie wierzyła, aby mówił poważnie. Wiedziała, że nigdy nie myślał o swojej przyszłości. Lecz nagle miała wizję jego bliskiej głowy i bladej twarzy w półmroku zaplecza sklepu pełnego zakurzonych sprzętów. Wyjdzie, wsiądzie ciężko na zakurzony rower i pojedzie na wyprzedaż wyposażenia jakiegoś domku. Wykrzyknęła:

- Dlaczego nie zrobisz tego od razu? Dlaczego od razu nie weźmiesz tej pracy? - spytała mając na względzie to, że na zapleczu ciemnego sklepiku przynajmniej byłby bezpieczny.

- Nie! - powiedział. - Nie teraz! Poza tym handel starymi meblami prawdopodobnie nie jest teraz taki, jak zwykle... - Wyraźnie myślał o czymś innym.

- Prawdopodobnie byłem podły - powiedział - że wypowiedziałem moje własne wątpliwości. Ale chciałem sprawdzić, w których

miejscach myślimy podobnie. Zawsze (albo tak mi się zdawało) mieliśmy podobne zdanie. Zdaje się, że chciałem, abyś mnie szanowała...

- Och, szanuję cię! Szanuję! Jesteś niewinny jak dziecko.

- I chciałem też spokojnie pomyśleć. Ostatnimi czasy nieczęsto ma się do dyspozycji cichy pokój, kominek i... ciebie. Przy tobie naprawdę można zebrać myśli. Do dzisiejszego dnia czułem się całkiem pomieszany... jeszcze pięć minut temu! Pamiętasz naszą wspólną jazdę? Zanalizowałaś mój charakter. Absolutnie nikomu innemu... Ale widzisz?... Nie widzisz?

- Nie! Co mam widzieć? Pamiętam...

- Że z pewnością teraz nie jestem angielskim ziemianinem i dżentelmenem, zbierającym plotki na jarmarkach konnych i mówiącym: dla mnie kraj może iść do diabła!

- Czyżbym tak powiedziała? Tak, powiedziałam!

Ogarnęły ją fale uczucia: zadrżała. Wyciągnęła ręce... Wydawało się, że wyciągnęła ręce. Prawie nie było go widać w świetle ognia. Nie widziała niczego przez łzy. Raczej nie mogła wyciągnąć ramion, ponieważ obiema rękami przyciskała do oczu chusteczkę. On coś powiedział i nie było to nic o miłości, bo usłyszałyby go! Zaczął od słów: „Cóż, muszę...”. Przez dłuższy czas milczał; wydawało się jej, że płyną od niego w jej kierunku wielkie fale. Ale już go nie było w pokoju.

Potem, aż do spotkania w Ministerstwie Wojny, cierpiała jak w agonii, bez wytchnienia. Gazeta, do której pisała matka, przestała wypłacać, urwały się zamówienia na seriale; matka najwyraźniej podupadała. Wieczne diatryby brata cięły ją jak bicze. Wydawało się, że on modli się o śmierć Tietjensa. A ona ani nie widziała, ani o nim nic nie słyszała. U Macmasterów kiedyś dowiedziała się, że właśnie wyjechał. Tym bardziej miała ochotę krzyczeć na widok gazety. Popadli w nędzę. Policja przeszukała dom w poszukiwaniu brata i jego przyjaciół. Potem brat poszedł do więzienia gdzieś w Midlands. Przyjacielskie usposobienie sąsiadów zamieniło się w ponurą podejrzliwość. Nie mogły dostać mleka. Nie mogły dostać w okolicy nic do jedzenia. Musiały szukać daleko. Przez trzy dni pani Wannop odchodziła od zmysłów. Potem polepszyło się jej i zaczęła pisać nową książkę. Zapowiadała się bardzo dobrze, ale nie miała wydawcy. Edward wyszedł z więzienia w dobrym nastroju i pełen psot.

Najwyraźniej dostawali tam dużo do picia. Usłyszawszy, że matka oszalała na wieść o jego hańbie, i po strasznej awanturze z Walentyną, podczas której oskarżył ją o romans z Tietjensem, a w ślad za tym o militarystyczne przekonania, zezwolił matce na wykorzystanie jej wpływów (jeszcze jakieś miała) i zdobycie mu zatrudnienia na poła-wiaczu min. Cierpienia Walentyny powodowane odgłosami strzela-nia, które niesło bezustannie znad morza, spotęgowały teraz wichry. Matka czuła się znacznie lepiej - była dumna, że syn poszedł na służ-bę. Tym bardziej mogła docenić fakt, że gazeta całkiem przestała płacić. Piątego listopada niewielki tłumek spalił kukłę pani Wannop przed ich domkiem i wybił szyby na parterze. Pani Wannop wybiegła w świetle ogniska, pobiła dwóch parobków. Widok rozświetlonych ogniem włosów pani Wannop był straszny. Po tym zdarzeniu rzeźnik całkiem odmówił sprzedawania im mięsa, czy miały kartki, czy nie. Przeprowadzka do Londynu stała się absolutnie konieczna.

Horyzont nad mokradłami najeżył się lasem gigantycznych szcuzu-deł, powietrze wypełniło się samolotami, drogi samochodami woj-skowymi. Nie można było uciec od odgłosów wojny.

Gdy zdecydowały się na przeprowadzkę, wrócił Tietjens. Przez chwilę jego powrót do kraju był źródłem niebiańskiej radości. Ale gdy w miesiąc później Walentyna ujrzała go przelotem, wydał się jej bardzo ciężki, postarzały i otepiały. I wszystko niemal wróciło do normy, ponieważ wydawało się jej, że prawie stracił rozum.

Słyszac, że Tietjens miał zostać zakwaterowany (a przynajmniej zatrudniony) w okolicach Ealing, pani Wannop natychmiast wynaję-ła niewielki domek w Bedford Park, Walentyna zaś, żeby związać koniec z końcem, bo matka zarabiała straszliwie mało, najęła się jako nauczycielka kultury fizycznej w wielkiej szkole na dość dalekim przedmieściu. I choć Tietjens prawie codziennie wpadał po południu na herbatę do zniszczonego domku pani Wannop, Walentyna rzadko go widywała. Wolne popołudnie miała jedynie w piątek, a tego dnia nadal towarzyszyła w charakterze przyzwoitki pani Duchemin: spo-tykała ją na stacji Charing Cross w okolicach południa i zawoziła tam na ostatni pociąg do Rye. W soboty i w niedziele cały dzień przepisy-wała na maszynie rękopis matki.

I dlatego Tietjensa nie widywała prawie wcale. Wiedziała, że biedak stracił pamięć, ale matka twierdziła, że ogromnie jej pomagał.



Jak tylko otrzymywał porcję faktów, jego rozum błyskawicznie opracowywał rozsądne torysowskie wnioski albo zaskakujące i atrakcyjne teorie. Pani Wannop korzystała z tego wtedy (choć nie zdarzało się to zbyt często), pisała artykuły do gazety. Nadal współpracowała ze swym macierzystym organem opiniotwórczym, choć nic jej nie płacił...

Walentyna wciąż była przyzwoitką pani Duchemin, choć już nie istniało między nimi żadne bliższe porozumienie. Doskonale wiedziała, że pani Duchemin, po tym jak ją wsadziła do pociągu na Charing Cross, wysiadła na Capham Junction i wracała po zmierzchu taksówką do Gray's Inn, gdzie spędzała noc z Macmasterem. Pani Duchemin wiedziała doskonale, że Walentyna wie. Była to jakby cała parada odpowiedniego zachowania, kontynuowanego nawet po tym, jak w jakimś podejrzanym urzędzie stanu cywilnego zawarli małżeństwo, w obecności Walentyny jako jednego świadka i nieciekawie wyglądającego chłopca odźwiernego jako drugiego. Wówczas wydawałoby się, że nie ma wyraźnego powodu, dla którego Walentyna powinna towarzyszyć pani Macmaster, ale pani Macmaster powiedziała, żeby to kontynuować, póki nie zdecyduje się ogłosić faktu małżeństwa. Pani Macmaster powiedziała, że są cenzurujące języki i nawet jeśli się je później uciszy, będzie trudno, a nawet niemożliwe, zaradzić skandalowi. A poza tym pani Macmaster uważała, że owe popołudnia z geniuszami stanowią liberalną edukację Walentyny. Lecz, ponieważ Walentyna przez większość czasu siedziała przy stoliku z herbatą w pobliżu drzwi, najlepiej zapoznawała się z plecami oraz profilami dystyngowanych osobistości niż z ich intelektami. Od czasu do czasu jednak pani Duchemin pokazywała Walentynie, czyniąc wielki zaszczyt, jeden z listów otrzymanych od geniusza: zazwyczaj pochodzącego z północy Wysp, list zaś był pisany z Kontynentu albo z odleglejszego, łagodniejszego klimatu, albowiem w większości geniusze uważali, iż w owych okropnych czasach mają obowiązek podtrzymywać jedyną iskierkę piękna, migocąc w świetle. Używając słownictwa wybitnie eulogistycznego, dziwnie przypominającego namiętne listy miłosne profanów, epistoły opowiadały dzieje bądź konsultowały się z panią Duchemin w sprawach romansów z zamorskimi księżniczkami, rozwijających się chorób lub też rozwoju duchowego, który dążył do wyższych sfer moralności, tam gdzie unosiła się piękna dusza ich korespondentki.

Listy te bawiły Walentynę. W rzeczywistości bawiło ją całe to zjawisko. Dopiero sposób, w jaki Macmasterowie potraktowali jej matkę, przekonał Walentynę, że ich przyjaźń umarła, ponieważ przyjaźnie kobiece są wyjątkowo trwałe i potrafią przetrwać zadziwiające rozczarowania, a Walentyna Wannop była kobietą o wiele wierniejszą niż inne. Jeśli nie mogła podziwiać pani Duchemin jak kiedyś, naprawdę potrafiła wzbudzić w sobie podziw dla jej wytrwałego dążenia do celu, determinacji w awansowaniu Macmastera oraz jej bezwzględności w tych sprawach.

Sympatia Walentyny przetrwała nawet bezustanne oczernianie Tietjensa, gdyż Edith Ethel uważała go za kamień przytroczony do szyi jej męża, przynajmniej dlatego, że był ogromnie niepopularny, stał się dość niedbały w ubiorze i zawsze był wyjątkowo nieuprzejmy wobec geniuszy na piątkowych spotkaniach. Jednakże Edith Ethel nigdy nie czyniła tych uwag, które narastały w miarę przybywania dystygowanych osobistości na piątkowe imprezy, w obecności Macmastera. Potem znikły całkowicie i w sposób, który zastanowił Walentynę.

Pani Duchemin miała tę urazę do Tietjensa, że Macmaster był słabym człowiekiem, a Tietjens pożyczał mu pieniądze, aż zadłużył się u niego (wraz z odsetkami i innymi dodatkami) na ogromną sumę kilku tysięcy funtów. Właściwie bez żadnego powodu Macmaster wydał te pieniądze w większości na kosztowne wyposażenie mieszkania albo na kosztowne wypadki do Rye. Pani Duchemin zaś mogłaby znaleźć dla Macmastera jakie tylko chciał drobiazgi pośród mnóstwa rzeczy z plebanii i nikt by nie spostrzegł ich braku. Pani Duchemin była też całkiem gotowa pokrywać koszty podróży Macmastera. Miała nieograniczony dostęp do pieniędzy męża, który nigdy nie domagał się rozliczeń. Ale wtedy, gdy Tietjens miał jeszcze wpływ na Macmastera, wykorzystał go bezwzględnie, bezpodstawnie przekonując go (na samą myśl ogarniał ją gniew!), że byłoby to niehonorowe. I Macmaster dalej od niego pożyczał.

Jeszcze bardziej oburzający był fakt, że w czasie, gdy miała upoważnienie do dysponowania majątkiem pana Duchemina i z łatwością mogła sprzedać coś, za czym nikt by nie zatęsknił, za te parę tysięcy długu Macmastera, Tietjens z naciskiem wyperswadował Macmasterowi zgodę na jakiegokolwiek posunięcie tego rodzaju. Znowu

nakładł Macmasterowi do tej jego słabej głowy, że byłoby to niehonorowe. No, pani Duchemin (zaciśnęła usta z determinacją po tych słowach) doskonale знаła motywy działania Tietjensa. Tak długo, jak Macmaster był mu dłużny pieniądze, wydawało mu się, że ona i on nie zamkną przed nim drzwi. A u nich coraz częściej można było spotkać wielce wpływowe osobistości, u których ktoś tak leniwy jak Tietjens mógłby uzyskać jakąś odpowiednią dla siebie synekurę. Faktycznie Tietjens wiedział, co robi.

Pani Duchemin nie widziała niczego niehonorowego w proponowanych przez nią rozwiązaniach. Praktycznie odziedziczy prawie cały majątek pana Duchemina, który w owym czasie już był wariatem, a więc moralnie miała prawo do tych pieniędzy. Nieco później pan Duchemin dostał odpowiednie papiery, majątek przejęła komisja zajmująca się wariatami i zgłosiła nadzieję na przejęcie kapitału. A teraz, po śmierci małżonka, kapitał trafił w ręce zarządców, ponieważ pan Duchemin pozostawił swe posiadłości Magdalen Collego, a wdowie zaledwie dochody. Dochody były bardzo okazałe, ale mając takie wydatki, z podatkiem spadkowym i innymi opłatami (całkiem bezlitosnymi) - skąd pani Duchemin weźmie tyle pieniędzy? Testament męża udostępniał jej tyle kapitału, ile będzie potrzebowała na kupno miłego domku w Surrey, z nawet ładnym kawałkiem ziemi (wystarczy, aby pan Macmaster poznał przyjemności życia ziemianstwa). Będą hodować bydło, a zostanie jeszcze kawałek posesji na niewielkie pole golfowe i, na jesieni, Macmaster będzie mógł zaprosić przyjaciół na małe polowanie, nic specjalnego. Na więcej nie starczy. Żadnej ostentacyjności. Po prostu miły domek. To zabawne, ale miejscowi, właścianie już mówili na Macmastera „panicz”, a kobiety dygały przed nim. Ale Walentyna Wannop zrozumie, że przy tych wszystkich wydatkach nie znajdą pieniędzy na spłatę Tietjensa. Ona uważała, że już miał swoją szansę, teraz musi się obyć. Macmaster będzie płacić sam, a z tym nigdy nie da sobie rady. Przecież wystarczy spojrzeć, ile daje na utrzymanie domu. No i będą komplikacje. Macmaster zastanawiał się nad tym domkiem w Surrey i wciąż powtarzał, że skonsultuje się z Tietjensem w związku z taką czy inną zmianą. No, w progu tego domu noga Tietjensa nie postanie! Nigdy! Albo zajądą bardzo nieprzyjemne okoliczności. A raczej jeden szybki

krach! I won! Pani Duchemin zniżała się czasem do wykorzystania co bardziej obrazowych zwrotów, będących w danej chwili w modzie.

Na wszystkie te diatryby Walentyna Wannop prawie nic nie odpowiadała. Niezbyt ją to interesowało, nawet jeśli przez moment czuła się odpowiedzialna za Krzysztofa, co jej się od czasu do czasu zdarzało. Nie miała jednak szczególnego interesu w tym, aby walczyć o przedłużenie jego przyjaźni z Macmasterami, ponieważ wiedziała, że on sam szczególnie tego nie pragnął. Wyobrażała sobie, jak im odmawia przyjaźnie, nie ubierając uszczypliwości w słowa. Właściwie zgadzała się z Edith Ethel. Rzeczywiście było to demoralizujące dla tak słabego mężczyzny jak Wincent, że miał przy sobie przyjaciela z wiecznie otwartą kieszą. Tietjens nie powinien mieć książęcego gestu - była to wada, która się jej w nim nie podobała. Natomiast nie ferowała wyroku, czy byłoby to honorowe, czy nie, gdyby pani Duchemin dawała pieniądze męża Macmasterowi. Wszystkie względy przemawiały za tym, że były to pieniądze pani Duchemin, i byłoby to całkiem rozsądne, gdyby pani Duchemin spłaciła Krzysztofa. Widziała, że później cała sprawa stała się niewygodna. Ale należało pamiętać o męskich zasadach, a Macmaster przynajmniej uchodził za mężczyznę. Tietjens, tak mądrze oceniający sytuacje innych ludzi, prawdopodobnie poczynił to przemyślane posunięcie, ponieważ zarządcy majątku i spadkobiercy mogliby narobić niemało kłopotu, gdyby wydało się, że pani Duchemin uszczknęła parę tysięcy funtów. Wannopowie nigdy nie mieli do czynienia z większymi spadkami, ale Walentyna była nieraz świadkiem sankcjonowanych prawem kłótni o drobne rodzinne nieuczciwości i wiedziała, jak bywają przykre.

A więc nie komentowała nic albo prawie nic. Czasem nawet przyznawała trochę racji w kwestii demoralizacji Macmastera i to starczało. Albowiem pani Duchemin była przekonana co do własnej racji i wcale jej nie obchodziła opinia Walentyny Wannop albo uważała ją za oczywistą.

A kiedy Tietjens pojechał do Francji, przez krótki czas pani Duchemin jakby o tym zapomniała, zadowolając się stwierdzeniem, że prawdopodobnie już nie wróci, bo był z tego gatunku niezgrabiaszy, co na ogół dają się zabić. A ponieważ nie istniały żadne weksle ani

dokumenty, pani Tietjens nie miała się o co ubiegać. Więc to byłoby załatwione.

Lecz dwa dni po powrocie Tietjensa (i w taki sposób Walentyna dowiedziała się, że wrócił!) pani Duchemin wykrzyknęła ze zmarszczonymi brwiami:

- Ten głąb Tietjens jest w kraju, cały i zdrowy. No i teraz cała ta żaloszna sprawa długu Wincenta... Och!

Urwała tak nagle i tak znacząco, że nawet bijące serce Walentyny tego nie zagłuszyło. Było tak, jakby wiadomość dotarła do niej dopiero po chwili, i jakby w ciągu tej chwili pomyślała: „Bardzo dziwne. Zupełnie jakby Edith Ethel przestała go wyzywać ze względu na mnie... Jakby wiedziała!”. Ale jak Edith Ethel mogła wiedzieć, że ona kocha mężczyznę, który wrócił? Było to niemożliwe! Sama ledwie była tego świadoma. Wtedy ogarnęła ją wielka ulga: on był w Anglii. A więc któregoś dnia zobaczy go, tam w tym wielkim pokoju. Bo owe rozmowy z Edith Ethel zawsze odbywały się w wielkim pokoju, w którym po raz ostatni widziała Tietjensa. Nagle pokój wydał się piękny i była skazana na siedzenie i oczekiwanie dystyngowanych osobistości.

W istocie był to piękny pokój - stał się takim po latach. Długi i wysoki - podobnie jak u Tietjensów. Wielki żyrandol z ciętego szkła pochodzący z plebanii wisiał, pobłyskując, pośrodku, odbijany raz po raz we wklęsłych, złożonych lustrach, na szczycie których siedziały orły. Usunięto wielką ilość książek, aby zrobić miejsce na białej boazerii dla tych lusterek oraz dla ładnych pomarańczowo-brązowych obrazów Turnera, także z plebanii. Stamtąd też pochodził gigantyczny dywan w kolorze szkarłatu i lapis lazuli, wielki mosiężny kosz i wilki, wielkie story, gdzie na pawiowo-błękitnym tle cieniowane żurawie wlatywały długimi kluczami w górę trzech wysokich okien... oraz polerowane fotele Chippendale. Pośród tego wszystkiego, wdzięczna, udrapowana, nachylająca się, aby delikatnie poprawić łagodnym gestem karmazynowe róże w sławnych srebrnych wazonach, wciąż odziana w ciemnoniebieskie jedwabie, z bursztynowym naszyjnikiem i zmyślnie utrefionymi czarnymi włosami, ułożonymi dokładnie tak samo jak Julii Domny w Musee Lapidarie w Arles, poruszała się pani Macmaster - także z plebanii. Macmaster osiągnął

cel swych pragnień - aż po kruche ciastka i dziwnie pachnącą herbatę przysyłąną rano każdego piątku z Princes Street. Może pani Macmaster nie przypominała wesołych i ciętych wielkich dam Szkocji z przeszłości, zato wykazywała głębokie zrozumienie i łagodność. Zdziwiająco piękna i podziwu godna kobieta: ciemne włosy, ciemne, proste brwi, prosty nos, ciemnoniebieskie oczy ocienione włosami i wygięte usta w kolorze granatu nad brodą o linii greckiej łodzi...

Etykietą piątków rządził niemal protokół królewskiego dworu. Najbardziej dystygowaną i, o ile to było możliwe, utytułowaną osobistość prowadziło się do wielkiego orzechowego fotela stojącego ukosem przy kominku. Fotel ów miał tapicerkę z niebieskiego aksamitu, Bóg wie jak starego. Przy osobistości krążyła pani Duchemin, a jeśli była to wyjątkowo dystygowana osobistość, oboje pan i pani Macmaster. Mniej dystygowanych gości prowadziło się po kolei i prezentowało najznamienitszemu, po czym sadowali się w półkregu na pięknych fotelach, ci jeszcze mniej dystygowani rozmieszczali się grupami na krzesłach, a najmniej ważni stali, również w grupach, albo przysiadali nieśmiało na szkarłatnych siedzeniach pod oknami. Kiedy wszyscy się zgromadzili, Macmaster umieszczał się na wyjątkowo unikatowym dywaniku przed kominkiem i adresował niewiarygodnie mądre myśli do osobistości najznamienitszej, jednak od czasu do czasu zwracał się z sympatią do najmłodszego z obecnych mężczyzn, dając mu szansę na zaistnienie. W tamtych czasach Macmaster miał jeszcze czarne włosy, choć nie były już tak szczeciniaste ani tak dobrze wyszczotkowane; w brodzie miał siwe pasma i nie tak białe zęby, które nie wyglądały już na mocne. Nosił monokl w prawym oku, i utrzymywanie szkła na miejscu nadało jego twarzy wyraz lekkiego cierpienia. Dzięki monoklowi mógł jednak bardzo zbliżyć twarz do kogoś, na kim chciał wywrzeć głębokie wrażenie. Ostatnimi czasy bardzo interesował się teatrem, dlatego też w pokoju znajdowało się kilka dużych (i oczywiście poważanych i poważnych) aktorek. Czasami pani Duchemin mówiła z drugiego końca pokoju swoim niskim głosem: „Walentyno, filiżankę herbaty dla jego wysokości” bądź „dla sir Thomasa”, w zależności od sytuacji, a gdy Walentyna przebrnęła przez labirynt krzeseł z filiżanką herbaty, pani Duchemin, z przyjemnym uśmiechem wyrażającym swą wyższość oznajmiała:

„Wasza wysokość, oto moja szara ptaszyna”. Lecz zazwyczaj Walentyna siedziała samotnie przy stoliku z herbatą i goście częstowali się, czym chcieli.

Gdy Tietjens przebywał te pięć miesięcy w Ealing, dwukrotnie złożył wizytę w piątek. Za każdym razem towarzyszył pani Wannop.

Wcześniej, na pierwszych piątkach, pani Wannop, gdy tylko zechciała przyjść, była sadowiona w całej swej drapowanej czarnej krasie na tronie niczym królowa Wiktoria i siedziała tam, a wiernych podprowadzano do wielkiej pisarki. A teraz pani Wannop dostało się krzesło na zewnętrznym półkolu, chociaż wyższy oficer, ostatnio głównodowodzący gdzieś na wschodzie, i którego sukcesy wojskowe nie były szczególnie znaczne, lecz który był znany za literackość swych raportów, zasiadł jaskrawo na tronie. Mimo to pani Wannop całkiem zadowolona rozprawiła przez całe popołudnie z Tietjensem i Walentyna z ulgą patrzyła na wielką, niezgrabną, lecz zupełnie spokojną postać Tietjensa oraz na sympatię, jaką tych dwoje się darzyło.

Lecz za drugim razem tron zajęła bardzo młoda kobieta mówiąca bardzo wiele i z wielkim przekonaniem. Walentyna nie wiedziała, kim ona jest. Pani Wannop, bardzo radosna i roztrzepana, stała prawie całe popołudnie przy oknie. Nawet wtedy Walentyna zauważyła z zadowoleniem, że wielu młodych mężczyzn tłoczyło się przy starszej pani, a krąg wokół młodej był raczej niewielki.

Weszła bardzo wysoka, zgrabna i piękna jasnowłosa kobieta, ubrana nieszczęśliwie. Stała niedbale - i stąd zauważenie - przy drzwiach. Pozwoliła oczom spojrzeć na Walentyne, ale odwróciła wzrok, zanim ta mogła przemówić. Miała bujne jasnopopielate włosy, ułożone wielkimi pasmami przy uszach. W dłoni trzymała kilka wizytówek, na które spoglądała z zastanowieniem, po czym odłożyła je na karciak. Nigdy wcześniej tam nie była.

Edith Ethel - po raz drugi! - zerwała krąg otaczający panią Wannop, prowadząc młodych mężczyzn, aby złożyli hołd damie w orzechowym fotelu i pozostawiając panią Wannop z Tietjensem samych jak dwa palce. Wtedy Tietjens spostrzegł nieznaną i Walentyna już nie mogła wątpić. Przeszedł ukosem przez pokój do swojej żony i pomaszerował z nią prosto do Edith Ethel. Miał twarz całkiem pozabawioną wyrazu.

Macmaster, tkwiący pośrodku dywanu przed kominkiem, w komiczny sposób dał po sobie poznać emocje, których Walentyna właściwie nie potrafiła zanalizować. Skoczył dwa kroki, aby przywitać panią Tietjens, wyciągnął drobną dłoń, zabrał ją, wycofał się pół kroku. Monokl wypadł mu z oka i dzięki temu jego twarz przybrała wyraz mniej poruszony, ale za to włosy z tyłu jego głowy nagle zwichrzyły się. Sylwia, postępująca koło małżonka, wyciągnęła długie ramię i niedbale podała dłoń. Macmaster prawie syknął, gdy go dotknęła, jakby ktoś ścisnął mu palce w prasie. Sylwia postąpiła w kierunku Edith Ethel, która nagle stała się malutką, mało znaczącą i prawie prostacką. Natomiast sławna dama w fotelu zmniejszyła się mniej więcej do wymiarów białego króliczka.

W pokoju zaległa całkowita cisza. Każda obecna kobieta liczyła zakładki w spódnicy Sylwii i obliczała, ile materiału na taką potrzeba. Walentyna Wannop wiedziała o tym, bo sama prowadziła takie kalkulacje. Gdyby się miało tyle materiału i tyle zakładek, może własna spódnica układałaby się tak... Była to bowiem nadzwyczajna spódnica: opływała biodra, a jednak wydawała się długa i suta - mimo to nie opadała aż do kostek. Niewątpliwie było to możliwe dzięki ilości wykorzystanego materiału, podobnie jak kilt szkockiego górala, na który potrzeba dwanaście jardów. Cisza ta mówiła Walentynie, że każda kobieta i większość mężczyzn zdawała sobie sprawę, nawet nie wiedząc, że jest to małżonka Krzysztofa Tietjensa, że mają przed sobą osobistość bywającą na łamach „Illustrated Weekly”, to znaczy z pochodzeniem i z pozycją. Drobną pani Swan, od niedawna zamężną, wstała, przeszła przez pokój i usiadła obok swego męża. Walentyna potrafiła wczuć się w jej zachowanie.

Natomiast Sylwia, pozdrowiwszy z oddalenia panią Duchemin i całkiem ignorując sławę w fotelu, mimo że pani Duchemin usiłowała nieśmiało doprowadzić do przedstawienia pań, stała i rozglądała się. Sprawiała wrażenie damy, która znalazła się w szklarni i zastanawiała się, który z wystawionych kwiatów ma wybrać, ignorując kłaniających się wokół ogrodników. Dwa razy opuściła rzęsy, znakiem rozpoznania dwóch oficerów sztabowych, w dwuznacznych szkarłatach, którzy nieśmiało unieśli się z krzesel. Przychodzący oficerowie sztabowi nie byli pierwszej wody, ale mieli swe tytuły i to zupełnie wystarczało.



Wtedy Walentyna była już przy matce, która stała całkiem sama między parą okien. Z płomiennym zdenerwowaniem usunęła z krzesła grubego krytyka muzycznego i posadziła panią Wannop. I właśnie wtedy, gdy zabrzmiał głęboki, choć niepewny głos pani Duchemin: „Walentyno... filiżanka herbaty dla...”, Walentyna niosła filiżankę z herbatą matce.

Jej oburzenie było większe od pełnej rozpaczliwej zazdrości, jeśli uczucie to można nazwać zazdrością. Po co żyć i po co kochać, kiedy Tietjens miał na wieki obok siebie promienną, miłą i łaskawą doskonałość. Ale drugą wielką pasją Walentyny była jej matka.

Uzasadnienie czy nie, Walentyna uważała panią Wannop za wybitną postać, o wielkiej mądrości i wysokiej inteligencji, chętnej do dzielenia się wiedzą. Była autorką przynajmniej jednej wielkiej powieści, a nawet jeśli trwonila pozostały swój czas na rozpaczliwą walkę o byt, podobnie jak Walentyna, przynajmniej tamten jeden fakt przetrwa wieki i uczyni nazwisko matki nieśmiertelnym. Jak dotąd, Walentyny ani nie dziwił, ani nie irytował brak poszanowania Macmasterów dla wielkości matki. Macmasterowie prowadzili własną grę, a ponadto mieli swe upodobania. Gra utrzymywała ich w towarzystwie oficjalnie wpływowych, półoficjalnie i oficjalnie akredytowanych ludzi. Poruszali się między utytułowanymi, szlachetnymi z miana, przewodniczącymi i innymi personami parającymi się literaturą czy sztuką, dążyli do góry razem z krytykami, kompozytorami i archeologami na stanowiskach w pierwszorzędnym urządach państwowych, bądź na trwale związanych z periodykami co bardziej poważnymi. Jeśli jakiś autor pełen wyobraźni dawał powody, aby sądzić, że na trwale zasiądzie wysoko i będzie długo popularny, Macmaster zaczynał rozpoznawać teren i prędzej czy później pani Duchemin prowadziła z owym artystą swą uduchowioną korespondencję - albo nie.

Dotąd pani Wannop miała ich akceptację jako stała autorka artykułów wiodących oraz główny krytyk publikujący w wielkim organie prasowym, lecz gdy wielki organ przywiadł, a potem znikł, Macmasterowie już nie chcieli jej obecności na swych przyjęciach. Taka była ich gra - i Walentyna przyjmowała jej zasady. Lecz gdy prowadzili ją z taką bezczelnością i naumyślnie na oczach wszystkich - ponieważ likwidując koło rozmówców pani Wannop, Ducheminowa ani razu

nie powiedziała choć, „jak się pani miewa” do starszej kobiety! - tego Walentyna, przynajmniej w danej chwili, nie mogła znieść i zabrała-by matkę natychmiast, i nigdy nie wróciła do tego domu, gdyby nie pewne względy.

Matka ostatnio napisała i znalazła wydawcę nowej książki, która jak na razie nie groziła niepowodzeniem. Wręcz przeciwnie, jak tylko pani Wannop oderwała się od dziennikarstwa, wiecznie wyczerpującego jej moce, stworzyła coś, co było według Walentyny dobre, rozsądne i przyzwoicie wykonane. Kiedy pisarz odrywa uwagę od świata zewnętrznego, nie znaczy to wcale, że podupada jako pisarz. Wręcz przeciwnie, może to być znakiem, że rozmyślania nad pracą pochłaniają ją do tego stopnia, że cierpią na tym kontakty z otoczeniem. W takim przypadku praca zyskuje. Walentyna żywiła wielką i skrywaną nadzieję, że tak właśnie jest. Jej matka miała zaledwie sześćdziesiąt lat - wielkie dzieła wychodziły spod piór twórców między sześćdziesiątym a siedemdziesiątym rokiem życia...

Tłumek młodych mężczyzn przy starszej damie w pewnym stopniu potwierdził tę nadzieję. Naturalnie książka nie wzbudziła zainteresowania i biednej pani Wannop nie udało się uzyskać ani pensa od swego upartego wydawcy (faktycznie nie udało się jej zarobić ani pensa od kilku miesięcy i egzystowały niemal głodując w swojej ma-lutkiej norce na zarobkach Walentyny jako nauczycielki wychowania fizycznego). Lecz to trochę zainteresowania w miejscu na poły publicznym wydawało się potwierdzać, że w dziele jej matki było coś zdrowego, rozsądnego i przyzwoicie wykonanego. Nie domagała się wiele więcej od życia.

Rzeczywiście, gdy stała przy krześle matki, myśląc z pewną podniosłą goryczą, że gdyby Edith Ethel pozostawiła tych trzech czy czterech panów, ta trójka czy czwórka może sprawiłaby przyjemność matce, nadymając się niewinnie, albo gdy (Bóg wiedział, bardzo przydałoby się im troszkę przyjemności!) pewien bardzo chudy i nieporządny młody człowiek wrócił do pani Wannop i dopytywał się, czy mógłby coś krótkiego napisać o jej pisarskich zamiarach. Powiedział, że jej książka wzbudziła tyle zainteresowania. Nie wiedzieli, że jeszcze są wśród nich pisarze...

Dziwny, trójkątny ślad skierował się do nich od foteli otaczających kominek. Tak się Walentynie zdało! Pani Tietjens spojrzała na nie,

zadala Krzysztofowi pytanie i natychmiast, jakby torowala sobie droge przez wysokie do talii fale, zmiotla Macmastera i panią Duchemin, przeszla obok, zmuszajac fotele i na nich siedzacych do rozstapienia sie, a za nia w rozszerzeniu klina Tietjens i dwu raczej zawstydzonych oficerow sztabowych. Jeszcze w odleglosci jarda, a moze wiecej, Sylwia wyciagnela swe dlugie ramie i podala dloni matce Walentyny. Czystym, wysokim glosem bez zaizenowania wykrzyknela z dala, aby slyszeli ja wszyscy zgromadzeni:

- To pani jest panią Wannop. Wielką pisarką! Jestem żoną Krzysztofa Tietjensa.

Starsza pani o zmatowiałych oczach spojrzala na górującą nad nią wysoką kobietę.

- Żona Krzysztofa Tietjensa! Muszę cię ucałować za całą dobroć, jaką mi okazał.

Walentyna czula, że oczy napelniają się jej łzami. Zobaczyła, jak matka wstaje, kładzie obie dłonie na ramionach tamtej. Usłyszała jak mówi:

- Jesteś takim pięknym stworzeniem. Jestem pewna, że jesteś dobra!

Sylwia stała, uśmiechając się lekko, pochylona nieco do uścisku. Za Macmasterami, Tietjensem i oficerami sztabu, ustawił się tłumek z wybałuszonymi oczami.

Walentyna płakała. Wśliznęła się za urny z herbatą, choć prawie nie znała drogi. Piękna! Najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widziała! I dobra! Miła! Widać było, jak ślicznie podała policzek do ust biednej starszej pani... Żyć cały dzień, co dzień, przy nim... ona, Walentyna, powinna być gotowa, aby oddać życie za Sylwię Tietjens...

Nad jej głową zabrzmiał głos Tietjensa:

- Twoja matka chyba odnosi triumf! - I głosem łagodnie cynicznym, jak miał w zwyczaj, dodał: - Chyba popsula kilka szyków!

Przed oczyma mieli widok: Macmaster prowadził młodą sławę z głębi jej opuszczonego fotela do kręgu tłoczącego się wokół pani Wannop.

- Jesteś dziś całkiem wesoły - powiedziała Walentyna. - Masz inny głos. Chyba czujesz się lepiej? - Nie patrzyła na niego. Usłyszała jak mówi:

- Tak! Jestem względnie wesoły. Myślałem, że może zechcesz wiedzieć. Troszkę mego mózgu w części matematycznej chyba odżyło. Udało mi się rozwiązać dwa lub trzy głupie zadania...

- Pani Tietjens się ucieszy.

- O! Matematyka nie interesuje jej bardziej niż walki kogutów. Błyskawicznie Walentyna wyczytała między słowami nadzieję!

To wspaniałe stworzenie nie podzielało zainteresowań męża. Lecz on zniszczył nadzieję mówiąc:

- A niby dlaczego? Ma tyle własnych zajęć, w których nie ma sobie równych!

Zaczął jej opowiadać dość szczegółowo o obliczeniach, jakie przeprowadził tego samego dnia przy obiedzie. Poszedł do Departamentu Statystyki i pokłócił się strasznie z lordem Ingleby z Lincoln. Ładny tytuł sobie przyjął! Chcieli, aby poprosił o skierowanie do działu, gdzie wcześniej pracował, na pewne miejsce. Ale odpowiedział, że prędzej go ogarnie złość. Nienawidził i czuł obrzydzenie do wykonywanej przez nich pracy.

Po raz pierwszy w życiu Walentyna prawie nie słuchała, co mówił. Czy fakt, że Sylwia Tietjens miała tak wiele własnych zajęć świadczył o tym, że Tietjens nie miał u niej zrozumienia? Nic nie wiedziała o ich związku. Sylwia była czymś tak tajemniczym, że dotąd prawie nie istniała jako problem. Walentyna wiedziała, że Macmaster jej nienawidził. Wiedziała o tym od pani Duchemin, usłyszała to całe wieki temu, ale nie wiedziała dlaczego. Nigdy nie przychodziła na popołudnia do Macmasterów, ale to było naturalne. Macmaster uchodził za kawalera i modnej, młodej kobiecie można było wybaczyć, że nie chadza na kawalerskie spotkania literatów i artystów. Z drugiej strony, Macmaster tak często chodził na kolację do Tietjensów, że można go było publicznie uznawać za przyjaciela rodziny. Sylwia nie przyszła nigdy do pani Wannop. Ale kiedyś byłaby to długa podróż dla modnej damy niemającej szczególnych zainteresowań literackich. Poza tym, nie mogły się spodziewać, aby ktoś przyszedł z wizytą do ich budy na dalekich przedmieściach. Musiały się pozbyć prawie wszystkich ładniejszych rzeczy.

Tietjens mówił, że po tej burzliwej rozmowie z lordem Ingleby z Lincoln (żałowała, że był tak nieprzyjemny wobec wpływowych ludzi!) wpadł do prywatnych pokoi Macmastera, gdzie znalazł go ślepczącego nad cyframi i zebrawszy się na zupełnie głupią odwagę, zabrał Macmastera z papierami na obiad. Spojrzawszy, zupełnie bez

większych nadziei, na liczby, nagle opracował całkiem sprytną mistyfikację. Po prostu wpadła mu do głowy!

Jego głos był tak pełen radości i triumfu, że nie mogła się oprzeć i nie spojrzeć na niego. Miał zaróżowione policzki, lśniące włosy, w jego niebieskich oczach pobłyskiwało wspomnienie dawnej arogancji - i czułości! Jej serce jakby zaśpiewało ze szczęścia! Czuli, że to jest jej mężczyzna. Wyobrazila sobie, jak jego myśli ją ogarniają.

Dalej opowiadał. Odzyskał rezon i pożartował z Macmastera. Między nimi mówiąc, czyżby wykonywanie poleceń departamentu nie było łatwe? Chcieli wyraźnie wyłożyć sojusznikom, że straty wywołane zniszczeniami nie były warte wzmianki - aby nie wysłać żadnego wsparcia na ich linie! No więc, gdyby wziąć pod uwagę tylko cegły i zaprawę na obszarach zniszczonych, można było udowodnić, że straty w przeliczeniu na cegły, kafle, konstrukcje drewniane i tak dalej nie były większe od normalnych strat rocznych w kraju w okresie pokoju... Remonty domów w typowym roku kosztowały kilka milionów funtów szterlingów. Wróg zniszczył tylko tyle a tyle w przeliczeniu na cegły i zaprawę. A czymże są roczne koszty remontowania domów? Można było całkiem pominąć remont i zrobić go w roku następnym.

Wobec tego jeśli pominiemy stracone zbiory w okresie trzech lat, straconą produkcję najbogatszego rejonu przemysłowego w kraju, rozbite maszyny, okorowane drzewa owocowe, trzyletnie straty czterech i pół dziesiątych wydobycia węgla - no i straty ludzkiego życia! - możemy naszym sojusznikom powiedzieć: „Przestańcie skomleć o stratach, bo to bzdury. Jest was absolutnie stać na wzmocnienie słabych ogniw waszych linii. My zamierzamy wysłać naszych żołnierzy na Bliski Wschód, bo tam mamy swe właściwe interesy!”. I choć wcześniej czy później wytkną fałszerstwo, na pewien czas odłoży się bardzo nieprzyjemne ekspediowanie pułku.

Walentyna, oderwana od swych własnych myśli, powiedziała:

- Lecz przecież sprzeciwiłeś się własnym przekonaniom, a może nie?

- Oczywiście, że tak. Z lekkim sercem! Zawsze przyjemnie jest sformułować czyjeś obiekcje.

Zrobiła na krześle pół obrotu. Spoglądali sobie w oczy, on z góry, ona z dołu. Nie wątpiła w jego miłość; on, wiedziała, nie mógł wątpić w jej uczucie.

- Czyż nie jest to niebezpieczne - zapytała - pokazywać tym ludziom, jak to się robi?

- O nie. Nie, nie! Nie wiesz, jaką dobrą duszą jest mały Vinnie. Nie sądzę, abyś kiedykolwiek oddała mu sprawiedliwość. Nie potrafiłby przetrząsnąć moich myśli, tak jak nie przetrząsnąłby mi kieszeni! To chodzący honor!

Walentyna poczuła się bardzo, bardzo dziwnie. Potem nie była pewna, czy czuła to już wcześniej, zanim uświadomiła sobie, że patrzy na nich Sylwia Tietjens. Stała tam, wyprostowana, z dziwnym uśmiechem na twarzy. Walentyna nie była pewna, czy jest to uśmiech miły, okrutny czy po prostu lekko ironiczny, ale była całkiem pewna, że oznajmiał, iż jego właścicielka wiedziała wszystko, co tylko można było wiedzieć o uczuciach jej, Walentyny Wannop, do Tietjensa oraz uczuciach Tietjensa do niej... Całkiem jakby mężczyzna i kobieta cudzołożyli na Trafalgar Square.

Za plecami Sylwii, z rozdziawionymi ustami, znajdowali się oficerowie sztabowi. Mieli zbyt nieporządne ciemne fryzury, aby mogli wiele znaczyć, lecz w owym zgromadzeniu byli najlepszymi okazami płci męskiej - i zaanektowała ich Sylwia.

Pani Tietjens odezwała się:

- Och, Krzysztofie! Idę do Basilsów.

- W porządku. - odrzekł. - Jak tylko pani Wannop będzie miała dosyć, wsadzę ją do metra i przyjadę po ciebie.

Sylwia właśnie opuściła swe długie rzęsy w kierunku Walentyny Wannop i podążyła do drzwi, a za nią jej mała wojskowa eskorta w khaki i szkarłatach.

I od tej chwili Walentyna Wannop nie miała żadnych wątpliwości. Wiedziała, że Sylwia Tietjens wie, że jej mąż kochał ją Walentyne Wannop, i że ona, Walentyna Wannop, kocha jej męża namiętnością wszechogarniającą i niezniszczalną. Natomiast Walentyna Wannop nie wiedziała, i to pozostało nieprzeniknioną tajemnicą, czy Sylwia Tietjens jest dobra dla swego męża!

Wiele później podeszła do niej, siedzącej wśród filizanek, Edith Ethel i przeprosiła, że nie wiedziała, zanim demonstracyjnie oznajmiła to Sylwii, że w pokoju jest pani Wannop. Miała nadzieję, że znacznie częściej będą mogli widywać panią Wannop. Po chwili dodała, że

miała nadzieję, iż w przyszłości pani Wannop nie będzie musiała uciekać się do eskorty pana Tietjensa. Przecież były takimi starymi przyjaciółkami.

- Słuchaj, Ethel - odrzekła Walentyna. - Jeśli uważasz, że pozostaniesz w przyjaźni z mamą i jednocześnie odwrócisz się plecami do pana Tietjensa po tym wszystkim, co dla was zrobił, to się mylisz. Owszem, mylisz się. Mama ma naprawdę dużo wpływów.

Nie chcę, abyś w danej chwili popełniła jakiś błąd, nie teraz. Wywoływanie paskudnych kłótni jest błędem. A taką wywołasz, jeśli powiesz matce cokolwiek przeciwko panu Tietjensowi. Ona dużo wie. Pamiętaj. Mieszkała po sąsiedzku przy plebanii przez tyle lat. I ma strasznie ostry język...

Edith Ethel skuliła się, jakby przez całe jej ciało przebiegała stalowa sprężyna. Otworzyła usta, przygryzła dolną wargę i otarła ją bardzo białą chusteczką.

- Nienawidzę tego mężczyzny! Odraża mnie! Wzdragam się, gdy podchodzi bliżej do mnie.

- Wiem. Ale gdybym była tobą nie pozwoliłabym, aby dowiedzieli się o tym inni. Nie przysparza ci to chwały. To dobry człowiek.

Edith Ethel obdarzyła ją długim i kalkulującym spojrzeniem. Potem podeszła i stanęła przy kominku.

Było to pięć, co najwyżej sześć piątków przed tym, jak Walentyna Wannop siedziała z Markiem Tietjensem w poczekalni Ministerstwa Wojny. W piątek bezpośrednio to poprzedzający, gdy wszyscy goście już sobie poszli, Edith Ethel podeszła do stolika z herbatą i ze swą aksamitną łagodnością położyła prawą dłoń na lewej dłoni Walentyny. Namiętnie podziwiając ten gest, Walentyna zrozumiała, że to koniec.

Trzy dni wcześniej spotkała Walentynę ubraną w mundurek szkolny w wielkim sklepie. Dziewczyną robiąc zakupy artykułów sportowych, wpadła na panią Duchemin, która kupowała kwiaty. Pani Duchemin z wielkim poruszeniem zauważyła ubranie Walentyny. Powiedziała:

- Czyżbyś ty w tym chodziła? To naprawdę paskudne.

- Owszem chodzę. W godzinach szkolnych, gdy zajmuję się sprawami szkoły, jestem zobowiązana to nosić. I noszę po godzinach, jeśli się gdzieś śpieszę. W ten sposób oszczędzam sukienki, bo nie mam ich za wiele.

- Ależ ktoś cię może zobaczyć - rzekła Edith Ethel z cierpieniem w głosie. - To bardzo nierozsądne. Nie uważasz, że zupełnie nie myślisz o tym, że mogłabyś spotkać kogoś, kto przychodzi do nas w piątki!

- I często spotykam - powiedziała Walentyna. - Ale nie wydaje się, aby mieli coś przeciwko temu. Może myślą, że jestem w wojsku. Kobięca służba pomocnicza, to zupełnie przyzwoite...

Pani Duchemin odplynęła z ramionami pełnymi kwiatów i wyrazem agonii na twarzy.

Teraz, przy stoliku z herbatą powiedziała:

- Moja droga, zdecydowaliśmy się nie robić w przyszły piątek przyjęcia jak zwykle - Walentyna zastanowiła się, czy to zwykle kłamstwo, aby się jej pozbyć. Lecz Edith Ethel ciągnęła: - Zdecydowaliśmy się na małą uroczystość wieczorem. Po długich namysłach, doszliśmy do wniosku, że powinniśmy teraz ogłosić nasz związek. - Urwała, czekając na uwagi, ale gdy Walentyna nic nie powiedziała, mówiła dalej: - Szczęśliwym zbiegiem okoliczności... czuję, że to prawdziwie szczęśliwy zbieg okoliczności... Uroczystość ta będzie towarzyszyć innemu wydarzeniu. Choć my nie przywiązujemy do takich rzeczy większej wagi... Ale Wincentowi powiedziano na ucho, że w przyszły piątek... A może, droga Walentyno, ty już też słyszałaś...

- Nie. Nic nie wiem. Zapewne dostał ten Order Imperium Brytyjskiego. Bardzo się cieszę.

- Najjaśniejszy Pan - rzekła pani Duchemin - uznał za stosowne nadać mu zaszczytne miano szlacheckie.

- Cóż! - powiedziała Walentyna. - Szybko zrobił karierę. Nie wątpię, że zasłużył. Bardzo ciężko pracował. Szczerze ci gratuluję. Bardzo ci to pomoże.

- Zaszczyt ten - rzekła pani Duchemin - przypadł nie tylko za codzienną pracę. I dlatego tak cieszy. To za szczególnie genialne rozwiązanie, za coś wyróżniającego. Oczywiście, rzecz jest tajna. Ale...

- A, wiem! - powiedziała Walentyna. - Opracował pewne, wyliczenia udowadniające, że straty poniesione w rejonach zniszczeń, jeśli wyjąć zniszczenia sprzętu, wydajność wydobywania węgla, sady, zbiory, produkcję przemysłową i tak dalej, nie są większe niż roczne...

- Ależ, skąd wiesz? - powiedziała pani Duchemin z prawdziwym przerażeniem. - Jakim cudem wiesz?... Przecież to absolutna



tajemnica... Ten człowiek musiał ci powiedzieć... Ale jakim cudem on mógłby wiedzieć?

- Nie rozmawiałam z panem Tietjensem od czasu jego ostatniej wizyty tutaj - powiedziała Walentyna.

Z zachowania Edith Ethel rozumiała, jak wygląda cała sytuacja. Ten żaloszny Macmaster nawet nie powiedział własnej żonie, że właściwie ukraść obliczenia od kogoś innego. Pragnął odrobiny prestiżu przy własnym ognisku domowym, choć raz odrobinę prestiżu! No cóż! Czemu nie? Wiedziała, że Tietjens życzyłby sobie, aby miał, ile się dało. I dlatego powiedziała:

- O, coś takiego pewnie jest w powietrzu... Wiadomo, że rząd chce zerwać umowy z głównym dowództwem. I każdy, kto im w tym pomoże, dostanie szlachectwo...

Pani Duchemin uspokoiła się.

- Faktycznie - rzekła - pokazało to (jak mawiacie) tym paskudnym ludziom. - Rozmyślała chwilę. - Prawdopodobnie masz rację. Coś takiego jest w powietrzu. Wszystko, co pomoże wpłynąć na zmianę opinii publicznej wobec tych obrzydliwych ludzi, jest witane z radością. To powszechnie wiadomo... Nie! Nie mógłby tego wymyślić Krzysztof Tietjens ani powiedzieć tobie. Takie coś nie przyszłoby mu do głowy. On się z nimi przyjaźni! Oczywiście...

- Oczywiście - powiedziała Walentyna - że on nie jest przyjacielem wrogów własnego kraju. Ja też nie.

Pani Duchemin wykrzyknęła ostro, szeroko otwierając oczy.

- Co masz na myśli?! Co śmiesz mieć na myśli?! Uważałam, że jesteś proniemiecka!

- Nie jestem! Wcale nie!... I nienawidzę, że ludzie giną... że gdziekolwiek giną... że gdzieś ktoś ginie... - Uspokoili się siłą woli. - Pan Tietjens mówi, że im bardziej przeszkadzamy naszym sojusznikom, tym bardziej przedłużamy wojnę i tym więcej ludzi traci życie... Rozumiesz? Więcej traci życie...

Pani Duchemin przyjęła swą najbardziej dumną, czułą i odległą pozę.

- Moje biedne dziecko - rzekła - czemuż miałoby cię obchodzić zdanie tamtego skrzywionego człowieka? Możesz go ode mnie ostrzec, że robi sobie złą opinię, chodząc i opowiadając takie dyskredytujące rzeczy. Jest napiętnowany. Skończony! Nic nie da, że

GugGums, że mój mąż, będzie się starał za niego wstawiać.

- Czyżby naprawdę wstawiał się za niego? - zapytała Walentyna. - Nie wiem tylko, po co. Pan Tietjens bez wątpienia potrafi sam o siebie zadbać.

- Moje dobre dziecko - rzekła Edith Ethel - poznaj więc najgorsze. Nie ma w Londynie człowieka bardziej zdyskredytowanego niż Krzysztof Tietjens i mój mąż wyrządza sobie niezmierną krzywdę, wstawiając się za nim. Jest jedynym powodem naszych kłótni. Póki miał rozum, jakoś to było. Mawiano, że jest w jakimś stopniu inteligentny, choć ja nigdy nie spostrzegłam ani przesłanki. Teraz pijaństwo i rozpusta doprowadziły go do tego stanu, ponieważ nie ma innego wyjaśnienia jego kondycji! Powiem ci, że wykreślają go z jego urzędu...

Wtedy, po raz pierwszy, przez głowę Walentyny Wannop niczym szalona inspiracja, przemknęła myśl, że ta kobieta musiała kiedyś kochać się w Tietjensie. Całkiem możliwe (bo mężczyźni są, jacy są), że nawet kiedyś była kochanką Tietjensa. Inaczej Walentyna nie potrafiła wytłumaczyć sobie owej całkiem bezpodstawnej złej woli. Z drugiej strony nie czuła żadnego impulsu, aby bronić Tietjensa przed oskarżeniami, które nie mogły mieć żadnych realnych podstaw.

Pani Duchemin ciągnęła ze swą dobrotliwą wyższością:

- Oczywiście, taki mężczyzna, w takim stanie, nigdy nie zrozumie wyższej polityki! To absolutnie konieczne, aby tacy nie dzierżyli wyższej władzy. Pobudzałyby ich nienormalnego, militarystycznego ducha. Trzeba ich powstrzymywać. Oczywiście mówimy między sobą, ale mój mąż twierdzi, że takie są przekonania w najwyższych kręgach. Pozwolić im, aby robili co chcą, nawet gdyby to miało doprowadzić do wcześniejszych sukcesów, ustanowiłoby precedens (tak mówi mój mąż!), w porównaniu z którym kilka śmierci...

Walentyna skoczyła na nogi. Miała zmienioną twarz. - Na Chrystusa! - krzyknęła. - Tak jak wierzysz, że Chrystus dla ciebie zginął, postaraj się zrozumieć, że tu chodzi o miliony ofiar. Pani Duchemin uśmiechnęła się.

- Moje biedne dziecko - rzekła. - Gdybyś poruszała się w tych wysokich kręgach, spoglądałabyś na te sprawy z większym spokojem...

Walentyna oparła się o tył krzesła.

- Ty nie poruszasz się w wysokich kręgach - powiedziała. - Miej wzgląd na niebiosą (i na siebie) i pamiętaj, że jesteś kobietą, i nie od zawsze, nie na zawsze, snobką. Kiedyś byłaś dobrą kobietą. Wytrwałaś przy mężu dość długo...

Pani Duchemin cofnęła się gwałtownie na fotelu.

- Moja dobra dziewczyno, czyżbyś oszalała?

- Tak, prawie. Mam brata na morzu. Miałam przez nieskończenie długi czas ukochanego mężczyznę na wojnie. Może to zrozumiesz, że można oszaleć na samą myśl o cierpieniu... a ja wiem, Edith Ethel, że ty obawiasz się mojego zdania o sobie, bo nie prowadziłaś tych wszystkich intryg i tajemnic przez tyle lat...

- O, moja dobra dziewczyno - powiedziała szybko pani Duchemin. - Jeśli masz tu interesy osobiste, trudno spodziewać się, że będziesz potrafiła spojrzeć obiektywnie na sprawy wyższego rzędu. Lepiej zmieńmy temat.

- Bardzo proszę - powiedziała Walentyna. - Proszę, kontynuuj swe wymówki, dlaczego nie poprosisz mnie i mamy na twoje przyjęcie z okazji nadania szlachectwa.

Na to i pani Duchemin powstała. Sięgnęła po bursztynowe paciorki długimi palcami, które były lekko wywinęte przy opuszkach. Za sobą miała wszystkie swoje lustra, szlifowane szkła, pobłyskujące złocenia i polerowane ciemne drewno. Walentyna pomyślała, że nigdy w życiu nie widziała kogoś tak doskonale udającego dobroć, czułość i powagę.

- Moja droga, miałam zasugerować, że będzie to takiego rodzaju przyjęcie, na które mogłabyś nie chcieć przyjść... Będą obecni sztywni, oficjalni goście, a ty prawdopodobnie nie masz sukienki.

- Owszem, mam sukienkę. Ale w moich odświętnych pończochach puściło oczko. Całkiem przypomina drabinkę. Takiej drabiny nie potrafiłabyś kopniakiem odtrącić. - Nie umiała się powstrzymać od tych słów.

Pani Duchemin stała w bezruchu i powoli do jej twarzy napłynęła czerwień. Bardzo to było ciekawe zjawisko - na szkarłatnym tle białka oczu i ciemne, proste brwi, które prawie się stykały. Powoli znowu jej twarz pobladła, potem jej ciemnobłękitne oczy wyostrzyły się. Wydawało się, że wyciera jedną białą, długą dłoń o drugą. Włożyła prawą dłoń w lewą i wysunęła.

- Przykro mi - oznajmiła głuchym tonem. - Mieliliśmy nadzieję, że gdy ten człowiek pojedzie do Francji... albo że zdarzy się coś innego... będziemy mogli kontynuować stare przyjazne stosunki. Lecz sama widzisz, że z naszą pozycją nie można się spodziewać, że będziemy się przysługiwać...

- Nie rozumiem!

- Może wolałabyś, abym nie mówiła dalej? - odpaliła pani Duchemin. - Wolałabym nie mówić.

- Może lepiej mów.

- Zamierzaliśmy - powiedziała starsza kobieta - wydać cichą kolację, nas dwoje i wy, przed przyjęciem, za dobre stare czasy. Ale ten człowiek się wprosił i sama widzisz, że nie możemy równocześnie zaprosić ciebie.

- Nie wiem, dlaczego nie. Zawsze lubię widzieć się z panem Tietjensem!

Pani Duchemin popatrzyła na nią hardo.

- Nie wiem, po co jeszcze przybierasz tę pozę. Chyba wystarczy, że twoja matka chadza z tym mężczyzną, i że zdarzają się takie okropne sceny, jak wtedy w piątek. Pani Tietjens zachowała się po bohatersku. Lecz nie masz prawa poddawać nas, swych przyjaciół, takim próbom.

- Masz na myśli... żonę Krzysztofa Tietjensa...

- Mój mąż upiera się, aby ciebie prosić. Ale nie zaproszę. Po prostu nie. Wymyśliłam dla ciebie wymówkę o sukience. Oczywiście, że moglibyśmy ci dać suknię, jeśli ten mężczyzna jest tak skąpy lub tak biedny, że nie może cię przyzwoicie utrzymać. Lecz powtarzam, nasza pozycja nie pozwala nam uczestniczyć (to byłoby szaleństwo!) w tej intrydze. Tym bardziej, że jak się zdaje jego żona miałaby ochotę się z nami przyjaźnić. Odwiedziła nas raz, możliwe, że jeszcze przyjdzie. - Urwała, po czym ciągnęła z powagą: - I ostrzegam cię, gdy dojdzie do zerwania (co być musi, bowiem która kobieta mogłaby taką sytuację zdzierżyć?), my staniemy po stronie pani Tietjens. Zawsze znajdzie u nas dom.

Zaskakujący obrazek Sylwii Tietjens, stojącej obok Edith Ethel i górującej nad nią podobnie jak żyrafa góruje nad emu, pojawił się przed oczyma Walentyny.

- Ethel! Czy to ja zwariowałam, czy ty? Doprawdy, nie mogę zrozumieć...

Pani Duchemin krzyknęła:

- Na Boga, zamilcz, ty bezwstydnico! Urodziłaś mu przecież dziecko!

Nagle Walentyna zobaczyła wysokie srebrne lichtarze, ciemną po-  
lerowaną boazerię plebanii i twarz szalejącej Edith Ethel, jej rozwi-  
chrzone włosy fruujące pomiędzy nimi.

- Dziecko? Z pewnością nie. Wbijesz to sobie do głowy? Z pewno-  
ścią nie. - Poczyła jeszcze jeden wysilek, czując niezmierne zmę-  
czenie. - Zapewniam cię, błagam, abyś mi uwierzyła, jeśli to ci sprawi  
ulgę, że pan Tietjens nigdy nie skierował do mnie ani słowa o miło-  
ści. Ani ja do niego. Przez ten cały czas naszej znajomości prawie ze  
sobą nie rozmawialiśmy.

- Siedem osób - powiedziała pani Duchemin schrypniętym gło-  
sem - podczas minionych pięciu tygodni powiedziało mi, że miałaś  
dziecko tej podłej kreatury, że jest zrujnowany, bo musi utrzymywać  
ciebie i twoją matkę, i dzieciaka. Nie zaprzeczysz, że gdzieś chowa  
jakiegoś dzieciaka?

Walentyna krzyknęła:

- Och Ethel, nie wolno ci... nie wolno ci mi zazdrościć! Gdybyś  
tylko wiedziała, nie byłabyś zazdrosna... Domyślałam się, że tamto  
twoje nienarodzone dziecko było dzieckiem Krzysztofa? Tacy są męż-  
czyźni... Ale nie o mnie! Nigdy, nie musisz. Byłam ci najlepszą przy-  
jaciółką, jaką kiedykolwiek mogłaś mieć...

Pani Duchemin wydała chrapliwy okrzyk, jakby ją ktoś dusił.

- Szantaż! Wiedziałaś, że do tego dojdzie! Zawsze, z takimi jak  
ty. No to rób, co potrafisz, ladacznico. Nigdy więcej nie postawisz  
nogi w tym domu! Idź i zgnij...

Nagle na jej twarzy pojawił się wyraz skrajnego przerażenia i błę-  
skawicznie pobiegła w głąb pokoju. Natychmiast potem czule nachyla-  
ła się nad wielką wazą róż pod żyrandolem. Zza drzwi dobiegł głos  
Wincenta Macmastery.

- Wejźdź, staruszkule. Oczywiście, że mam dziesięć minut. Ta książ-  
ka jest gdzieś tutaj...

Przy niej stał Macmaster, pocierając dłonie, pochylony, w dziwny  
sposób sugerujący opuszczenie, patrzący na nią cierpiąco przez monokl,

który gigantycznie powiększał mu rzęsy, czerwoną dolną powiekę i żyłkową tęczęwkę.

- Walentyno! Moja droga Walentyno... Słyszałaś? Zdecydowaliśmy się ogłosić światu... GugGums zapewne zaprosiła cię na naszą małą ucztę. I, jak sądzę, będzie niespodzianka...

Nachylona Edith Ethel spojrzała rozpaczliwie i surowo przez ramię w kierunku Walentyny.

- Tak - odparła dzielnie tamta, kierując głos w stronę Edith Ethel - Ethel mnie zaprosiła. Postaram się przyjść...

- Ależ przecież musisz - powiedział Macmaster. - Tylko ty i Krzysztof. Byliście dla nas tacy dobrzy. W imię dawnych, dobrych czasów. Nie moglibyście...

Od drzwi powoli przybliżał się Krzysztof Tietjens, wyciągając do niej nieśmiało dłoń. Ponieważ praktycznie nigdy w domu nie uściśnęli sobie rąk, z łatwością jej uniknęła. Pomyślała: „Jak to możliwe? Jak mógł?” i ogarnęła ją cała ta straszna sytuacja: żalosny mały mąż, desperacko nonszalancki kochanek i Edith Ethel, szalejąca z zazdrości! Domostwo skazane na zagładę. Miała nadzieję, że Edith Ethel widziała, jak nie podała ręki Krzysztofowi.

Lecz Edith Ethel nachylała się nad swoją wazą róż i zatapiała swą piękną twarz w każdym kwiecie po kolei. Była przyzwyczajona przeciągać tę czynność na kilka dobrych minut: wydawało się jej, że wówczas przypomina obraz namalowany przez bohatera pierwszej małej monografii małżonka. I owszem, pomyślała Walentyna, tak było. Chciała powiedzieć Macmasterowi, że po południu w piątek ma zawsze kłopot z wyjściem, lecz za bardzo boleśnie miała ściśnięte gardło. Wiedziała, że to jej ostatnie spojrzenie na Edith Ethel, którą bardzo kochała. I miała też nadzieję, że jest to jej ostatnie spojrzenie na Krzysztofa Tietjensa - którego także bardzo kochała... Wielki i niezgrabny szukał czegoś na półce z książkami.

Macmaster szedł za nią do kamiennego przedpokoju, hałaśliwie powtarzając zaproszenie. Nie mogła mówić. Przy wielkich, obitych żelazną blachą drzwiach trzymał jej dłoń całą wieczność, spoglądając płacząco i przybliżając twarz. Wykrzyknął, udając wielką odwagę:

- Czyżby GugGums?... Nie? - z bliska jego twarz wydawała się trochę nalana i teraz zmieniona od zmartwienia. Rzucił szybkie i spanikowane spojrzenie w kierunku drzwi do salonu.

Walentyna wydusiła z siebie.

- Ethel powiedziała mi, że ma zostać lady Macmaster. Bardzo się cieszę. Naprawdę cieszę się w waszym imieniu. Macie, czego chcieliście, nieprawdaż?

Jego ulga pozwoliła mu na oderwane uwagi, zupełnie jakby był zbyt zmęczony, aby się więcej podniecać.

- Tak! Tak! Oczywiście... to tajemnica... Nie chcę, aby on wiedział aż do przyszłego piątku... to będzie jakby *bonne bouche*... Raczej na pewno znowu wyjeżdża w sobotę... Wysyłają ogromną liczbę... wielkie pchnięcie...

Wtedy usiłowała zabrać rękę, nie rozumiała, o czym opowiada. Mówił, że oddałby wszystko za wesołą kompanię. Dobiegły ją dość zadziwiające słowa: *Wie im alten schonen Zeit*. Nie wiedziała, czy to on, czy ona ma oczy pełne łez.

- Wierzę - wykrzyknęła - wierzę, że jest pan dobrym człowiekiem!

W wielkim kamiennym przedpokoju obwieszonym japońskim malarstwem na jedwabiu nagle zajaśniało światło elektryczne. W najlepszym razie było to smętne i brunatne miejsce.

- Ja także błagam, abyś uwierzyła, że nigdy nie porzucę... - spojrzał w kierunku wewnętrznych drzwi i dodał: - Was obojga... Nigdy was nie porzucę - powtórzył.

Puścił jej dłoń. Stała na kamiennych schodkach; czuła wilgotne powietrze. Wielkie drzwi zamknęły się nieodwołalnie za nią, posyłając w dół maleńkie zawirowanie powietrza.

Oświadczenie Marka Tietjensa, że jego ojciec mimo wszystko wykonał dawne przyrzeczenie, że zaopiekuje się panią Wannop w taki sposób, który pozwoli jej zająć się pisaniem trwalszych pozycji do końca życia, uwolniło Walentynę Wannop od wszystkich problemów, oprócz jednego. Ten jeden pojawił się oczywiście natychmiast i w gigantycznych rozmiarach.

Miała dziwny, nienaturalny tydzień, zdominowany - o dziwo - drętwym uczuciem, że nie będzie miała nic do roboty w piątek! Uczucie to powracało, gdy spoglądała na setkę dziewcząt ubranych w sweterki i czarne męskie krawaty, stojących szeregiem na asfalcie; znowu gdy wskakiwała do tramwaju, gdy kupowała puszkowaną czy suszoną rybę stanowiącą podstawę żywienia jej i matki, gdy zmywała

po obiedzie, kłóciła się z kamienicznikiem o stan wanny lub pochylała nad wielkim i bezlitosnym pismem matki w rękopisie powieści. Powracało i odrywało ją od codziennych zajęć, ni to radość, ni przygnębienie; czuła się jak ktoś, kto, ciesząc się z wolnego czasu, wiedział, że zyskał ten czas przez konieczność wycofania się z pracochłonnego lecz pochłaniającego zajęcia. Nie będzie nic do zrobienia w piątki!

Czuła się też jakby wyrwano jej z ręki powieść i nigdy miała nie dowiedzieć się zakończenia. Wiedziała, jak skończyła się bajka: szczęśliwy i dzielny krawczyk ożenił się ze swą śliczną, podniesioną do rangi księżniczki gęsiarką i znalazł się na dobrej drodze do pochówku w Opactwie Westminsterskim - a przynajmniej nabożeństwa *in memoriam*, gdyż panicza zwykle chowa się pośród wiernych wieśniaków. Ale nigdy się nie dowie, czy wreszcie skompletują tyle niebieskich flamandzkich kafli, ile im trzeba na wyłożenie łazienki... Nie będzie wiedzieć. A jednak jej dotychczasowe życie w dużej mierze składało się z bycia świadkiem podobnych ambicji.

A więc, pomyślała, skończyła się następna opowieść. Pozornie historia jej miłości do Tietjensa wydawała się dość statyczna. Zaczęła się od niczego i na niczym skończyła. Lecz w głębi duszy - o! zaistniał duży postęp. Za przyczyną dwóch kobiet. Przed sceną z panią Duchemin było niewiele młodych kobiet tak mało zainteresowanych podtekstami seksualnymi namiętności czy też życia. Miesiące spędzone na służbie spowodowały, że seks, widziany od strony kuchni, zdawał się sprawą odrażającą, podczas gdy uzyskana wiedza o tym, w jaki sposób się przejawia, odarła go z tajemnicy, nad którą rozmyślała większość znanych jej młodych kobiet.

Wiedziała, że ma dość oportunistyczne zdanie o moralnych aspektach seksu. Dorastała między ludźmi o „zaawansowanych” poglądach i gdyby zobowiązano ją do publicznej wypowiedzi, prawdopodobnie dotrzymując wiernie kroku towarzyszom, zadeklarowałaby, że ani moralność, ani względy etyczne nie mają tu nic do rzeczy. Podobnie jak większość jej młodych przyjaciół, pozostających pod wpływem nowoczesnych nauczycieli oraz tendencyjnych pisarzy epoki, opowiedziałaby się za (oświeconą, oczywiście!) swobodą. To było przed rewelacjami pani Duchemin! Tak naprawdę niewiele uwagi poświęcała tej sprawie.



Mimo to, nawet wtedy, gdyby odwołano się do głębszych stref jej duszy, odpowiedziałyby, że brak wstrzemięźliwości płciowej był wyjątkowo obrzydliwy oraz że należy cenić czystość w całym tym wyścigu, którym jest życie. Ojciec wychował ją w podziwieniu dla sportu. Była świadoma, że sprawność ciała osiąga się dzięki czystości, wstrzemięźliwości, trzeźwości oraz innym cechom zgrupowanym pod ogólnym hasłem abnegacji. Nie mogłaby żyć wśród klasy służących z Ealingu (najstarszy syn w tym domu był zaplątany w dziwnie śliską sprawę o nadużycie zaufania i przeróżne komentarze na ten i podobne tematy, wypowiedane przez pijaną kucharkę, zaczynały się od sentymentalnie ostrożnych po ekstremalnie prostackie, w zależności od stanu upojenia), a więc nie mogłaby mieszkać wśród służby i podświadomie wyciągnąć jakiegokolwiek inne wnioski. Wobec czego, dzieląc świat na jasne stworzenia po jednej stronie oraz, po drugiej stronie, na materiał cmentarny, którego życiowe ruchy były nieistotne, dochodziła do wniosku, że jasne stworzenia, choć publicznie wypowiadają się za oświeconą swobodą, postępują absolutnie wstrzemięźliwie. Była świadoma, że jasne stworzenia od czasu do czasu odchodzą od owych reguł, aby stać się wieszczącą Egeria, lecz z humorem uważała kobiety takie jak Mary Wollstonecraft, pani Taylor i George Eliot z poprzedniego stulecia za utrapione piły. Ponieważ była zdrowa i pracowała ciężko, z przyzwyczajenia patrzyła na całą sprawę jeśli nie z humorem, to przynajmniej z pobłażaniem, mając ją za utrapienie.

Lecz gdy przed jej własnymi oczami rozgrywała się rzecz o seksualnych potrzebach prawdziwej Egerii, wszystko nabrało cech koszmaru. Albowiem pani Duchemin odsłoniła fakt, że jej cichy rozsądek, jej uładzony i wyestetyzowany charakter jest zdublowany charakterem przynajmniej tak prostackim i niezmiernie bardziej nieogładnym niż pijanej kucharki. Słowa, jakimi określała kochanka, mówiąc o nim nie inaczej jak „ten grzmot” czy „tamto zwierzę”, naprawdę boleśnie raziły dziewczynę, jakby co kilka słów padała kolejna wewnętrzna podpora. Prawie nie dawała rady iść w ciemnościach z powrotem do domu.

Nigdy też nie usłyszała, co stało się z dzieckiem pani Duchemin. Następnego dnia pani Duchemin była tak samo roztropna, uładzona i zorganizowana, jak zawsze. Ani jedno słowo więcej nie padło w tej sprawie, pozostawiając w myślach Walentyny Wannop ciemną plamę

- jakby skrywającą morderstwo - na którą nigdy nie powinna spojrzeć. Ponadto, w jej mrocznym świecie seksualnego rozgardiaszu, pojawiało się podejrzenie, że kochankiem przyjaciółki mógł być Tietjens. Przez prostą analogię. Pani Duchemin wydawała się jasnym stworzeniem i Tietjens także. Lecz pani Duchemin była obrzydliwą ladacnicą... a więc tym bardziej Tietjens, który będąc mężczyzną i samcem, miał większe płciowe potrzeby... Nigdy nie pozwalała sobie na całkowite sformułowanie tej myśli.

Tego, co zawierała w sobie ta myśl, nawet nie niszczyło przypomnienie Wincenta Macmastera. Uważała, że on jest takiego rodzaju mężczyzną, którego z konieczności zdradzi albo kochanka, albo przyjaciel. Wydawał się o to prosić. Poza tym, kiedyś zadała sobie pytanie, czy jakakolwiek kobieta, mając taki wybór i taką okazję (a Bóg wiedział, okazji było wiele), wybrałaby ten cień, ten wysuszony liść, gdy obok znajdował się wspaniały i męski Tietjens, w którego ramionach można by lec. Tak postrzegała tych dwóch mężczyzn. I to mgliste przekonanie utwierdziła i uzasadniła pani Duchemin, która nieco później zaczęła obdarzać Tietjensa epitetami „grzmot” i „zwierzę” - tymi samymi, którymi określiła ojca swego ewentualnego dziecka!

Lecz wtedy Tietjens musiał ją porzucić, a jeśli porzucił panią Duchemin, to będzie dostępny dla niej, Walentyny Wannop! Uważała, że jest to nieszlachetne uczucie, lecz pochodziło z głębi jej jestestwa i obszarów, nad którymi nie panowała, a nazwane, przyniosło ulgę. Potem, gdy wybuchła wojna, cały problem wygasł. Pomiędzy wypowiedzeniem wojny a, zdawałoby się, nieuchronnym wyjazdem kochanka, poddała się czemuś, co wydawało się jej najczystszy fizycznym pożądaniem. Pośród straszliwych, druzgoczących cierpień owego czasu, nie miała innego wyjścia, niż poddać się. Nieustająca obecność myśli o cierpieniu, nieustająca obecność myśli, że jej kochanek także niebawem będzie musiał cierpieć, spowodowała, że na całym świecie nie było innego kierunku ucieczki. Żadnego innego!

Poddała się. Czekala tylko na jego słowo lub spojrzenie, które ich połączy. Była skończona. Czystość? Niech odejdzie! Jak wszystko inne!

Nie miała pojęcia o fizycznej stronie miłości. Kiedyś, gdy tylko była przy nim, gdy wchodził do pokoju, gdzie się znajdowała, albo na samą wieść, że przyjeżdża do wsi, nuciła całe dni i czuła cieplejsze

prądy przebiegające po skórze. Wyczytała gdzieś, że wypity alkohol powoduje tłoczenie krwi do powierzchniowych naczynek ciała, wywołując uczucie ciepła. Nigdy nie piła alkoholu, albo nie tyle, aby wystarczyło na odczuwalne wywołanie takiego skutku, ale wyobraziła sobie, że w taki sposób miłość oddziaływała na ciało - i że to już będzie to!

Później, w najbliższej przeszłości, oszałamiało ją o wiele większe poruszenie. Wystarczyło, aby Tietjens podszedł do niej, a całe jej ciało dążyło do niego, tak samo jak stojący nad wielką przepaścią człowiek nie może oprzeć się i nie podejść do brzegu. Wielkie fale krwi przetaczały się od jej stóp do głowy, jakby jakieś nieodkryte siły oddziaływały na ten płyn ustrojowy.

Raz wcześniej, przez ułamek sekundy, po tamtej ich długiej przejażdżce w ciepłą noc, poczuła taki impuls. Teraz, po wielu latach, targały nią cały czas, na jawie i w półśnie i nie pozwalały jej spać. Stała całymi nocami przy otwartym oknie, aż gwiazdy bledły nad poszarzałym światem. Czuła konwulsyjną radość albo też łkała niepoohamowanie.

Ten dzień, kiedy długo rozmawiała z Tietjensem pośród zgromadzonych śliczności meblujących dom Macmasterów, zapisała w myślowym kalendarzu jako wielką scenę miłosną. Było to dwa lata temu; wtedy odchodził do wojska. A teraz znowu wyjeżdżał. Dzięki temu wiedziała, jak wygląda scena miłosna. Odbyla się bez żadnej wzmianki o słowie „miłość”, odbyla się serią impulsów odczutyh na skórze, jej ciepła i drżenia. A jednak z każdym powiedzianym do siebie słowem wyznawali swą miłość; tak samo jak, wsłuchując się w śpiew słowika, można usłyszeć pragnienia kochanka, które tłuką się o twoje serce.

Każde słowo powiedziane wśród zgromadzonych u Macmasterów śliczności stawało się ogniwem mowy miłosnej. Nie tylko poczynił jej wyznanie, którego nie wypowiedziałby nikomu na świecie („nikomu innemu na świecie!” - tak powiedział!) o swoich wątpliwościach, złych przeczuciach i lękach, ale każde jego słowo do niej skierowane, podczas gdy działał ten czar, śpiewało o namiętności. Gdyby powiedział: „Chodź” - poszłaby za nim na koniec świata; gdyby powiedział: „Nie ma nadziei” - poznałaby ostateczną rozpacz. Ponieważ nie powiedział ni tego, ni tego, wiedziała, że mówił: „Taki nasz los, tak musimy wytrwać!” i wiedziała też, że podobnie jak ona był... po stronie aniołów. Wiedziała, że jest na tyle zrównoważona, więc gdyby

powiedział: „Czy dzisiejszej nocy zostaniesz moją kochanką?”, odpowiedziałyby: „Tak”, ponieważ było naprawdę tak, jakby znaleźli się na końcu świata.

Lecz jego wstrzemięźliwość nie tylko umocniła jej upodobanie do czystości, ale i odnowiła wiarę w świat pełen cnót i starań. Przynajmniej przez pewien okres znowu czasem nuciła, ponieważ czuła jakby jej serce śpiewało.

## V

I powrócił do niej obraz kochanka jako istoty pięknej duchem. Mogła patrzeć na niego zza stolika, gdy siedzieli przy podwieczorku w tej ich psiej budzie w Bedford Park, podobnie jak patrzyła zza bar-dziej, wypolerowanego stołu na domek sąsiadujący z plebanią. Wiedziała, że zniszczenia wszczęte przez panią Duchemin zostały wstrzymane. Nawet mogła pomyśleć, że szaleństwo pani Duchemin było jedynie straszakiem, niepociągającym za sobą żadnej koniecznej zbrodni. Walentyna Wannop znowu uwierzyła w siebie.

Mimo to wybuch pani Duchemin sprzed tygodnia obudził w jej pamięci stare upiory. Jeszcze żywiła wielki szacunek dla pani Duchemin. Nie umiała postrzegać swojej Edith Ethel jako hipokrytki. Dokonała wielkiego osiągnięcia, ponieważ z tej żalostnej malutkiej kreatury zrobiła coś na kształt mężczyzny, oprócz tego drugiego ogromnego osiągnięcia, że udało się jej tak długo trzymać swego nieszczęsnego męża poza szpitalem dla wariatów. Oba naprawdę były nie lada wyczynami. I Walentyna wiedziała, że Edith Ethel rzeczywiście kochała piękno, rozsądek, uprzejmość. To nie hipokryzja nakażywała jej popierać wyścig Atalanty o czystość. Lecz jednocześnie, w oczach Walentyny Wannop silne charaktery bywały dwoiste, podobnie jak uprzejmy i poważny naród hiszpański wyżywał się we wrzasku i krwawej żądzy corridy, albo jak rozsądna, pracowita i podziwu godna maszynistka z miasta znajdowała swe odbicie w chutliwych powieściach pisywanych przez niektórych literatów, tak też Edith Ethel ma w swojej naturze fizyczną seksualność (oraz kupieckie wrzaski). Skąd inaczej braliby się święci? Z pewnością dzięki temu, że jedna tendencja przewyciężała tę drugą!

Lecz teraz Walentyna powiedziała sobie, że tak silna osobowość jak Edith Ethel nie mogłaby zniżyć się do wygłoszenia owej fantastycznej denuncjacji Tietjensa, tych najzwyczajniej szalonych oskarżeń o rozwiąłość i nadużycia, i wreszcie seksualnie wariackie oskarżenie samej siebie - chyba że rażona jakąś pasją, którą mogła być zazdrość. Ona, Walentyna, nie umiała wyciągnąć żadnego innego wniosku. I rozważając sprawę (jak się jej wydawało) ze spokojem, uznała z powagą że mężczyźni są jacy są, a więc gdy jej kochanek żywił do niej szacunek bądź gdy stracił nadzieję, że ją posiadzie, zaspokoił niższe potrzeby swego ciała kosztem pani Duchemin, która niewątpliwie okazała się aż nazbyt chętna.

W minionym tygodniu popadała chwilami w nastrój, kiedy podejrzenie to wydawało się jej do przyjęcia, albo też odsuwała je od siebie. W miarę zbliżania się czwartku wszystko przestało być istotne. Jej kochanek odjeżdżał, wszystko skupiało się na wojnie, podstawowe życiowe potrzeby naciągały się jak struny. Jakie znaczenie mogłaby mieć jedna zdrada więcej czy mniej na wielkim i surowym obrazie życia? W ten czwartek rozdrażniły ją dwa drobne, a może duże, zmartwienia. Brat zapowiedział, że przyjeżdża do domu na kilka dni na przepustkę. Kłopotowała się, że będzie miała narzucone towarzystwo grubiańsko i hałaśliwie sprzeciwiające się wszystkiemu, za czym stawał Tietjens lub za co był się gotów poświęcić. Ponadto będzie musiała towarzyszyć bratu w kilku hulaszczych uroczystościach, podczas gdy nie uwolni się od myśli, że co godzina Tietjens znajduje się bliżej okropnych okoliczności, gdy żołnierze wchodzą w kontakt z siłami wroga. Na dodatek jej matka otrzymała zamówienie opłacone za zdrości godną sumą od jednej z bardziej podniecających niedzielnych gazet na serię artykułów poświęconych ekstrawaganckim tematom związanym z działaniami wojennymi. Tak bardzo potrzebowały tych pieniędzy, tym bardziej że Edward przyjeżdżał do domu, że Walentyna Wannop pokonała swą naturalną awersję do marnowania czasu przez matkę... Mogło to oznaczać niewielką stratę czasu, a przez długie miesiące odczuwałyby zmianę wywołaną zarobionymi 60 funtami.

Ale Tietjens, na którym pani Wannop przyzwyczyła się polegać i z którego uczyniła swoją prawą rękę w tych sprawach, najwyraźniej

wykazał nieoczekiwany opór. Pani Wannop powiedziała, że był całkiem nieswój i wyśmiał pierwsze dwa z proponowanych tematów - dzieci wojny i to, jak Niemcy byli zmuszeni zjadać trupy swych własnych ludzi. Stwierdził, że są poniżej godności każdego przyzwoitego literata. Powiedział, że liczby dzieci pozamałżeńskich wzrosły niewiele i że pochodzący z francuskiego wyraz niemiecki „Kadaver” oznaczał trupy koni lub bydła, natomiast „Leichnam” oznaczał trupy ludzkie. Właściwie odmówił jakiegokolwiek udziału w całym przedsięwzięciu.

Walentyna zgadzała się z nim co do „Kadaverów”, natomiast do kwestii dzieci wojny podchodziła bardziej otwarcie. Jeśli takich nie było, to w jej opinii nic nie zaszkodzi pisanie o nich, gdyby biedactwa rzeczywiście istniały. Była świadoma niemoralności swego przekonania, ale jej matka potrzebowała pieniędzy i ona była najważniejsza.

Nie pozostawało nic innego jak ubłagać Tietjensa, ponieważ Walentyna wiedziała, że pozbawiona moralnego wsparcia, które wyrażałoby się w dobrodusznym lub wymuszenie zaimplikowanym usankcjonowaniu artykułu, pani Wannop odmówi gazecie, która dobrze płaciła i straci z nią kontakt. Zdarzyło się, że w piątek rano pani Wannop otrzymała zlecenie napisania artykułu do szwajcarskiego magazynu o jakimś wydarzeniu historycznym związanym z pokojem zawartym po Waterloo. Nie płacili relatywnie nic, ale było to zatrudnienie na pewnym poziomie i pani Wannop (najzwyczajniej i jak zwykle) powiedziała Walentynie, żeby zadzwoniła do Tietjensa i zapytała go o jakieś szczegóły dotyczące Kongresu Wiedeńskiego, gdzie przed i po Waterloo z trudem opracowano warunki pokoju.

Walentyna zadzwoniła po raz kilkusetny w swym życiu. Cieszyła się, że przynajmniej jeszcze raz usłyszy głos Tietjensa. Ktoś odebrał telefon i Walentyna przekazała swoje dwa pytania, jedno dotyczące Kongresu Wiedeńskiego, drugie dzieci. W odpowiedzi usłyszała taką przerażającą wieść:

- Młoda kobieto! Lepiej trzymaj się z daleka. Pani Duchemin już jest kochanką mojego męża. Wara.

Ten głos miał całkowicie nieludzkie brzmienie. Odezwała się zrównoważenie i chłodno, tak jakby przygotowywała się właśnie na taką wypowiedź.

- Prawdopodobnie pomyliła pani rozmówców. Może zechce pani poprosić pana Tietjensa, aby zadzwonił do pani Wannop, gdy będzie miał czas.

- Mój mąż będzie w Ministerstwie Wojny o 4.15. Tam może z panią rozmawiać o pani dzieciach. Ale ja na pani miejscu dałabym spokój! - I odłożyła słuchawkę.

Zajęła się codziennymi obowiązkami. Słyszała gdzieś o jakichś orzeszkach sosnowych, które były bardzo tanie i pożywne, a przy najmniej wypełniające. Z matką znalazły się w położeniu, kiedy każdego pensa przeliczało się na uczucie sytości. Odwiedziła kilka sklepów w poszukiwaniu tej żywności. Gdy znalazła, powróciła do psiej budy. Brat Edward przyjechał. Był dość przygaszony. Przywiózł ze sobą kawałek mięsa będący częścią jego racji na przepustkę. Był zajęty pucowaniem swego marynarskiego munduru na przyjęcie, na które mieli iść tego wieczoru. Powiedział, że będzie tam mnóstwo ludzi. Walentyna wstawiła mięso, żeby się dusiło razem z pokrojonymi warzywami. Poszła na górę do swojego pokoju, żeby popisać dla matki na maszynie.

Myślała o charakterze żony Tietjensa. Przedtem prawie wcale o niej nie myślała, wydawała się jej nierealna, tak tajemnicza, że niemal mityczna. Na pewno jest okrutna! Mściwie okrutna wobec Tietjensa, inaczej nie mogłaby wyjawić jego prywatnych spraw! Szerokiej publiczności - przecież nie mogła być pewna, bluff czy nie, z kim rozmawia! Czegoś takiego się nie robi! Telefon dzwonił kilkakrotnie. Pozwoliła matce odbierać.

Musiała zrobić obiad, co zajęło jej trzy kwadranse. Przyjemnie było patrzeć, że matka może dobrze zjeść... smaczne mięso, uduszone w zawiesistym sosie pełnym fasolki. Sama nie mogła jeść, ale nikt tego nie zauważył i dobrze. Matka powiedziała, że Tietjens jeszcze nie zadzwonił, co było bardzo nieuprzejme z jego strony. Edward spytał, czy Hunowie jeszcze nie odstrzelili tej wypchanej pierzem poduchy. Po chwili stwierdził, że znaleziono dla niego bezpieczną posadkę. Telefon stojący na bufecie zaczął przerażać Walentynę, w każdej chwili jego głos może... Edward dalej opowiadał anegdotyczną historię, jak oszukiwali kadre oficerską na poławiaczach min. Pani Wannop słuchała go z uprzejmym roztargnieniem. Edward zapragnął

piwa z beczki i wydobył monetę dwuszylingową. Wydawało się, że stał się o wiele bardziej grubiański, niewątpliwie tylko powierzchownie.

Poszła z dzbankiem do najbliższego pubu, w którym sprzedawali piwo na wynos. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie robiła. Nawet na Ealing pani nie pozwalała jej posyłać do karczmy, kucharka musiała sama chodzić po swoje piwo do obiadu albo kazać sobie przysłać. Może pani na Ealingu bardziej uważała, niż Walentynie się wydawało; dobra kobieta, choć inwalidka. Prawie cały dzień spędzała w łóżku. Ślepa pasja ogarnęła Walentynę na myśl o Edith Ethel w ramionach Tietjensa. Czyż nie miała własnego eunucha? Pani Tietjens powiedziała: „Pani Duchemin jest jego kochanką!”, a więc może być tam teraz!

Gdy kontemplowała ten obraz, ominęły ją przyjemności kupowania piwa na wynos. Właściwie było to podobne do kupowania czegokolwiek innego, wyjąwszy zapach piwa i trocin. Mówiło się: „Kwartę najlepszego jasnego!” i gruby, całkiem uprzejmy pan, z tłustą głową i w białym fartuchu brał pieniądze, po czym napełniał dzban... Ale Edith Ethel tak paskudnie i poniżająco potraktowała Tietjensa! Im bardziej paskudnie, tym bardziej wszystko stawało się prawdopodobne... Piwo z beczki w dzbanku było poznaczone malutkimi żyłkami popękanych bąbelków pianki na brązowej powierzchni. Nie wolno nic ułać, potykając się o krawężniki!... Tym bardziej prawdopodobne. Niektóre kobiety zwracały się przeciwko kochankom po tym, jak z nimi spały, a im większe uniesienia, tym bardziej szalone wyzwiska.

*Terra tribus scopulis vastum... a nie longum!*

Brat Edward rozpoczął wywód do samego siebie, długi i niezrozumiały, dotyczący miejsca, gdzie ma się umówić z siostrą o 19.30, żeby ją pokazać! Jego wargi wypowiadały nazwy restauracji, przyczyniając się do jej paniki. Zdecydował rozbawiony i nie całkiem przytomnie (kwarta to dużo jak na faceta z poławiacza min, nieprzewożącego wcale alkoholu!), że spotka się z nią o 19.20 na głównej ulicy i pójdą do pewnego pubu, a potem na tę potańcówkę. Do studia. „O Boże - pomyślała - a jeśli Tietjens będzie jej wtedy szukał?” Żeby należała do niego ostatniej nocy. Może szukać! W tych czasach wszyscy są bardziej grubiańscy, powierzchowni. Jej brat wytoczył się z domu, trzaskając drzwiami, aż dachówki na psiej budzie podskoczyły i znowu osiadły.



Poszła na górę obejrzyć swoje sukienki. Nie pamiętała, które powymmowała. Leżały jak szereg szmat na łóżku, a dzwonek telefonu dzwonił jak szalony. Usłyszała głos matki: „Och, och! To ty!”. Zamknęła drzwi do pokoju i zaczęła po kolei otwierać i zamykać szuflady. Jak tylko skończyła, wyraźnie usłyszała przytłumiony głos matki, jeszcze wyraźniej, gdy go podniosła, aby zadać pytanie. Usłyszała, jak mówi: „Żeby jej nie narobić kłopotów... Oczywiście!”, a potem opadł i dochodziło już tylko wołanie:

- Walentyno! Walentyno! - usłyszała jak ją woła matka. - Nie chcesz porozmawiać z Krzysztofem? Walentyno! Walentyno... - i znowu: - Walentyno! Walentyno... Walentyno... - jakby była szczecińczykiem!

Pani Wannop, dziękować Bogu, stała na pierwszym schodku trzeszczących schodów. Właśnie odeszła od telefonu. Wołała:

- Zejdź! Chcę ci powiedzieć, że ten kochany chłopiec mnie uratował. Zawsze mnie ratuje! Co ja zrobię, jak pojedzie?

- Ratował innych, siebie uratować nie potrafił! - uzupełniła gorzko Walentyna. Pochwyciła swój kapelusz z męskim rondem. Nie ma zamiaru się dla niego stroić. Musi ją brać taką, jaka jest.

... siebie nie uratował! Ale pokazał, co potrafi! Z kobietami! Grubiaństwo... Może tylko powierzchowne... Ona sama! Zbiegała po schodach!

Matka wycofała się do malutkiego saloniku: dziewięć stóp na dziewięć, wysokości dziesięciu stóp, a więc za wysoki na swoje rozmiary. Ale była tam kanapa z poduszkami... Jej głowa na tych poduszkach, może... Gdyby przyszedł do niej do domu! Późno!

Jej matka mówiła:

- To wspaniały człowiek... Podstawowy pomysł na artykuł o dzieciach wojny... Jeśli żołnierz był przyzwoity, to się powstrzymywał, ponieważ nie chciał zostawić swej dziewczyny z kłopotem, a jeśli nie, to ryzykował, ponieważ mogła to być jego ostatnia okazja...

- To dla mnie! - pomyślała Walentyna. - Ale które zdanie? - Od niechcenia poprzesuwała wszystkie poduszki na jeden koniec kanapy.

Matka wykrzyknęła:

- Przesyła serdeczności! Jego matka miała szczęście urodzić takiego syna! - I poszła do tej norki, w której pracowała.

Walentyna przebiegła potrząskane płyty ogrodowej ścieżki, naciągając mocno kapelusz. Gdy spojrzała na zegarek zobaczyła, że jest 14.45. Jeśli ma dojść do Ministerstwa na 4.15 (16.15, rozsądna innowacja!) to musi się pospieszyć. Pięć mil do Whitehall. Bóg wie, co potem! Pięć mil stamtąd! Dwie i pół, po skosie, do przystanku na głównej ulicy, na 19.30! Dwanaście i pół mili w pięć godzin albo mniej. Na dodatek trzy godziny tańców. I jeszcze się ubrać! Musiała mieć kondycję... I z gwałtowną goryczą powiedziała:

- No i mam kondycję... - Przed oczyma stanęły jej szeregi dziewcząt w niebieskich swetrach i krawatach, utrzymywanie których w kondycji dało jej superkondycję. Pomyślała, ile z nich zostanie kochankami przed końcem roku. Był sierpień. A może żadna! Bo przez nią miały kondycję...

- Ach! - powiedziała. - Gdybym była rozwiązała kobietą z obwisłymi piersiami i miękkim ciałem... Cała wyperfumowana!

Ani Sylwia Tietjens, ani Ethel Duchemin nie były miękkie. Mogły czasem bywać wyperfumowane! Ale nie zdecydowałyby się ze spokojem przespacerować dwanaście i pół mili, żeby oszczędzić kilka pensów i jeszcze potem przetańczyć noc! A ona tak! Być może właśnie dlatego zapłaciła taką cenę - była w tak dobrej kondycji, że nie poruszyła go, by... Być może roztaczała taką aurę trzeźwości, czystości i abstynencji, że uznał, że... że przyzwoity facet nie narobi swej dziewczynie kłopotu, zanim wyjedzie, żeby dać się zabić... No, a jeśli był takim miejskim buhajem? Zastanowiła się, skąd zna takie zwroty...

Brudne, szeregowie domki wydawały się uciekać od niej w słabym sierpniowym słońcu. A to dlatego, że gdy człowiek pogrąży się w myślach, to czas płynie szybciej, albo dlatego, że gdy się na tym rogu minie sklepik z gazetami, to zaraz się jest przy skrzynkach z cebulą, stojących przed sklepikiem na następnym rogu, zanim zdąży się zauważyć cokolwiek innego.

Była na Kensington Gardens, od strony północnej; zostawiła za sobą biedne sklepiki... Znalazła się na sztucznej wsi, ze sztucznymi trawnikami, sztucznymi alejkami i sztucznymi ruczajami. Sztuczni ludzie podążający po sztucznej murawie. Nie! Nie sztuczni! Zatopieni w próżni! Nie! „Pasteryzowani”, ot co! Jak wyjałowione mleko. Ograbione z witamin...

Jeśli oszczędzi kilka miedziaków, idąc na piechotę, będzie miała większą sumę do wsunięcia w dłoń szczerzącemu zęby (albo współczującemu) taksówkarzowi po tym, jak pomoże jej poprowadzić brata do drzwi psiej budy. Edward będzie na umór pijany. Na taksówkę miała piętnaście szylingów... gdy dała te kilka miedziaków więcej, wydawała się hojna... Co za dzień miała przed sobą! Niektóre dni były długie jak całe życie!

Umrze raczej niż pozwoli, aby Tietjens zapłacił za taksówkę!

Dlaczego? Kiedyś taksówkarz nie chciał zapłaty za dowieszenie jej i Edwarda aż do Chiswick i nie poczuła się obrażona. Zapłaciła mu, ale nie poczuła się obrażona! Sentymentalny człowiek, poruszony do głębi serca ładną siostrą (może nie dowierzał, że była siostrą) i jej niezdolnym do niczego bratem-marynarzykiem! Tietjens też był sentymentalny... Czy była jakaś różnica? A potem! Matka sypia jak zabita, brat na umór pijany. Pierwsza rano! Nie mógł jej odmówić! Ciemność, poduszki! Przypomniła sobie, że poukładała poduszki. Podświadomie! Ciemność, głęboki sen, pijany sen! Okropność! Obrzydliwa sprawa! Jak na Ealingu... W ten sposób zrówna się z całą resztą materiału na cmentarze... A niby czym inna była Walentyna Wannop, córka swego ojca? I matki? Tak! Lecz ona sama? Mały nikt!

Niewątpliwie depeszowali z Admiralicji... Ale jej brat był w domu lub coraz bardziej nie trzeźwiał i opowiadał rzeczy równoznaczne ze zdradą. Przynajmniej nie obchodziły go przerywane sygnały migoczące z okrutnego morza... Tamten autobus otarł się o jej spódnicę, gdy wbiegła na wysepkę... Byłoby może lepiej... Ale człowiek nie miał odwagi!

Patrzyła na wzór śmierci zawieszony pod zielonym daszkiem, podobnym do daszka nad karmnikiem dla ptaków. Serce jej stanęło. Przedtem była bez tchu! Zaczynała odchodzić od zmysłów. Umierała... Te wszystkie śmierci! Inie tylko śmierci... Oczekiwanie na nadzieście śmierci. Rozważanie o odejściu! W danej minucie jesteś, potem cię nie ma. Jak to jest? O nieba, wiedziała... Stała tam, rozważając rozstanie z... Wdanej minucie jesteś, w następnej... Oddech zadrżał w jej piersiach... Może on nie przyjdzie...

Wtedy zobaczyła go na tle ponurych kamieni. Podbiegła do niego i powiedziała coś z wściekłą nienawiścią. Wszystkie te śmierci i odpowiedzialny był on i jemu podobni! Miał brata, zdaje się, i to jeszcze

odpowiedzialnego! Z ciemniejszą cerą! Ale on! On! On! On! Całkiem spokojny, z przenikliwymi oczami... Niemożliwe. *Holde Lippen: klare Augen: heller Sinn...* Ach, trochę przywydły, ten jasny umysł! A usta? Niewątpliwie też. Nie mógł jednak tak na ciebie patrzeć, jeśli...

Złapała go mocno za ramię, w tej chwili on należał do niej, więcej niż do bardziej smagłego, pospolicie cywilnego brata! Zapyta go! Jeśli odpowie: „Tak, jestem takiego rodzaju mężczyzną”, to powie: „Musisz więc wziąć mnie też! Jeśli ona, czemu nie ja? Muszę mieć dziecko. Ja też!”. Pragnęła dziecka. Zmiecie wszystkie nienawistne konstrukcje burzą argumentów, wyobraziła sobie, czuła, jak słowa płyną z jej ust... Wyobraziła sobie swój mdlejący rozum, przyzwalające członki...

Jego spojrzenia błdziły wokół gzymsów kamiennych budowli. Natychmiast stała się z powrotem Walentyną Wannop, nie potrzebowała od niego ani słowa. One nie potwierdzą udowodnionej niewinności ani nie wzbogacą rozgorzałego uczucia. Mógłby równie dobrze wyrecytować nazwy stacji kolejowych. Jego oczy, jego twarz bez zmartwienia, spokojne ramiona, one go uniewinniały. Nigdy nie poczynił większego wyznania miłosnego, nie mógł jej uczynić niż wtedy, gdy powiedział ostro i gniewnie: „Z pewnością nie. Wydawało mi się, że mnie lepiej znałaś” albo coś podobnego i odpędził ją jak natrętną muszkę. Dzięki Bogu prawie wcale jej nie słuchał!

Znowu była Walentyną Wannop, znowu w słońcu dzwoniły zięby. Kłosa wysokich traw ocierały się o jej spódnicę. Była lekka na ciele i na umyśle... Jawił się jedyny problem, czy Sylwia Tietjens jest dla niego dobra... czy ma na niego dobry wpływ, lepiej tak to ująć. Otrzeźwiała, zupełnie jak gotująca woda zestawiona z ognia... „Wody ucichły o zmierzchu”. Bzdura. Świeciło słońce, a jego brat był kochany! Mógł uratować swojego brata... Przewóz! To słowo miało drugie znaczenie. Zrobiło się jej ciepło na duszy, to był jej brat, drugi po najlepszym z najlepszych! Zupełnie jakby dobrać dwa kawałki materiału, żeby się nie różniły. Choć to nie ten właściwy materiał! Musi być wdzięczna krewniakowi za wszystko, co dla niej zrobił, lecz, ach, nigdy nie będzie tak wdzięczna jak tamtemu, który nie zrobił nic!

Opatrzność rozdaje łaski dużymi partiami! Wchodząc na schody, usłyszała błogosławione słowo „transport”! „Oni”- tak powiedział Marek, on i ona - wprowadzą Krzysztofa do transportu...

Dzięki bożej dobroci, Walentyna wiedziała coś niecoś o transporcie frontowym. Ich sprzętaczką, która nie potrafiła pisać ani czytać miała syna, który był sierżantem w jednym z liniowych regimentów. Napisał do matki: „Ostatnio nie miałem ochoty na jedzenie i jeszcze zostałem rekomendowany do medalu. I żebym odpoczął, posyłają mnie do rządu przewozami na froncie, a to jest najbezpieczniejsza robótka w tym całym frontowym bałaganie!”. Walentyna musiała odczytać ten list przy zlewie i wśród karaluchów. Na głos! Nienawidziła czytania tego listu, jak nienawidziła wszystkiego, co zawierało szczegóły o froncie. Cóż, łaskawość trzeba zacząć ćwiczyć na sprzętaczkę. Musiała. Teraz mogła podziękować Bogu. Sierżant, w bezpośrednich, całkowicie szczerych słowach, chcąc pocieszyć matkę, opisał swe codzienne zajęcia, w detalach: konie, lawety, rozdział zajęć i kontrole stajni. „Jeden z naszych przełożonych - pisał - ma kota na punkcie łowienia ryb. W każdym miejscu postoju każe uporządkować kawałek trawnika, wytycza go kółkami i op... każdego, kto tam wejdzie!”. Ten oficer z towarzyszami godzinami ćwiczył zarzucanie wędek na łososia i pstrąga. „Taka to robota!” Zakończył triumfalnie sierżant.

I tak ona, Walentyna Wannop, siedziała na twardej ławce pod ścianą; bezpośrednio, zdrowa klasa średnia (wyższa klasa średnia, raczej, ponieważ Wannopowie, choć zubożali, pochodzili z bardzo starego rodu). Za jej wygodnymi maksymami przepływała rzeka ludzkości. Dwóch patriotów (jeden nieustannie miły, drugi wiecznie rozdrażniony) siedziało za ladą po jednej stronie; z drugiej strony smągły rodzaj szwagra z wyłupiastymi oczami nieśmiało usiłował ją udobruchać i jednocześnie wepchnąć sobie do ust rączkę parasola, jakby to była gałka. W danej chwili nie mogła sobie wyobrazić, dlaczego miałby chcieć ją udobruchać, ale wiedziała, że za minutę się dowie.

Właśnie wtedy pochłonął ją pewien wzór niemal matematycznie symetryczny. Teraz była angielską dziewczyną ze średniej klasy (której matka miała wystarczające dochody) ubrana na niebiesko, w kapeluszu z miękkim rondem, krawatem z czarnego jedwabiu, a w

głowie ani jednej myśli, której tam nie powinno być. Obok mężczyzna, który ją kochał, kryształowej czystości. Niecałe dziesięć, pięć minut temu była... Nawet nie pamiętała kim! On zaś był, z pewnością wydawał się miejskim... Nie, nie pamiętała tych słów... a więc, rozszalałam ogierem! Gdyby teraz do niej podszedł, ucieknie. Wystarczy, że przesunie po czarnym dłoń.

Dar niebios, a jednak absurdalny. Przypominał starodawny barometr ze staruszką i staruszką na przeciwległych końcach patyczka... Staruszek wychodził, a staruszka się chowała i miał być deszcz, gdy wychodziła staruszka... Właśnie tak! Nie miała czasu na tłumaczenie analogii. Ale właśnie tak było... Gdy padał deszcz, zmieniał się cały świat. Ciemniał! Żyłka, na której się obracali, stawała się luźniejsza... luźniejsza... ale zawsze pozostawali na przeciwległych końcach patyczka!...

Marek mówił, a przeszkadzała mu rączka parasola!

- A więc nabywamy pięćset funtów rocznie dla pani matki...

Zadziwiająca, lecz choć to jej niosło całkowite uspokojenie, prawie wcale jej nie dziwiło. Po prostu opóźniła się rzecz oczekiwana. Pan Tietjens senior, człowiek honoru, właściwie złożył takie zobowiązanie wiele lat temu. Jej matka, postać wybitna, czyniła wielkie wysiłki, aby przelać opinie żyjącego pana Tietjensa na łamy jego gazety. Miał jej to wynagrodzić. Nie z książęcym gestem, ale wystarczająco. Na ile było stać dzentelmena.

Marek Tietjens, nachylony, trzymał kawałek papieru. Podszedł do niego chłopiec i zapytał:

- Pan Riccardo?

Marek Tietjens odrzekł:

- Nie! Poszedł! - i ciągnął: - Pani brat... Na razie jest na uboczu. Ale tyle, żeby mu wystarczyło na wykupienie praktyki, dobrej praktyki! Kiedy już będzie upieczonym lekarzem. - Urwał, skierował na nią swe smętne oczy, przygryzając rączkę parasola; był ogromnie zdenerwowany. - A teraz pani! Dwieście, trzysta. Rocznie, rzecz oczywista! Kapitał przejdzie na pani wyłączną własność. Ale - urwał - ostrzegam, że Krzysztofowi nie będzie się to podobać! Jest na mnie wściekły. Nie żałowałbym pani... żadnej sumy! - zamachał dłonią, aby dać do zrozumienia, że ma na myśli bezgraniczną wielkość. -

Wiem, że dzięki pani Krzysztof trwa przy zdrowych zmysłach - powiedział. - Jest pani jedyną osobą! - Po chwili dodał: - Biedaczysko!

- Jest na pana wściekły? Dlaczego?

Odpowiedział niezobowiązująco:

- Ach, ostatnio tyle się mówiło... Bezpodstawne gadanie, oczywiście.

- Ludzie mówili coś przeciwko panu? Do niego? Może dlatego, że była zwłoka w załatwieniu spraw majątkowych.

- O nie! Akurat odwrotnie!

- A więc mówili... Mówili o mnie! - wykrzyknęła. - I o nim!

- Och, proszę mi wierzyć - jęknął. - Błagam, niech mi pani wierzy, że ja wierzę... pani! Panno Wannop! - Potem dodał groteskowo: - Czysta niczym rosa spoczywająca na Aurory słońcem tkniętym... - Oczy wyszły mu na wierzch jak duszącej się rybie. - Błagam, niech pani przez to nie przekazuje pałeczki... - Wił się w swym ciasnym podwójnym kołnierzyku. - ...jego żonie! Ona jest dla niego... ona ma na niego zły wpływ! Jest w nim po uszy zakochana! Ale nie ma... - Mało brakowało, a zaczęłyby łkać. - Jest pani jedyną... Wiem...

Przyszło jej do głowy, że traciła za dużo czasu w tej *Salle de Pas Perdue*! Będzie musiała złapać z powrotem pociąg. Pięć pensów! Nie szkodzi. Matka miała pięćset rocznie... Dwieście czterdzieści razy pięć...

Marek powiedział rażno:

- A więc wykupujemy rentę dla pani matki w wysokości pięciuset... Mówi pani, że to absolutnie wystarczy, żeby Krzysztof dostał swój kotlet... i kapitału trzysta-czterysta... Lubię wiedzieć dokładnie... Na rok... Kapitał, a resztówka dla pani. - Jego pytająca twarz rozpromieniła się.

Teraz widziała całą sytuację całkiem wyraźnie. Zrozumiała wywód Edith Ethel „przy naszej pozycji nie możesz oczekiwać, że będziemy...”. Edith Ethel miała całkowitą rację. Nie można było od nich oczekiwać... Zbyt ciężko się napracowała, aby zachować pozory osoby roztropnej i postępującej poprawnie! Nie można ludzi prosić o poświęcenie życia dla przyjaciół! Tylko Tietjensa można o to prosić! Powiedziała do Marka:

- Zupełnie jakby cały świat się zmówił... Jak w stolarskim imadle... Siłą nas zepchnąć... - Miała powiedzieć „razem”.

Przerwał jej zaskakująco:

- Musi dostać swoje tosty z masłem... i swój barani kotlet... i rum! Do diabła ze wszystkim... pani jest dla niego stworzona... Nie może pani winić ludzi, że z was zrobili parę... Byli zmuszeni... Gdyby pani nie istniała, musieliby panią wymyślić... Jak Dante (jak jej tam było?) Beatrycze. Są takie pary.

- Jak w imadle... Ściskani razem. Nieodparcie. Przecież się opieraliśmy, i jak!

Na jego twarzy pojawiła się panika. Jego wyłupiaste oczy przyciągały stanowisko dwóch portierów. Wyszeptał:

- Pani nie... przez moje włożenie butem... nie porzuci...

Odpowiedziała, mając w uszach chrypiący głos Macmastera:

- Proszę, aby pan uwierzył, że nigdy... nie opuszczę...

Tak powiedział Macmaster. Prawdopodobnie wyjął to z ust pani Micawber!

Krzysztof Tietjens, w podniszczonym khaki, ponieważ żona zaplamiała mu najlepszy mundur, nagle powiedział za jej plecami (podszedł od strony lady i portierów, gdy ona była odwrócona do Marka na ławie):

- Chodźcie! Wydostańmy się stąd!

Wydostawał się stąd! W jakim kierunku?

Jak trójka niemych uczestników pogrzebu albo jak więzień pod eskortą (ona między braćmi) zeszli po schodach skierowanych bardziej ku Whitehall niż zamkniętemu pod łukiem wyjściu. Bracia pomrukiwali mało słyszalnie, lecz z zadowoleniem ponad jej głową. Przeszli, po wysepkach, Whitehall, gdzie autobus otarł się o jej spódnice.

Na kamiennym, wyźwirowanym majestatycznym placu bracia stanęły twarzą w twarz. Marek powiedział:

- Domyślam się, że nie podasz mi ręki!

- Nie! - powiedział Krzysztof. - Niby dlaczego powinienem?

Ona krzyknęła do Krzysztofa:

- Och, podaj!

Przestały ją obchodzić anteny nad głową. Niewątpliwie jej brat upijał się gdzieś w barze na Piccadilly... Powierzchnowa grubiańskość!



- Może lepiej? - powiedział Marek. - Możesz zginąć! Facet, który ginie, chyba nie lubi myśleć, że odmówił podania dłoni bratu!

- No... cóż... - rzekł Krzysztof.

Kiedy Walentyna rozczuła się nad sentymentalnością, chwycił ją za szczupłe ramię. Poprowadził ją koło łabędzi albo raczej budek, nie pamiętała, na ławkę albo obok wierzby płaczącej. Powiedział, łapiąc powietrze jak ryba:

- Czy zostaniesz moją kochanką dzisiejszej nocy? Jutro rano wyjeżdżam pociągiem o 8.30 z Waterloo.

Odpowiedziała:

- Tak! Bądź pod takim a takim studiem tuż przed dwunastą... Muszę odwieźć brata do domu... Będzie pijany... - A chciała powiedzieć: „O, mój najdroższy, tak bardzo cię pragnęłam”.

Zamiast tego powiedziała:

- Ułożyłam poduszki...

Po chwili pomyślała „Dlaczego, u licha, to powiedziała. Brzmiało podobnie jak - szynka jest w spiżarni przykryta talerzem... Bez żadnej czułości”.

Odeszła po ścieżce nakrapianej muszelkami, między płotkiem wysokim do kostek, płacząc gorzko. Stary włóczęga, z czerwonymi załzawionymi oczyma i rzadką siwą brodą, popatrzył na nią z ciekawością ze swojego legowiska na trawie. Wydawało mu się, że jest władcą tamtejszego krajobrazu.

- Takie są kobiety! - oznajmił z powierzchowną głupkowatością ludzi starych i zatwardziałych. - Niektóre będą! - Splunął w trawę i dodał: - A niektóre nie!

## VI

Sam otworzył ciężkie drzwi, a gdy je za sobą zamknął w ciemnościach, poruszone powietrze długo i tajemniczo szeptało po wielkich kamiennych schodach. Te odgłosy go irytowały. Jeśli się zamknie masywne drzwi w ciasnym pomieszczeniu, to zmacone powietrze będzie szemrać; absurdalna atmosfera tajemniczości. Był tylko mężczyzną, wracającym z nocnej wyprawy... Na pewno jest już wpół do czwartej. Noc może nie była długa, ale za to obfitowała w fantastyczne zdarzenia.

Odłożył laskę na niewidocznej dębowej komodzie i sięgnął w mrok, wyczuwalny, aksamitny, nieco chłodny od kamiennych schodów i ścian, szukając klamki na drzwiach do pokoju śniadaniowego.

Zaistniały trzy długie równoległoboki: u góry blade lśnienia, przecięte na wysokości dwóch trzecich wystrzępionym wzorem z cieni kominów i dachów! Dziewięć kroków po gęstym dywanie i powinien trafić do swego fotela z zaokrąglonym oparciem przy oknie z lewej strony. Zagłębił się w fotel, dokładnie dopasowany do jego pleców. Wyobraził sobie, że żaden mężczyzna nigdy nie był tak zmęczony, i żaden nigdy nie był tak samotny! Mały, żywy dźwięk dochodził z przeciwległej strony pokoju; przed nim było półtora bladego równoległoboku. Było to odbicie okien w lustrze, a dźwięk to niewątpliwie Calton, kot. Przynajmniej coś żywego! A może to Sylwia z tamtej strony pokoju, czekająca na niego, żeby zobaczyć, jak wyglądał. Całkiem możliwe! Nieważne!

Jego umysł ustał. Czyste zmęczenie!

Kiedy znowu ruszył, cytował coś o piaskach i krańcach świata! Powiedział ostro: „Bzdura!”. Jedno pochodziło albo z „Plaży w Calais” albo „Piasków Dworu” tego wąsatego, Arnolda... i jedno, i drugie zobaczy podczas dwudziestu czterech godzin... Nie! Z Waterloo jedzie do Southampton, a więc do Le Havre! Ten drugi to z tamtego pogardy godnego faceta, „bohatera naszej maleńkiej monografii!”. Jak to dawno temu! Zobaczył stertę lśniących aktówek, inskrypcję „półka zarezerwowana dla...”, kolorowaną (różowo-niebieską!) fotografię piasków Boulogne i trzymane kwadraty, korektę „naszej malej...” Jakże dawno temu! Usłyszał własny głos rozchodzący się w nowym przedziale kolejowym, dumny, jasny i po męsku:

„Jestem za monogamia i czystością. I za tym, żeby nic o tym nie mówić. Oczywiście, jeśli mężczyzna, który jest mężczyzną, chce mieć kobietę, to niech jama. I znowu, żeby o tym nie mówić...” Jego głos, jego własny głos, dotarł do niego jakby ze słuchawki telefonicznej w rozmowie międzymiastowej. Z bardzo, bardzo odległym miastem! O dziesięć lat...

A więc jeśli mężczyzna, który jest mężczyzną, chce kobiety... Do diabła, nie chce! Przez dziesięć lat nauczył się, że przyzwoity żołnierz... Jednocześnie przypomniał mu się inny cytat i dwa toki myśli biegły obok siebie jak tematy fugi:

„Uwodzicielskie dziewice ze złamanymi pieczęciami zdrady” oraz „a kiedy staniesz przy mnie ma dłoń, dłoń twoją spotka!”.

Powiedział:

- A niech to diabli, niech to diabli wezmą! Facet się mylił... nasze dłonie się nie spotkały... chyba nawet nie podałem ręki... nie sądzę, abym tej dziewczyny dotknął... w życiu... Ani razu! Inny rodzaj człowieka, nie podaje rąk. Skinie głową. Spotkanie, rozstanie! Wiecie, Angielka! Chwileczkę, objęła mnie ramieniem... Na stoku! Po tak krótkiej znajomości! Wówczas pomyślałem... Zresztą, od tego czasu naprawiliśmy... Nie! Nie naprawiliśmy... Zadośćuczyniliśmy... Sylwia tak ściśle to określiła; w tamtej chwili matka umierała...

Świadomie powiedział:

- To chyba przez pijanego brata... Nie uwodzi się dziewic złamanymi przysięgami na Kensington Wigh Street o drugiej rano, podtrzymując we dwoje pijanego marynarzyka.

W pewnej chwili chłopiec wyrwał się im i pobiegł z zaskakującą szybkością wzdłuż ponurej zadrzewionej i straszliwie pustej ulicy. Kiedy go dopędzili, wygrażał głosem o oksfordzkim akcencie, w czarnym cieniu zwisających gałęzi drzew, nieruchomemu policjantowi:

- To wy! - wykrzykiwał. - To przez was Anglia jest, jaka jest! Pokój w naszych domach! Ratunek przed ohydnyymi ekscesami!

Do Tietjensa odezwał się akcentem i głosem pospolitego marynarza, głosem brzęącym grubiańsko!

Miał dwie osobowości. Dwa albo trzy razy zapytał:

- Dlaczego nie pocałujesz dziewczyny? To porządna dziewczyna, nieprawda? A ty żołnierzu biedaku? No, więc biedni żołnierze powinni mieć porządnych dziewczyn do woli! Tak powinno być, nieprawdaż?

I nawet wtedy nie wiedzieli, co się wydarzy... Istnieją pewne okrucieństwa... Wreszcie udało się im zdobyć dorożkę. Pijany chłopiec usiadł przy kierowcy, uparł się... Jej drobna, blada, skurczona twarz nieustannie zwrócona była prosto przed siebie... Nawet nie mogli rozmawiać.

Dorożka gruchotała po ulicy i zatrzymywała się gwałtownie, gdy chłopiec łąpał za lejce. Nie wydawało się, że staremu woźnicy to przeszkadza, ale musieli wyłożyć wszystkie pieniądze ze wszystkich kieszeni, aby mu zapłacić po tym, jak wnieśli chłopca do mrocznego domu...

Tietjens pomyślał:

- „A kiedy przyszedli do domu jej ojca wśliznęła się zwinnie do środka i powiedziała: na zewnątrz jest głupiec, a wewnątrz dziewczyna”.

Odparł tępo:

- Może to właśnie tyle znaczy...

Stał przy drzwiach do przedpokoju, podczas gdy ona patrzyła na niego z żalną twarzą. Potem z kanapy stojącej w głębi domu dobiegł głos chrapiącego brata: potężne, groteskowe dźwięki, niczym śmiech nieznanego rasy. Obrócił się i poszedł ścieżką, ona za nim. Wykrzyknął:

- Może to... zbyt nieuporządkowane!

- Tak! Tak! - odpowiedziała. - Paskudne... och... zbyt... ustronne!

Przypomniało się mu, że powiedział:

- Ale... na zawsze... Powiedziała z pośpiechem:

- Ale kiedy wrócisz... na dobre. I... och, jakby to było na oczach wszystkich... Nie wiem. - Potem dodała: - Czy powinniśmy? Będę gotowa... Będę gotowa na wszystko, o co poprosisz.

Kiedys może powiedziałby, że tak, ale nie pod tym dachem. Teraz dodał:

- My należymy do tych, co nie...

Odpowiedziała, także szybko:

- No właśnie. My tacy jesteśmy! A przyjęcie u Ethel? Czy było wielkim sukcesem? - wiedziała, że pyta z sensem.

- A! - odparł. - To jest na stałe. To jest na oczach wszystkich... Był Rugeley, książę, przyprowadziła go Sylwia. Będzie w wielkiej przyjaźni! Oraz przewodniczący... zdaje się, że samorządu lokalnego... i Belg... równorzędny ministrowi sprawiedliwości... no i oczywiście lady Claudine Sandbach... Dwustu siedemdziesięciu, najprzedniejszych, rzekli mi podnieceni Guggumsowie, gdy wychodziłem! Oraz pan Ruggles... Owszem! Sana szczyście... Nie ma miejsca dla mnie!

- Ani dla mnie! - powiedziała i dodała: - Cieszę się!

Między nimi zalegały smugi ciszy. Jeszcze nie przyzwyczaili się do myśli, że nie muszą prowadzić pijanego brata. Wydawało się, że tamto trwa wiele przykrych miesięcy... Tak długo, aż przekształciło się w przyzwyczajenie.

- To był wspaniały widok, gdy Wincent stanął przy księciu. Pokazywał mu pierwsze wydanie! Oczywiście, nie całkiem odpowiednie zachowanie jak na przyjęcie weselne... Ale skąd ma Rugeley o tym wiedzieć? Wincent nie był ani trochę służalczy... Nawet poprawił kuzyna Rugeleya odnośnie znaczenia słowa „kolofon”! Po raz pierwszy poprawił kogoś ważniejszego! Jest na szczycie, rozumiesz? Praktycznie kuzyn Rugeley... Kuzyn drogiej Sylwii Tietjens, a więc odległość prawie żadna! Żony najstarszego z przyjaciół lady Macmaster! Sylwia pojedzie do ich (skromniutkiego) mająteczku w Surrey ...A w naszym przypadku... „służą też ci, co tylko stoją i czekają”...

- Pokój pewnie wyglądał ślicznie - powiedziała.

Odpowiedział:

- Ślicznie... Sprowadzili z plebanii wszystkie obrazy tego obrzydliwego faceta i pozawieszali w jadalni na ciemnej dębowej boazerii... Płomienne piersi i sutki, i wargi, i granaty... Najwyższe srebrne lichtarze, oczywiście... Pamiętasz, srebrne lichtarze i ciemny dąb...

- Och, mój drogi... przestań... Przestań!

Dotknął brzegu swojego hełmu złożonymi rękawiczkami.

- A więc wymazujemy! - powiedział.

- Czy weźmiesz ten skrawek pergaminu... Poprosiłam jedną małą Żydóweczkę, żeby na nim napisała po hebrajsku „Niech cię Bóg błogosławi i zachowa; niech cię Bóg prowadzi”...

Wetknął go do kieszeni na piersiach.

- Talizman - powiedział. - Oczywiście, że go będę nosił...

- Gdybyśmy naprawdę - powiedziała - mogli wymazać dzisiejsze popołudnie... łatwiej byłyby to wszystko znieść... Twoja biedna matka, wiesz, kiedy ostatni raz się spotkaliśmy, ona była umierająca...

- Pamiętasz? Nawet wtedy ty... Gdybym nie pojechał do Lobscheid...

- Od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałam...

- I ja też... od pierwszej chwili... Powiem ci coś... Jakbym wyglądał przez drzwi i na zewnątrz był sam piasek. Ale nieco z lewej wpływał strumyczek. Można mu było ufać, że przetrwa wiecznie... Nie wiem, czy zrozumiesz...

- O, wiem! - powiedziała.

Widzieli przed sobą pejzaże... Piaszczyste wydmy, krótko przystrzyżone... jakieś łódzie niegodne uwagi, bryg z masztami jak kołki, z Archangielska...

- Od pierwszej chwili - powtórzył.

- Gdybyśmy mogli wymazać...

Po raz pierwszy poczuł się czułym, wielkim, chroniącym.

- Przecież możesz - powiedział. - Możesz wyciąć z dzisiejszego popołudnia parę chwili przed 4.58, kiedy to zapytałem cię, a ty się zgodziłaś... Słyszałem zegar Gwardii Konnej... aż po teraz. Wytnij i połącz odcinki czasu... To da się zrobić... Wiesz, że da się to zrobić chirurgicznie. Leczą jakieś choroby wycięciem dłuższego kawałka jelita i pozszywaniem przewodu... zdaje się, że niezbyt kiszek...

- Ale ja wcale bym nie wycięła... To był pierwszy mówiony znak...

- Nie, nie prawda... Od samego początku... każdym słowem... Nie udałoby się nam uciec...

- Na Boga! Tak właśnie jest...

Wzdłuż brzegu jeziora, spacerkiem, wymachując zakrzywioną laską w niewiarygodnie błyszczącym cylindrze nałożonym na bakier, długimi połami fraka powiewającymi z tyłu w kurzu i słońcu... z lśniącymi okularami upodabniającymi go do sroki szedł, oczywiście, nikt inny jak pan Ruggles. Popatrzył z góry na dziewczynę i na Tietjensa rozpartego na ławce. Musnął rondo błyszczącego kapelusza. Powiedział:

- Kolacja wieczorem w klubie?

- Nie. Wycofałem się - powiedział Tietjens. Z wyrazem twarzy podobnym do tego, jaki miałyby długodziobe ptaszysko przeżuujące zgniły kęs, Ruggles powiedział:

- Ależ zwołaliśmy nadzwyczajne spotkanie komitetu... Komitet się zebrał... i wysłano panu list z prośbą o ponowne rozważenie decyzji...

- Wiem - powiedział Tietjens. - Wycofam rezygnację wieczorem...

Po czym swoją złoży ponownie jutro rano.

Mięśnie Rugglesa zelżały na krótką chwilę, ale po chwili znów zesztyniały.

- Jakże to! Nie... Nie mógłby pan tego zrobić... Klubowi! Nikt nigdy tego nie zrobił... To obelga...

- Owszem - powiedział Tietjens. - Nie powinniście się spodziewać, że dżentelmeni będą należeć do klubu, który ma pewnych członków komitetu.

Niski głos Rugglesa nagle stał się piskliwy.

- No, jakże to, wie pan! - zapisał.

- Nie jestem mściwy - powiedział Tietjens. - Natomiast jestem śmiertelnie znudzony starymi babami i ich plotkowaniem.

- Ja nie... - zaczął Ruggles. Jego twarz nagle stała się ciemnobrązowa, szkarłatna, a potem brązowawo-fioletowa. Stał przygarbiony, z wzrokiem wbitym w buty Tietjensa. - Och! Ach! Cóż! - powiedział wreszcie. - Zobaczymy się dziś wieczór u Macmastera... Wielka rzecz, to szlachectwo. Pierwszorzędnny człowiek.

Wtedy po raz pierwszy Tietjens usłyszał o szlachectwie Macmastera. Nie przeszedł tego ranka listy honorowej. Potem, podczas kolacji sam na sam z sir Wincentem i lady Macmaster, zobaczył przypięte zdjęcie monarchy, widzianego od tyłu, robiącego coś Wincentemu - zdjęcie do gazet. Ze sposobu, w jaki Macmaster usiłował uciśzyć wyjaśnienia Edith Ethel, a zaszczytem tym obdarzono go za pewne konkretne zasługi, Tietjens odgadł zarówno charakter zasług Macmastera oraz fakt, że mały człowieczek nie powiedział Edith Ethel, kto wykonał podstawową robotę. I podobnie jak jego dziewczyną Tietjens na tym poprzestał. Nie widział, czemu biedny Wincenty nie miałyby skosztować trochę prestiżu w domu... pod tymi wszystkimi pomnikami! Mimo to nie mógł - choć przez cały wieczór Macmaster z troską i przyjaźnią upodabniającą go do kajającego się włoskiego charcika, sprawiał się szybko z osobistościami i krążył przy Tietjensie i choć Tietjens wiedział, że jego przyjaciela smuci i przeraża, jakby był kobietą, wyjazd Tietjensa do Francji - Tietjens nie mógł mu już spojrzeć w twarz... Wstydził się. Po raz pierwszy w życiu czuł się zawstydzony!

Nawet wtedy, gdy Tietjens uciekł z przyjęcia (idąc ku szczęściu!), Macmaster przybiegł za nim po schodach, przepychając się przez wchodzących gości. Powiedział:

- Poczekaj... Nie odejdziesz... Chcę... - spoglądając żałośnie i z przerażeniem w górę schodów, czy nie wyszła też lady Macmaster. Jego czarna, krótka bródka drżała, a umęczone oczka patrzyły w dół. Powiedział:

- Chciałem wyjaśnić... o tym parszywym szlachectwie...

Tietjens poklepał go po ramieniu, choć Macmaster znajdował się na schodku nad nim.

- W porządku, stary - powiedział z prawdziwym uczuciem. - Myśmy niejeden worek soli... żeby coś tak nieznacznego nas... Bardzo się cieszę...

Macmaster wyszeptał:

- A Walentyna... nie ma jej tu dziś wieczór...

- Na Boga! Gdybym pomyślał...

- W porządku - mówił Tietjens. - W porządku. Jest na innym przyjęciu... Ja idę...

Macmaster popatrzył na niego wątpiaco i z cierpieniem.

Nachylił się nad wilgotną poręczą i ściskając ją mocno, powiedział:

- Po wiedz jej... Dobry Boże! Mogą cię zabić! Błagam cię, abys uwierzył... Ja na pewno... Jak źrenicy oka... - Tietjens obrzucił twarz Macmastera szybkim spojrzeniem i zobaczył, że miał oczy pełne łez.

Obaj stali dłuższy czas, patrząc na kamienne schody.

Wreszcie Macmaster powiedział:

- Cóż...

Tietjens wypowiedział te same słowa, ale nie mógł spojrzeć Macmasterowi w oczy, choć czuł jak oczy przyjaciela żałośnie wpijają się w jego twarz... „Wyjście tylnymi schodami” pomyślał. Dziwne, że nie mógł spojrzeć w twarz człowiekowi, którego więcej nie zobaczy!

„A, na Boga! - pomyślał jeszcze gniewnie, gdy wrócił myślami do dziewczyny znajdującej się przy nim - tym razem nie wycofam się tyłem... muszę jej powiedzieć... Niech mnie szlag trafi, jeśli nie spróbuję...”.

Zakryła chusteczką twarz.

- Wiecznie płacę - powiedziała. - Mały strumyczek, któremu można ufać, że przetrwa...

Rozejrzał się w lewo i w prawo. Nadchodził Ruggles albo generał iks ze źle dopasowaną sztuczną szczęką. Ulica, wysadzana pokrytymi sadzą krzakami, była czysta, pusta; było cicho. Ona patrzyła na niego. Nie wiedział, jak długo milczał, nie wiedział, gdzie bywał; fale, których znieść niepodobna, popychały go ku niej.



Po bardzo długiej chwili powiedział:

- Cóż...

Cofnęła się. Powiedziała:

- Nie będę patrzeć, jak znikasz w oddali... To przynosi pecha, jeśli się patrzy na kogoś znikającego w oddali... Ale ja nigdy... nigdy nie wymażę z pamięci tego, co powiedziałaś...

Znikła, drzwi się zamknęły. Zastanowił się, czego ma nie wymazać z pamięci. Że tego popołudnia prosił ją, by została jego kochanką?

W okolicach biura, gdzie poprzednio pracował, zatrzymał ciężarówkę transportową, która podwiozła go na Holborn...

## SPIS TREŚCI

CZĘŚĆ PIERWSZA	5
CZĘŚĆ DRUGA	158